

KRZYSZTOF
KOZIOŁEK

A POTEM JUŻ TYLKO NIC



Nieosiągalne, żeby to mogło stać się naprawdę.
Nieosiągalne? Właśnie zaczyna się dzieć.

KRZYSZTOF
KOZIOŁEK

**A POTEM
JUŻ TYLKO
NIC**

 **MANUFATURA
TEKSTÓW**

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Słowo do czytelników i blogerów

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Epilog

Podziękowania

Od Autora

O Autorze

Inne książki Krzysztofa Koziolka

Redakcja: ALINA POLAK-WOŹNIAK

Korekta: EWA POPIŁKA

Projekt okładki: KAMIL PIETRUCZYNIK

www.kamilpietruczynik.pl

Skład i łamanie: KRZYSZTOF KOKOSIŃSKI

Wydanie pierwsze

Zielona Góra 2022

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2022

Copyright © by Manufaktura Tekstów 2022

www.manufakturekstw.pl

ISBN ePUB 978-83-964872-6-1

ISBN MOBI 978-83-964872-7-8

Oficjalna strona internetowa autora

www.krzysztofkoziolk.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Kto nie pamięta historii,
skazany jest na jej ponowne przeżycie.*

George Santayana

Drogie Blogerki!

Drodzy Blogerzy!

Drogie Czytelniczki!

Drodzy Czytelnicy!

Stworzenie powieści z kluczem wymaga od jej autora wiele poświęcenia i ciężkiej pracy. Wszystko po to, aby ci, którzy będą ją czytać, dobrze się bawili podczas lektury.

Dlatego gorąco prosimy: uszanujcie to, i w swoich recenzjach, postach i komentarzach nie zamieszczajcie informacji, które innym potencjalnym Czytelnikom mogłyby zdradzić wątki istotne dla fabuły.

Prolog

Poniedziałek 29 września 2031

Pić.

Pić.

Pić.

Teraz była to jedyna myśl towarzysząca Janowi Krzykowi. Już drugą godzinę razem z rodziną stał w kolejce wiodącej do dawnego stadionu żużlowego. Gdy dotarli w jego pobliże, sznur ludzi ciągnął się aż do stacji benzynowej Państwowego Monopolu Paliwowego – POMPY, jak mawiali obywatele pierwszej i drugiej kategorii, którym dane było cieszyć się z posiadania własnego samochodu.

Rodzinie Krzyków takie prawo nie przysługiwało. Nie wolno im nawet było korzystać z komunikacji miejskiej. Przemieszczać się mogli jedynie wydzielonymi częściami chodników, dlatego cztery kilometry dzielące osiedle Słoneczne od celu musieli pokonać na piechotę.

Kiedy Jan razem z Adą i Nikolą – na którą czasami wołał: Malina – zajęli miejsce w ogonku, zmęczenie dawało im się mocno we znaki, a przed nimi było jeszcze długie oczekiwanie. Szczególnie córka, nieprzywykła do wysiłku fizycznego, wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć. Dopiero dwa łyki z butelki – jedyny zapas, jaki udało im się wygospodarować na całe popołudnie, gdyż Ada nie przyniosła tego dnia ze szpitala nic ekstra – pomógł na tyle, że dała radę stać w oczekiwaniu na ich kolej.

Nikola odzyskała siły, za to w Krzyka pragnienie uderzyło ze zdwojoną mocą. Jak na złość, całą drogę musieli iść w palącym słońcu, co pogarszało ich i tak kiepską sytuację.

Może trzeba było nie przychodzić przed czasem? – pomyślał. Zerknął za siebie i od razu wiedział, że takie rozwiązanie byłoby jeszcze gorsze. Sznur ludzi ciągnął się aż za dawne centrum handlowe Polska Wełna, a Krzyk mógł się założyć, że to wcale nie jest koniec.

Pić!

Spróbował oblizać językiem spierzchnięte wargi, ale efekt był taki, jakby potarł po nich papierem ściernym.

Chcąc odwrócić uwagę od coraz bardziej dojmującego pragnienia, zaczął szacować liczbę oczekujących, licząc kolejne grupki oddzielone od siebie przepisową odległością dwóch i pół metra. Większość rodzin składała się z trzech osób, ale w bliskim sąsiedztwie zauważył też sporo samotnych par. Część z nich mogła posiadać dzieci młodsze niż siedmioletnie – a te były zwolnione z obecności na egzekucji – reszta należała pewnie do tego grona szczęśliwców, którzy dziennymi przydziałami rodzinnymi mogli dysponować jedynie we dwójkę.

Z tą myślą Krzyk najpierw spojrział na pustą butelkę trzymaną w dłoni, potem na Nikolę. Zrugął się w głowie za niepoprawne myśli. Przecież to nie jej wina, że pojawiła się na świecie. Kto mógł wtedy przypuszczać, że kilka lat później stanie on najpierw na progu jednej katastrofy, potem drugiej i jeszcze zaraz później trzeciej?!

Córka jakby wyczuła, że o niej myśli, bo odwróciła się i spojrzała na niego.

– Zostało coś jeszcze do picia? – spytała cicho.

– Po co pytasz, skoro wszystko wyżłopałaś? – warknęła Ada.

Krzyk zmusił się do uśmiechu.

– Nic już nie ma, przykro mi.

– Jej na pewno nie jest przykro – wycedziła Ada. – Nawet się nie spytała, czy któreś z nas chciałoby bodaj zwilżyć usta.

– Jestem dzieckiem, musicie o mnie dbać – wypaliła Nikola.

– Teraz jesteś dzieckiem? – Krzyk zaczynał powoli tracić cierpliwość. – A kto ostatnio wrzeszczał na cały blok, że jest już dorosły i nie musi słuchać rodziców?

Córka skrzywiła się, potem odwróciła do niego i Ady plecami, nic przy tym nie mówiąc.

Krzyk odetchnął głęboko, ciesząc się w duchu, że kolejny wybuch złości został – przynajmniej na razie – zażegnany w zarodku. O ile Nikola urodę odziedziczyła po matce – na swoje szczęście i dumę ojca – o tyle charakterek miała ewidentnie po nim. Niestety, od pewnego czasu rodziło to coraz większe problemy, ponieważ zaczęli się nią interesować chłopcy, zresztą z wzajemnością.

Rozmyślania mężczyzny przerwał ruch w kolejce. Ta wreszcie ruszyła z miejsca, zaraz potem ogonek posuwał się już z dużą prędkością. Kolejne rodziny sprawnie pokonywały bramki wejściowe, przykładając białe lub mahoniowe opaski do czytników. Krzyk co chwilę kontrolnie zerkał na swoją, sprawdzając czy zielona lampka nie zmienia koloru na ostrzegawczą czerwień. W przypadku przekroczenia dozwolonego dystansu powinna zasygnalizować to delikatnym porażeniem prądem, ale to była tylko teoria. Mężczyzna już kilka razy miał okazję się przekonać, że urządzenia były zawodne, szczególnie te przeznaczone dla czwartaków. To było podwójnie bolesne, gdyż dla tej kategorii kary były dużo bardziej surowe niż dla trzeciaków. Przy ostatnim takim przypadku przydział zmniejszono ich rodzinie tak bardzo, że gdyby nie pomoc kolegów z pracy, mogliby nie przeżyć. Na własnej skórze przekonał się więc, że maszynom nie wolno ufać.

Dopiero gdy dotarli pod bramę stadionu, mógł na chwilę odetchnąć. Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc w obiekcie działanie Systemu Ciągłej Obserwacji – w skrócie: SYCO – było w tym miejscu zawieszane.

– Nogi mnie bolą... – jęknęła Nikola.

– Nie marudź! – syknęła Ada w odpowiedzi.

Na twarzy dziewczyny pojawił się charakterystyczny grymas.

– Ale to prawda!

Krzyk delikatnie dotknął córkę zaciśniętą pięścią w ramię.

– Jeszcze chwilę i wejdziemy.

Nikola cała aż się zatrzęsała.

– Weź przestań!

Taki wybuch złości zdziwił mężczyznę, ale już po krótkiej chwili zrozumiał, w czym rzecz. Córka wpatrywała się w przystojnego chłopaka stojącego przed nimi w kolejce, nie mając pojęcia, co robić. On zresztą wyglądał na równie przestraszonego.

Ale skąd mieli oboje wiedzieć, jak należy się w takiej sytuacji zachować? Trzeciaki i czwartaki chodziły do szkoły stacjonarnej zaledwie jeden dzień w miesiącu, nie licząc najlepszych uczniów, którym zwiększano limit do czterech. A nawet te zajęcia były prowadzone w trzyosobowych grupach jedнопłciowych. Reszta procesu edukacji odbywała się w trybie zdalnym, a kontakt z kolegami

i koleżankami z klasy możliwy był praktycznie jedynie poprzez sieć, gdyż na kontakty osobiste należało wcześniej uzyskać zezwolenie.

Twarz chłopaka wykrzywiła się w dziwną minę, zaraz potem Nikola parsknęła śmiechem. W tym czasie jego ojciec podniesionym głosem zaczął tłumaczyć coś funkcjonariuszowi Służby Bezpieczeństwa Państwa z wyglądu młodszemu o kilka lat od jego syna.

– Wcielają coraz większych smarkaczy... – szepnął Krzyk sam do siebie. – Pomagamy i monitorujemy – bezwiednie wyrecytował hasło widniejące na pojazdach znienawidzonej przez społeczeństwo formacji. – Szkodzimy i mordujemy... – Z pamięci przywołał te stworzone przez nieistniejącą już opozycję.

– Proszę! – Mężczyzna przed nimi krzyknął błagalnie.

– Syn zostaje zatrzymany. – Młody esbek kiwnął głową na stojącego kilka metrów dalej kolegę z twarzą pokrytą gęstym trądzikiem. Ten od razu ruszył z pomocą, a w jego oczach mieniły się jakieś dziwne błyski.

– Dlaczego? – Ojciec chłopaka był coraz bardziej zdenerwowany.

Funkcjonariusz był nieugięty.

– Takie są procedury. Opaska jest naruszona. Manipulowano przy niej.

– To na pewno jakaś pomyłka! – Mężczyzna miał łzy w oczach. – Dopiero tydzień temu założono mu nową!

Esbek stanął w rozkroku.

– Odsunąć się albo użyjemy środków przymusu bezpośredniego!

Nagle mężczyzna spojrzał na chłopaka.

– Znowu przy niej grzebałeś? To przez tę dziewczynę? – Zachowywał się teraz tak, jakby był tu tylko z synem.

Chłopak coś pokrętnie tłumaczył. Jego ojciec odwrócił się do funkcjonariuszy, uśmiechnął się przyjaźnie.

– Panowie oficerowie, to tylko dziecko...

– Odsunąć się! – Warknął młody esbek. – Chłopak jest zatrzymany!

– Błagam! – Mężczyzna uklęknął. – Moja małżonka nie żyje... Nikogo innego nie mam... Nie zabierajcie mi go...

– Odsunąć się! – Esbek z brzydką twarzą przyłożył prawą dłoń do boku. – Natychmiast!

W tym momencie mężczyzna popełnił błąd, wyciągając rękę, jakby chciał syna odgrodzić od funkcjonariusza.

Kiedy ten wyprowadził cios pałką, nie zdążył się nawet zasłonić.

Krzyk usłyszał głucho stuknięcie, jakby ktoś grubym kijem pacnął w dynię. Zanim mężczyzna padł nieprzytomny na ziemię, młody esbek zdążył jeszcze poprawić po koledze.

Widząc to, chłopak rzucił się w stronę ojca. Funkcjonariusz z policzkami pooranymi przez trądzik tylko na to czekał. Wyprowadził cios, ale tym razem źle oszacował odległość, bo pałka przecięła jedynie powietrze, a on sam – straciwszy równowagę – upadł. Zaraz potem poderwał się z wściekłością na nogi, całą złość wyładowując na chłopaku. Ten próbował uchylać się od razów, ale z dwoma przeciwnikami nie miał szans. Po kilku ciosach upadł niedaleko ojca. Nawet wtedy esbek z trądzikiem nie przestawał bić. Pauzę zrobił dopiero, kiedy ciałem nastolatka zaczęły trząść konwulsje, a z jego ust poczęła toczyć się piana.

Krzyk patrzył na to oszołomiony. Kiedy tylko pierwszy raz pałka poszła w ruch, zrozumiał, że on i jego rodzina mogą być następni. Chciał zrobić coś, aby uniknąć takiego scenariusza, ale był jak sparalizowany. Próbował szepnąć coś do żony i córki, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa.

Dopiero po chwili udało mu się odzyskać głos.

– Nie patrzcie tam... – mówił cicho. – Nawet nie próbuj... – rzucił do Adriany, widząc, że ta robi krok w kierunku leżących na ziemi mężczyzn.

– Chłopak potrzebuje pomocy... – zaprotestowała.

– Zanim zdążysz im wyjaśnić, że jesteś pielęgniarką, mogą cię zabić – wyszeptał żonie do ucha.

– Nic mi nie... – Ada już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. W tej sytuacji faktycznie nie pomogłyby jej żadne znajomości.

– Szkoda go. – Nikola wbiła spojrzenie w ciało chłopaka. – Taki był ładny...

– Taki był ładny? – Kobieta odwróciła się do córki. – Tylko to masz do powiedzenia? Chłopiec być może trafi do szpitala w ciężkim stanie, nie wiadomo, czy z tego wyjdzie, a tobie szkoda jego ładnej buzi?

Wcale nie wiadomo, czy zabiorą go tam, czy może od razu zniknie – pomyślał Krzyk.

– Wiesz, co? – Nikola miała gniew w oczach. – Chcesz, to idź go ratować! Jak wylądujesz obok, to straty nie będzie.

– Ciszej! – Krzyk nerwowo taksował otoczenie wzrokiem, szukając potencjalnego zagrożenia. – I nie mów tak do matki.

– Ona jest moją matką tylko z nazwy. – Dziewczyna w jednej chwili straciła zainteresowanie chłopakiem. – Nasza kolej.

– Następny! – Stojąca przy bramie funkcjonariuszka SBP jakby to słyszała. – Szybciej!

– Dziewczyny, tylko bez żadnych gwałtownych ruchów – strofował Krzyk. Bał się nie o siebie, ale przede wszystkim o Nikolę. Chłopak, który przestał się już nawet ruszać, nie był jednym nastolatkiem próbującym przechytryć SYCO, za to, gdyby mu się udało, byłby pewnie pierwszym. Krzyk nie mógł mieć żadnej gwarancji, że opaska córki była w stanie fabrycznym. Co gorsza, wcale nie trzeba było manipulować przy urządzeniu, żeby narazić się na reakcję esbeków. Zdążyli już udowodnić, że najpierw biją, a dopiero potem ewentualnie zadają pytania i sprawdzają, czy alarm jest wynikiem zabronionej ingerencji, czy też awarii stadionowych czytników używanych tylko kilka razy w roku.

*

Na szczęście bramkę pokonali bez problemów i mogli ruszyć na przydzielone rano miejsca. Dramat, jaki rozegrał się przed wejściem, sprawił, że Krzyk zapomniał o wszystkim. Teraz pragnienie przypomniało o sobie, wracając do niego ze zdwojoną siłą. Wznoszenie modłów było bezcelowe, nie padało przecież od miesięcy, nie licząc tego jednego razu. Nic też nie wskazywało na to, aby taki stan rzeczy miał się zmienić. Na błękitnym niebie próżno było szukać choćby jednej chmury.

Tyle dobrze, że słońce właśnie zaczęło chować się za drzewami, dzięki czemu przynajmniej znaleźli się w cieniu. Inaczej kolejnych dwóch godzin oczekiwania na wypełnienie się stadionu Krzyk mógłby nie przetrwać.

Wtem z głośników rozległ się tubalny, mocny głos:

– Witam wszystkich obywateli trzeciej i czwartej kategorii!

Wypowiadającego te słowa nie było jeszcze widać, ale i tak zgromadzeni wiedzieli, kim jest. Pierwszy Przewodniczący Samodzielnej Komórki Terytorialnej Partii – w skrócie nazywany Pierwszym – był doskonale znany wszystkim mieszkańcom Enklawy Zielona Góra, począwszy od przedszkolaków.

– Witajcie!

Krzyk rozglądał się uważnie dookoła. Nie szukał jednak wzrokiem Pierwszego, którego postać pojawiła się na wielkim ekranie zamontowanym nad wjazdem do parku maszyn, interesowali go ludzie zgromadzeni na stadionie, a konkretnie ich liczba. Bez dostępu do SYCO dokładne policzenie było niewykonalne, ale mężczyzna mógł przynajmniej pokusić się o orientacyjne szacunki. Kiedyś, gdy działał jeszcze miejscowy klub żużlowy Falubaz, trybuny mieściły mniej więcej dwanaście tysięcy widzów. Teraz w połowie zionęły pustką.

I pomyśleć, że przed wojną Zielona Góra liczyła sobie prawie sto czterdzieści tysięcy mieszkańców – Krzyk westchnął. Egzekucja zgromadziła jakieś sześć tysięcy, tylu było w Enklawie Wewnętrznej trzeciaków i czwartaków. Ludzi z wyższym statusem – mieszkających w Enklawie Zewnętrznej – była połowa tego, a gdyby tylko zapadła decyzja, też zmieściliby się na stadionie. Jednak ich obowiązek uczestniczenia w dzisiejszym spektaklu nie dotyczył, cieszyli się licznymi przywilejami, o których niżej usytuowani w hierarchii mogli jedynie pomarzyć.

Refleksję przerwał Pierwszy.

– Niektórzy z obecnych tutaj być może zadają sobie pytanie, czy kara, jaką za chwilę wymierzymy, musi być aż tak surowa?

Krzyk spojrział na Adę, ale z jej zachowania trudno było wyczytać, co myśli.

– Zadajecie sobie pytanie: czy to dziecko musi umrzeć? – Postać Pierwszego była prezentowana na ekranie w taki sposób, że każdy ze zgromadzonych miał wrażenie, jakby patrzył mu prosto w oczy.

Krzyk zerknął na Nikołą, ta wyglądała na nieobecną. Brakowało tylko, aby włączyła wirtualfona.

– Obywatele trzeciej i czwartej kategorii! – Nagle Pierwszy pojawił się na scenie zajmującej środek murawy – Zadajcie sobie to pytanie! Zadajmy je sobie wszyscy!

Zadajmy sobie pytanie, kiedy będziemy mogli się czegoś napić!!! – wrzasnął Krzyk w myślach.

– Zadajmy je i od razu sobie na nie odpowiedzmy! – Pierwszy kroczył wolno po deskach, niczym aktor odgrywający wyuczoną wcześniej rolę.

Krzyk był chyba jednym z niewielu na stadionie, którzy nie spoglądali na mówcę. Zamiast tego dyskretnie przyglądał się ludziom wokół. Próbował sięgnąć pamięcią, aby przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był tak blisko innych, ale nie potrafił. Z pewnością nic takiego się nie zdarzyło w tym roku. Wyjątkiem był zakład pracy, ale tam przecież miał do czynienia tylko z kilkoma kolegami, zresztą, niemal przez całą zmianę byli zwykle pod dyskretnym nadzorem kierownika.

– Czy to dziecko musi umrzeć? – Albo ktoś zajmujący się sprzętem podkręcił głośność, albo Pierwszy zbliżył mikrofon do ust, jego słowa brzmiały bowiem teraz o wiele mocniej.

Do Krzyka dotarło, że zbliża się moment kulminacyjny egzekucji. Zaczął kręcić się jeszcze bardziej, chciał zobaczyć jak najwięcej twarzy, uśmiechów, grymasów, właściwie chłonał każdy detal wyglądu tych, którzy stali najbliżej niego, zanim tłumem wstrząśnie dzika ekstaza.

Dwa rzędy niżej dostrzegł mężczyznę niskiego wzrostu, z opasłym brzuchem i przetłuszczoną resztką włosów, który co rusz nerwowo tarł palcami o brodę.

Na ten widok Krzyk bezwiednie przejechał dłonią po swojej łysej głowie, czując w środku ukłucie zazdrości. Kępki włosów Grubasa wyglądały może karykaturalnie, ale i tak byłby gotów się z nim zamienić, byle tylko znów móc poczuć pod palcami przyjemny dotyk.

Ciekawe, czy Ada i Nikola zwróciły na niego uwagę? – pomyślał, patrząc na lśniące głowy żony i córki. A może jeszcze ktoś zachował resztę włosów? – Znów zaczął się rozglądać.

Nagle napotkał ukradkowe spojrzenie niewysokiej kobiety ze sporą nadwagą. Sposób, w jaki na niego patrzyła, sprawił, że aż go zmroziło.

Czyżby była donosicielką typującą podejrzaną osobę na potrzeby SBP? A może znajdowała się stopień wyżej w hierarchii, piastując funkcję prowokatorki i szykując pułapki na Bogu ducha winnych czwartaków?

Wtem kobieta się odwróciła, jakby czytała w myślach Krzyka. Chwilę później raz jeszcze spojrzała na niego dyskretnie. Tym razem widział już wyraźnie, że w jej oczach czaił się strach.

Boi się, że to ja jest kapusiem? – pomyślał mężczyzna. Od razu uśmiechnął się delikatnie, w ten sposób chciał nieznajomej dać znać, że nie musi się go obawiać.

Ale ta momentalnie uciekła wzrokiem.

W pierwszym momencie jej reakcja wywołała w nim żal, zaraz potem zrozumiał jednak w czym rzecz. Od czasu zakończenia wojny normą było donoszenie na innych: sąsiadów, kolegów z pracy, przełożonych, a nawet członków najbliższej rodziny. Dzieci kapowały na rodziców, mężowie na żony, a te na mężów. Denuncjatorzy mogli liczyć na dodatkowe przydziały, a najbardziej aktywni i skuteczni nawet na awans do wyższej kategorii, co w przypadku trzeciaków dawało komfort życia, o jakim inni mogli tylko pomarzyć. Tych ostatnich sytuacji nie zdarzało się wiele, były za to nagłaśniane przez rządową propagandę i stawiane za przykład. Z każdym takim razem liczba donosów rosła lawinowo, a z mieszkań, zakładów pracy i chodników znikwały dziesiątki osób. Większość bezpowrotnie.

Nic dziwnego, że ludzie patrzyli na siebie wilkiem, nawet małżonkowie bali się szczerze ze sobą rozmawiać.

Krzyk obdarzył Adę bacznym spojrzeniem. Czy ona też odczuwała czasami pokusę, aby go pogrążyć? Wcale by go to nie zdziwiło, ostatnio coraz częściej przyłapywał się na tęsknocie za pierwszymi latami ich małżeństwa i obawie, że bezpowrotnie odeszły w dal. Po zachowaniu Ady wnioskuje, że mogła mieć takie same myśli. – Jeszcze raz: czy to dziecko musi umrzeć? – Pierwszy odezwał się po długiej chwili ciszy. Od razu też sam sobie odpowiedział. – Tak, musi!

Słyszając te słowa, Ada odwróciła się na chwilę, aby spojrzeć na męża. Kiedy zaskoczona napotkała jego wzrok, poczuła nieprzyjemny ucisk w podbrzuszu.

– Tak, musi! – Pierwszy powtórzył jeszcze głośniej.

Kobieta czuła na policzku palący wzrok Janka. Wzięła głęboki oddech, ze wszystkich sił starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. W umyśle coraz mocniej tliła się jednak obawa, od której uginały się jej kolana.

Podejrzewał coś?!

Gdy tylko myśl dojrzała, od razu zaczęła uspokajać samą siebie.

Niemożliwe. Janek nie mógł o niczym wiedzieć!

– Musi! – Pierwszy wrzasnął tak, że echo odbiło się od trybun, ze zwiększoną siłą uderzając w zgromadzonych. – To dziecko nie okradło mnie! – Grzmiał. – Ono

nie okradło naszego miasta! Ono nie okradło naszej ojczyzny! Ono okradło wszystkich z was!!! – Jego wielki palec widoczny na ekranie wbił się w każdego ze zgromadzonych.

Pić!

Krzyk próbował poruszyć językiem, ale ten był sztywny jak kołek. Że też Nikola musiała wszystko wyłopać! Spojrzał na córkę, ta lewą dłoń próbowała ukryć otwartego wirtualfona. Już miał wyrazić swoje oburzenie, kiedy dostrzegł, że podobnie zachowywało się kilkoro innych nastolatków w najbliższym otoczeniu. Otaksował wzrokiem dalsze rzędy, sytuacja była identyczna.

Ta dzisiejsza młodzież... – westchnął. Na wszystko ma wyjebane. Nic się nie liczy: rodzice, szkoła, praca, ważna jest tylko sieć.

– Obywatele! – Palec Pierwszego zniknął z ekranu, znów pojawiła się na nim jego dobrotliwa twarz. – A może nie powinienem podejmować decyzji samodzielnie?

Krzyk wiedział, do czego szef Partii zmierza i musiał przyznać, że odgrywał swoją rolę pierwszorzędnie. Nie zmieniało to jednak faktu, że słuchał go z obrzydzeniem.

– Obywatele! Może należałoby pozostawić ją wam?

Sześć tysięcy zielonogórczan milczało.

– Zatem podejmijmy tę decyzję wspólnie! – Pierwszy nie zwlekał. – Kto z was powie nam, co należy zrobić ze złodziejem, który okradł nas wszystkich z najcenniejszej rzeczy, jaką mamy?

Odpowiedziała mu cisza.

– Kto powie, co mamy z nim zrobić? – Pierwszy przyłożył dłoń do czoła, udając, że wypatruje ochotnika.

– Zabić. – Delikatny głos dobiegł gdzieś z okolicy wieżyczki sędziowskiej.

Krzyk zdawał sobie sprawę, że nie sposób tego udowodnić, ale był przekonany, że autorem tych słów nie był nikt ze zgromadzonych na trybunach, chociaż rozstawione gęsto mikrofony potrafiły wychwycić nawet szept. Same mogły też jednak być źródłem dźwięku.

– Zabić!

Tym razem mężczyzna był już pewien, że ktoś naprawdę krzyknął.

– Zabić!

Nie minęło kilka sekund, gdy pierwszym głosem zawtórowały kolejne.

– Zabić!

– Zabić!

– Zabić!

– Tak! – Pierwszy triumfował. – Zabić!

– Zabić! Zabić! Zabić!!! – Teraz tłum wył już z nienawiści.

Mężczyzna na ekranie pokraśniał z zadowolenia. Odczekał dłuższą chwilę, wiedział, że to z bezwolnej ludzkiej masy wyzwoli wszelkie pokłady nienawiści. Potem mówił dalej.

– Taki krok może niektórym wydawać się nieludzkim, ale jest konieczny, abyśmy mogli dbać o naszą ojczyznę, naszą enklawę i o nas samych. – Zrobił krótką przerwę dla zwiększenia efektu. – Pamiętajcie też, że musimy tak zrobić dlatego, że... – kolejna pauza była już dużo krótsza – takie... są...

Tłum dokończył za niego.

– Procedury!!!

– Takie są procedury! – krzyknął Pierwszy raz jeszcze.

Jan miał wrażenie, jakby wrzaski wydostające się z głośników płynęły prosto do jego uszu, wwiercając się w mózg, niczym świder w miękką ziemię.

– Wprowadzić skazańca! – ryknął Pierwszy bez ostrzeżenia.

Niemal od razu na ekranie pojawiła się postać chłopaka – mógł mieć dziesięć, może jedenaście lat – słaniającego się na nogach. Był wleczony przez dwóch rosłych esbeków trzymających go pod ręce, dodatkowo skrępowane za plecami. Zanim dotarli na scenę, minęła minuta, może dwie. W tym czasie ludzie milczeli, tylko co chwilę przez tłum przechodził cichy pomruk.

Kiedy zakładali mu pętlę na szyję, z głośnika rozległ się beznamiętny głos lektora, który wszyscy doskonale kojarzyli z Dziennika Wieczornego.

– Przypomina się o zasadach obowiązujących na dzisiejszej egzekucji...

Charakterystyczny bas spikera miał przyjemne brzmienie. Gdyby Krzyk nie wiedział, czego dotyczy komunikat, mógłby się nawet odprężyć.

– Każdy, kto w momencie kulminacyjnym odwróci głowę lub zmieni pozycję ciała na taką, która uniemożliwi rejestrowanie obrazu, zostanie tymczasowo

pozbawiony dziennego przydziału rodzinnego...

Krzyk położył dłoń na ramieniu Nikoli. Ta spojrzała na niego, zamknęła wirtualfona, potaknęła, dając znać, że zrozumiała.

– Podobne konsekwencje spotkają tych, którzy zasłonią lub zamkną oczy...

Krzyk nabrał głęboko powietrza, po czym wypuścił je z sykiem, patrząc na chłopaka, który wyginał głowę we wszystkich kierunkach, próbując pozbyć się pętli. Nic nie mówił, nie krzyczał, zaklejone taśmą usta nie były w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Musiał wiedzieć, że jego wysiłki są daremne, a i tak nie dawał za wygraną. Walczył do końca.

Mężczyzna miał świadomość, że większości zgromadzonych na trybunach los chłopca kompletnie nie obchodzi i że za chwilę z dziką przyjemnością będą wpatrywać się w jego wiszące ciało, niczym dżicz sycącą się przed stuleciami walkami gladiatorów. Oni będą patrzeć dobrowolnie, cała reszta – tak jak on – z musu. Żadne sztuczki nie wchodziły w grę, na straży stały bowiem setki kamer i czujników SYCO rozpoznających nie tylko twarze, ale też rejestrujących reakcje poszczególnych ludzi, ich nastrój, temperaturę ciała i dziesiątki innych danych.

– Uwaga! – Pierwszy stanął w rozkroku dwa metry przed nastolatkiem. Dał znak podniesioną ręką.

– Przygotować się do egzekucji. – Głos lektora cały czas brzmiał tak samo spokojnie.

Krzyk ze zgrozą odnotował fakt, że kilka osób w rzędach poniżej otworzyło wirtualfony i włączyło nagrywanie. Rozejrzał się wokół, tych parę przypadków to był wierzchołek góry lodowej!

Jakby byli na meczu żużlowym, a pod taśmą startową ustawiało się właśnie czterech zawodników.

– Dziesięć... – Spiker zaczął odliczanie.

Krzyk spojrzał na szubienicę, dużo wyżej niż głowa skazańca.

– Dziewięć...

Opaska na dłoni mężczyzny zadrzała, rażąc go delikatnie prądem.

– Osiem...

Krzyk ją zignorował.

– Siedem...

Natężenie prądu wzrosło.

– Sześć...

Zacisnął zęby, chcąc wytrwać jak najdłużej.

– Pięć...

Delikatne mrowienie ustąpiło miejsca nieznośnemu pieczeniu.

– Cztery...

Ból potężniał z sekundy na sekundę.

– Trzy...

Wiedział, że za chwilę dotrze do progu wytrzymałości.

– Dwa...

Krzyk nie dał rady walczyć dalej. Cena, jaką musiałby za to zapłacić, była zbyt wysoka. Przeniósł wzrok na twarz chłopca.

– Jeden.

Mikrofony ustawione na scenie wyłapały dźwięk otwierającej się zapadni, a sprzęt obsługujący nagłośnienie na stadionie dodatkowo oczyścił go i wzmocnił. Zaraz potem ciało nastolatka zaczęło podrygiwać, z megafonów dało się słyszeć rżenie.

Krzyk miał lzy w oczach. Modlił się, żeby SYCO nie uznało tego za złamanie procedury. Niemal czuł, jak czujniki rejestrują ruch jego gałek ocznych. Wiedział, że to niemożliwe, że robiły to niedostrzegalnie dla ludzkich zmysłów, ale i tak czuł się nieswojo. Miał wrażenie, jakby ktoś zaglądał mu do wnętrza mózgu.

– Koniec. – Lektor cały czas brzmiał tak, jakby czytał dziecku bajkę. – Egzekucja została zakończona.

Krzyk z ulgą odwrócił głowę. Odetchnął głęboko, patrząc na dziesiątki wirtualfonów rejestrujących wciąż ruchy dyndającego ciała. Wstrząsnął nim gniew, ale momentalnie przywołał się do porządku. Nic nie mógł na to poradzić.

– Podaję dane statystyczne. – Lektor odezwał się raz jeszcze. – Udział w egzekucji wzięło sześć tysięcy dwudziestu ośmiu obywateli, to jest sto procent uprawnionych. Prawidłowy udział w egzekucji zaliczono sześciu tysiącom dwudziestu siedmiu obywatelom.

Krzyk poczuł w środku ukłucie zazdrości.

Znalazł się ktoś, kto potrafił się wyłamać!

I to nie był on...

Cwaniak! – pomyślał. Pewnie chował gdzieś w domu zapasy na czarną godzinę i mógł sobie na coś takiego pozwolić. Ciekawe tylko, czy rezerwę zawdzięczał prostytuowaniu się swojej żony lub córki? A może wynajmował na godziny własne ciało, jeżdżąc do posiadłości Pierwszaków?! Gdyby tylko wiedział, który to, podbiegłby do niego i rozszarpał gołymi rękoma!

A jeśli to była kobieta?

Też by ją zabił!

– Należy kierować się do bramek wyjściowych. – Lektor zaczął instruować tłum.
– Przypominamy, że poza stadionową strefą buforową obowiązują przepisy dotyczące utrzymania dystansu społecznego.

Krzyk ruszył za Adą i Nikolą wolno kroczącymi w stronę ogrodzenia. Rzucił okiem na scenę. Ciało chłopca wciąż wisiało na szubienicy.

Wiedział, że nie jest to niefrasobliwość. Wręcz przeciwnie, esbecy specjalnie nie odcinali ciała. Chcieli, żeby zgromadzeni na stadionie ludzie jak najdłużej się w nie wpatrywali.

Żeby scena, jaka rozegrała się przed ich oczami i w ich umysłach, zaległa się tam na zawsze. Aby pamiętali o niej, kiedy tylko przyszlaby im do głowy próba kradzieży choćby jednej małej butelki.

Pić!

Krzyk odwrócił głowę, złorzeczając w myślach martwemu dzieciakowi. Gdyby nie przestępstwo, jakiego się dopuścił, on nie miałby teraz w nogach czterech kilometrów i tyłu samo przed sobą w drodze powrotnej!

Pić...

Żeby odwrócić uwagę od pragnienia, spojrział na zegarek, starą „Rakieta” wyprodukowaną jeszcze w czasach istnienia Związku Radzieckiego i jedyną pamiątkę po ojcu, która uchowała się podczas wojny.

Szybko obliczył czas, jaki upłynął od wejścia na stadion i wyłączenia systemu nadzorującego utrzymanie dystansu społecznego. Jeżeli Boguś nie mylił się w obliczeniach, wprowadzony podczas egzekucji trojan powinien zrobić to, do czego został zaprojektowany. Już wkrótce się tego dowiedzą.

A jeśli się udało...

Krzyk poczuł, jak jego serce przyśpiesza. Uśmiechnął się mimowolnie, wiedząc doskonale, że tym razem nie jest to reakcja na postępujące odwodnienie.

Jeżeli ich szalony i śmiały plan się powiodł, to...

Na tę myśl mężczyzna aż przymknął oczy.

Wreszcie będą mogli zacząć kopać.

Rozdział 1

Sobota 20 września 2031 (dziewięć dni wcześniej)

To był ciężki dzień. Już wczoraj, kiedy Krzyk kładł się spać, męczyło go pragnienie. Rano było jeszcze gorzej, a w odpowiedzi na prośbę do Ady o podzielenie się szpitalnym zapasem, usłyszał, że zostawiła go w lecznicy. Było tak naprawdę czy też kłamała, chowając gdzieś butelkę po kątach, tego nie wiedział. Nie dysponował też czasem na myszkowanie w jej poszukiwaniu.

Kiedy więc rozpoczął jedenastogodzinną zmianę w oczyszczalni ścieków, miał wrażenie, jakby usta wypełnione były trocinami. Kilka łyków, jakie należały mu się w ramach ekwiwalentu za szkodliwe warunki pracy, niewiele poprawiło. Na domiar złego, tego dnia słońca od samego rana paliło niemiłosiernie, potęgując cierpienia tak mocno, że godzinę przed końcem nawet drewniany trzonek podbieraka kojarzył mu się z czułym kształtem butelki wypełnionej pod sam korek.

Marzenia o zaspokojeniu pragnienia przerwał dopiero Brian Kowalski, kolega, z którym wspólnie usuwał resztki osadów.

– Jeszcze tamten syf i koniec na dzisiaj. – Pokazał na zbitą masę przypominającą wyglądem wielką kupę dinozaura.

Nagle uwagę Krzyka przykuł sąsiedni zbiornik. Spojrzał w jego kierunku. Zmrużył oczy raz, drugi, trzeci. Podszedł bliżej, patrząc jak zahipnotyzowany, nie zważając na ostrzegawcze okrzyki Kowalskiego.

Stanął nad krawędzią. Nie słyszał już wołania przerażonego kolegi.

Wbił wzrok w rurę zasilającą zbiornik.

Zamiast szlamu, strzelał z niej krystalicznie czysty górski potok. Kowalski, choć stał kilka kroków dalej, już dla niego nie istniał.

W głowie pojawiła się przyjemna myśl.

Poddał się jej natychmiast. Rozpiął flanelową koszulę, zrzucił ją z siebie, zaraz potem to samo uczynił z podkoszulkiem, butami i spodniami. Wrzaski kolegi do niego nie docierały.

Zdjął skarpety. Kowalski stał obok i darł się wniebogłosy, ale Krzyk go nie widział. Zrobił pół kroku do przodu, stanął na krawędzi zbiornika.

Podniósł ręce do góry, szykując się do skoku.

Wtedy na ramieniu poczuł silny ucisk.

Obrócił głowę, zobaczył osłupiałą twarz kolegi. Chwilę trwało, zanim umysł dopasował jej wygląd do imienia i nazwiska.

Kowalski był śmiertelnie przerażony.

– Co ty, kurwa, robisz?!

Krzyk słyszał pytanie, ale nie rozumiał jego przesłania.

– Ochujalesz?!

Sens był coraz bliżej, ale jeszcze nienamacalny.

– Odpierdoliło ci?!

Wreszcie pojał. Opuścił głowę, dostrzegł bose stopy. Przeniósł wzrok na nogi, potem biodra, klatkę piersiową.

Dlaczego, do jasnej cholery, stał tutaj niemal nago?!

– Co ty, kurwa, robisz? – spytał Kowalski cicho.

– Nie wiem, Brian... Nie wiem. – Miał mętlik w głowie. – Chyba chciałem skoczyć... Zmylił mnie tamten górski potok...

– Górski potok? – Kowalski wytrzeszczył oczy. – Jaki, kurwa, górski potok?!

– Ten. – Pokazał na rurę. Kiedy zobaczył wypływający z niej szlam, ugięły się pod nim kolana. Przeniósł wzrok na zawartość zbiornika, wciągnął powietrze przesycone smrodem i poczuł, jak robi mu się niedobrze.

– Chciałeś tam skoczyć? – Kolega nadal nie dowierzał temu, co widzi.

– Na to wygląda... – Mówił cicho, niemal niesłyszalnie. Spojrzał Kowalskiemu prosto w oczy.

Obaj wiedzieli, że gdyby tak się stało, szanse na ratunek byłyby iluzoryczne.

A może tak miało być? Jeden skok, minuta zwierzęcego strachu, parę zaczerpnięć powietrza, od którego szybko straciłby przytomność i poszedłby na dno.

Dyrektor pewnie nawet nie kazałby opróżnić specjalnie zbiornika, aby wydobyć z niego ciało, tylko zarządziłby czekanie na przerwę technologiczną.

Jemu i tak byłoby to kompletnie obojętne.

Miałby święty spokój, nie musiałby każdego poranka – zaraz po obudzeniu – zamartwiać się, jak przetrwać kolejny dzień i jak wykombinować kilka dodatkowych łyków dla siebie i Maliny.

Po jaką cholere Brian się wtrącał?! – Nagle poczuł ogromną złość.

– Kurwa mać... – Chwycił za spodnie, wsunął jedną stopę w nogawkę.

– Nie ubieraj się. – Kowalski go zastopował.

– Co? – Krzyk był kompletnie zaskoczony. Czyżby Kowalski umiał czytać w myślach? Doszedł do wniosku, że niepotrzebnie przerwał? Chciał naprawić swój błąd? Za późno! – O co ci chodzi?

Kolega pokazał palcem w górę.

Krzyk powiódł za nim spojrzeniem i zrozumiał. Niebo – dokładnie nad nimi – zasnuwane było czarną chmurą.

Bał się wypowiedzieć myśl na głos, jakby to mogło sprawić, że się nie ziści.

– Myślisz, że... – spytał dopiero po chwili.

Wyraz twarzy Kowalskiego wskazywał, że jest pewien swego.

– Zaraz zacznie padać – powiedział.

Krzyk nie był do końca przekonany. Chmura nie była wcale duża.

– Z tego?

Kolega potaknął gwałtownie.

– Chodźmy tam, gdzie zawsze.

Krzyk jedną ręką chwycił ubrania, drugą buty. „Tam, gdzie zawsze”. Nigdy nie nazywali rzeczy po imieniu, nie mówili „za kontener”, nie używali żadnego bliższego synonimu. Tylko enigmatyczne: „tam, gdzie zawsze”. Jakby bali się, że ktoś ich podsłucha, zorientuje się, o czym mówią i zabroni przemieszczania się w tamten rejon lub – co gorsza – postanowi przestawić pojemnik w zasięg kamer.

Nie mieli zbyt dużo przestrzeni dla siebie, ot, wystarczyło na wyciągnięcie rąk między metalową ścianą garażu a zardzewiałą blachą kontenera. Ustawiono go tu tylko na kilka dni – zasłaniając kilka metrów kwadratowych przestrzeni – potem miał być przeniesiony w inne miejsce, ale – jak to często bywa – rozwiązanie prowizoryczne okazało się dużo bardziej trwałe niż pierwotnie zamierzano.

Krzyk był już gotowy, za to Kowalski musiał się jeszcze rozebrać.

Ciekawe, czy nad ich blokiem też pojawiła się jakaś chmurka? Malina przestanie siedzieć z nosem w sieci, wyczuje okazję i się umyje? Będzie pamiętać o brudnych naczyniach? Zrobi pranie?

Oby tylko nie okazało się poniewczasie, że wszystkie balkony w bloku będą pełne kąpiących się dzieciaków i dorosłych mających drugą lub trzecią zmianę, tylko ich będzie świecić pustkami. Gdyby był po pracy, mógłby użyć wirtualfona, ten czas jednak był do wyłącznej dyspozycji pracodawcy. Jedyne, do czego mógł go użyć, bez narażania się na surowe konsekwencje, włącznie ze wstrzymaniem dziennego przydziału rodzinnego albo nawet wyrzucenia na bruk, to wezwanie pomocy.

Czekanie na deszcz się nie kwalifikowało, a ryzykować naprawdę nie było warto. Krzyk pracę w oczyszczalni zaczął zaraz po wojnie. Na samym początku był przekonany, że wypełnia ważną misję – zakład był jednym z kilku w enklawie mających strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa obywateli – ale potem zaczął dostrzegać, jakie walki w nim kręcono i jak zarabiano, sprzedając na lewo oczyszczone ścieki. Robiono to sprytnie, zawsze w na tyle małej ilości, aby ewentualna kontrola niczego nie wykryła. Najpierw milczał, bo brakowało mu dowodów, potem dlatego, że dotarło do niego, iż proceder nie dzieje się bez przyzwolenia Partii, więc nawet złapanie złodziei za rękę nic by nie dało.

Szefostwo zarabiało gigantyczne pieniądze, podczas gdy szeregowi pracownicy biedowali. Szczególnie trudna była sytuacja czwartaków. Harowali kilkanaście godzin dziennie, ale zarabiali marnie, ich pensje praktycznie nie wystarczały na pokrycie kosztów dziennego przydziału rodzinnego, o jedzeniu nie wspominając. Mało tego, kiedy Krzyk się tutaj zatrudnił, każdemu należał się deputat: jedna półlitrowa butelka dziennie. Potem zaczęto go zmniejszać, aż wreszcie trzy tygodnie temu została już tylko jedna ósma litra.

– Zaraz na pewno zacznie padać... – Kowalski powiedział to w taki sposób, jakby bardziej chciał przekonać samego siebie.

– Jasne... – Krzyk powędrował myślami do córki. Może jednak zaryzykować i wysłać jej wiadomość? Ale jeśli czuwała na posterunku i szykowała się właśnie do kąpieli, to niepotrzebnie by ryzykował!

Nikola... – westchnął w duchu. Jego ukochana dziewczynka, która zaczęła stawać się kobietą. Jeszcze rok, dwa lata temu, chłopcy prawie w ogóle jej nie interesowali, aż nagle, niespodziewanie dla niego, sytuacja odwróciła się o sto

osiemdziesiąt stopni. I teraz drżał, myśląc o tym, z kim spotyka się w sieci i jak te randki online wyglądają. Myślał nawet o tym, czy nie spróbować zdobyć dostępu do jej konta, aby mieć oko na nowe znajomości, ale koniec końców stwierdził, że byłaby to oznaka braku zaufania. A Nikola, gdyby się o tym dowiedziała, nigdy by mu nie wybaczyła.

Ostatnio doszły jeszcze jej humory i pyskówki. Szczególnie dla Ady potrafiła być niemiła. Zresztą, jemu też nieraz się oberwało. A on, zamiast się obrazić, dalej spełniał wszystkie jej zachcianki. Jak powiedziała ostatnio żona: świata poza nią nie widział. Nawet nie ukrywała, jak bardzo jest o to zazdrosna.

Nie, wcale nie powiedziała, tylko wykrzyczała podczas jednej z kłótni, których w minionych miesiącach było coraz więcej. Zwykle zaczynało się od drobiazgów, a potem szło już jak kula śnieżna zbierająca wszystko po drodze.

Kilka poprzednich tygodni było pod tym względem naprawdę ciężkich, Ada szukała zaczepki przy każdej możliwej okazji i Krzyk był coraz mocniej przekonany, że złożyłaby pozew o rozwód, gdyby tylko miał on szansę powodzenia. Musiała jednak wiedzieć – tak samo dobrze, jak on – że jego uzyskanie było praktycznie niemożliwe. Wniosek obejmujący obywateli czwartej kategorii podlegał rozpatrzeniu przez Komisję Moralności i Praworządności. Na samo wpisanie sprawy do harmonogramu czekało się od roku do półtora, widoki na uzyskanie aprobaty był zaś znikome, Krzyk nie znał żadnego znajomego, któremu by się to udało.

– Zaraz koniec zmiany... – Kowalski zrobił kwaśną minę.

– A gdzie ten twój deszcz?

– Teraz to mój? – Był urażony. – Zapierdalałeś tam, gdzie zawsze, w takim tempie, że prawie ci gacie z dupy spadły, ale teraz to deszcz jest tylko mój?

Krzyk założył spodnie, nic nie mówiąc.

Kolega poszedł w jego ślady.

– Dobra, daj na luz – rzucił Kowalski.

– Na luz? – Krzyk był wściekły. Nie tyle na partnera, ten nie wystawiałby przecież samego siebie. Bardziej na los, który sprawił, że musiał obejść się smakiem.

Kolega założył podkoszulek, koszulę flanelową chwycił w dłoń.

– Trzy miesiące temu się udało...

– Wiem. – Krzyk nie umiał się na niego gniewać.

To był ostatni raz, kiedy padało. Krzyk pamiętał dokładnie, że byli w połowie zmiany, gdy zaczęło lać. Na plac przed budynkiem socjalnym wybiegli wtedy wszyscy pracownicy. Przez godzinę wystawiali ciała i twarze, po których płynął deszcz mieszający się ze łzami szczęścia. Ostatni raz widział taką radość, kiedy skończyła się wojna.

Wracał wtedy do domu na piechotę, z radością wchodząc w każdą napotkaną kałużę i chlapiąc jak przedszkolak. Oczami wyobraźni widział Malinę oraz Adę kąpiące się na balkonie i robiące wielkie pranie. Gdy wrócił do domu, okazało się, że żona faktycznie wyniosła na zewnątrz wszystkie ubrania.

Poza jego rzeczami.

Kiedy wrócił z pracy i zobaczył stertę swoich brudnych skarpetek i slipów leżących w koszu, wpadł w szal. Ada tłumaczyła się roztargnieniem, ale był święcie przekonany, że zrobiła to z premedytacją.

Wtedy pierwszy raz podniósł na nią rękę.

Nie uderzył, powstrzymał się w ostatnim momencie, ale Adzie wystarczył sam fakt, że się zamachnął.

– Najpierw się wycieramy? – spytał Kowalski, gdy dotarli do budynku socjalnego.

– Nie ma innej opcji – potwierdził. – Śmierzę tak, że żona nie wpuści mnie do mieszkania.

Weszli do niewielkiego magazynku. Na ścianach wisiały dziesiątki różnego rodzaju narzędzi, a w narożniku stała stulitrowa beczka. Dzięki cichej zgodzie przełożonych pracownicy fizyczni mogli gromadzić w niej produkt końcowy. Nie tyle był to przejaw dbałości o podwładnych, co bardziej chęć zapobieżenia przynoszenia ze sobą smrodu do budynku administracji, który robole co jakiś czas musieli odwiedzać.

Każdy z nich chwycił szmatkę wiszącą na sznurku, zamoczył ją w beczce, zaczął wycierać całe ciało, pilnując, aby nie pominąć żadnej odkrytej części.

Dopiero po takim wstępie skierowali się do łaźni. Teoretycznie na koniec każdej zmiany przysługiwał im trzyminutowy prysznic, jednak w praktyce czas skrócony był do sześćdziesięciu sekund. To, co tutaj leciało z rury, pachniało zupełnie

inaczej niż zawartość beczki, jednak zanim mogli się tym faktem nacieszyć, kąpiel się kończyła.

Krzyk podejrzewał, że generowane w ten sposób nadwyżki są sprzedawane na czarnym rynku, domyślał się też, że inni koledzy żywią podobne domysły, ale doskonale wiedział, że złożenie protestu do władz enklawy nic by nie dało. Jeszcze się nie zdarzyło, aby donos poczyniony przez obywatela niższej kategorii był w stanie wyrządzić krzywdę Pierwszakowi lub Drugiemu. Jedyne, co by uzyskał, to błyskawiczna utrata pracy. Owszem, zarabiał niewiele – jak na rosnące koszty pokrywania dziennego przydziału rodzinnego – ale wpadłby z deszczu pod rynną.

Deszcz.

Rynna.

Pić!

Z tą myślą wyszedł spod prysznica, chwycił za ręcznik, ale nie zaczął się wycierać – podobnie jak Kowalski – sycąc się każdą sekundą, podczas której czuł na skórze ten przyjemny dotyk setek kropli. Korciło go, aby zlizać kilka z przedramienia, powstrzymał się siłą woli. Odwalali tu w oczyszczalni kawał naprawdę dobrej roboty, ale co innego myć się w tym, a co innego brać do ust.

Pić!

Wszedł do szatni, machinalnie zerknął na tablicę, odnotował podświadomie, że wszyscy obecni w zakładzie mieli dopuszczalną temperaturę ciała, po czym podszedł do swojej szafki. Przyłożył opaskę do zamka, drzwiczki się otworzyły.

Chwycił za butelkę, siłą woli zmusił się, aby nie opróżnić jej całkowicie, poprzestał na kilku łykach, chociaż nie było to łatwe.

Nagle spojrzął na kartkę papieru przyklejoną do wewnętrznej strony drzwiczek kilkoma paskami taśmy izolacyjnej. Znał ten rysunek doskonale, potrafiłby odtworzyć z pamięci każdy detal. A i tak za każdym razem, kiedy na niego patrzył, odczuwał wielkie szczęście, niemal takie samo, jakie stało się jego udziałem, gdy zobaczył go pierwszy raz w życiu.

Większą część kartki zajmował gruby pień drzewa, z którego wyrastały dużo cieńsze konary – już na pierwszy rzut oka było widać, że rysowane dziecięcą rączką – a na nich zawieszane były ogromne ciemnoczerwone maliny.

Maliny.

Nie żołędzie. Nie kasztany. Nie liście.

Tylko maliny.

Krzyk się uśmiechnął, delikatnie dotknął kartki opuszkami palców. Była wygnieciona i wypłowiła tak mocno, że kolory zaczęły tracić na wyrazistości, ale jemu to nie przeszkadzało.

Trzymałby ją tutaj, nawet gdyby nic już nie można było rozpoznać.

Nagle ciszę przerwał tubalny głos dochodzący zza drzwiczek.

– Trzeba się zbierać do chaty!

Jan nie musiał zamykać szafki, żeby wiedzieć, kim jest jego właściciel. Miłosz Łazik miał prawie dwa metry wzrostu, poruszał się z delikatnością słonia i był równie co on gruboskórny.

Zaraz potem zaskrzeczał radiowęzeł.

– Uwaga, uwaga! Nadajemy ważny komunikat!

Krzyk aż spał się w sobie. Ilekroć szczekaczka się odzywała, tyle razy przekazywała złe wieści. Co tym razem?!

– We wczorajszym ogólnopolskim referendum w sprawie zmniejszenia zwiększenia obniżki dziennego przydziału rodzinnego wzięło udział dziewięćdziesiąt osiem koma dziewięć uprawnionych.

Zachował kamienną twarz, wiedział, że SYCO cały czas go obserwuje.

– Państwowa Komisja Wyborcza zatwierdziła wynik referendum jako wiążący...

Jakby to była jakaś nowość... – pomyślał, ale nawet nie drgnęła mu brew.

– Swoją wolę poparcia wyraziło dziewięćdziesiąt pięć koma trzynaście procent uczestników referendum...

Ktoś się odważył sprzeciwić? – spytał samego siebie.

– Ja nie wyraziłem – powiedział Łazik.

Krzyk spojrział na niego zaskoczony. Sam miał teraz przed oczami siebie i Adę zbliżających palce do wirtualfonów, by wziąć udział w obowiązkowym plebiscycie. Korciło go, aby wybrać „nie”, ale – jak przy każdym innym głosowaniu od zakończenia wojny – nie odważył się. I przez myśl mu przy tym nie przeszło, aby swoimi wątpliwościami dzielić się publicznie! Większej głupoty nie można było popełnić!

– Nie bałeś się? – Kowalski nie dowierzał.

Krzyk patrzył to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, który z nich jest większym debilem.

– Przecież w telewizji cały czas powtarzają, że wybory są tajne. – Łazik wycierał głowę ręcznikiem.

Chyba coś mu padło na mózg! – Krzyk nagle poczuł, że musi się jak najszybciej ubrać i opuścić szatnię. Przebywanie w niej razem z kimś takim mogło przynieść opłakane skutki.

– Skorzystałem tylko z prawa wyrażenia sprzeciwu wobec dalszych cięć... – tłumaczył Łazik.

Całkiem cię pojebało?! – wrzasnął Krzyk w myślach. Nie słyszałeś o mowie nienawiści? Na podstawie tej ustawy poddawanie w wątpliwość stanu klęski żywiołowej było uznawane za jedno z najcięższych przestępstw!

Postanowił nie zapinać koszuli. Chwycił bluzę w dłoń, zatrzasnął szafkę – nie przejmując się tym, że obrazek może się odkleić. Musiał jak najszybciej stąd wiać. Każda sekunda tutaj dłużej oznaczała niebezpieczeństwo oskarżenia o współudział, a Departament Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli karał równie surowo.

– A ty co myślisz? – Kowalski skierował to pytanie do kolegi, z którym dopiero co czekał na deszcz.

Co za głupi skurwysyn! – Krzykowi zrobiło się słabo. Co on myśli? A chuj im powie! Już raz chciał być odważny i sprzeciwił się systemowi. I jak skończył? Ada do dziś nie mogła mu tego darować!

– No? – podłapał Łazik.

Krzyk postanowił zrobić to, co zwykle w takiej sytuacji.

– Właściwie... – zaczął udawać, że się zastanawia. Koszulę miał w dłoni, wystarczyło wzuć buty i mógł stąd spieprzać. Założył prawy, potem lewy, intensywnie myśląc, co powiedzieć na odczepnego.

Nie zdążył się odezwać, do szatni wpadł brygadzysta. Krzyk wiedział, że Łazik jest jego pupilkiem, ostatnie trzy miesiące właśnie jego wskazywał do premii za wydajną pracę, chociaż ten wcale na to nie zasługiwał.

Teraz jednak przełożony trząsał się jak galareta.

Krzyk ani trochę mu się nie dziwił. Jeśli SYCO porówna adnotacje przy premiach na liście płac, brygadzysta może dostać zarzut działania

w zorganizowanej grupie dysydentów.

– Masz... się... stawić... u... dyrektora. – Brygadzysta z trudem się wysławiał. – W... trybie... natychmiastowym.

Nie adresował tego do Krzyka, ale jego też zmroziło. Próbował przełknąć ślinę, ale nie potrafił, a przecież dopiero co wypił dwa łyki!

Za to do Łazika powaga sytuacji najwyraźniej nie docierała.

– Teraz?

– A kiedy, kurwa?! – wypalił brygadzysta. – Na sylwestra?!

– Przecież na sylwestra i tak nie wolno wychodzić z domów... – Łazik najwyraźniej cały czas nie wiedział, w co się wpakował.

– Ale już! – wrzasnął brygadzysta.

– Idę... – odparł Łazik.

Będziesz się cieszyć, jeśli skończy się na obniżeniu dziennego przydziału rodzinnego – Krzyk zrobił krok do przodu, zachodząc w głowę, czy zobaczy jeszcze gburą w pracy. Parę razy zdążył się już przekonać, że w enklawie nie ma ludzi niezastąpionych. Nawet na tak specjalistycznych stanowiskach, jak ich. Jeśli ktoś podpadł władzy, nie było dla niego ratunku.

On sam był wyjątkiem od reguły.

– Powiedziałem: w trybie natychmiastowym! – warknął brygadzysta.

Krzyk zrozumiał, że najwyższy czas się stąd ewakuować. Wykonał kolejny ruch, ale potem musiał się zatrzymać, gdyż drogę zastawiał mu przełożony.

Brygadzysta spojrzał najpierw na niego, potem na Kowalskiego.

– A wy czego się tak gapicie?

Kowalski zajął bezpieczne miejsce za plecami Jana.

– Ja się nie gapię... – odparł cicho.

– Ja też nie – zawtórował Krzyk.

– To czego tu jeszcze chcecie? – wycodził brygadzysta. – Spierdalać do domu!

Żadnemu z nich nie trzeba było drugi raz powtarzać.

Rozdział 2

Dziwna pandemia – bo takim mianem ochrzczono ją po latach – która rozpoczęła się w 2020 roku, niemal zepchnęła światową gospodarkę w przepaść. Firmy upadały, ludzie tracili pracę albo umierali w szpitalach nieleczeni, drastycznie wzrosła też liczba samobójstw, zarówno wśród starszych, jak i młodzieży. Potem przyszła wojna na Ukrainie i jeszcze większe problemy gospodarcze. Rządy większości krajów zmieniły priorytety i przestały dbać o ekologię. Liczyło się tylko tu i teraz – walka o nakarmienie miliarda ludzi bez pracy – a nie zmniejszanie emisji dwutlenku węgla czy inwestowanie w zieloną energię. Sytuacji nie poprawiła też zapaść systemów edukacji. Miesiące zdalnego nauczania pociągnęły za sobą niespotykany wcześniej w historii świata kryzys kompetencji i społecznego wyobcowania. Decydenci, próbując ratować sytuację, zaczęli wprowadzać kolejne regulacje prawne i restrykcje, a ponieważ nie dawało to efektu, śrubę przykręcano coraz mocniej.

Kiedy zorientowano się, że nie tędy droga, było już za późno. W 2026 roku zmiany klimatyczne ostro przyśpieszyły, powodując serię klęsk żywiołowych na całej kuli ziemskiej. Ogromu zniszczeń dopełniła susza trwająca niemal dwa lata. Początkowo bardziej zasobne państwa próbowały ratować inne, ale szybko okazało się, że światowe zapasy są na to zbyt małe.

To właśnie tamten moment wykorzystało kilka korporacji, na czele z Universum Health and Care. zaproponowały powołanie specjalnej agencji i zaoferowały swój udział w pracach mających zapobiec kataklizmowi. Rządy największych mocarstw przyklasnęły pomysłowi, media ogłosiły zwycięstwo, a komitet noblowski uhonorował koncerny nagrodą pokojową.

Szybko jednak okazało się, że pomoc nie będzie darmowa, a w zamian za nią korporacje zażądały udziałów w firmach dystrybucyjnych oraz wpływu na ścieżkę legislacyjną i kształtowanie polityki wewnętrznej i zewnętrznej rządów.

Wówczas przyszedł drugi cios: w kilku tysiącach miejscach na świecie, niemal jednocześnie, zatruto największe ujęcia i zbiorniki, niemal połowę tego, co ludzkość miała do dyspozycji. Akcja była zorganizowana i chociaż nikt nikogo za

ręce nie złapał, co odważniejsi dziennikarze od razu o sabotaż oskarżyli Universum Health and Care oraz dwie współpracujące z nią inne korporacje.

ONZ powołała specjalną komisję, która oczywiście niczego nie wykryła, w przeciwieństwie do syndykatu niezależnych dziennikarzy, którzy wpadli na trop paramilitarnej organizacji powiązanej z koncernami. Przedstawili twarde dowody, ale na zmianę układu sił było już za późno. Światowe zasoby zmniejszyły się drastycznie, podaż zaczęła spadać w postępie geometrycznym, za to ceny wzrosły do niebotycznych rozmiarów. W efekcie przed miliardami ludzi na całym świecie stanęło widmo śmierci z pragnienia.

I właśnie wtedy wybuchła III wojna światowa. Konflikt nie trwał długo, zaledwie dwa miesiące, za to był katastrofalny w skutkach. Nie wiadomo było, kto pierwszy użył broni jądrowej: Stany Zjednoczone czy Rosja, niektórzy obserwatorzy obwiniali też Chiny. Wojna nuklearna przerodziła się w konflikt tradycyjny, który dopełnił dzieła zniszczenia. Populacja w niektórych rejonach świata zmniejszyła się o osiemdziesiąt procent, większość terytorium Ameryki Północnej i Azji – a także znaczna część Europy – nie nadawała się do zamieszkania.

Kiedy szary pył opadł, było już tylko gorzej. Wojna była błyskawiczna, ale jeszcze szybciej działały korporacje. Ciała zabitych nie zdążyły jeszcze dobrze ostygnąć, gdy okazało się, że resztki światowych zasobów przeszły na własność trzech z nich, przy czym Universum Health and Care miała największy udział, ponad pięćdziesięcioprocentowy. Co więcej, dzięki porozumieniom z prawie wszystkimi państwami na świecie, zyskały monopol na prowadzenie odwiertów, poszukiwania nowych źródeł, a także akumulowanie zapasów. Zwykłym ludziom nie wolno było bez zezwolenia wykopać nawet zwykłej studni ani też gromadzić deszczówki, zresztą padało zaledwie kilka dni w roku. Efektem tych wszystkich obostrzeń było uzależnienie całych krajów i społeczeństw.

Nic dziwnego, że światem wstrząsnęły fale niepokoju. W odpowiedzi na to rządy kolejnych państw – kierowane z tylnego siedzenia przez władze trzech korporacji – dzieliły swoje terytoria na zamknięte enklawy, pomiędzy którymi poruszać mogli się jedynie obywatele cieszący się pełnią praw – pozostałym nie wolno było ich opuszczać. W Zielonej Górze wydzielono dodatkowo dwie części: Enklawę Wewnętrzną i Enklawę Zewnętrzną. Do tej drugiej wstęp mieli jedynie Pierwszaki i Drudzy.

W Polsce – jednej z największych przegranych wojny – sytuacja była dramatycznie zła. Od jej wybuchu obowiązywał stan wyjątkowy – przedłużany na kolejne okresy – konstytucja była zawieszona, prawo do odwołania się do sądu od decyzji organów administracji publicznej w większości spraw zostało bezterminowo wstrzymane.

Faktyczną władzę w enklawach sprawowali lokalni politycy wskazywani przez rząd centralny, jednak stanowiska nie mógł objąć nikt, kto wcześniej nie zostałby zaakceptowany przez miejscowe przedstawicielstwo jednej z trzech korporacji. W Enklawie Zielona Góra – bo tak brzmiała teraz oficjalna nazwa miasta – był nim Grzegorz Bernat, którego jednak wszyscy nazywali skrótowo Pierwszym, a niektórzy – tylko w myślach – Pierwszym Skurwysynem. To on decydował o wysokości przydziałów i – co równie istotne – cenie litra wody, która nieustannie się zmieniała. Tak naprawdę jednak każda decyzja była podejmowana w gabinetach Universum Health and Care, Bernat jedynie wcielał ją w życie.

Rozdział 3

Ada weszła do dyżurki pielęgniarskiej, powłócząc ze zmęczenia nogami. Pierwotnie grafik przewidywał dziesięciogodzinną zmianę, ale była w szpitalu już o połowę dłużej.

Otworzyła szafkę zabezpieczoną kodem, spojrzała na dwie litrowe butelki, jedną z dzisiejszego przydziału dla przedstawiciela zawodu zaufania społecznego, drugą będącą wynikiem oszczędnego gospodarowania w minionym tygodniu. W tej pierwszej została może jedna trzecia, miała nadzieję, że wystarczy do końca pracy. Gdyby udało jej się dotrzeć na tej resztkę, cały litr mogłaby zostawić sobie na czarną godzinę. A tej mogła spodziewać się wkrótce, na szpitalnych korytarzach coraz głośniejsze mówiło się o kolejnej obniżce. Nie dyskutowano już o tym, czy ona nastąpi, ale kiedy i jak dotkliwa się okaże.

Sprawdziła czas na zegarze wiszącym nad drzwiami i poczuła pieczenie pod powiekami. Wiedziała, że dyrekcja ma prawo wezwać każdego pracownika – lekarza i pielęgniarki też – bez względu na ustalony wcześniej grafik, tak samo, jak może przedłużyć mu dyżur. W teorii wytyczne obowiązywały wszystkich zatrudnionych, ale w praktyce egzekwowano je tylko od pracowników trzeciej i czwartej kategorii: salowych, sprzątaczek i pracowników gospodarczych. A ponieważ personel medyczny z założenia był przypisany do dwóch pierwszych grup, lekarze i pielęgniarki nie musieli się o to martwić. W ich przypadku wezwania w trybie pilnym zdarzały się sporadycznie, najwyżej kilka razy w roku i nigdy nie miały charakteru represji.

Ona znajdowała się w diametralnie innym położeniu. Jako jedyna pielęgniarka nienależąca do Pierwszaków i Drugich, była wykorzystywana do granic możliwości fizycznych i psychicznych, o ile już ich nie przekroczyła. Właściwie nigdy nie wiedziała, o której godzinie wróci do domu ani też kiedy odbierze wiadomość nakazującą stawienie się do pracy w przeciągu dwóch godzin.

Raz jeszcze skontrolowała czas. Do końca regulaminowej przerwy miała jeszcze kwadrans. Położyła się na kozetce, przyłożyła głowę do wymiętoszonej poduszki. Zamknęła oczy i właśnie wtedy zadzwieczał dzwonek interkomu.

Podniosła się, ale umęczone ciało zaprotestowało i straciła równowagę.

Telefon cały czas dźwięczał głośno.

Syknęła, uraziwszy kontuzjowany kilka tygodni wcześniej łokieć.

Brzęczenie było coraz bardziej natarczywe.

Wiedziała, że musi podnieść słuchawkę.

Zgłosiła się. Dzwonili z dolnego SOR-u.

– Tak... Już idę... – Poprawiła wygnieciony fartuch i wyszła z dyżurki.

Do celu nie miała daleko, ale po drodze musiała przejść przez kilka zatęchłych korytarzy. Z wiszących nad głowami rur odpadały płaty farby. Nie lepiej prezentowały się ściany pociągnięte szarą emalią. Spod niektórych wielkich dziur wylaniały się plamy pleśni i grzyba.

Oświetlenie szwankowało, musiała uważać, aby nie potknąć się na wyszczerbionych kaflach, położonych chyba jeszcze w poprzednim stuleciu.

Wreszcie dotarła do wielkiej sali jakiś czas temu przerobionej na poczekalnię. Niewiele osób ze sobą rozmawiało, większość siedziała na lepiących się ławkach, zachowując przepisowy dystans. Gdyby nie dobiegające zewsząd jęki i płacz małych dzieci, można by to miejsce wziąć za halę dworcową.

Tak, jak się spodziewała, liczba pacjentów, jaką widziała przed przerwą, ani trochę się nie zmniejszyła. Niektórzy tkwili już tak długo, że rozpoznawała ich twarze. Mimochodem zerknęła na wielki nowoczesny monitor zawieszony na dużej ścianie, nijak niepasujący do jej odrapanej i brudnej powierzchni. Sprawdziła temperaturę ciała widniejącą przy każdym numerze identyfikacyjnym, potem skontrolowała jeszcze czas oczekiwania na poradę.

Rekordzista przekroczył już osiemnaście godzin.

A pomyśleć, że to jest spokojny dzień... – westchnęła w duchu, potem z punktu informacyjnego odebrała kartę pacjenta, weszła z nią do gabinetu.

Chwilę później pojawiła się w nim kobieta z twarzą pooraną głębokimi zmarszczkami, trzymająca za rękę dziecko z zabandażowaną głową.

Ada zerknęła w dokument, chłopiec miał siedem lat.

– Co się stało? – spytała, zakładając rękawiczki lateksowe.

– Spadł z huśtawki i rozciął sobie głowę – odpowiedziała matka. – Dostał na to zgodę! – dodała szybko.

– Na rozbicie głowy? – spytała Ada machinalnie.

– Na skorzystanie z huštawki – wyjaśniła. – Zarejestrowaliśmy się zgodnie z prawem.

– Mogę zobaczyć? – Nie czekając na odpowiedź, zaczęła odwijać bandaż przesiąknięty krwią.

Starła się robić to delikatnie, ale chłopiec i tak zaczął płakać z bólu.

– Paskudna rana... – powiedziała, patrząc na głębokie rozcięcie. – Trzeba szyć.

– Długo będziemy musieli na to czekać? – Kobieta przytuliła syna do piersi, zaczęła go głaskać po policzku.

Ada sprawdziła coś szybko w karcie.

– Nie ma jeszcze wyników badań na obecność wirusów w organizmie – wyjaśniła. – Dopóki nie dotrą, nie można zrobić zabiegu.

– Przecież to tylko kilka szwów! – Pierwszy raz od wejścia do gabinetu kobieta podniosła głos. – Parę minut i po sprawie...

– Przykro mi. – Ada rozłożyła wymownie ręce. – Takie są procedury.

– Procedury? – Miała łzy w oczach. – Czekamy już prawie sześć godzin... On cierpi...

Jakby na dowód tego chłopiec załkał cicho.

– Bez wyników pomoc medyczna nie może zostać udzielona. – Pielęgniarka wznosiła się na wyżyny cierpliwości. Nie ona stanowiła prawo, nie ona powinna zatem tłumaczyć się pacjentom.

– A jeśli ta rana byłaby zagrożeniem życia, to co wtedy?

– Już pani powiedziałam: takie są procedury i musimy się ich trzymać.

– Ile to może potrwać?

– To zależy od laboratorium. – Jak miała powiedzieć matce tego dziecka, że wyniki mogą być za kwadrans, ale równie dobrze jutrzejszego rana.

Kobieta przyłożyła dłonie do uszu syna.

– A jeśli wda się zakażenie? – spytała.

– Wtedy trzeba będzie go przez kilka dni położyć na oddziale. – Nie dodała już, że wcześniej trzeba by znaleźć jakieś wolne łóżko, o co łatwo nie będzie.

– Kilka dni? – Była przerażona. – A na które piętro go zabierzecie? – wyszeptała.
– Na trzecie?

Ada zaprzeczyła krótkim ruchem głowy. Nie musiała pytać kobiety o status, na ten SOR trafiali tylko trzeciaki i czwartaki, a im możliwość skorzystania z polikliniki – wyposażonej w najnowocześniejszy sprzęt i obsługiwany przez najlepszą kadrę – nie przysługiwała.

– Czyli na drugie? – Kobieta nie miała już cienia wątpliwości. – Tam... – Znów przysłoniła synowi uszy, ale niepotrzebnie, zasnął. – Tam jest tylko umieralnia... Przyjmujecie pacjentów... Kładzicie ich do łóżek... I czekacie, aż umrą...

– Postaram się sprawdzić, czy laboratorium nie mogłoby się trochę pośpieszyć...

– Dziękuję! – Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale zaraz potem przez jej twarz przebiegł grymas bólu.

– Dobrze się pani czuje? – spytała Ada instynktownie.

– To nic... – Gwałtownie pokręciła głową.

– Mdli panią? – Zaczęła się jej bacznie przyglądać. – Kiedy pani ostatnio jadła?

– Nie pamiętam... – Zmrużyła oczy.

Pielęgniarka opuściła wzrok niżej, na brzuch, i już wiedziała. Ledwie było widać, jeśli miała rację, to był dopiero drugi miesiąc. Dwukrotnie otworzyła prawą dłoń, uruchomiła wirtualfona, sprawdziła w systemie dane kobiety. Ostatnią wizyta u ginekologa miała trzy lata temu.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Słucham?! – Kobieta udała, że nie rozumie.

– Pani jest w ciąży, prawda? – spytała cicho.

– Skąd... – Próbowała ukryć zdenerwowanie.

– Nie oszuka mnie pani.

– Nikogo nie chcę oszukiwać... Tak... Jestem... – Kobieta się poddała. Wiedziała, że prędzej czy później prawda i tak wyjdzie na jaw. Może nawet odczuwała coś na kształt ulgi, że to już się stało. – Nie znam płci. Badanie jest takie drogie...

– Ma pani zgodę komisji? – Zanim Ada skończyła pytać, znała już odpowiedź.

– A po co to pani wiedzieć?

Pielęgniarka chwyciła kartę chłopca, ruszyła do wyjścia.

– Przepraszam, to nie pani wina... – Kobieta ściszyła głos. – Nie dostaliśmy pozwolenia. Mąż starał się w zakładzie pracy... Ja też... Bez efektu.

– Regulamin nakazuje mi poinformowanie panią o konsekwencjach... – Ada źle czuła się w tej roli, ale nie miała wyjścia. Gdyby wyszło na jaw, że nie dopełniła obowiązku, straciłaby prawo wykonywania zawodu. – Muszę też odnotować w systemie fakt przeprowadzenia tej rozmowy.

Kobieta wzdrygnęła się nerwowo.

– Coś pani powiem, tak od siebie... – Ada mówiła niemal niedosłyszalnie. – Bez zgody komisji nie zwiększą wam dziennego przydziału rodzinnego. Sztucznego mleka dla dziecka też nie dostaniecie.

– Przecież możemy podpisać zobowiązanie o odpracowaniu dodatkowego przydziału przez dziecko po uzyskaniu przez nie pełnoletności... Trzeciaki i czwartaki mają taką możliwość! – Jej oczy zaszkliły się łzami.

– Tylko wtedy, jeśli wcześniej uzyskają zgodę komisji na zajście w ciążę.

W odpowiedzi kobieta tylko cicho jęknęła.

– Będzie pani musiała karmić piersią, a wtedy trzeba pić dużo więcej niż zwykle – tłumaczyła Ada dalej. – Macie z mężem siedem miesięcy na przygotowanie zapasów.

– Oboje pracujemy siedemdziesiąt dwie godziny tygodniowo... – Obliczyła szybko w myślach. – Do tego dochodzi jeszcze zdalne nauczanie... – Pokazała na chłopca, który cały czas spał. – Nie mamy jak wyrobić dodatkowego limitu...

Pielęgniarka miała już coś powiedzieć, ale drzwi do gabinetu otworzyły się z hukiem, stanął w nich Błażej Bach, ordynator oddziału wewnętrznego.

– Pani pozwoli ze mną. – Wycedził, patrząc na Adę.

– Już idę, panie doktorze. – Podeszła do kobiety. – Sprawdzę w laboratorium to, co mówiłam... A na razie musicie wrócić do poczekalni.

– Dziękuję. – Kobieta zaczęła budzić syna.

– Jeśli chodzi o naszą rozmowę... Zapasy... – Obejrzała się, ordynatora na szczęście nie było już w drzwiach. – Jeżeli tego nie zrobicie, dziecko nie przeżyje. – Wyszła na korytarz, przyśpieszyła kroku, wiedziała, że lekarz nie lubi, kiedy każe mu się czekać.

– Komuś chyba mieszają się priorytety. – Bach sięgnął rękami do stetoskopu zawieszzonego na szyi.

– Bardzo pana ordynatora przepraszam... Musiałam...

Przerwał jej bezceremonialnie.

– O co chodzi z tym laboratorium?

– Muszę sprawdzić wyniki testu wirusowego... – Postanowiła nie kłamać, ale też i nie mówić całej prawdy.

– Przypominam o obowiązujących limitach na dolnym SOR-ze! – Z premedytacją podniósł głos. Poczekalnia, jak szpitalne korytarze i większość gabinetów, naszpikowana była mikrofonami i kamerami, ale panujący w niej harmider mógł utrudnić superczułemu sprzętowi wychwycenie tego, co powiedział.

– Oczywiście, pamiętam! – zapewniła solennie.

– Kto wydał taką ilość leków? – Pokazał wypełnioną kartę zapotrzebowania, cały czas mówiąc przesadnie głośno.

– Ja. – Ada nie musiała patrzeć na poszczególne rubryki, już wiedziała, co jest powodem tego, że ordynator wewnętrznego pofatygował się na dolny SOR.

– Na jakiej podstawie?

– Mieliśmy zatrucie pokarmowe w żłobku...

– I co z tego?! – wrzasnął. – Ile razy mam powtarzać, że w przypadku pacjentów z Enklawy Wewnętrznej obowiązują limity i że trzymamy się ich ściśle, bez żadnych odstępstw!

– Ale dwadzieścioro dzieci wymagało natychmiastowej...

– Ja – zaakcentował – jestem ordynatorem i to ja – kolejne podkreślenie – decyduję, czy ktoś wymaga natychmiastowej pomocy.

Wiedziała, że jakikolwiek sprzeciw nie ma racji bytu.

– Oczywiście – potwierdziła skwapliwie.

– Wam, pielęgniarkom, wydaje się, że jesteśmy tutaj, aby spełniać wszystkie zachcianki pacjentów... – Zgrzytał zębami. Nagle spojrzał na nią bacznie. – W sumie nie ma się co dziwić...

– Co pan ordynator ma na myśli? – spytała niepewnie.

– Jesteś jedyną siostrą mieszkającą w Enklawie Wewnętrznej. – Niezauważalnie przeszedł na „ty”. – Gdyby nie deficyt pielęgniarek, czyściłabyś tu kible. – Ciął słowami.

– To nie moja wina. – Zamknęła oczy, nie chcąc, aby Bach zobaczył w nich łzy.

– Dla jasności: to nie były moje słowa, ale jednego z dyrektorów.

Nie uwierzyła mu.

– Ja mam o tobie całkiem inne zdanie. – Nagle stał się przymilny.

Była zaskoczona takim obrotem sprawy. Brakowało jej pomysłu, jak zareagować.

– Czasy mamy takie, że każde nasze posunięcie odciska piętno na całym dalszym życiu – mówił dalej.

Zaraz potem chwycił ją delikatnie za ramię, przesunął o dwa kroki w bok.

Nie wiedziała, skąd ten ruch, dopóki nie uświadomiła sobie, że w ten sposób ustawił ich za filarem, usuwając z pola widzenia kamer. Czyżby chciał uniemożliwić systemowi czytanie z ruchu jego warg? Do czego zmierzał?!

– Rozumiesz, co mam na myśli? – Przysunął swoją twarz do jej.

– Chyba nie... – odpowiedziała ostrożnie. Czyli to prawda, co opowiadały dziewczyny z polikliniki: że Bach żadnej spódniczce nie przepuści. Aż dziw, że tak długo udawało jej się przed nim ukrywać. Pewnie tylko dzięki temu, że do tej części szpitala prawie nie zaglądał.

Uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawił się grymas, który Adzie kojarzył się tylko z jednym.

– Zawsze jestem otwarty na wszelkie propozycje – mówił dalej. – Te dotyczące awansu także. Drzwi mojego gabinetu zawsze stoją przed tobą otworem. Zawsze.

Niedoczekanie twoje! – warknęła w myślach, a na głos powiedziała:

– Muszę wracać na dyżur.

– Jak chcesz. – Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku windy.

Rozdział 4

Laboratorium spisało się, jak nigdy, i Adzie udało się uzyskać potrzebne wyniki. Teraz wystarczyło już tylko przygotować chłopca do szycia.

Była w trakcie czyszczenia rany, kiedy drzwi do zabiegowego się otworzyły. Nawet nie zerknęła w tę stronę, była pewna, że to lekarz dyżurny.

– Siostro, proszę na górę. – To znowu był Bach.

Spojrzała na niego i przestraszyła się nie na żarty. Ordynator miał złość wymalowaną na całej twarzy.

– Ale jeszcze nie skończyłam przygotowania... – powiedziała machinalnie.

– Zrobi to za panią doktor Burski! – krzyknął Bach. – A pani na górę. Migiem!

Odłożyła narzędzia na tackę, zdjęła rękawiczki i wyrzuciła do brudownika. Ruszyła za ordynatorem.

Kiedy jechali windą, nie odezwał się ani razu. Ada też bała się otworzyć usta. Jeśli jechali na górę, to znaczy, że do niego. W takim razie musiała szykować się na najgorsze. Jeżeli zacznie się do niej dobierać, a ona mu się sprzeciwi, wyrzuci ją z pracy. Gdy tak się stanie, kwestią czasu będzie, jak z Jankiem i Nikolą umrą z pragnienia. Gdyby nie jej zwiększony przydział, nie wyżyliby trzyosobowej rodziny, limity wypracowywane przez Janka były śmiechu warte. Mogła napić się do woli w pracy, co kilka dni udawało jej się nawet wygospodarować nadwyżkę, którą zabierała do domu. To ich ratowało.

A teraz ta obrzydliwa świnia zamierzała jej to wszystko odebrać!

Żałowała, że nie zabrała ze sobą nożyczek, wbiłaby mu je teraz w plecy. Albo jeszcze lepiej: w oko! To samo, którym taksował ją pół godziny temu.

Wysiedli z windy, przeszli przez służbę kontaminacyjną, znaleźli się w korytarzu prowadzącym na oddział wewnętrzny.

Byli dwie kondygnacje ponad dolnym SOR-em – siedem, może osiem metrów wyżej – a jakby w zupełnie innym świecie. Ada bywała tu sporadycznie i za każdym razem nie mogła się nadziwić. Ściany i podłogi lśniły czystością, odbijając świetlne refleksy emitowane przez nowiutkie lampy. Nozdrza mile łechtła mieszanka

środku dezynfekującego i odświeżacza powietrza. Z głośników rozlegała się relaksacyjna muzyka.

Nigdy nie będzie mi dane tu pracować – westchnęła, myśląc o zbliżającym się starciu z ordynatorem.

Dotarli do gabinetu Bacha, ale ku jej zdziwieniu, minęli go. Lekarz zatrzymał się dopiero przed kolejnymi drzwiami, zza których dochodziły dziecięce wrzaski.

– Mamy ważnego gościa – wyszeptał.

Co to ma wspólnego ze mną? – zaczęła się zastanawiać.

– Najwyższa klasa VIP – mówił dalej. – Wiesz, co to oznacza?

Wiedziała. Ta część polikliniki była przeznaczona tylko dla członków Partii i wybranych obywateli pierwszej i drugiej kategorii. Oni nie musieli czekać w kolejkach, błagać o skierowania do specjalistów ani składać podań o terapię lekami eksperymentalnymi. Kilka lat wcześniej lecznica zajmowała się też innymi pacjentami, wszystko zmieniło się po wprowadzeniu przez rząd rozporządzenia w sprawie szczególnego zakresu oraz warunków udzielania świadczeń opieki zdrowotnej dla najważniejszych osób w państwie.

– To twoja szansa... – powiedział cicho, po czym nacisnął klamkę i otworzył drzwi, aby wpuścić pielęgniarkę do środka.

Wrzaski niespodziewanie ucichły.

Ada zrobiła krok, a kiedy zobaczyła, kto jest w gabinecie, zamarła.

– Proszę się jej nie bać. – Męski głos miał w sobie niezwykłą siłę. – Wnuczka krzyczy tak z powodu stresu.

Doskonale wiedziała, że to nieprawda, ale za nic w świecie nie odważyłaby się wyprowadzić go z błędu.

– Właśnie to jest siostra, która potrafi najlepiej radzić sobie z dziećmi. – Bach rękawem fartucha otarł krople potu z czoła. – Przynajmniej z tych, które mają teraz dyżur.

Tę ostatnią uwagę mógł sobie darować – z tą myślą weszła do gabinetu. Dopiero teraz zauważyła, że wewnątrz jest też dyrektor szpitala Szymon Jaracz. W niezły bigos wpakowała się na sam koniec zmiany.

– To jest pan... Pierwszy Przewodniczący... Grzegorz Bernat. – Dyrektor zaczął się jękać.

– Wiem – wymusnęło się jej.

– To pani Adriana Więckiewicz-Krzyk – mówił dalej Jaracz.

– Miło mi. – Bernat podsunął dłoń do pocałunku. – Pani jest żoną tego Krzyka? – spytał, kiedy wypełniła protokół. – Jana Krzyka?

– Tak...

– Nasz dzielny bohater... – westchnął Bernat głęboko. – Jaka szkoda, że...

Zamknęła oczy, nie umiała się powstrzymać.

– Mniejsza z tym. – Pierwszy Przewodniczący zauważył jej reakcję. – Moja kochana wnusia rozcięła sobie palec...

Na dźwięk tych słów dziewczynka wrzasnęła, po czym podbiegła do dyrektora i – zanim mężczyzna zdążył zareagować – ugryzła go w nogę pod kolanem.

– To nic takiego... – Wzruszył ramionami, zaraz potem zacisnął zęby.

Dopiero teraz Ada dostrzegła, że błękitna koszula, którą nosił, pod pachami miała brzydkie ciemne plamy.

– Jest trochę przestraszona. – Bernat patrzył z zaciekawieniem na pielęgniarkę.

Przestraszona? – pomyślała Ada. Co najwyżej rozpuszczona i rozkapryszona. Dawno nie widziała tak agresywnego dziecka.

– Czym konkretnie rozcięła palec? – Podeszła do szafki, otworzyła ją, zaczęła przeglądać zawartość.

– Nożyczkami – wyjaśnił Bernat. – Chyba będzie potrzebne szycie.

– Zaraz sprawdzimy. – Udało jej się znaleźć to, czego szukała, czyli małego pluszowego misia. – Chodź, skarbenku, coś ci pokażę. – Podeszła do dziewczynki, kucnęła przy niej. – Zobacz, miś ma chorą łapkę, widzisz?

Mała pacjentka spojrzała na zabawkę.

– Pomożesz mi go wyleczyć? – mówiła Ada dalej. – Najpierw sprawdzimy, co mu się stało w paluszek, dobrze?

Dziewczynka potaknęła.

– Ale miś się trochę boi... – Pielęgniarka miała zmysły napięte do granic możliwości. Nie dość, że po prostu padała z nóg, to jeszcze na ręce patrzyło jej trzech mężczyzn, z których każdy mógł ją pozbawić zatrudnienia, a jeden z nich – najbardziej zainteresowany efektami jej pracy – nawet życia. Wystarczyłoby jedno słowo. – Pomożesz mu?

– Jak? – spytała dziewczynka radośnie.

– Pokaż mu swój paluszek i powiedz, że to nic groźnego. Bardzo dobrze...
A teraz pokaż mi, tak?

Dziewczynka spełniła prośbę bez zastanowienia.

– A teraz przemyjemy paluszek, dobrze? – Ada czuła się tak, jakby właśnie w pojedynkę przekładała stukilogramowego pacjenta na drugi bok. – Najpierw twój, żeby miś zobaczył, że to nic takiego, dobrze? – Sięgnęła po środek do odkażania, delikatnie przemyła ranę. – I po wszystkim!

– Bravo! – Pierwszy Przewodniczący kilka razy zaklaskał. – Moja dzielna wnusia!

– Mówiłem, że siostra Ada jest najlepsza? – Ordynator powiedział to tak, jakby to jego zasługą było uspokojenie dziewczynki.

– Musimy jeszcze nakleić plasterek i będzie po wszystkim – rzekła Ada.

– Zaraz zawołam lekarza dyżurnego... – Dyrektor ruszył do drzwi.

– Chwileczkę. – Bernat go powstrzymał. – Pani Ada nie może tego zrobić?

– Mogę. – Pielęgniarka podeszła do szafki z lekarstwami.

– Panowie... – Bernat spojrział na obu mężczyzn. – Dziękuję za pomoc, obecność panów jest już zbędna.

– Oczywiście! – Jaracz machnął nerwowo na Bacha. – Najmocniej pana Pierwszego Przewodniczącego przepraszamy. To dlatego, że chcieliśmy osobiście dopilnować...

– Żegnam panów. – Uśmiech na twarzy Bernata nie miał nic z naturalności. – Siostra Ada z pewnością doskonale poradzi sobie sama.

– Już nas nie ma! – Dyrektor wyszedł na korytarz, zaraz za nim tak samo postąpił Bach, zamykając za sobą drzwi.

– Nawet nie zapłakała. – Bernat aż jaśniał z zadowolenia. – Jak pani to zrobiła?

– Lata praktyki – odparła, a przed oczami pojawiła jej się paskudna rana głowy, która pewnie cały czas czekała na szycie na dolnym SOR-ze.

– Wygląda pani na zmęczoną... – Powiedział czule.

– Jest pan dżentelmenem... – Zaśmiała się, machinalnie sięgając palcami do skroni, aby poprawić kosmyk włosów opadających na czoło. Tyle że przecież nie

miała już ich na głowie. – Dobrze, że w dyżurce nie mamy lustra. – Skłamała. – Pewnie bardziej przypominam stracha na wróble niż pielęgniarkę...

– Bardziej niż pielęgniarkę przypomina mi pani modelkę.

Ada wiedziała, że mu się podoba – i to od pierwszego spojrzenia, jakim ją otaksował, gdy tylko przekroczyła próg gabinetu – ale nie miała pojęcia, że aż tak bardzo.

– Jest pan bardzo miły... – Obdarzyła go uprzejmym uśmiechem.

Bernat miał w sobie coś magnetycznego. Nie był fizycznie przystojny, można by powiedzieć, że wręcz przeciwnie, bo był posiadaczem brzydkiej twarzy, dość ciężkiej figury i pokaźnego brzucha. Mimo to kobiety i tak oglądały się za nim na ulicy – przynajmniej do czasu, kiedy zaczął pełnić funkcję Pierwszego Przewodniczącego, bo od tej pory rzadko pokazywał się publicznie bez swojej licznej świty.

– Ile godzin jest pani na nogach?

– Niedługo będzie szesnaście...

– Szesnaście? – Był autentycznie zdumiony. – Nie sądziłem, że dyżury w poliklinice są tak długie!

– W poliklinice nie, panie Pierwszy Przewodniczący.

– Proszę mi mówić po imieniu. – Uśmiechnął się. – To pani tu nie pracuje? W poliklinice? Nic już nie rozumiem...

– Pracuję w tej drugiej części szpitala... – powiedziała to w taki sposób, jakby za coś przepraszała.

– A dlaczego nie tutaj?

– To długa historia... – Nagle Ada poczuła się ogromnie zmęczona.

– Ktoś o tak szerokich kompetencjach nie powinien się tam marnować... – Intensywnie nad czymś myślał. – Muszę o tym porozmawiać z dyrektorem. Oczywiście, o ile pani nie ma nic przeciwko...

Po sposobie, w jaki mówił, wnioskowała, że tętno mu przyśpieszyło.

– Byłabym niezmiernie wdzięczna, panie Pierwszy Przewodniczący...

– Grzegorz – przypomniał.

– Byłabym wdzięczna, panie Grzegorzu.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Uśmiech na jego twarzy zrobił się jeszcze szerszy.
– A co do tej długiej historii... Bardzo lubię słuchać, kiedy piękna kobieta ma coś interesującego do powiedzenia.

Spojrzał na nią tak, że poczuła motyle w brzuchu.

– Znalazłaby pani czas na miłą pogawędkę? – spytał nagle.

– Oczywiście! – odpowiedziała bez zastanowienia. Nawet gdyby nie chciała, nie mogła odmówić. Nie Pierwszemu Przewodniczącemu. Poza tym, gdyby rzeczywiście porozmawiał z dyrektorem... – Kiedy?

– Jestem trochę zapracowany... – rzekł wyjaśniająco. – Każę sprawdzić w kalendarzu wolne terminy i ktoś z moich pracowników panią powiadomi.

– Będę czekać. – Zmusiła się do uśmiechu. Zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest tylko kurtuazja. Albo uprzejmość wynikająca z impulsu chwili i wdzięczności za pomoc wnuczce.

– Dżesika, słoneczko, idziemy... – Chwycił dziewczynkę za rączkę. Podeszedł z nią do drzwi, otworzył. – Podziękuj pani pielęgniarce.

– Nikomu nie będę dziękować. – Dziecko powiedziało to w taki sposób, jakby deklamowało wyuczony wierszyk. – Robole są od tego, żeby nam służyć.

– Znowu naoglądałaś się telewizji... – strofował łagodnie. – Pani wybaczy, to tylko dziecko...

– Nic się nie stało. – Kolejny raz zmusiła się do uśmiechu.

– Do widzenia. – Bernat wziął dziewczynkę na ręce i wyszedł z nią na zewnątrz pomieszczenia. – Wkrótce się odezwę. – Zniknął w korytarzu.

Ada jeszcze przez chwilę stęsknionym wzrokiem wpatrywała się w puste drzwi.

Rozdział 5

Niedziela 21 września 2031

Krzyk już dawno temu stracił rachubę, jak długo jest tutaj przetrzymywany. Twarde siedzisko krzesła boleśnie raniło w pośladki, ale i tak było to nic w porównaniu z wykręconymi do tyłu rękoma przymocowanymi plastikowymi opaskami do oparcia. Co rusz tracił świadomość, głowa opadała bezwładnie, po czym zrywał się jak oparzony, targany skurczami mięśni.

Na początku wołał Rosjan, potem jednak, kiedy dotarło do niego, że nie ma to sensu, przestał. Kilka godzin wcześniej – tak przypuszczał – nakarmili go słonymi śledziami. To był pierwszy posiłek od wielu dni, rzucił się na niego łapczywie, zupełnie nie przeczuwając, że pada ofiarą diabolicznego planu.

Teraz, kiedy z pragnienia powoli odchodził od zmysłów, było już za późno.

Pić...

Pić.

Pić!

Pić!!!

Mięśnie karku znów zbiły się w twardą masę, zaraz potem głową Krzyka wstrząsnął paroksyzm bólu.

Wtedy się obudził. Zaczął rozglądać się niewidzącymi oczami, dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że to był tylko senny koszmar i że jest u siebie na Słowackiej 15, a nie w obozie jenieckim.

Spróbował poruszać językiem, ale ten był równie chętny do współpracy, co drewniany kołek. Palcami przesunął po spierzchniętych wargach, pod opuszkami, zamiast delikatnego dotyku, wyczuł papier ścierny.

Pić.

Wy dostał się z łóżka ostrożnie, aby nie obudzić Ady. Założył kaptcie, poczłapał do lodówki, szukając czegoś, czym mógłby ugasić pragnienie, chociaż doskonale

wiedział, że niczego nie znajdzie. Od wczorajszego wieczoru, kiedy przetrząsnął ją całą dwukrotnie, nie dotarły żadne zakupy.

Wtem z tyłu, za grubym kawałkiem mortadeli, dostrzegł słoik z ogórkami kiszonymi. Wyjął go, był pusty, nie licząc samotnej łydki koperku. Podniósł naczynie, przytknął do warg, przechylił, spłynęły dwie, może trzy krople.

Pić!

Sięgnął paluchami po koperek, wyciągnął go nie bez problemów. Uniósł dłoń nad usta, ścisnął ile sił. Kilka kropel wpadło prosto do gardła. Zakrztusił się i zanim zdążył zareagować, to, z czego przed chwilą tak się cieszył, leżało na podłodze.

Kurwa! – zaklął w myślach.

Gdzie jeszcze mogło być coś do picia?! Malina rzadko chowała butelki, zwykle wypijała zawartość, nie myśląc o tym, co będzie za kilka, kilkanaście godzin, wiedziała, że on zawsze się z nią podzieli, choćby ostatnim łykiem. Zupełnie innym podejściem charakteryzowała się Ada: zawsze miała zachomikowany zapas, którym czasami się dzieliła, o ile miała akurat dobry nastrój. Wiedział gdzie, ale to było nieistotne, gdyż szafki strzegł sześciocyfrowy kod.

Wtem za plecami poczuł czyjąś obecność.

– Szukasz mojej własności?

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą.

Ada mu nie uwierzyła. Podeszła do szafki, jedną ręką zasłoniła panel, drugą wstuknęła kombinację.

Cichy trzask powiadomił go, że drzwiczki się otworzyły.

– Masz szczęście. – Zatrzasnęła je z powrotem, po czym zniknęła w drzwiach sypialni.

Krzykowi odeszła ochota, aby wracać do wspólnego łóżka. Skierował się więc w stronę balkonu.

– Tak, mam szczęście... – rzucił sarkastycznie pod nosem, kiedy miał już pewność, że Ada nie może tego usłyszeć. – Szczególnie do małżonki.

*

Przejechał palcami po balustradzie, ale – tak, jak się spodziewał – nie znalazł choćby kropli rosy. Na to było za ciepło. Upały w końcu września nikogo już nie dziwiły, ale ta noc była nadzwyczaj ciepła: termometr pokazywał dwadzieścia dwie kreski.

Wbił wzrok w blok naprzeciwko, a raczej w jego ruiny ginące w nikłym świetle gwiazd. Podobnie jak większość budynków na dwóch sąsiednich osiedlach – Przyjaźni i Łużyckim – został zniszczony podczas nalotu wojsk NATO chcących wyprzeć z miasta Ruskich. Operacja się udała, ale zabudowa mocno ucierpiała. Kiedyś były to jedne z największych sypialni Zielonej Góry, teraz do zamieszkania nadawało się zaledwie kilka bloków. Krzyk nie mógł jednak narzekać, jego rodzinne miasto i tak miało mnóstwo szczęścia. Nieodległy Żagań został zrównany z ziemią przez wybuch bomby atomowej. Wyparował w jednej chwili.

Przesunął dłonią po różnokolorowych rozchodnikach stojących na parapecie, ale były równie suche, co poręcz. Marzenia okazały się płonne. A przecież miał podstawy, aby liczyć na uśmiech fortuny. W tym miesiącu trafiły się aż trzy dni z rosą, wtedy udało mu się łączyć prawie całą butelkę. Co odważniejsi sąsiedzi wychodzili na dachy, do momentu, w którym jeden z nich spadł, łamiąc kark.

Większe plony można by było zebrać z resztek trawnika przed budynkiem, ale tam obowiązywał zakaz ściśle egzekwowany przez SBP. Nikt nie ryzykował, ten rejon był pilnowany przez kamery SYCO, w odróżnieniu od bloku: klatka schodowa i mieszkania były jedynymi miejscami pozbawionymi szpiegowskiej aparatury. Wyjątkiem były czujniki rejestrujące temperaturę domowników i prezentujące ją na zbiorczej tablicy umieszczonej w wiatrołapie.

Krzyk usiadł na plastikowym krześle, sięgnął do sznurka, chwycił za slipy, przysunął je do nosa. Wciąż waliły tym słodkim środkiem do prania na sucho. Preparat był równie skuteczny, co tradycyjne płyny używane przed wojną, ale miał jeden feler: ubrania nasiąkały fetorem. Zgodnie z zapewnieniami producenta wystarczyły dwadzieścia cztery godziny intensywnego wietrzenia, aby się go pozbyć, ale jego nos miał na ten temat inne zdanie. Nie mówiąc już o tym, że traktowana w ten sposób bielizna gryzła ciało podobnie do wełny. Nigdy nie przyzwyczał się do tego i gdy tylko była możliwość, po kryjomu robił krótkie tradycyjne pranie w pracy, pod prysznicem.

Szkoda, że wczoraj się nie udało – syknął pod nosem, a jego myśli powędrowały do Łazika. Na samo wspomnienie o wydarzeniu w szatni, przeszedł go

nieprzyjemny dreszcz. Ciekawe, co Miłosz usłyszał w biurze dyrektora...

Tam pewnie nie był już taki butny, jak między kolegami... Albo głupi...

Nie, Łazik nie jest głupi – Krzyk strofował samego siebie. Może i Draǵał – jak go nazywali – był z pozoru gburem, ale tylko z pozoru, bo taką rolę odgrywał, nie do końca chyba zdając sobie z tego sprawę. Nawet sąsiedzi – a mieszkał w następnej klatce – mieli o nim różne zdanie.

Też bym pewnie tak robił, żeby nie postradać do końca zmysłów – westchnął. W wodociągach – jak też w ich bloku – chyba wszyscy kojarzyli, że Łazik służył wcześniej w Korpusie Ochrony Rolnictwa, trzymając pieczę nad Powszechnym Gospodarstwem Rolnym w Nowym Miasteczku. Jednak o tym, co go tam spotkało, wiedzieli nieliczni, Krzyk był jednym z nich.

Głównym zadaniem funkcjonariuszy KOR-u była straż nad tryskaczami nawadniającymi pola. Oficjalnie przed zorganizowanymi szajkami złodziei, tak naprawdę jednak chodziło o to, aby uprawiającym je rolnikom uniemożliwić wykorzystywanie ich do celów prywatnych.

Którejś nocy, podczas samotnej służby, Łazika zaskoczył hałas w odległym kawałku pola. Był pewien, że ma do czynienia z bandą złodziei, a zgodnie z przysługującym mu prawem – i rozkazami, których musiał się ściśle trzymać – nie musiał potwierdzać podejrzeń, mógł od razu otwierać ogień, co też uczynił. Dopiero chwilę potem, już w świetle latarki, dostrzegł, z kim ma do czynienia.

Krzyk doskonale kojarzył ten fragment opowieści Draǵała. Słyszał ją tylko raz, ale wryła mu się w pamięć.

Dwie dziewczynki mogły mieć sześć, może siedem lat, chłopiec był od nich dużo młodszy. Leżeli z rozrzuconymi rękoma i nogami, skąpani we własnej krwi, w rączkach cały czas trzymali litrowe butelki.

Łazik nie był w stanie rozpoznać pobrudzonych błotem twarzy, ale nie musiał, skojarzył ubranka i wiedział, że to dzieci miejscowych rolników.

Tego samego dnia o starciu funkcjonariuszy KOR-u z bandą szabrowników trąbiły już wszystkie media, a sam Draǵał został odznaczony medalem „Za udział w walkach w obronie władzy demokratycznej” wręczonym przez samego prezydenta kraju. Partia zaplanowała liczne spotkania z młodzieżą i prelekcje dla dorosłych w całym kraju, ale Łazik do nich nie dotrwał. Przeszedł gwałtowne załamanie nerwowe i trafił do szpitala.

Potem, zanim zdążył poprosić o zwolnienie ze służby z przyczyn zdrowotnych, przeniesiono go na rentę zawodową i umożliwiono staranie się o przyjęcie do innej pracy. Od czasu, kiedy znalazł zatrudnienie w wodociągach, zdarzały mu się dziwne wysoki. Większość pracowników brała je za ekstrawagancję, tylko kilka osób wiedziało, co leży u ich podłoża.

Ale jak do tej pory, nigdy nie wyskoczył z czymś tak poważnym, jak wczoraj.

Krzykowi nagle zrobiło się żal kolegi. Publiczna mowa nienawiści to był gruby kaliber i jedyne, na co można było jeszcze liczyć, to że dawne zasługi uratują go przed zakusami Departamentu Zdrowia Publicznego Obywateli i SBP.

Jednak nie tylko Łazik był w niebezpieczeństwie. Krzyk i Kowalski też mogli oberwać rykoszetem. Esbekom wystarczyłby fakt, że często pracowali na tych samych zmianach, już to mogło zostać podciągnięte jako udział w zorganizowanej grupie dysydentów.

Na tę myśl Krzyk poczuł, że robi mu się słabo. Wiedział, że przez jakiś czas dałby radę wytrzymać przesłuchanie, ale i on – jak każdy inny obywatel enklawy – miał swoje granice wytrzymałości. A funkcjonariusze SBP potrafili je przekraczać.

Przecież z drugiej strony są nagrania SYCO! To był jasny dowód, że tylko Drągal odzywał się w niedozwolony sposób, a on i Kowalski jedynie stali obok! – Złapał się tej myśli. Poza tym, była jeszcze nadzieja, że nie aresztują naraz trzech pracowników oczyszczalni. W końcu był to zakład strategiczny, a ich trójka była jedną z najbardziej doświadczonych.

Ale w enklawie nie ma ludzi niezastąpionych – Krzykowi przypomniały się jego własne słowa.

Pić!

Gardło zaczęło palić bólem. Krzyk wiedział, że musi coś zrobić, inaczej zwariuje. Wrócił do kuchni, otworzył lodówkę z mocnym postanowieniem znalezienia czegoś do jedzenia, czym mógłby choć spróbować przykryć pragnienie. Przystawiał kolejne pojemniki, nie mogąc się zdecydować. Wreszcie wybrał placek marchewkowy. Nie przepadał za nim, ale przynajmniej ciasto powinno być trochę nasiąknięte.

Kiedy zamknął lodówkę, ta zaprotestowała piskliwym alarmem.

Pierwsze śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia. Jedzenie słodczy wyczerpuje znamiona złamania dyscypliny związanej z piramidą zdrowego żywienia.

Krzyk spojrzął na tekst wyświetlany na ekranie lodówki, po czym wyprostował palec środkowy prawej dłoni.

Wrócił na balkon, zajął miejsce z powrotem na krzeselku, wpatrując się w horyzont, który zaczynał właśnie nabierać czerwonego koloru. Wziął do ust pierwszy kęs ciasta. Smakowało obrzydliwie – od razu dało się wyczuć, że marchewka użyta do jego przyrządzenia była pastwna – ale nie miał wyboru. Najważniejsze, że gardło przestało palić bólem. Zamknął oczy, wyobraził sobie, że zajada się szarlotką.

Nagle ciszę przerwał dźwięk przychodzącej wiadomości – esemesa z Centrum Bezpieczeństwa Rządu – CYBORGA, jak nazywano tę wszechwładną instytucję, obok Służby Bezpieczeństwa Państwa najbardziej znieawidzoną przez trzeciaków i czwartaków. Pełen złych przeczuć, odłożył talerzyk z ciastem, uruchomił wirtualfona, odebrał wiadomość i aż się skrzywił.

W związku z nieobecnością małoletniego członka rodziny o numerze identyfikacyjnym IV201507 w zasięgu ekranu podczas transmisji wieczornego wydania Dziennika Wieczornego, na podstawie artykułu 15 azzz' ustawy z dnia 13 kwietnia 2030 roku o zmianie ustawy z dnia 12 kwietnia 2030 roku oraz ustawy z dnia 13 sierpnia 2030 roku nałożona została kara zmniejszenia dziennego przydziału rodzinnego o sześć procent na okres dwudziestu czterech godzin. Przedmiotowa decyzja wchodzi w życie w momencie jej ogłoszenia w dzienniku nagród i kar obywateli Enklawy Zielona Góra i nie podlega zaskarżeniu na podstawie artykułu 17 bcdzw ustawy z dnia 25 września 2030 roku o zmianie ustawy z dnia 16 kwietnia 2030 roku.

Kurwa! – zawył w myślach. Ada znowu nie dopilnowała Maliny, gdy jego nie było w domu! A przecież, kiedy wczoraj wieczorem wrócił z pracy i spytał o frekwencję, żona zarzekała się, że nie ma się czym martwić!!!

Ona się nie martwiła, bo miała swoją szafkę z kodem, ale on miał jedno wielkie gównno!

Skrył w głowę w ramionach, chciał się rozplakać, ale łzy nie napływały do oczu.

Ja pierdolę! – wrzasnął w głowie.

Wciągnął powietrze, wypuścił je z sykiem, próbując się uspokoić. Miał ochotę wparować do sypialni, szarpnąć Adą parę razy, a potem powiedzieć jej kilka cierpkich słów. To by...

Właśnie.

Co by to zmieniło?

Nic.

Ale przynajmniej mógłby wyładować złość!

Wstał, pchnął drzwi ręką i już miał postawić stopę w pokoju, gdy jakiś szelest przyciągnął jego uwagę.

Odwrócił się, wytężył wzrok.

Zauważył ich od razu, zresztą, wcale nie kryli się ze swoją obecnością. Mimo że słońce jeszcze dobrze nie wzeszło, było ich widać jak na dłoni.

Brunatnych mundurów Służby Bezpieczeństwa Państwa nie sposób było pomylić z uniformami żadnej innej formacji. Długa broń, w jaką byli wyposażeni oraz kaski i kamizelki kuloodporne wskazywały, że są członkami jednostki antyterrorystycznej.

Za tuzinem funkcjonariuszy biegł jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu z kamerą opartą na ramieniu. Krzyk nie musiał wysilać oczu, wiedział doskonale, że to pracownik TWP – Telewizji Państwowej, jedynej działającej od czasu zakończenia wojny.

Wtem dotarło do niego, że antyterrorysty zmierzają w kierunku jego bloku.

Przyjechali po mnie! – Krzyk chciał wycofać się z balkonu, zejść z pola widzenia esbekom, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Łazik, żeby ratować własną skórę, nadał dyrektorowi coś na niego! Skurwysyn!!!

Krzyk cały czas stał jak słup soli.

Po Kowalskiego też właśnie szli?

Krzyk patrzył, jak funkcjonariusze zbliżają się z każdą sekundą.

Postanowił, że nie będzie walczył. Opór nie miał sensu, a mógł tylko zaszkodzić córce.

Antyterrorysty byli już na wysokości wejścia do jego klatki schodowej.

Nie skręcili, posuwali się dalej prosto.

Minęła sekunda, może dwie, zanim umysł Krzyka odnotował ten fakt i odpowiednio go przetworzył.

Esbecy wchodzili już do sąsiedniej klatki.

Do tej, w której mieszkał Drąga!

Pod Krzykiem ugięły się kolana.

Antyterrorysty przyjechali po Łazika, nie po niego!

Oszołomiony zamrugał oczami, zaraz potem poczuł, że wypełniają się łzami szczęścia.

Sięgnął do powiek palcami, delikatnie potarł nimi skórę, zaraz potem przyłożył je do ust.

Krople miały słony posmak, ale ani trochę mu to nie przeszkadzało.

Rozdział 6

Nie wracał już do sypialni, zamiast tego wybrał kanapę w salonie. Położył się, chciał jeszcze chwilę pospać, ale sen długo nie przychodził. Kiedy wreszcie go zmorzył, nie dane mu było nacieszyć się długo odpoczynkiem. Ada wparowała do środka, rozsunęła kotary, wpuszczając do pokoju słońce.

– Mam wolne – rzekł cicho. – Chciałem dłużej pospać.

– To śpij, ale nie tutaj – ucięła. – Salon nie jest do leżenia.

Nie skomentował, nie miał ochoty wszczynać kłótni. Poszedł do kuchni, myśląc o tym, jak długo uda mu się jeszcze powstrzymać od picia. Na dziś miał w zapasie tylko jedną litrową butelkę, a dzień dopiero się zaczynał.

Usiadł przy stole, zamknął oczy.

Pić.

Jeszcze mocniej zacisnął powieki, zaczął wyobrażać sobie gęsty dębowy las zaraz po deszczu. Zadarł głowę wysoko, wystawił twarz, a z tysięcy liści na jego skórę zaczęły spadać miliony kropelek.

Jednak, zamiast doznać ulgi, poczuł parcie na pęcherz. Wszedł do łazienki, cały czas oczami wyobraźni przebywając pod dębami, oddał mocz. Zaraz potem machinalnie dotknął spłuczki. Zanim dotarło do niego, co zrobił, było już za późno i mógł tylko słuchać, jak cenne dwa litry spływają do kanalizacji. Co prawda do picia przez ludzi przeznaczone były tylko zapasy butelkowe, ale oddzielne limity obowiązywały także w celach bytowych: mycia się, spłukiwania toalet i mycia naczyń, przy czym w tym ostatnim przypadku konieczne było także dezynfekowanie w specjalnych wyparzarkach.

– Miałaś nie spłukiwać! – Zza drzwi dobiegł wrzask Ady. – Stać nas na takie marnotrawstwo?

– Nie stać – rzekł, stojąc już w drzwiach. – Zamyśliłem się.

Żona jakby go nie słuchała.

– Mi też się chce... – wycodziła. – Nikola na pewno też by od razu zrobiła po nocy...

Krzyk zaczął się irytować.

– Przecież wiem.

– Ale robisz, jakbyś nie wiedział.

– Powiedziałem już, że się zapomniałem.

Spojrzała na niego pobłaźliwie.

– Jasne...

– Chyba nie myślisz, że chciałem ci zrobić na złość?

– Nie wiem, co chciałeś zrobić i komu – zauważyła kąśliwie. – Twoje poczynania coraz częściej wymykają się logice.

– Musisz mi dogryzać w takich okolicznościach?

– Niby jakich? – Spojrzała zaciekawiona.

Dopiero teraz sobie uświadomił, że Ada nic nie wie.

– Zabrali Drągała – powiedział, po czym zaczął opowiadać. – Po mnie też mogą przyjść w każdej chwili.

– Nie przyszli przez dwa lata, to już nie przyjdą – rzuciła kpiąco.

– Masz wysokie mniemanie o własnym mężu.

– Nie wyższe niż jego własne ego. – Parsknęła kpiąco śmiechem.

Odwrócił się na pięcie, nie miał ochoty dłużej jej słuchać. Przecież wcale nie dramatyzował, pracował z Łazikiem na jednej zmianie, w tym samym zespole. Dla Departamentu Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli już samo to czyniło go podejrzanym. Ada zaś, zamiast się przejąć, wyrazić współczucie, naigrywała się z niego.

Wrócił do kuchni, stanął przed swoją szafką. Nie chronił jej żaden szyfr, do tej pory nie widział takiej potrzeby. Zdawał sobie sprawę, że Nikola co jakiś czas pociąga z jego butelek, niby niewiele, pewnie licząc, że się nie orientuje, ale jednak. Ady o to nie podejrzewał, ale przecież mógł się mylić.

Może należało jednak pomyśleć o jakimś zabezpieczeniu?

Otworzył drzwiczki, wewnątrz była tylko jedna litrowa butelka.

To był jego cały dzienny przydział.

W tym tygodniu żadnej zupy na obiad nie będzie, chyba że Ada przeznaczyłaby na to swój zapas – Nikoli nawet nie warto było brać pod uwagę.

Nagle ekran lodówki rozbłysł nowym komunikatem.

Obywatelu o numerze identyfikacyjnym cztery-jeden-dziewięć-siedem-osiem-jeden-jeden. Dopuszczalna waga została przekroczona o zero-osiem kilograma. Pamiętaj: ćwiczenia fizyczne sposobem na zdrowe życie.

– A picie tyle, ile potrzeba, to nie? – rzucił Krzyk pod nosem. Wściekły na sprzęt – najpierw odmawiający mu ciasta marchewkowego, teraz czepiający się jego linii – podszedł do panelu, zaczął przeglądać listę zakupów, klnąc raz za razem.

W normalnych okolicznościach połowy zamówionych przez lodówkę rzeczy by nie ruszył, jednak nie miał zbyt dużego wyboru. W grę wchodziła jeszcze osobista wizyta w sklepie, ale to rozwiązanie również pociągało za sobą utrudnienia. Po pierwsze, chęć wykonania sprawunków należało rejestrować z tygodniowym wyprzedzeniem, trzeba też było się liczyć z anulowaniem zezwolenia nawet na godzinę przed terminem. Po drugie, robienie zakupów samodzielnie wcale nie dawało większego pola manewru. System skanujący produkty stosował te same obostrzenia, co lodówka i nie zwalniał z półek tych, które uznawał za nieodpowiednie dla przepisanej diety oraz tych, których ilość była limitowana. Reglamentacja nie dotyczyła jedynie dwóch rzeczy: szczawiu i mirabelek, te można było kupować do woli.

Z dwojga złego wolał już zdawać się na lodówkę, przynajmniej mógł zaoszczędzić trochę czasu. Nie musiał też obawiać się, że czujnik w wózku nie zadziała odpowiednio szybko i nieświadomie zmniejszy dopuszczalny dystans społeczny do innych klientów. Nie bez znaczenia był też fakt, że po prostu nie lubił robić zakupów w sklepach, w których nie było już zwykłych pracowników, tylko roboty. Raz czy dwa stał się z taką bezduszną maszyną i miał takich kontaktów serdecznie dość. Ważne było także to, że System Punktacji Zachowania za korzystanie z lodówki przyznawał dużo większe bonusy niż za zakupy tradycyjne.

Jedną ręką sięgnął po wytłaczankę, drugą po masło, nosem czując już zapach jajeczniczy.

Obywatelu o numerze identyfikacyjnym cztery-jeden-dziewięć-siedem-osiem-jeden-jeden. Z uwagi na podwyższony poziom cholesterolu spożywanie jajek jest niezalecane.

Pierdol się! – zaklął w myślach, odkładając wytłaczankę z powrotem. A na głos krzyknął:

– Nikola!

Córka pojawiła się po dwóch minutach.

– Co znowu? – spytała.

– Wyjmij mi trzy jajka.

– Okay – uśmiechnęła się szeroko – ale po południu ty bierzesz dla mnie chipsy, jasne?

– Umowa stoi.

Nikola postawiła wytłaczankę obok zlewu, usiadła przy stole, bawiąc się wirtualfonem. Krzyk zabrał się za robienie śniadania, kątem oka zerkał na córkę.

Wirtualfon – wirtualny smartfon – wypuszczono na rynek krótko przed wybuchem wojny, ale wystarczyło kilka tygodni, żeby zawojował rynki na całym świecie. Obraz generowany nad dłonią uruchamiano się w prosty sposób – dwa razy zamykając ją i otwierając. Nie było też problemów z ładowaniem, zasilany był prądem emitowanym przez ciało właściciela. Znacznie bardziej skomplikowana była sprawa oprogramowania. Koniec wojny i wyniki z niej problemy gospodarcze sprawiły, że w większości krajów kontrolę nad siecią telefonii komórkowej przejęły agendy rządowe. Nie inaczej było w Polsce, gdzie każdy wirtualfon musiał być wyposażony w aplikację ProteGo Life. Zajmowała się ona monitorowaniem czynności życiowych właściciela i zastępowała jednocześnie lekarza podstawowej opieki zdrowotnej, co rozwiązało problem powszechnego dostępu do opieki medycznej.

Przynajmniej taka była wersja oficjalna, złośliwi porównywali aplikację do krótkiej smyczy – pomyślał Krzyk, patrząc, jak Nikola sprawnie przegląda kolejne strony internetowe.

Sieć też przeszła metamorfozę. Krzyk doskonale pamiętał czasy, kiedy w internecie znajdowały się miliardy stron. Teraz dostępnych było zaledwie kilkaset tysięcy, a i te ściśle kontrolowało państwo, przyznając koncesje na ich prowadzenie i cenzurując publikowane treści.

Nikola zachichotała nagle.

– Co cię tak rozśmieszyło? – spytał.

– Dzisiaj rusza nowa seria tego reality show.

– Którego?

– O hydraulikach.

– A, tego... – Krzyk przypomniał sobie pierwszy sezon, po którym główny ekspert programu specjalizujący się w odytkaniu zatkanych ubikacji dostał się do sejmu. Dwóch innych zostało milionerami, a prowadzący stałym gościem serwisów informacyjnych, wypowiadając się praktycznie na dowolny temat. – Chcesz herbatę?

– Dzięki, już się napiłam. – Nie zamykając dłoni, wstała od stołu. – Idę do siebie. Krzyk odłożył talerz z kanapkami.

– Poczekaj– powiedział.

Stała w drzwiach.

– Co znowu?

– Dlaczego nie było cię na wczorajszym Dzienniku Wieczornym?

– Mama mi pozwoliła.

– Co? – Zmarszczył brwi.

Nikola pokazała na wirtualfona.

– Muszę już iść. Ktoś dzwoni. – Wyszczrzyła zęby i już jej nie było.

Krzyk zajął się robieniem jajecznicy. W czasie, kiedy się smażyła, wstawił na gaz czajnik, wcześniej dokładnie kontrolując wskazywany przez niego poziom. Zwykle w niedzielne poranki pozwalał sobie na odrobinę szaleństwa i zaparzał pół szklanki herbaty, ale dzisiaj musiał trzymać się zwyczajowego limitu: jednej trzeciej.

Jajka zaskwierczały. Chwycił patelnię za rączkę, drugą dłonią sprawnie zamieszał. Wtedy zorientował się, że czas wyciągnąć torebkę, inaczej herbata będzie za mocna. Wyjął ją, wycisnął. Kilka ciemnych kropel spadło na płytki. Zaczął szukać stopą szmatki leżącej zwykle pod zlewozmywakiem, ale palce przecięły jedynie powietrze. Uklęknął na podłodze, zajrzał pod szafkę. Szmatka była wsunięta głęboko, musiał sięgnąć po nią ręką. Zamiast materiału, wyczuł papier. Zdziwiony wy dostał znalezisko.

Uśmiechnął się, widząc starą kartkę, poplamioną i pogiętą, a na niej dziecięcy rysunek. Był na nim niezbyt foremny domek, słońce z nierównymi promieniami – a nawet rogalik księżycy – i oczywiście drzewa. Z tą różnicą, że próżno było na nich szukać malin.

Przyczepił obrazek do lodówki dwoma magnesami, usiadł do stołu.

Najpierw wypił łyżeczkę herbaty, potem zajął się jajecznicą. Kiedy skończył jeść, chwycił szklankę w obie dłonie, przysunął bliżej siebie. Pochylił się, opierając brodę o blat. Zaczął wpatrywać się w herbatę.

Sięgnął po łyżeczkę, napełnił ją do połowy, po czym skierował do ust. Nie wlał od razu wszystkiego, najpierw liznął językiem raz, potem drugi, trzeci. Zamknął oczy. Dopiero potem wypił resztę. Wtem wyczuł czyjąś obecność.

– Mogłeś od razu usmażyć dla mnie.

Krzyk spojrzął na Adę, wzruszył ramionami.

– Nie mówiłaś, że chcesz.

– Mogłeś się domyślić.

Domyślałam się wielu rzeczy – skonstatował kwaśno w myślach.

– Co robisz? – spytała.

– Piję herbatę, jak widać.

Wzięła łyżeczkę z szuflady, podeszła do stołu, zbliżyła ją do szklanki.

Krzyk zasłonił ją otwartą dłonią.

– Taki jesteś? – Spojrzała na niego gniewnie.

– Czekaj. – Zabrał rękę. – Proszę.

Nabrała pół łyżeczki. Wypiła. Uśmiechnęła się szeroko.

– Pyszna. Nie wiem, jak ty to robisz, ale twoja herbata zawsze smakuje mi najlepiej.

Już miał powiedzieć, że zawsze jest tak z cudzym, ale się powstrzymał. Zamiast tego postanowił coś wyjaśnić.

– Dlaczego Nikoli nie było wczoraj na Dzienniku Wieczornym?

Ada zatrzymała łyżeczkę w pół drogi do szklanki męża. Potem położyła ją na blacie.

Krzyk miał wrażenie, że gest był nieco zbyt wystudiowany – jakby chciała w ten sposób zyskać na czasie – ale nie podjął wątku. Teraz co innego leżało mu na sercu.

– No? – naciskał. – Zmniejszyli nam przez to limit.

– Potrzebowała odrobinę swobody...

– W czasie dziennika?!

– W czasie, kiedy przyszedł ten chłopiec.

Mało brakowało, a Krzyk wylałby herbatę z łyżeczki, dopiero co nabraną.

– Chłopiec?!

– Maciek. Ten, który się nią tak interesuje – wyjaśniła. – Był akurat niedaleko na spacerze i zadzwonił, czy mogłaby wyjść na chwilę przed blok...

– Nasza córka miała wczoraj randkę? – Twarz Krzyka złagodniała w jednej chwili. – Dlaczego ja nic nie wiem?! Opowiadaj!

– Niech ci sama opowie...

– W tych sprawach się mnie krępuje.

– Pocałowali się nawet...

Krzyk znowu zmarszczył brwi.

– A dystans?... – zaczął myśleć na głos. – Zarejestrowali wcześniej spotkanie? Dostali zgodę? Przecież mówiłaś, że przechodził niedaleko...

– Dasz mi wyjaśnić, czy nie? – Ada zaczęła się irytować. – To był bardzo szybki pocałunek. Przecież wiesz, że SYCO krótkiego zbliżenia opasek nie kwalifikuje jako naruszenie dystansu.

Nie dowierzał.

– Zdążyli się pocałować w trzy sekundy?!

– Musiało im wystarczyć. – Zaśmiała się radośnie.

– Niesamowite... – Krzykowi wcale nie chodziło o błyskawiczny całus, ale o żonę. Od miesiący miały z Nikołą na pieńku, a tu nagle poszła jej na rękę.

Ada jakby wyczuła, o czym myśli.

– Czego się tak na mnie patrzysz podejrzliwie? Chodzi ci o to, że zgodziłam się, aby spotkała się z Maćkiem na dzienniku?

– No. – Minął się z prawdą. Nie tylko to go gryzło.

– Ważniejsze niż utrzymanie limitu jest, by Nikola nauczyła się bycia z chłopcami. Online tego nie zrobi. Potrzebuje kontaktu fizycznego.

– Fizycznego?

– Trzymanie się za rękę... – wyjaśniła. – Pocałunków... Potem pieszczot... Im wcześniej, tym lepiej.

– Z tymi pieszczotami to ostrożnie. – Oczami wyobraźni widział, jak obcy gówniarz wkłada dłoń pod bluzkę Maliny.

– Ona potrzebuje naszego wsparcia.
– My nie potrzebowaliśmy do tego rodziców! – zaproponował gwałtownie.
– Bo żyliśmy w innych czasach.
– Normalnych.
– Innych – rzekła Ada z naciskiem. – Dla nich te są normalne.
– Bo nie znają naszych.
– I nie licz, że poznają – odcięła się błyskawicznie. – Muszą nauczyć się żyć tak, jak teraz. My uczyliśmy się naszej miłości po swojemu, oni muszą się swojej uczyć po swojemu.

Krzyk westchnął głęboko.

– Kochasz mnie jeszcze? – spytała bez ostrzeżenia.

Widział, że próbuje go sprowokować. Postanowił odbić piłeczkę.

– A ty mnie?

Ada potarła dłonią twarz.

– Nie musisz kłamać – powiedziała cicho. – Wiem, że coś się skończyło... Czuję to...

Nie miał ochoty na taką rozmowę. Nie teraz. Nie dzisiaj.

– Powiesz coś? – pytała dalej.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Miała spokojny wyraz twarzy

– Dlaczego? – spytała.

Milczał.

– A w ogóle mnie kochałeś?

– Tak – odpowiedział machinalnie. – Tak mi się wtedy wydawało... – dodał po zastanowieniu. – Teraz sam już nie wiem... Wszystko się zmieniło... Wojna...

Twarz Ady spochmurniała.

– Może jeszcze powiesz, że wtedy byłeś ślepy, a ja wykorzystałam czas twojej słabości?

– A nie było tak? – Rozmowa zaczynała go męczyć, ale wiedział, że ona nie odpuści.

– Nigdy mnie nie doceniałeś... – powiedziała cicho. – Od początku miałam być tylko ładnym kwiatkiem do kożucha twojej sławy.

– To nieprawda. – Próbował protestować.

– Prawda.

– Przecież ci to pasowało!

– Do momentu, w którym podjąłeś tamtą decyzję. – Obdarzyła go spojrzeniem pełnym wyrzutu. – Nie znam drugiej takiej osoby, która, mając taką szansę przed sobą i swoją rodziną, postąpiłby równie egoistycznie, co ty. I głupio.

Te słowa go uraziły.

– Tylko nie głupio!

– Głupio! – krzyknęła. – Jesteś najgłupszym facetem w całej enklawie!

– Znasz wszystkich osobiście? – Najpierw powiedział, dopiero potem pomyślał.

– Nie, ale z tą marną pensją, którą ty przynosisz do domu, pewnie będę musiała poznać – odcięła się momentalnie. – Osobiście – syknęła.

Ścisnęła łyżeczkę, aż pobielewały mu palce.

– Chcesz mnie sprowokować? Nie dam się.

– Niczego od ciebie już nie chcę. – Teraz mówiła spokojnie. – Właściwie lepiej byłoby nam we dwie. To przez ciebie gnijemy w tej norze. Jestem jedyną pielęgniarzką w enklawie z tak niskim statusem. I to tylko dlatego, że jestem twoją żoną. Twoją.

Nie skomentował.

– Ja zaharowuję się w szpitalu, a ty grzebiesz się w gównach innych i gówno z tego masz. My mamy!

Zazgrzytał zębami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Mam pokazać Nikoli nasze paski wypłat? – pytała dalej. – Chcesz, żeby się dowiedziała, ile zarabia jej tatuś, poza którym świata nie widzi?

Milczał. To było zagranie poniżej pasa!

– Inni mężowie i ojcowie potrafią lepiej zatroszczyć się o własne rodziny.

Chciał coś odpowiedzieć, ale żadna celna riposta nie przychodziła mu do głowy.

– Możemy się zamienić – powiedział po chwili namysłu. – Możesz pójść za mnie taplać się w gównie.

– Nie – rzekła dobitnie. – Nie mogę. Wiesz, dlaczego?

Przygryzł wargę, nic nie mówiąc.

– Bo to był twój wybór – wycedziła.

Zamknął oczy. Wiedział, że ma rację. Wygrała.

Ale Ada nie zamierzała na tym poprzestać. Poczekała, aż Krzyk podniesie powieki, potem spojrzała mu prosto w oczy i wyszeptała:

– Wybór był twój, ale to ja i Nikola musimy ponieść konsekwencje.

Rozdział 7

Krzyk był w domu całą niedzielę, dlatego mógł osobiście dopilnować, aby punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści przed ekranem zasiadła cała rodzina. Nikola nienawidziła tego punktu dnia, szczególnie, że przez cały czas trwania serwisu informacyjnego korzystanie z wirtualfona było niemożliwe, po prostu się nie aktywował, nieważne, ile razy nie machałoby się dłonią.

Pierwszy reportaż dotyczył planowanych cięć w dziennych limitach rodzinnych. Kolejni eksperci bili peany na cześć władzy i komplementowali postawę obywateli, którzy niemal jednogłośnie zaaprobowali taki krok w referendum.

Materiał miał się ku końcowi, kiedy dziewczyna niespodziewanie krzyknęła.

– O! To ten hydraulik! Tato, patrz! – Cieszyła się jak dziecko.

Krzyk spojrzał na hydraulika piastującego obecnie funkcję wicemarszałka sejmu. Mężczyzna karierę polityka godził z karierą w mediach, cały czas bowiem brał udział w nagraniach do reality show. Wielu tak zwanych niezależnych obserwatorów sceny politycznej widziało w nim kandydata na stanowisko premiera w czasie najbliższej rekonstrukcji rządu.

Najpierw zaprezentowano warsztat eksperta. Kamera po kolei pokazywała wiszące na ścianie wiertarki, młoty elektryczne, klucze francuskie i spirale do przepychania zatkanych rur. Potem obraz przeskoczył na twarz hydraulika siedzącego na krześle obok stołu z bliżej nieokreślonymi narzędziami.

– W kontekście nadchodzących zmian warto przytoczyć najnowsze badania prestiżowych instytutów medycznych z całego świata – powiedział.

Których? – spytał Krzyk w głowie. Wymień chociaż ze trzy!

– Wynika z nich jednoznacznie, że dzienne zapotrzebowanie na płyny wcale nie jest tak wysokie, jak uważano jeszcze niedawno.

Krzyk bacznie przyglądał się twarzy eksperta. Po ruchach jego gałek ocznych wnioskuje, że czyta tekst z promptera.

W office dał się słyszeć głos dziennikarki:

– Skąd taka zmiana?

Hydraulik pokiwał dostojnie głową.

– Medycyna idzie do przodu. Lepiej się odżywiamy. Ludzkie ciało ewoluuje. Można by tak wyliczać w nieskończoność.

Podaj trzy! – wrzasnął Krzyk w myślach.

Kamera odjechała w dal, perspektywę warsztatu zastąpiła grafika. Na tle górskiego strumienia widniały dziesiątki liczb. Planszę prezentowano może ze dwie sekundy, potem zniknęła, a w jej miejscu pojawiły się rumiane policzki dziennikarki.

– Jak państwo widzieliście, dzięki rozsądnej polityce naszego rządu najbliższa podwyżka obniżek dziennych limitów rodzinnych pozostanie praktycznie nieodczuwalna dla przeciętnego gospodarstwa domowego.

Krzyk odwrócił głowę, spojrzał na żonę.

– O ile podrożał litr? – Wychrypiał, wysuszone gardło sprawiało mu coraz większe problemy.

– Mówili, że o dwanaście procent – odpowiedziała Ada.

– Chryste... – jęknął, szybko licząc w myślach. – Dostaniesz jakąś rekompensatę w szpitalu?

– Jeszcze nie wiem. Podobno uruchomią jakąś tarczę...

Krzyk popatrzył na córkę.

– Możemy wnioskować o zwiększenie przydziału dla małoletniego członka rodziny.

– Ostatni wniosek został odrzucony – zauważyła Ada. – Kolejny możemy złożyć dopiero za dwa miesiące. Może za sześć tygodni, musiałabym sprawdzić...

– Będzie ciężko – jęknął. – U mnie w robocie na bank nie będzie żadnego wyrównania.

– Jest jeszcze inne wyjście...

Popatrzył na nią. Był zaskoczony skalą podwyżki i nie od razu zrozumiał, do czego zmierza.

Ada milczenie męża wzięła za dobrą monetę.

– Mówiłam ci, że Jola...

– Nie chcę o tym słyszeć! – przerwał jej bezceremonialnie.

– Musimy więcej pić – powiedziała twardo. Jeszcze rok temu nie przypuszczała, że dzienną dawkę można obniżyć do litra dwustu, a teraz i to rząd chciał jeszcze ściąć. – Nikola musi. Już miewa zawroty głowy. Ja też muszę.

Ja też! – wrzasnął w myślach.

– Nie chcę o tym słyszeć – powtórzył.

– To tylko dwie godziny w tygodniu.

– Nie chodzi o to, ile godzin, tylko o to, co miałabyś robić.

– Tyle razy ci powtarzałam, że to ma być tylko masaż. Terapeutyczny. Chyba nie po to robiłam uprawnienia, żeby jedynie wydawać pieniądze.

– Terapeutyczny, oczywiście – ironizował. – A jak Jola ubiera się na ten masaż te-ra-peu-ty-czny? Jaki makijaż robi?

– Nie wiem, do czego zmierzasz!

– Doskonale wiesz, do czego – wycedził. – Nie wyrażam zgody i tyle.

– Nie masz nic do powiedzenia – mruknęła, odsunęła się od męża na drugi koniec kanapy.

Krzyk nie patrzył w jej kierunku, ale cały czas o niej myślał. A może z wczorajszym dziennikiem to wcale nie chodziło o sprawy miłosne Nikoli? Może dała jej zgodę, chcąc, aby zostali ukarani obcięciem dziennego przydziału rodzinnego, co w obliczu podwyżki odczują w dwójnasób? Sama z pewnością dostanie coś w zamian w szpitalu. Za to jego śruba zostanie dociśnięta do granic wytrzymałości. Liczyła, że jak zacznie chodzić po ścianach z pragnienia, to zgodzi się na tę jej dodatkową fuchę?

Rozmyślenia przerwał okrzyk Nikoli.

– Nasz sąsiad!

Krzyk dopiero teraz rozpoznał Łazika. Pierwszy kadr pokazywał Drągala leżącego w slipach na podłodze i przyciskanego dodatkowo kolanem rosłego antyterrorysty. Zaraz potem inny funkcjonariusz założył mu na dłonie plastikowe opaski i maksymalnie je zacisnął. Na kolejnym ujęciu mężczyzna siedział na krześle, a po jego twarzy ciekły łzy.

Później zaprezentowano gmach centrali Służby Bezpieczeństwa Państwa na Partyzantów, a w tle rozbrzmiał przyjemny męski głos.

– Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że prokuratura dysponuje żelaznymi dowodami udziału Miłosza Ł. w spisku mającym na celu zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Demokratycznej.

Krzyk zamarł. Sprawa była poważniejsza niż się obawiał.

Monumentalny budynek zniknął, zamiast niego pojawiła się twarz najbardziej znanego hydraulika w Polsce.

– Dzisiejsza akcja jest kolejnym przykładem sprawnego działania służb w naszym kraju.

Krzyk stawiał, że tym razem ekspert mówi z głowy.

– To dzięki tej sprawności od czasu zakończenia wojny notujemy bezprecedensowy wzrost gospodarczy... – Hydraulik się zawahał. – To znaczy wzrost poczucia bezpieczeństwa obywateli... – Poprawił się momentalnie.

Ponownie rozbrzmiał głos lektora.

– Prokuratura wystąpiła do sądu z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie. Sąd przychylił się do tego wniosku. Przypomnijmy jeszcze, że za próbę siłowego obalenia ustroju państwa grozi kara pozbawienia wolności do lat dwudziestu pięciu.

– Dwadzieścia pięć lat? – szepnęła Ada.

Dwadzieścia pięć lat za jedno zdanie – dodał Krzyk w myślach.

– Może dostanie mniej? – Po twarzy Nikoli było widać, że też się przejęła.

– Na pewno – rzekła Ada pocieszająco.

Nie – rzucił Krzyk w głowie. Czy one obie nie pamiętały już sprawy sprzed czterech miesięcy? Lekarka, która na jakiejś branżowej konferencji podała w wątpliwość skuteczność przesiewowych testów wirusowych, z doniesienia Departamentu Zdrowia Publicznego Obywateli została oskarżona na podstawie tego samego paragrafu. Po dwutygodniowym procesie dostała dożywocie.

Na ekranie pojawiły się napisy końcowe. Głos lektora dobiegający z offu podziękował widzom za uwagę i zaprosił na prognozę pogody.

Dwadzieścia pięć lat – tylko o tym myślał teraz Krzyk.

Wtem przed oczami stanął mu obraz, który wyobraził sobie tego dnia, kiedy Łazika wzięło na szczerść. Rozcapierzone ręce i nogi trojga dzieci były pokryte plamami krwi, ściśnięte kurczowo palce trzymały litrowe butelki.

Dwadzieścia pięć lat.

Krzyk podniósł powieki, nie mógł dalej patrzeć na to, co podpowiadała mu wyobraźnia.

Dwadzieścia pięć lat.

Drągał był już właściwie martwy.

Rozdział 8

Poniedziałek 22 września 2031

Justyn Medynia miał trzydzieści osiem lat, wysokie czoło i był naczelnikiem Wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa Państwa, chociaż tak naprawdę w teren jeździł niezwykle rzadko, czas wolał spędzać w Enklawie Zielona Góra.

Ulizane zawsze włosy zaczesywał do tyłu i był święcie przekonany o tym, że nie oprze mu się żadna kobieta. Znalazło się kilka takich, które próbowały, ale szybko sobie z nimi poradził.

Jedna nawet przeżyła.

W całym województwie zachodnim z trudem przyszłoby znaleźć osobę, która widziałaby go bez obowiązkowego krawata. Marynarkę ściągał, owszem, szczególnie podczas przesłuchań – ale ze zwisem męskim nie rozstawał się nigdy.

Teraz, kiedy wjeżdżał szpitalną windą, bawił się nim, obstawiając w myślach, czy znów potwierdzi się, że ma taki sam gust jak jego bezpośredni przełożony i mentor w jednej osobie: Grzegorz Bernat.

Dźwig się zatrzymał, drzwi się otworzyły. Do środka weszła apetyczna lekarka.

– Dzień dobry, panie Justynie – powiedziała.

Medynia otaksował ją wzrokiem, dopiero potem odpowiedział.

– Dzień dobry.

Uśmiechnął się do kobiety, oceniając w myślach jej zgrabny tyłek. Nie zdziwiła go reakcja lekarki. W enklawie znali go chyba wszyscy, od przedszkolaków począwszy, na starcach z domów opieki skończywszy. Jego przystojną twarz wykorzystywano w kampaniach promujących postawy obywatelskie, zdobiła niezliczoną liczbę plakatów rozwieszonych w całym mieście.

Za to tylko nieliczni mieli pojęcie, że to on ma na koncie największą liczbę aresztowań i egzekucji tych obywateli, którzy popadli w konflikt z prawem.

Dyrektor szpitala był jedną z wtajemniczonych osób. Kiedy więc Medynia zjawił się u niego w gabinecie, mało brakowało, a Jaracz dostałby zawału. Próbował

przywołać się do porządku, ale minę miał przy tym nietęgą.

– Dzień dobry, panie pułkowniku...

Medynia zaczął mu się uważnie przyglądać, nic nie mówiąc. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Panie dyrektorze, mądre przysłowie mówi, żeby nie chwalić dnia przed zachodem słońca.

– Oczywiście! – zapewnił solennie. – Jak najbardziej! Zgadzam się z panem pułkownikiem w całej rozciągłości!

– Słusznie.

– Kawy? – spytał Jaracz usłużnie. – Mamy pierwszorzędną, najlepszą w całej enklawie.

Esbek pogroził mu palcem w taki sposób, że trudno było wyczuć, czy żartuje, czy też traktuje sprawę śmiertelnie poważnie.

– Chwalipięta z pana, panie dyrektorze.

Jaracz otarł czoło rękawem koszuli, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– To zaparzyć?

– Kawę? – spytał. – Nie.

– Może herbatę?

– Nie.

– Coś innego do picia?

Medynia spojrzał na niego tak, jakby właśnie złożył mu jakąś nieprzyzwoitą propozycję.

– A co pan dyrektor proponuje?

– A co pan pułkownik pija?

– Pytanie, czego ja nie pijam. – Zaśmiał się gardłowo.

Jaracz odetchnął z ulgą.

– Zatem coś mocniejszego?

– Czym pan dysponuje?

Dyrektor zerwał się zza biurka, podbiegł do jednej z szaf, otworzył ją.

Oczom Medyni ukazał się rząd butelek różnej wielkości i koloru.

– Whiskey, bourbon, dzin, tokaj, no i oczywiście polska wódka.

Kąćki ust esbeka ledwie zadrgały.

– Patriota z pana, panie dyrektorze.

– Czyli wódeczka? Czysta? Drink?

Medynia uniósł lewą brew.

– Proponuje mi pan alkohol w godzinach pracy i w miejscu pracy?

Na czoło dyrektora wystąpiły kolejne krople potu.

Tymczasem esbek setnie się bawił.

– Chce mnie pan przekupić?

– Ja? – spytał dyrektor cicho.

Medynia nie odpowiedział od razu. Najpierw zerknął na prawą dłoń, powoli obejrzał wszystkie palce, jakby sprawdzał, czy pod paznokciami nie zebrał się brud. Nie śpieszył się, robił to powoli, metodycznie. Odezwał się dopiero po minucie.

– Chce pan coś ukryć przed aparatem władzy?

– Ależ skąd, panie pułkowniku! – zapewnił.

Niespodziewanie esbek otwartą dłonią uderzył w kolano.

– Do rzeczy!

Dyrektor aż podskoczył na fotelu.

– Szukam tej pani – mówił Medynia dalej. – Adriany Więckiewicz-Krzyk.

– Pani Ady?

– Tak.

– Małżonki Jana Krzyka?

Medynia palcem skazującym przywołał dyrektora do siebie. Nie był teraz u siebie, nie znaczyło to jednak, że nie czuł się panem sytuacji.

Jaracz okrążył biurko, stanął przed rozmówcą, nachylił się ku niemu usłużnie.

– Panie dyrektorze. – Esbek spojrział prosto w oczy Jaracza. – Ile pielęgniarek o imieniu Ada pracuje w tej placówce?

– Je... Jedna.

Na twarzy Medyni pojawił się jeden z wystudiowanych uśmiechów.

– Zatem...

Cały czas patrzył na dyrektora z fałszywą uprzejmością.

– Ma pan pięć minut, żeby mnie do niej zaprowadzić, jasne?! – wrzasnął bez ostrzeżenia.

Zaskoczony dyrektor odchylił się gwałtownie. Zrobił to ze zbyt dużą energią, stracił równowagę i upadł, uderzając głową w blat biurka.

Medynia stanął nad nim w rozkroku. Patrzył, jak mężczyzna mruga oczami, próbując odzyskać świadomość.

– Zmieniłem zdanie. – Parsknął śmiechem. – Sam ją znajdę.

Wyszedł z gabinetu, podszedł do biurka, za którym sekretarka dyrektora pracowała przy komputerze. Od razu przeszedł do sedna.

– Chcę natychmiast rozmawiać z Adrianą Więckiewicz-Krzyk.

– Nie wiem, czy...

Podniósł palec wskazujący, dając sekretarce wymowny znak.

– Polecenie dyrektora.

– Pan dyrektor nic mi nie przekazywał.

Medynia w odpowiedzi jedynie cmoknął. Potem pochylił się nad kontuarem oddzielającym go od biurka i oparł na nim przedramionami. Wbił spojrzenie w głęboki dekolt.

– Pan dyrektor jest teraz zbyt zajęty, żeby zajmować się takimi drobiazgami.

– Dobrze... – skapitulowała. – Musiałabym tylko sprawdzić, gdzie pani Ada jest... Pewnie na wewnętrznym, ale trzeba sprawdzić. To może chwilę potrwać.

– Słodki aniołku, każda moja chwila jest zbyt cenna, żeby ją marnować na jakieś wasze procedury...

– Ale...

– Ale pan dyrektor umie sobie dobrać współpracownice. – Wszedł jej w słowo.

Nachylił się jeszcze mocniej, cały czas ze wzrokiem wbitym w obfity biust sekretarki. Myślał o tym, jakby to było trochę się nim zabawić.

– Zjadłaby pani ze mną kolację?

Spojrzała na niego zaskoczona, nie od razu odpowiedziała. Pokazała prawą dłoń, na której skrzyła się obrączka.

– Z przyjemnością bym skorzystała, gdyby nie to, że jestem już zajęta.

– Zameżna?

– Tak.

Medynia nieustannie wpatrywał się w przerwę między piersiami.

– Ach wy, mężatki... Niedopieczzone... Za mało adorowane...

Spuściła wzrok, wyraźnie skrępowana.

– Mi to nie przeszkadza... – Uśmiechnął się. – Idealna.

Spojrzała na mężczyznę, zaskoczona.

– Co takiego?

Pokazał palcem, o czym mówi.

– Szparka – wyjaśnił na wszelki wypadek. – Aż chciałoby się wsadzić tam kutasa.

Zamrugła kilka razy nerwowo. Radosny wyraz twarzy ustąpił miejsca strachowi.

– Spuściłbym ci się na twarz, a potem zająłbym się twoją cipką – mówił tak, jakby wymieniał listę rzeczy do posprzątania w garażu. Z jego głosu biła pewność siebie. – Najpierw zrobiłbym to palcami. Potem kijem od miotły. Później wazonikiem. – Pokazał naczynie stojące na parapecie. – A na koniec moim wackiem.

Sekretarka chciała coś powiedzieć, zaprotestować, ale głos uwiązł jej w gardle.

Medynia spojrzał w prawo, w głąb korytarza, potem w lewo.

– Szukasz pomocy? – powiedział czule. – Nawet gdyby ktoś tu był, nic by nie mógł zrobić.

W oczach kobiety pojawiły się łzy.

– Wiesz, kim jestem?

Potaknęła gwałtownie.

– Jakbym chciał cię teraz zerznąć, to bym to zrobił.

Poczuła, że brakuje jej powietrza.

– Jesteś tego świadoma?

Była i to bardzo, ale bała się choćby drgnąć. Wiedziała, że każdy jej gest mógłby zostać opacznie zrozumiany.

Wyciągnął dłoń, dotknął nią blatu.

– Zrobiłbym to tutaj, na tym biurku. Przed kamerą. A potem zgrałbym sobie filmik i puścił w świat. Wysłałbym link twojemu mężowi, a potem patrzyłbym na

kamerze w jego biurze, fabryce, czy gdzie tam pracuje, jak go ogląda i widzi, jak cię różną. Najpierw palcami... – Sycił się tembrem własnego głosu. – Potem kijem od miotły... Wazonikiem... Moim wackiem...

Jej rękoma wstrząsnął nerwowy dreszcz. Próbowała utrzymać je w bezruchu, daremnie.

– Chciałabyś tego, co? – wyszeptał czule. – Chciałabyś?

Myślała tylko o tym, aby wstać i wybiec stąd, byle gdzie, ale nogi miała jak z waty.

– Żartowałem! – roześmiał się głośno. – Przestraszyłem panią?

Nie odpowiedziała, zalała się łzami.

Trzasnął otwartą dłońią w blat, aż kobieta podskoczyła. Potem odwrócił się i ruszył w stronę windy.

– Tak to jest z krowami – rzucił na odchodne, nawet na nią nie patrząc.

*

Bach wykazał się dużo większym rozsądkiem niż dyrektor. Gdy tylko zobaczył esbeka w drzwiach gabinetu, od razu był skłonny do wszelkiej pomocy. Usłyszawszy, że Medynia szuka Więckiewicz-Krzyk, zdziwił się, ale nie dał nic po sobie poznać.

Przynajmniej tak mu się wydawało, bo tak naprawdę przed esbkiem nie dało się ukryć czegokolwiek.

– Oto pani Ada we własnej osobie – rzucił ordynator usłudze, gdy tylko odnaleźli pielęgniarkę na dolnym SOR-ze. – Pani Ado, pan naczelnik Justyn Medynia do pani.

Pielęgniarka z racji wykonywanego zawodu – i opatrywania osób po przesłuchaniach na Partyzantów – doskonale wiedziała, kim jest niespodziewany gość. Gdy tylko go zobaczyła, targnęły nią najgorsze przeczucia. Janek miał rację: Drągał pociągnął go za sobą, a potem nadał pewnie i na nią!

– Przysyła mnie mój bezpośredni przełożony. – Medynia uśmiechnął się szarmancko. Trochę też i do siebie, potwierdziło się bowiem, że jemu i szefowi podobają się identyczne kobiety.

Czy to tylko zmyłka? – pomyślała Ada bezwiednie.

Esbek jednak cały czas miał pogodny wyraz twarzy.

– W imieniu mojego szefa mam zaszczyt zaprosić panią na rodzinną imprezę, jaką pan Bernat organizuje dzisiaj wieczoru.

– Imprezę? – Tylko tyle była w stanie z siebie wykrztusić.

Bach nie dowierzał własnym uszom.

– Imprezę? – powtórzył jak echo.

– Zaproszenie dotyczy tylko pani Ady – wyjaśnił Medynia, siłąc się na uprzejmość. Gdyby nie obecność pielęgniarki, rozmowa z ordynatorem wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Przepraszam... – rzekł ordynator.

– Uroczystość rozpocznie się o ósmej – mówił Medynia dalej. – Pół godziny wcześniej przyjedzie po panią samochód. Jaki adres mam podać kierowcy?

– Adres? – spytała, cały czas nie wierząc własnym uszom.

– Adres, pod który kierowca ma się zjawić – tłumaczył cierpliwie.

– Niech czeka pod kościołem Ducha Świętego – powiedziała po chwili namysłu.

Medynia skrzywił się, ale nie skomentował.

– Wpół do ósmej? – upewniła się.

– Tak – potwierdził. – A teraz pani wybaczy, ale muszę wracać do pracy. Obowiązki wobec ojczyzny i enklawy wzywają.

– Oczywiście! – zapewniła, patrząc, jak Medynia znika w drzwiach windy. Potem spojrzała na ordynatora.

Bach wciąż stał jak zaczarowany.

– Skoro impreza jest o ósmej, to muszę wcześniej wyjść z pracy, żeby się do niej przygotować – powiedziała.

– Ale...

Zgasiła go gwałtownym ruchem dłoni.

– Mam powiedzieć Pierwszemu, że spóźniłam się, bo szef mi odmówił? A może mam poprosić o wstawiennictwo Medynię?

Na tę myśl ordynatorowi zrobiło się słabo.

– Bynajmniej...

Ada postanowiła wykorzystać sytuację. Taka okazja mogła się więcej nie powtórzyć.

– Powiem tak: pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że jesteś otwarty na wszelkie propozycje?

Bach potaknął nerwowo.

– Te dotyczące awansu także? – pytała dalej.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Jutro na swojej półce w dyżurce chcę widzieć nową umowę z zaszeregowaniem o trzy stawki płacowe wyżej.

– Trzy?

– Coś ci nie pasuje?

– Skąd! – zapewnił.

– I jeszcze jedno...

Zrobiła dwa kroki, zbliżyła się do ordynatora tak, że ich twarze dzieliło tylko kilkanaście centymetrów.

– Jeszcze raz spojrzysz na mój tyłek albo biust w ten swój obleśny sposób, a szepnę słówko komu trzeba. I następnego dnia będziesz się cieszyć, jeśli ktoś pozwoli ci czyścić tutaj kible.

Bach przełknął ślinę. Takiego upokorzenia ze strony kobiety nie przeżył od czasu oświadczyń, ale też doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może nic zrobić.

– Jutro wszystko będzie załatwione – rzekł ochoczo. – Od siebie dołożę jeszcze jakąś solidną premię za poprzedni miesiąc.

Ściągnęła lateksowe rękawiczki, podeszła do śmietnika, wyrzuciła je.

– Kończę zmianę – powiedziała.

– Oczywiście, jesteś wolna do końca dnia!

Z powrotem zbliżyła się do Bacha, patrząc mu prosto w oczy.

– Dla ciebie: pani Ada – wycodziła.

– Oczywiście, pani Ado. Jak pani sobie życzy.

Już go nie słuchała, zmierzała do dyżurki. Chciała czym prędzej zrzucić fartuch, przebrać się i pędzić do domu, aby przyszykować się na wieczór.

Chwilę potem wybiegła ze szpitala, podśpiewując radośnie pod nosem. Zeszła na część chodnika przeznaczoną wyłącznie dla obywateli trzeciej i czwartej kategorii. Jak zwykle o tej porze dnia był niemiłosiernie zatłoczony.

Ale dzisiaj jej to nie przeszkadzało.

Rozdział 9

Krzyk zmierzał do szkoły Nikoli, zastanawiając się w myślach, jak rozegrać rozmowę z dyrektorem. Tak się na tym skoncentrował, że nie zauważył, kiedy zszedł na część chodnika przeznaczoną tylko dla Pierwszych i Drugich.

Przypomniało mu o tym potężne uderzenie pałką w plecy. Obrócił się, dostrzegł mundur SBP.

– Obywatelu, popełniliście wykroczenie – rzekł funkcjonariusz twardo.

Spojrzał na niego. Mógł mieć dwadzieścia, może dwadzieścia kilka lat. Zerknął na patki, dostrzegł emblemat Oddziałów Szturmowych. W połączeniu z młodym wiekiem oznaczało to, że ma do czynienia z wielką kanalią.

– To się nie powtórzy – zapewnił solennie, modląc się w duchu o to, żeby pałka znów nie poszła w ruch.

Na jego szczęście po drugiej stronie ulicy ktoś krzyknął. Z daleka wyglądało na to, że użytkownik gorszej części chodnika pobrudził ubranie Pierwszakowi jedzonymi przez tego drugiego lodami.

Esbek rzucił się pędem w tamtym kierunku i chwilę później rozdzielał już razy, tocząc pianę na ustach i nie zwracając uwagi na jęki winowajcy.

Krzyk starał się nie słuchać wrzasków, skupił się na tym, aby jak najszybciej dotrzeć do celu.

Niedługo później stanął przed drzwiami Połączonego Zespołu Szkół Ogólnokształcących, Budowlanych i Elektronicznych. Z wiszącego nad nimi ekranu mógł się dowiedzieć, że w budynku przebywało obecnie sześcioro uczniów i prawie setka nauczycieli. Wszyscy mieli prawidłową temperaturę ciała.

Nie zdążył podejść do drzwi, gdy stanął w nich woźny.

– Czego?

Krzyk nabrał powietrza, wypuścił je powoli, uspokajając się przy tym w myślach. Miał do załatwienia ważną sprawę i nie mógł sobie pozwolić na żadną awanturę.

– Mam spotkanie z dyrektorem.

Na woźnym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Rejestrował się pan?

– Oczywiście – zachnął się. Przecież na rozmowę dydaktyczną z dyrektorem, podobnie jak z nauczycielami, nie można było wejść ot tak, z ulicy. Trzeba było zgłosić wniosek w systemie, podać uzasadnienie, a potem czekać. Tym razem udało się niemal błyskawicznie, w niespełna dwa tygodnie. Wymóg rejestracji obowiązywał nie tylko tutaj. Zgłosić w systemie należało każde wyjście do lekarza, apteki i na imprezę rodzinną poza własnym miejscem zamieszkania. Także spacerowały podlegały takiemu reżimowi, przy czym w tym wypadku podanie orientacyjnej trasy oraz szacunkowego czasu trwania wystarczało na dwa tygodnie. Potem promesę na kolejne cykle można było uzyskać prawie automatycznie.

Osobne zasady działały za to w przypadku zapraszania do siebie gości spoza najbliższej rodziny, SYCO rzadko wydawało na to zgodę. Wszystkie te obostrzenia – wprowadzane sukcesywnie po wojnie – tłumaczono troską o bezpieczeństwo obywateli Enklawy Zielona Góra. Dzięki kontaktom z czasów krótko po zakończeniu konfliktu, kiedy internet nie był jeszcze w pełni koncesjonowany, Krzyk wiedział, że identyczne procedury obowiązywały także w wielu innych miastach, a podejrzewał, że może i na terenie całego kraju. Odkąd jednak opuszczanie macierzystej enklawy było praktycznie nieosiągalne dla trzeciaków i czwartaków, nie miał jak tego sprawdzić.

Woźny stworzył wirtualfona. Po kolorze obwódki można było wnioskować, że jest to służbowy sprzęt.

– Pański numer identyfikacyjny.

– Cztery jeden dziewięć siedem osiem jeden jeden – wyrecytował Krzyk.

Mężczyzna pokazał na skaner zamontowany w poręczy schodów.

– Przyłożyć opaskę do czytnika.

Krzyk wypełnił polecenie.

– Cel wizyty? – pytał woźny dalej.

– Już mówiłem...

– Cel wizyty!

– Spotkanie z dyrektorem.

Woźny zaznaczył kolejny punkt na liście.

- Kogo dotyczy?
- Córki – wyjaśnił Krzyk.
- Numer identyfikacyjny córki.
- Cztery dwa zero jeden pięć zero siedem.
- Ile ma lat?

Krzyk przełknął ślinę.

- Można sobie obliczyć...
- Ile ma lat?!

Kilka lat wcześniej Krzyk pokazałby ciociowi, kto tu rządzi! Ale teraz były inne czasy i mógł o tym tylko pomarzyć.

- Siedemnaście.
- Przebyte choroby zakaźne.
- Przecież wszystko jest w systemie.
- Nie dyskutować! Przebyte choroby zakaźne.

Krzyk spał się w sobie.

– Ospa wietrzna. Świnka. Różyczka. COVID 19. COVID 24. COVID 26. COVID 27. COVID 28. COVID 29.

- Przebyte choroby psychiczne?

Dobrze chociaż, że nie było świadków – pomyślał Krzyk, a na głos powiedział.

- Brak.

Woźny odhaczył następny punkt.

- Choroby psychiczne w rodzinie do trzeciego pokolenia wstecz.
- Brak.

Mężczyzna podniósł wzrok znad wirtualfona.

- Przypominam, że składa pan zeznanie pod odpowiedzialnością karną.
- Powiedziałem: brak – wycedził.
- Ogólny stan zdrowia małoletniej?
- Dobry.
- To by było wszystko...

Krzyk zrobił krok w stronę drzwi.

– Świetnie!

Nagle woźny zmrużył oczy.

– Moment!

Zastawił sobą drogę.

– Pojawił mi się alert.

Krzyk westchnął.

– Jaki alert?

– Przed najbliższym dniem szkolnym córka musi dostarczyć aktualną książeczkę szczepień.

Krzyk był coraz bliżej wybuchu.

– Przecież dopiero co przynosiła!

– Ale weszły dodatkowe szczepienia przeciwko nowym odmianom pneumokoków. Takie są procedury.

– To wszystko? – spytał zrezygnowany.

Woźny pokręcił przecząco głową.

– Nie. Musi też złożyć nowe oświadczenie o zwolnieniu szkoły z odpowiedzialności za skutki uboczne wynikające z poddania się dobrowolnym szczepieniom dodatkowym.

– Ale one nie są dobrowolne – zauważył Krzyk kąśliwie.

– Są.

– Nie są. – Nawet nie próbował kryć irytacji. – Jeśli córka ich nie wykona, nie będzie mogła wejść do budynku szkolnego.

– To już państwa decyzja.

– Nasza? – Zdziwił się Krzyk. – Żeby pójść do lekarza, trzeba mieć aktualną książeczkę szczepień. Do szkoły, na ten jeden dzień w miesiącu, także. Nawet żeby wsiąść do autobusu, też trzeba ją mieć!

– Przecież z tą kategorią pańska córka nie może korzystać z komunikacji miejskiej.

Krzyk zmierzył rozmówcę wzrokiem.

– Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał – rzekł oschle. – Na studia bez książeczki też się nie dostanie. Zatem o jakiej dobrowolności mówimy, do kurwy nędzy?!

Momentalnie rozległ się charakterystyczny brzęczyk. Krzyk doskonale znał ten dźwięk.

Woźny spojrzał radośnie na swojego wirtualfona.

– System Punktacji Zachowania właśnie wrzucił panu ujemną dziesiątkę za używanie wulgaryzmów w miejscu publicznym.

Dla Krzyka było tego już za wiele.

– W dupie mam System Punktacji Zachowania!

Znów rozległ się pisk.

Woźny uśmiechnął się ironicznie.

– Zaliczył pan dodatkową piątkę.

Krzyk nie skomentował, zdążył się już opanować.

– Mogę już iść na spotkanie?

Mężczyzna odsunął się w bok.

– Korytarzem w prawo, drzwi do gabinetu dyrektora są po lewej stronie.

Krzyk nawet się nie odwrócił.

– Wiem – rzucił chłodno.

*

Pół godziny później – po odczekaniu swojego w sekretariacie – siedział już naprzeciwko dyrektora szkoły i czekał, aż ten skończy lekturę akt Nikoli.

– Cóż... – Cmoknął wymownie. – Córka odnotowuje ponadprzeciętne wyniki w nauce. Moje gratulacje.

Krzyk zmarszczył brwi.

– Po to zostałem wezwany?

Dyrektor dotknął palcem wirtualnego ekranu nad biurkiem, przesunął nim kilka razy.

– Powód konsultacji jest inny, proszę pana.

– Czyli? – spytał Krzyk, siląc się na uprzejmość.

– Jest problem z matką uczennicy.

– Ada?!

– Mam zgłoszenia od ośmiu... – posunął dwa razy palcem – nie, przepraszam: od dziewięciu nauczycieli o tym, iż matka uczennicy nie udziela się w procesie edukacji zdalnej. W tym miesiącu ani razu nie wyrobiła limitu obecności.

W pierwszej chwili Krzyk nie zrozumiał. Męczące go od rana pragnienie sprawiało, że trudno było mu się skupić.

– Nikola? – spytał.

– Pańska małżonka – wyjaśnił cierpliwie. – Nikola ma stuprocentową frekwencję, podobnie jak pan. Problemem jest żona. – Zaakcentował ostatnie słowo.

Krzyk zaczął nerwowo przebierać palcami. Okna gabinetu wychodziły na południe i wpadające przez nie słońce prażyło niemiłosiernie.

– Żona pracuje w szpitalu, ma ruchome zmiany.

Dyrektor uśmiechnął się pobłaźliwie. Po sposobie, w jaki to zrobił, Krzyk wnioskował, że taką wymówkę słyszał nie pierwszy raz.

– Praca nie jest usprawiedliwieniem.

Krzyk nie zamierzał odpuszczać.

– Zmiany często są w ostatniej chwili przedłużane.

Uśmiech na twarzy dyrektora wciąż był niezmienny.

– Zgodnie z rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej i Gospodarki Odpadami rodzice uczniów szkół ponadpodstawowych są zobowiązani do stałego udziału w procesie edukacji zdalnej bez względu na wymiar czasu pracy. Takie są procedury.

– Nie zawsze jesteśmy w stanie tak ustawić grafik w pracy, aby być z córką na zdalnym.

– To już państwa decyzja.

Krzyk chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

W tym czasie dyrektor bacznie mu się przyglądał.

– Małżonka nie odpisuje też na kierowaną do państwa korespondencję.

Krzyk zerknął na stojący w rogu pomieszczenia wentylator. Widział, że urządzenie pracowało na najwyższych obrotach, ale gdyby tylko mógł, zmusiłby je

do przyśpieszenia.

– Ja za nią odpowiadam.

– Zgodnie z przywołanym rozporządzeniem w procesie edukacji zdalnej uczniów obowiązek uczestnictwa dotyczy obojga rodziców. Takie są procedury.

Ale tylko dla rodziców czwartej kategorii – warknął Krzyk w myślach.

Dyrektor postanowił wykorzystać chwilę milczenia.

– Powiem najprościej, jak się da: pańska żona opuściła się w nauce córki. Moje wieloletnie doświadczenie pedagogiczne podpowiada mi, że źródło tego problemu może być ukryte dużo głębiej niż się panu wydaje.

– A dlaczego panu dyrektorowi wydaje się, że mi się coś w tej sprawie wydaje? – Odbił piłeczkę, żeby zyskać chwilę do namysłu. W głębi duszy musiał jednak przyznać rację swojemu rozmówcy. Od dłuższego czasu Ada nie wydawała się zbyt przejęta rolą matki.

– Jak pan chce... – Dyrektor zamknął wirtualfona. – Ostrzegam, że dalsze ignorowanie wytycznych może skończyć się relegowaniem Nikoli z naszej placówki oświatowej.

Krzyka zmroziło. Nie dość, że z taką kategorią Nikola nie miała szans na normalną szkołę stacjonarną, to jeszcze groziło jej wyrzucenie z tej, którą trudno było nawet nazwać zastępczą?! Wiedział, czym to grozi: małoletni niewypełniający obowiązku nauki byli odbierani rodzicom i kierowani do placówek resocjalizacyjnych, gdzie ślad po nich ginął.

– To wszystko – rzekł dyrektor.

– Nie – rzucił Krzyk ostro. – Pan swoje wyłuszczył, ale ja też mam sprawę. Z gatunku tych bardzo nieprzyjemnych.

Dyrektor zmrużył oczy.

– Chodzi mi o nauczyciela geografii – wyjaśnił Krzyk.

– O co konkretnie?

– O to, że ten skurwysyn na ostatniej lekcji ocierał się o uda mojej córki swoim penisem. – Krzyk kompletnie zignorował brzęczyk, jaki rozległ się, gdy przeklął.

Dyrektor oparł łokcie o blat.

– Jestem zobowiązany ostrzec pana, że używanie niecenzuralnego słownictwa w odniesieniu do funkcjonariusza publicznego grozi surowymi konsekwencjami

prawnymi.

Krzyk nie skomentował tego w żaden sposób.

Dyrektor splótł palce obu dłoni, spojrział na rodzica.

– Nagrania z lekcji są monitorowane przez SYCO. Gdyby nauczyciel geografii rzeczywiście dotknął pańskiej córki penisem, system by to wychwytał.

– Dobrze obaj wiemy, że edukacja jest niedofinansowana i że szkolny monitoring jest z ery przedpotopowej. Poza tym zrobił to przez spodnie.

– Przez spodnie? – Dyrektor skrzywił się kpiąco. – Skąd zatem pewność, że otarł się o Nikolę penisem?

– Córka ma siedemnaście lat. Wie, co to jest seks.

– Może pan złożyć oficjalną skargę...

– Dobrze pan wie, że nic nie da. – Krzyk wszedł mu w zdanie.

– Może pan zabrać ją ze szkoły.

– A nie lepiej, gdyby to pan zgłosił sprawę do właściwych organów?

– Nie mam ku temu podstaw.

– Przecież powiedziałem...

– Na razie jest tylko pańskie słowo.

Krzyk postanowił zmienić linię ataku.

– Ten nauczyciel jest nowy prawda?

– Tak. I powiem panu od siebie, że powinien się pan cieszyć, że szkoła znalazła wreszcie kogoś na wakujące miejsce. Wie pan, jak trudno teraz o chętnych do pracy w edukacji?

– Czy to prawda, że siedział w więzieniu?

– Tak, odbył karę dwóch lat pozbawienia wolności. Właśnie w zakładzie karnym zaliczył zdalny kurs pedagogiczny...

Krzyk nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Gdzie pracował wcześniej?

– Był spawaczem... – Dyrektor nagle zamilkł. – Nie powinno to pana interesować! Dzięki temu, że został przymusowo skierowany do pracy w naszej placówce, w końcu ma kto uczyć geografii. Powinien się pan cieszyć!

Krzyk pokiwał z niedowierzaniem głową.

– Bardzo się cieszę... – rzucił cicho.

– Panie Janie... – szepnął dyrektor. – Darzę pana wielkim szacunkiem za to, co pan wtedy zrobił. – Jeszcze bardziej ściszył głos. – Pokażę panu akta córki w wersji papierowej, dobrze?

Krzyk nie rozumiał, po co miałby je oglądać, ale po wyrazie twarzy dyrektora czuł, że nie powinien odmawiać.

Dyrektor wyszedł zza biurka, podszedł do szafy, stanął ze wentylatorem, po czym kiwnął głową na gościa.

Ten zajął miejsce po drugiej stronie urzędu.

– Niech pan za chwilę powie głośno, że chce skorzystać z ubikacji i poprosi, żebym panu wskazał drogę – powiedział, szukając czegoś w szafie. Potem podał Krzykowi teczkę.

Ten chwilę ją wertował, potem spytał o łazienkę.

Kilka minut później byli już na miejscu, poza zasięgiem kamer i mikrofonów SYCO. Ponieważ dystans społeczny w tym miejscu nie obowiązywał, dyrektor stanął twarzą w twarz z rozmówcą.

– Ta rozmowa nie miała miejsca, rozumiemy się?

– Rozumiemy się – potwierdził Krzyk skwapliwie.

– Jakby co, wyprę się jej.

– Jasne.

– Pańska córka ma szczęście... – Mimo że SYCO nie mogło go słyszeć, dyrektor ostrożnie dobierał słowa. – Nie jest w typie nauczyciela geografii.

– A ocieranie penisem?!

– Podejrzewam, że chciał jej zrobić na złość, bo jest jedną z najbardziej inteligentnych uczennic w całej szkole, a z niego to kawał głąba.

– To dlaczego...

Dyrektor przerwał pytanie, zanim Krzyk zdążył je zadać.

– Już panu powiedziałem: innych chętnych nie było. Poza tym został tu skierowany przez kuratorium i wydział penitencjarny.

– To nie wszystko, prawda? – Próbował przełknąć ślinę, ale usta były wyschnięte na wiór.

– Uważam, że powinien pan zrobić wszystko, aby zapewnić córce awans co najmniej o jedną kategorię. Wtedy byłaby szansa przenieść ją do szkoły stacjonarnej. Po skończeniu naszej zmarnuje sobie życie. A potencjał ma ogromny.

Dyrektor nie musiał tego Krzykowi mówić! Tak samo, jak tego, że tylko dwa procent najlepszych absolwentów szkół zdalnych mogło zostać przyjętych na studia – o ile potrafili się wykazać odpowiednim rodowodem – reszcie pozostawało tyranie w fabrykach albo Powszechnych Gospodarstwach Rolnych. Przy dużym szczęściu mogli też – co było marzeniem dla trzeciaków i czwartaków – pracować jako kurierzy.

– Panie dyrektorze, to nie jest takie proste – powiedział. – Wiedzieć, co trzeba zrobić, to jedno. Móc to wykonać, to drugie, diametralnie inne. – Nie dodał, że ze względu na smród, jaki się za nim ciągnął od tamtej decyzji, nie miał szans na zmianę statusu społecznego.

– Mimo wszystko proszę mieć to na uwadze.

Krzyka nagle coś tknęło.

– Dlaczego powiedział pan, że Nikola ma szczęście?

Dyrektor nie odpowiedział od razu.

– To prawda, co mówił pan o naszym monitoringu... – zaczął po dłuższej chwili.
– Dwie koleżanki Nikoli z klasy nauczyciel zgwałcił.

Krzykowi zrobiło się słabo.

– Ani dziewczęta, ani tym bardziej ich rodzice nie zgłosili sprawy – mówił dyrektor dalej. – Obaj doskonale wiemy, z jakiego powodu.

Krzyk wiedział. Funkcjonariusz publiczny – i to jeszcze kierowany do pracy w szkole przez wydział penitencjarny – był nie do ruszenia. Ktoś, kto decydował się na podważenie jego kompetencji, nie mówiąc już o stawianiu tak poważnych zarzutów, musiał liczyć się z tym, że życie jego i całej rodziny zostanie przewrócone do góry nogami. Nie miało tu znaczenia, czy oskarżany był winny.

– Te dziewczyny wciąż chodzą do szkoły?

– Muszą. Inaczej trafią do placówki resocjalizacyjnej.

A tam byłyby gwałcone każdego dnia – pomyślał Krzyk. Zaraz potem spojrzał na dyrektora.

– A pan?

Dyrektor udał, że nie wie, w czym rzecz.

– Co: „ja”?

– Pan mógłby wystąpić do wydziału penitencjarnego z wnioskiem o wydalenie tego skurwiela z pracy.

Dyrektor wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Miałbym się narażać?!

Krzyk nie odpowiedział.

– Pan postąpiłby tak na moim miejscu? – pytał dyrektor dalej.

Milczał, w głowie słyszał delikatny śmiech Nikoli.

– Ja też mam dzieci – powiedział dyrektor cicho. – Dla cudzych nie mogę nadstawiać karku.

Rozdział 10

Ada próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jechała autem – nie żadną limuzyną, zwyczajnym samochodem osobowym – ale nie potrafiła. Wydawało jej się, że tej wiosny któraś z koleżanek podwiozła ją na Słowacką, litując się nad nią pod koniec podwójnej zmiany, jednak nie miała pewności, czy się nie myli.

Szofer odezwał się tylko raz, pytając o imię i nazwisko, a gdy tylko delikatnie zamknął za nią drzwi i zasiadł za kierownicą, milczał jak grób.

Nie przeszkadzało jej to. Wręcz przeciwnie, cisza panująca wewnątrz obszernej kabiny pozwalała jej czerpać radość z oglądania tego, co za szybą, z jeszcze większą mocą.

Patrzyła, jak przecinają Park Piastowski, zaraz potem mijają rogatki na granicy Enklawy Wewnętrznej i Enklawy Zewnętrznej. Odprawa była błyskawiczna i przebiegła bez żadnych problemów, wystarczyło, że kierowca opuścił na chwilę przednią szybę.

Niedługo potem wjechali w las, następnie dotarli do Ochli i Ada mogła podziwiać wielkie posiadłości. Kilka minut później byli już w Jarogniewicach, niewielkim osiedlu Enklawy Zielona Góra z zaledwie kilkunastoma willami.

Kierowca wjechał przez otwartą bramę, limuzyna zaczęła toczyć się wolno zwirową alejką wiodącą wzdłuż długiego drewnianego ogrodzenia, za którym rącho biegały dziesiątki koni. Ada patrzyła na nie, jakby widziała je pierwszy raz w życiu.

Podjazd kończył się tuż przed wejściem do okazałej willi – choć jej zdaniem określenie dworek byłoby bardziej właściwe – zakręcając łagodnie i tworząc coś na kształt małego ronda wypełnionego idealnie przystrzyżoną zieloną trawą.

Zielona... – Patrzyła na nią jak zahipnotyzowana. Kiedy ostatni raz widziała trawę w tym kolorze? Nie żółtą, brązową czy szarą – wypaloną od słońca – ale trawę w kolorze, jaki dała jej natura?

Próbowała sobie przypomnieć, ale nie była w stanie.

Kierowca pomógł jej wysiąść z limuzyny, zaraz potem odjechał.

Ada stała na trawie, nie za bardzo wiedziała, co ma robić dalej.

Nieoczekiwanie powietrze przeciął ostry świst.

Podskoczyła nerwowo, przestraszona. Dopiero po chwili zorientowała się, że hałas był wynikiem włączenia się zraszaczy gęsto rozstawionych na wielkich trawnikach. W pierwszym momencie, gdy dostrzegła, jak wypływają z siebie kolejne litry, sięgnęła do pleców. Chciała rozpiąć zamek, zrzucić sukienkę i pognać wprost pod najbliższy spryskiwacz.

Powstrzymało ją pojawienie się niemłodego już mężczyzny ubranego w pozłacaną liberię.

– Dzień dobry, madame.

– Dzień dobry.

– Pani jest gościem pana Bernata, jak mniemam?

– Tak – odpowiedziała. – Nie wiedziałam, że Pierwszy Przewodniczący mieszka na osiedlu domków jednorodzinnych.

Mężczyzna uśmiechnął się pobłaźliwie, potem w ułamku sekundy spowaźniał.

– To nie jest osiedle domków jednorodzinnych.

– Nie? – zdziwiła się. – Jeden... Dwa... Trzy... Sześć... – policzyła otaczające ich wille.

– Wszystkie budynki należą do pana Bernata – wyjaśnił. – To jego letnia rezydencja.

– Letnia?

– Przebywa tu latem, kiedy w mieście robi się nie do wytrzymania. Resztę roku spędza w dawnym Pałacu Biskupim.

Chłonęła każde jego słowo.

– Pani pierwszy raz? – spytał.

Nie zdążyła się odezwać, gdy za plecami mężczyzny w lśniącym uniformie wyrósł Medynia. Odpowiedział za nią.

– Pani jest tutaj pierwszy raz. To gość specjalny Pierwszego Przewodniczącego.

Twarz służącego wyrażała kompletne zdziwienie.

– Gość specjalny? – nie dowierzał. – Ale ta opaska... Jej kolor...

Ada poczuła się niezręcznie.

Medynia stanął między nią a mężczyzną w liberii, całkowicie ją zasłaniając.

– Ani słowa więcej – wycedził.

Odwrócił się, przybrał na twarz jeden ze swych czarujących uśmiechów.

– Ja się panią zaopiekuję.

Podał jej rękę.

Kiedy położyła na niej swoją dłoń, poczuła dreszcze spływające od szyi aż do dołu pleców.

Służący zakaszał.

– Panie pułkowniku...

– Co znowu? – spytał Medynia niecierpliwie.

Mężczyzna w złotej liberii pokazał na małe urządzenie w kształcie sześcianu trzymane w ręce.

– Zapomniał pan...

Esbek sięgnął po aparaturę.

– Rzeczywiście. Ja się tym zajmę.

– Tak jest! – potwierdził pracownik.

– Co to takiego? – spytała Ada zaciekawiona.

Medynia gestem głowy pokazał na wielkie okno ciągnące się przez połowę elewacji frontowej, w którym właśnie pojawił się tłum gości.

– Nic panią nie dziwi? – zadał pytanie z pozoru niewinnym tonem.

– Co miałoby mnie dziwić? – Zamyśliła się. – Ach tak! – rzuciła po chwili gwałtownie. – Dystans! Nie ma go! Ale jak to możliwe?

Medynia do jej dłoni z opaską przyłożył owe małe urządzenie. Nie miało żadnych oznaczeń, symboli ani napisów.

– Tak – rzekł krótko.

Sześcian wydał cichy pisk.

– Teraz nie musi się pani przejmować dystansem – wyjaśnił Medynia.

– Jak to działa?

Esbek uśmiechnął się dwuznacznie.

– Tego pani nie musi akurat wiedzieć – powiedział przepaszająco. – Po opuszczeniu posiadłości opaska zostanie automatycznie aktywowana z powrotem.

Pokazała na kamery przymocowane do okapu.

– A SYCO? – spytała.

– To wewnętrzny monitoring wyłącznie na prywatne potrzeby Pierwszego Przewodniczącego. SYCO nie ma tu dostępu. Tak na marginesie: lokaj przyniesie zaraz strój kąpielowy, tylko proszę mu podać rozmiar. A teraz pani wybaczy, ale obowiązki wzywają. – Pokazał na Bernata, który pojawił się po drugiej stronie trawiastego kręgu i nerwowymi ruchami dłoni przywoływał esbeka. – Pan Bernat prosił mnie wcześniej o przekazanie pani, aby czuła się pani tutaj jak u siebie.

Tylko nie to – zaśmiała się kwaśno w myślach. Tylko nie to.

*

Kiedy wchodziła do salonu, którego powierzchnia musiała być ze dwa razy większa od całego jej mieszkania na Słowackiej, liczyła, że Bernat wkrótce się pojawi i chociaż się z nią przywita. Odczekała kwadrans, potem drugi, a kiedy to się nie wydarzyło, postanowiła zająć się sobą sama.

Wypiła kilka lampek wina, zjadła rosół z gęsi i polędwicę w sosie borowikowym – tej ostatniej wzięła nawet dwie porcje – i krążyła wokół gości, bawiąc się w rozpoznawanie, z kim ma do czynienia.

Z mężczyznami nie było problemu. Gościem Bernata był prezydent Enklawy Zielona Góra – fasadowy chłopczyk do celów reprezentacyjnych, jak go określał Janek – przewodniczący rady miejskiej, prezes sądu okręgowego, naczelnik urzędu skarbowego oraz dyrektorzy kilku podległych jednostek. Mężczyzn naliczyła ośmiu, całą resztę towarzystwa stanowiły kobiety, było ich ponad czterdzieści. Nie musiała im się dokładnie przyglądać, aby nabrać pewności, że wśród nich nie ma ani jednej żony któregośkolwiek z facetów. Wszystkie były od nich dużo młodsze – od niej zresztą też – każda piersiasta i wydekoltowana tak bardzo, że wydawało się, jakby biust zaraz miał uwolnić się ze skąpego stanika i zaprezentować w całej okazałości. A przede wszystkim: każda miała długie piękne włosy, tylko ona była łysa jak kolano.

Z biegiem czasu coraz bardziej się dziwiła, że nie staje się świadkiem żadnej orgii. Wydawało jej się to naturalne, to była jej pierwsza myśl, kiedy zorientowała się, kto przybył do rezydencji Bernata.

Zamieniła zdanie lub dwa z kilkoma z dziewczyn, z tymi, które wydały się jej najbardziej inteligentne, jednak rozmowy wyraźnie się nie kleiły. Po godzinie samotnego błąkania się po salonie i przyległych pomieszczeniach poczuła parcie na pęcherz.

Łazienkę namierzyła już wcześniej, ale postanowiła wykorzystać sytuację, aby jeszcze bardziej się rozejrzeć. Brała pod uwagę, że to może być jedyna okazja, aby na własne oczy przekonać się, jak mieszkają najważniejsi ludzie enklawy.

Szła korytarzem, dyskretnie zaglądając za każde mijane drzwi, aż w pewnym momencie za jednymi z nich – tylko przymkniętymi – usłyszała sapanie. Ostrożnie pchnęła skrzydło, na tyle, aby dostrzec wielkie lustro zamontowane na przestronnej szafie.

W nim zobaczyła spoconą twarz Medyni, który właśnie posuwał od tyłu jedną z tych młodek. Druga stała obok niego, wypięta, a on pieścił jej kobiecość. Esbek jęczał, wykonując coraz bardziej gwałtowne ruchy, dziewczyny też nie były cicho, chociaż Adzie trudno było poznać, czy tylko udają.

– Dobry szef dba o najwierniejszych pracowników...

Ada na dźwięk tego szeptu podskoczyła przerażona. Krzyknęłaby, gdyby nie to, że dłoń Bernata odpowiednio wcześniej zamknęła jej usta.

– Mnie coś takiego podnieca... – mówił dalej cicho. – A panią?

Ada była kompletnie zaskoczona.

– Skoro pani podgląda, jak Justyn rżnie te dwie młode cipki, to chyba tak...

Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Mnie?... – spytała dopiero po dłuższej chwili. – Panie Pierwszy Przewodniczący...

– Przecież już mówiłem: bez formalności – przerwał jej gwałtownie. – Mówmy sobie po imieniu.

– Dobrze...

Bernat zbliżył się do niej tak bardzo, że czuła na karku wydechane przez niego powietrze.

– Moi goście właśnie wyszli... Zostaliśmy sami... Ty i ja... – mówił szeptem. – Oczywiście nie licząc Justyna i jego dupeczek. – Zarechotał cicho.

Ada przełknęła ślinę. Od tego pierwszego momentu, w którym spojrzenia jej i Pierwszego spotkały się w tamtym szpitalnym gabinecie, wiedziała, że gdyby tylko mógł, zerwałby z niej ubranie i wziął, łagodnie lub siłą – tego akurat nie była pewna. Mogła się założyć, że powstrzymała go tylko obecność wnuczki.

Kiedy potem Medynia przywiózł zaproszenie na dzisiejszą imprezę, zdała sobie sprawę, że taki zaszczyt i nobilitacja nie są darmowe i że będzie musiała zapłacić za nie w naturze.

Teraz, gdy Bernat stał za nią napalony, dysząc jej do ucha, była pewna, że moment wyrównania rachunków właśnie nadszedł.

Szykowała się na tę chwilę, coraz bardziej się z nią oswajała, jednak gdy już wreszcie nadeszła, wcale nie czuła się przygotowana.

Bernat nie zastanawiał się nad tym, co myśli pielęgniarca.

– Pięknie pachniesz... – szepnął.

– Nie tutaj – powiedziała nagle.

Nie zamierzała oddać się za darmo. Chciała coś z tego mieć. I dokładnie wiedziała, co.

Obróciła się do niego, zmusiła się do uśmiechu.

– Chodźmy na basen – rzekła.

– Na basen?

– Tak.

Ruszyła, stawiając nogi w jednej linii, zgrabnie trzęsąc tyłkiem.

– Chcę popływać.

Bernat podążył za nią.

Kiedy dotarła do celu, nie czekała na niego, od razu zrzuciła sukienkę i wskoczyła do basenu. Młóciła rękoma jego zawartość z taką zaciekłością, jakby od tych gestów zależało życie całej ludzkości.

Bernat zszedł po schodkach, ale potem stanął, przypatrując się pielęgniarce i jej ciału.

Ada wiedziała, że nie może pływać w nieskończoność, że wreszcie musi się zatrzymać. I nie chodziło nawet o jej ograniczone możliwości fizyczne. Czuła, że nie powinna wystawiać cierpliwości Pierwszego na zbyt dużą próbę. Widziała, jak na nią patrzył, pożerał wzrokiem. Był jak dzikie zwierzę zbliżające się do swojej

ofiary i czerpiące satysfakcję nie tylko z decydującego ciosu, ale też z samych podchodów.

Podpłynęła do niego. Stała obok. Przejechała dłonią po głowie, potem po twarzy, ściągając ze skóry krople.

Czuła się taka czysta.

Rozpięła stanik.

Bernat dotknął jednej piersi, drugiej, zaraz potem musnął sutki palcami, gniotąc je delikatnie.

– Przyjemnie ci?

Krótkim potaknięciem skłamała, że tak.

Wrócił do pieszczenia jej piersi, chwilę później jego ręka zaczęła się zsuwać coraz niżej.

Ada wciągnęła powietrze nosem. Tak przyjemnie pachniał!

Pierwszy Przewodniczący wsunął swoją rękę w jej skąpe figi.

Zadrżała.

On sunął palcami coraz niżej.

Popatrzyła na niego. Jego skóra na torsie lśniła taką czystością!

Bernat wsunął końcówki palców w cipkę, zaczął ją pieścić od środka.

Zamknęła oczy.

Mężczyzna sapał raz po raz.

Ada tego nie słyszała. Czuła tylko delikatny dotyk fal generowanych przez ich ruchy i odbijających się od ścian basenu.

Przyśpieszył.

Jęknęła, ale nie z rozkoszy, tylko bólu. Robił to źle, zbyt natarczywie, był za bardzo napalony, za mało cierpliwy.

– Poczekaj – szepnęła.

Spojrzał na nią zawiedziony.

– Coś nie tak?

– Wszystko dobrze! – skłamała gładko. – Zrobię ci dobrze...

Chwyciła za jego slipy, jednym ruchem zsunęła je. Wzięła w dłoń jego sterczącego penisa.

Zamruczał radośnie.

– Tak...

Masowała go delikatnie.

– Tak... – powtórzył. – Szybciej...

Posłuchała.

– Szybciej!

Wykonała kilka gwałtownych ruchów. Poczowała, jak ciało mężczyzny się naprężyło.

On sam jęknął kilka razy głośno, aż echo odbiło się od sufitu i wróciło do nich, potęgując głos.

– Byłaś cudowna... – szepnął.

Chciał ją pocałować w usta, ale udało jej się zręcznie uchylić. Podała mu rękę.

– Pomóż mi wyjść z basenu – powiedziała.

Nie potrzebowała jego wsparcia, ale chciała odwrócić jego uwagę.

Wdrapali się po schodach. Sięgnęła po jeden ze świeżych ręczników, on od razu uwalil się na leżaku.

Zanim wytarła głowę, Bernat już spał.

Ona też przymknęła na chwilę oczy. Potem je otworzyła, rozglądając się dokoła. Spojrzała na drzwi wiodące do przedpokoju. Już miała ruszyć w ich kierunku, kiedy nagle zmieniła zdanie.

Rzuciła ręcznik na posadzkę, podeszła do krawędzi basenu.

Wyciągnęła ramiona.

Skoczyła.

Kiedy smukłe palce jej dłoni przecięły taflę i zaraz potem całe ciało znalazło się pod powierzchnią, nic wokół się dla niej nie liczyło.

Rozdział 11

Wtorek 23 września 2031

Oczyszczalnia ścieków należała do obiektów o strategicznym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa i jako taki była nadzorowana przez liczne agendy rządowe, w tym wojsko, SBP oraz Departament Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli. Ten ostatni odpowiadał między innymi za comiesięczne badania pracowników oczyszczalni na wykrywaczu kłamstw.

Ponieważ dzień wolny na takie badanie nie przysługiwał, Krzyk musiał wziąć urlop, jeden z czternastu dni, jakimi dysponował w trakcie roku kalendarzowego. Sesja na wariografie była stresująca, tym bardziej że oblanie jej trzeci raz z rzędu skutkowało zwolnieniem dyscyplinarnym.

Krzyk poprzednią zdał bez większych problemów, teraz więc nie musiał się niczego obawiać. Przynajmniej teoretycznie, w praktyce bowiem nigdy nie było wiadomo, czy obywatel przekraczający próg Departamentu tego samego dnia wróci do domu, czy też ślad po nim zaginie.

Jedynym pocieszeniem był dla niego fakt, że od poprzedniego kwartału jego przesłuchania prowadził Jacek Bilski – na co dzień zastępca naczelnika wydziału walki z bandytyzmem Departamentu – człowiek, z którym znał się jeszcze z czasów nauki w szkole średniej. Można było powiedzieć, że wtedy łączyła ich dość bliska znajomość, może nawet coś na kształt przyjaźni. Po maturze stracili kontakt, głównie z tego powodu, że studiowali w innych miastach. Dopiero po wojnie mieli okazję znów się zobaczyć, choć role, jakie wtedy pełnili, diametralni się od siebie różniły. Krzyk znalazł się w gronie osób o najniższym statusie społecznym, za to Bilski piął się w urzędniczej hierarchii, zapewniając sobie i rodzinie spokojny byt.

Po trzygodzinnym oczekiwaniu na badanie, Krzyka wreszcie wezwano do gabinetu.

Bilski machnął na powitanie ręką, po czym wskazał nią krzesło stojące przy stole zastawionym skomplikowaną aparaturą.

– Co u ciebie? – spytał.

– Znów obcięto nam dzienny przydział rodzinny...

Urzędnik nie znał tego problemu. Jako obywatela pierwszej kategorii żadne limity go nie obowiązywały.

– Taka jest konieczność – stwierdził krótko. – Linia naszej Partii jest słuszna. Musimy być ufni w to, że tymczasowe niedogodności pozwolą nam jako całemu społeczeństwu przejść przez ten trudny czas.

Niedogodności? – Krzyk spojrział na zgrzewkę półtoralitrowych butelek stojącą pod ścianą. To było więcej niż jego obecny tygodniowy zapas! Miał ochotę wyrzесzczеć to znajomemu w twarz, trzepnąć go pięścią raz, potem drugi i na koniec rzucić, że się przejęzyczył, że na pewno chodziło mu o nierówności, ale wiedział, że gdyby tak zrobił, więcej nie zobaczyłby Nikoli na oczy.

Bilski źle zinterpretował milczenie gościa.

– Partia wie najlepiej, co jest dla nas dobre – powiedział, uśmiechając się pogodnie.

On naprawdę wierzy w to, co mówi – pomyślał Krzyk. A może tylko świetnie udaje?

– Partia wie najlepiej, co jest dla nas dobre – powtórzył Bilski.

Partia wie najlepiej, co jest dobre dla niej! – wrzasnął Krzyk w myślach, a na głos powiedział:

– Chyba wiesz, co mówisz. Twoja kariera toczy się w oszałamiającym tempie. Jak ty to robisz?

Bilski był mile polechtany komplementem.

– Zawsze mów to, co inni, wyżej postawieni od ciebie, chcą usłyszeć – wyjaśnił. – To najlepszy sposób na zrobienie kariery w tym kraju. I pewnie nie tylko w tym.

– A gdzie tu miejsce na własne przemyślenia?

Naczelnik skrzywił się, jakby właśnie wziął do ust gotowane ziemniaki, które ktoś zapomniał posolić.

– Własne, co?

– Własne przemyślenia – powiedział Krzyk raz jeszcze. – Gdyby nie ludzie, którzy działali na przekór innym, do dziś nie wyszlibyśmy z jaskini.

– Pieprzysz od rzeczy! Te czasy minęły z zakończeniem wojny. Teraz liczy się społeczeństwo, nie jednostka. Jako ludzkość przetrwamy tylko wtedy, jeśli celem nadrzędnym będzie państwo, nie jego element składowy.

Krzyk pożałował, że podjął temat.

– Świata w pojedynkę nie zmienisz – mówił Bilski dalej.

– Ja próbowałem – rzekł. I to był błąd. Chyba największy, jaki popełniłem w życiu... – dodał w głowie.

Bilski popatrzył na niego ze współczuciem.

– I widzisz, jak się to tragicznie skończyło? Byłeś bohaterem. Ustawiały się do ciebie kolejki po autografy. Jeździłeś z odczytami do przedszkoli. Po co było to wszystko burzyć?

– Sam się czasem zastanawiam...

– A widzisz! Jako weterani wojenni mieliśmy przed sobą otwarte drzwi. Ja w nie wszedłem, ty zatrzęsnałeś je sobie przed nosem.

– Ale przynajmniej się nie sprzedałem, tak jak...

– Nie kończ! – Przerwał mu gwałtownie. – Gdyby nie to, że mnie wtedy uratowałaś, przypierdoliłbym ci teraz w ryja.

Krzyk podniósł obie ręce do góry w geście przeprosin.

– Nie powinienem – rzekł cicho. – Mam za sobą ciężki okres... Nie wiem, co gadam...

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Co u Ady?

– Wszystko dobrze – skłamał bez mrugnięcia okiem.

Przecież nie mógł mu powiedzieć prawdy. Znali się od lat, może nawet wciąż trochę lubili. Ale teraz stali po dwóch różnych stronach barykady. To nie był czas ani miejsce na to, aby spowiadać się z własnego życia rodzinnego.

Poza tym, co by mu powiedział? Że od czasu ich ostatniej rozmowy doszedł do wniosku, że małżeństwo z Adą to fikcja? Że już wiedział, że rozpad zaczął się tego dnia, kiedy podjął tamtą decyzję? Że pewnie Ada, gdyby tylko miała taką możliwość, wystąpiłaby o rozwód?

Zresztą, nie miał w tej chwili ochoty myśleć o pracy, kiepskim mieszkaniu, beznadziejnym statusie społecznym i żonie, która przestała go najwyraźniej kochać, za to zaczynała nienawidzić – inna rzecz, że chyba sobie na to zasłużył –

chciał mieć czysty umysł, po to, aby móc cieszyć się szczęściem. Wiedział, że za chwilę napije się do woli.

Bilski wstał zza biurka.

– Musimy rozpocząć sesję – wyjaśnił.

Podszedł do stolika, zaczął włączać kolejne urządzenia. Na koniec uruchomił rejestrowanie obrazu i dźwięku.

– Sesja numer sto dwadzieścia jeden na dziewięć na trzydzieści jeden na trzysta pięćdziesiąt osiem – mówił wolno, niemal majestatycznie. – Czy obywatel o numerze identyfikacyjnym cztery jeden dziewięć siedem osiem jeden jeden pojawił się na badaniu, uzupełniwszy poziom płynów do wymaganego minimum?

Krzyk wiedział doskonale, że każdy urzędnik wykorzystujący wariograf do badań musiał zadać to pytanie. Producent sprzętu nie udzielał bowiem gwarancji w przypadkach, kiedy badany odczuwał dyskomfort spowodowany pragnieniem. Jego reakcje mogły być zafałszowane, a tym samym mogły zaburzać prawidłowość interpretowanych wyników. To dlatego jednocześnie nienawidził i uwielbiał comiesięczne sesje.

– Z żalem ubolewam, ale ze względu na zmniejszone dzienne limity rodzinne nie miałem możliwości uzupełnienia płynów do wymaganego minimum i z tego powodu odczuwam wzmożone pragnienie.

– Badany otrzymuje półlitrową butelkę.

Krzyk wziął z rąk znajomego naczynie, odkręcił zamknięcie, zaczął pić.

– Jak się czujecie teraz? – spytał Bilski.

– Wciąż odczuwam wzmożone pragnienie.

Urzędnik podał drugą butelkę. Zaraz potem ceremonia się powtórzyła i wręczył Krzykowi trzecią.

Kiedy ten ją oddał – opróżniwszy prawie do ostatniej kropli – zawahał się.

– Nie wiem, czy uzyskałem już odpowiedni poziom płynów – powiedział.

Bilski zrobił groźną minę.

– Janek, nie przeginaj, dobrze?

Krzyk wiedział, kiedy należy przestać.

– Pragnienie już mi nie dokucza. Czy mam powtórzyć do mikrofonu?

– Nie trzeba – odparł urzędnik. – Dobrze wiesz, że sprzęt jest tak czuły, że wykryje mruganie powiekami.

Krzyk westchnął, gotując się do zadania pytania. Chciał zyskać trochę na czasie. Wiedział, co zaraz nastąpi, podobnie jak miał pojęcie, że nic go od tego nie uchroni. Podświadomie jednak próbował zrobić wszystko, aby choć trochę odwlec to w czasie.

– Czy tę część z uzupełnianiem płynów musimy zawsze nagrywać?

– Dobrze wiesz, że tak – rzucił Bilski urażony. – Takie są procedury!

Krzyk spiął się w sobie, czekając na kolejne polecenie.

W tym czasie naczelnik wrócił za swoje biurko.

– Rozbieraj się – polecił.

Krzyk zaczął zdejmować po kolei części garderoby. Ostatnie przez oparcie krzesła przewiesił skarpetki i slipy. Zajął miejsce na siedzisku, zaraz potem kilkanaście mechanicznych ramion przystawiło do jego ciała niezliczoną liczbę czujników.

– Pytanie numer jeden: jakie choroby przebyłeś od ostatniego badania kontrolnego?

Krzyk wiedział, że musi odpowiadać od razu. Tutaj nie było szansy na używanie triku wypracowanego dawno temu, który pozwalał na zyskanie cennych sekund do namysłu. Tym razem nie wchodziło w grę żadne: momencik... w zasadzie... na dobrą sprawę...

– Żadnej – odparł.

Brzęczyk zasygnalizował, że obsługujące aparaturę SYCO zakwalifikowało odpowiedź jako niewłaściwą.

Bilski spojrział na wirtualny ekran swojego komputera.

– To kłamstwo – powiedział obojętnym głosem. – Dwa dni po ostatnim badaniu na wariografie miałeś podwyższoną temperaturę.

– Ale to było niecałe trzydzieści siedem koma jeden! – zaprotestował Krzyk. Pamiętał tamten pomiar dokładnie. Nie wpuścili go wtedy do apteki i musiał błagać Adę, żeby zrobiła zakupy w jego imieniu.

Urzędnik cały czas wpatrywał się w akta petenta.

– To jest nieistotne. Przekroczyłeś dopuszczalny próg.

– Nic mi nie dolegało! – bronił się dalej.

– System zakwalifikował to jako przeziębienie pierwszego stopnia, a to, zgodnie z procedurami, podlega zgłoszeniu do Rejestru Chorób i Dolegliwości Obywateli.

– Nie miałem nawet kataru...

– To jest nieistotne. Zgodnie z przepisami prawa masz obowiązek wskazać ten fakt podczas badania na wariografie.

Krzyk zamknął na chwilę oczy.

Naczelnik wykorzystał ten czas, aby zaznaczyć odpowiednią pozycję w aktach osobowych.

– Wiesz doskonale, co grozi za zatajenie prawdy? – spytał.

– Jak wysoka będzie kara? – Krzyk odpowiedział pytaniem na pytanie.

Bilski sprawdził coś w systemie.

– Zmniejszenie dziennego przydziału rodzinnego o dziesięć procent na okres dwudziestu czterech godzin – powiedział.

Dzięki Bogu, że wcisnąłem w siebie aż trzy butelki! – pomyślał Krzyk.

Urzędnik przeszedł do dalszych punktów na liście. Pytał kolejno o wykonywane obowiązki w pracy, relacje z kolegami i przełożonymi, przekazywane przez nich informacje. Oddzielną pulę stanowiły pytania dotyczące treści Dziennika Wieczornego. Był niezwykle szczegółowe, bardzo często podchwytliwe. Przez tę część mógł przebrnąć tylko ten badany, który z uwagą oglądał wszystkie obowiązkowe wydania.

– Na razie idzie nam dobrze... – powiedział Bilski.

Na razie? – Krzyk się zdziwił. W tym miejscu lista pytań zawsze się kończyła, teraz jednak znajomy z dawnej klasy cały czas wpatrywał się w wirtualny ekran.

Jakby na zawołanie, Bilski spojrzał na badanego.

– Przyszły nowe wytyczne – wyjaśnił. – Od kilku dni mamy dodatkowy zestaw pytań.

– Aha...

– Tętno ci przyśpieszyło.

– Boję się nowych pytań – odpowiedział Krzyk zgodnie z prawdą. Limit dopuszczalnych błędów na badanie już wyczerpał. Jeśli dodatkowa pula pytań nie zwiększała go, musiał mieć się na baczności. Kolejna zła odpowiedź oznaczała

dalsze – i to o wiele bardziej dotkliwe – obniżenie dziennego limitu rodzinnego, a w najgorszym przypadku utratę pracy lub nawet aresztowanie.

– Pytanie sto czterdzieści osiem – powiedział Bilski. – Czy gdybyś miał gwarancję bezkarności, wziąłbyś udział w spisku mającym na celu zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Demokratycznej?

Krzyk zawahał się na ułamek sekundy, zaraz potem zmusił się do reakcji. Dalsza zwłoka nie miała sensu, SYCO i tak potraktowałoby ją jak błąd.

– Tak.

Odpowiedź wprawiła Bilskiego w osłupienie. Chwilę trwało, zanim zareagował i przeszedł do kolejnego pytania.

– Pytanie sto czterdzieści dziewięć. Czy planujesz wziąć udział w spisku mającym na celu zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Demokratycznej?

– Nie.

– Pytanie sto pięćdziesiąt. Czy znasz kogoś, kto planuje wziąć udział w spisku mającym na celu zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Demokratycznej?

– Nie.

Urzędnik kliknął koniuszkiem palca w wirtualny ekran.

– Koniec sesji – rzekł. – Możesz się ubrać.

Wstał zza biurka, podszedł do stołu, zaczął wyłączać aparaturę, zaczynając od rejestratora dźwięku i obrazu.

– Zostaliśmy sami – powiedział, pstrykając kolejnym przełącznikiem.

Krzyk założył majtki, potem skarpetki. Sięgnął po spodnie.

– Zdziwiłeś się, kiedy na pierwsze dodatkowe pytanie odpowiedziałem twierdząco...

– Wszyscy badani, którzy mieli sesję z nową listą pytań, mówili: nie.

– Co pokazał im wariograf? – spytał Krzyk.

– Że kłamali.

– A co pokazał, kiedy ja odpowiedziałem: tak?

– Że mówisz prawdę.

– Czyli wychodzi na jedno? Oni kłamali, mówiąc: nie. Ja powiedziałem prawdę, przyznając, że: tak.

Bilski spojrział na niego z powątpiewaniem.

– To nie tak. – Pokręcił z powątpiewaniem głową. – Powiem ci coś, ale to musi zostać między nami...

Krzyk już wiedział, że kolega z klasy nie ma dla niego dobrych wieści. Ale i tak chciał wiedzieć, o co chodzi.

– Mów.

– Mimo że efekt końcowy jest taki sam, to jednak ta twoja szczerą odpowiedź może ci napytać biedy.

– Przecież, gdybym skłamał, to wariograf i tak by to wychwytał.

– Gdy ktoś chce coś zrobić, ale próbuje to ukryć przed władzą, to przecież niejako próbuje też ukryć to przed samym sobą. A to oznacza, że tak naprawdę nie chce tego zrobić. I to jest istotne! – emocjonował się. – Co innego, gdy obywatel wprost przyznaje się do niecznych zamiarów.

– Przecież ja nie chcę niczego zrobić! – jęknął Krzyk. – To było tylko pytanie hipotetyczne!

Bilski zamierzał ściszyć głos, choć nie było to potrzebne. Gabinety zajmowane przez osoby o jego statusie nie miały zamontowanej aparatury podsłuchowej.

– Ostrzegam cię tylko dlatego, że mam u ciebie dług wdzięczności – powiedział cicho. – Musisz liczyć się z tym, że zostanie wobec ciebie wszczęte oficjalne śledztwo.

– Coś mi grozi?

– Teoretycznie nie.

– A praktycznie?

Urzędnik przez chwilę dobierał w myślach słowa.

– Każdy człowiek jest winny czegoś – wyjaśnił.

Krzyk spojrział mu prosto w oczy, jakby chciał w nich wyczytać coś więcej.

Bilski wytrzymał spojrzenie.

– Nie mów mi, że ty nie – rzekł twardo.

Krzyk pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Każdy człowiek jest winny czegoś – powtórzył Bilski. – Ty też.

Rozdział 12

Tego dnia Ada miała dzienną zmianę, dlatego to na Krzyka spadł obowiązek uczestnictwa w zdalnym nauczaniu córki. Zgodnie z planem lekcje miała w godzinach okołopołudniowych, dlatego też jedynym wyjściem był wniosek do prezesa oczyszczalni o zgodę na podzielenie dnia pracy na dwie części. Z tego powodu praktycznie całą dobę spędzi na dotarciu do roboty, w oczyszczalni i na lekcjach online, ale innego wyboru nie było, jeśli nie chciał ryzykować wyrzucenia Maliny ze szkoły i skierowania do placówki resocjalizacyjnej.

Pędził zatem na Słowacką na złamanie karku, żeby tylko zdążyć zalogować się na konto rodzica i w ten sposób potwierdzić swój udział w zdalnym nauczaniu. Udało się w ostatniej chwili, czego Nikola nie omieszkała zauważyć.

– Mógłbyś się nie spóźniać na lekcje – powiedziała kąśliwie.

Zanim odpowiedział, wykonał kilka wdechów i wydechów, aby uspokoić tętno. Bycie ojcem nastolatki to najbardziej wyczerpująca i męcząca praca na świecie. I jeszcze to oszukiwanie, że wreszcie przyjdzie ten dzień, kiedy dziecko doceni te wszystkie wyrzeczenia rodziców ponoszone po to, aby je wychować i zapewnić mu byt.

– Malina, przecież została jeszcze minuta – wysapał.

– Nauczyciel biologii czasami zaczyna wcześniej.

Ostatni odcinek musiał biec, więc skronie jeszcze pulsowały rytmicznie.

– To jego problem – rzekł.

– Nie, tato – rzuciła smutno. – To nasz problem. Mój i twój.

Nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

– Idę się przebrać. Jakby co, będę w drugim pokoju.

Z jednej strony zachowanie Nikoli go irytowało, z drugiej cieszył się, że może spędzić z nią chwilę w ciągu dnia. Już dawno temu nauczył się czerpać radość z takich drobiazgów. Wystarczyło uświadomić sobie to, że nie wszyscy obywatele trzeciej i czwartej kategorii wrócą dzisiaj do domów. Ostatnimi czasy przez enklawę przetaczała się fala aresztowań, wszystko z powodu zbliżających się

wyborów prezydenckich. Jeśli zatem on miał to szczęście, nie mógł narzekać na los.

Wszedł do łazienki i stanął w rozkroku przed sedesem. Gdy tylko podniósł deskę, do jego nozdrzy doleciał smród. Mimo że był do czegoś takiego przyzwyczajony w pracy, to jednak w domu to mu przeszkadzało. Chociaż tego dnia był w tak dobrym nastroju, że mógł zobaczyć Nikolę, że fetor nie wydawał się nawet tak okropny.

Rozpiął rozporek i guzik, ściągnął spodnie, potem slipy w taki sposób, aby nie dotykać palcami penisa.

Jeśli zmniejszą dzienny przydział rodzinny do celów sanitarnych, to wkrótce nawet nie będzie jak splukać kupy i będziemy biegać na trawnik – westchnął w myślach.

Wysikał się, wcisnął spluczkę i zaraz potem ją przystopował, licząc, że ta odrobina wystarczy.

Wyszedł z łazienki. W przypadku dzielonej zmiany dodatkowy prysznic nie przysługiwał, dlatego Krzyk nie skorzystał z łóżka w sypialni. Poszedł do salonu, na dużym dywanie rozłożył folię malarską i dopiero wtedy mógł się położyć, nie musząc się obawiać tego, że nieprzyjemny zapach z ubrania zostanie w mieszkaniu na dłużej.

Był potwornie zmęczony. Kilka sekund po tym, jak opuścił powieki, już spał.

*

W tym czasie Nikola brała już udział w lekcji biologii, chociaż sformułowanie to było nieco na wyrost, jako że męczyło ją ogromne pragnienie, przez co nie mogła się skupić na zadaniach. Tego poranka po przebudzeniu wypila pół jedynej butelki z przydziału, resztę jeszcze przed rozpoczęciem zdalnych lekcji. I teraz, zamiast myśleć o cytoplazmie, mitochondriach i innych składowych elementach komórek zwierzęcych, oczami wyobraźni widziała górski potok.

Takie zachowanie nie mogło ujść uwadze SYCO nadzorującemu pracę uczniów.

– Nikola, nie patrzysz w tę część ekranu, co należy – odezwał się nauczyciel.

Dziewczyna wiedziała, że system wykrywa ruchy gałek ocznych dzięki kamerze, nie miała więc co zmyślać.

- Tylko na chwilę oderwałam wzrok...
 - Wiesz przecież, że to niedopuszczalne. – Nie odpuszczał.
 - Ale ja mam problemy z oczami – wyjaśniła zgodnie z prawdą. – Są przesuszone, łzawią... Nie mogę cały czas wpatrywać się w jeden punkt ekranu.
 - Problemy z oczami mają wszyscy uczniowie – skwitował. – Zbyt często je mrużysz. SYCO uznaje to za unikanie nauki.
 - Ale ja muszę tak robić – jęknęła. – Bolą mnie oczy...
 - Masz zaświadczenie od okulisty? – spytał nauczyciel.
 - Nie mam.
 - To musisz mieć.
 - Ale na wizytę zapisano mnie dopiero na trzydziesty czwarty rok. – Westchnęła. – Za trzy lata...
 - Idź prywatnie.
 - Czwartakom wizyty prywatne nie przysługują – rzekła kwaśno. – Tylko na kasę chorych, a tam są długie terminy.
 - Zapomniałem. W takim razie, jeśli nie chcesz mieć niezaliczonych lekcji, musisz bardziej się postarać.
- Nikola czuła, że dalsza wymiana zdań nie ma sensu.
- Dobrze, postaram się – rzuciła cicho.
- Nauczyciel był wyraźnie zadowolony.
- Kończymy biologię i przechodzimy do matematyki – powiedział radośnie. – Zaczniemy od zadania dla tych uczniów, którzy będą mieć rozszerzoną matematykę na maturze. Oczywiście pozostali też mogą brać udział w ćwiczeniu.
- Dziewczyna miała zdawać matmę na egzaminie dojrzałości, dlatego wzmocniła czujność.
- Uwaga, skupcie się! – Nauczyciel udostępnił ekran swojego wirtualnego komputera. – Widzimy trzy prostokąty.
- Nikola zobaczyła je na swoim monitorze.
- Prostokąt oznaczony literą A i kolorem zielonym ma dwadzieścia jeden centymetrów kwadratowych powierzchni – rzekł nauczyciel.
- Spojrzała na wskazaną figurę.

– Prostokąt oznaczony literą B i kolorem czerwonym ma dwanaście centymetrów kwadratowych powierzchni – mówił dalej.

Widziała go.

– Prostokąt oznaczony literą C i kolorem niebieskim ma sześć centymetrów kwadratowych powierzchni – perorował nauczyciel.

Przesunęła się na krześle, aby kolory nabrały wyrazistości.

– Zastanówcie się, który z pokazanych prostokątów ma największą powierzchnię, a który najmniejszą – powiedział nauczyciel. – Nie śpieszcie się, macie trzy minuty czasu. Przypominam, że podczas ćwiczeń na ocenę nie wolno korzystać z pomocy naukowych ani wymieniać się informacjami na czacie lub za pomocą wirtualfona. Czy treść polecenia jest jasna?

Kilka osób zgłosiło swoje wątpliwości, ale Nikola już ich nie słuchała, była pochłonięta zadaniem.

*

Na kolejnej lekcji był język polski, potem religia, na koniec – jak zawsze w ten dzień tygodnia – historia. Ten przedmiot Nikola lubiła najbardziej, uwielbiała opowieści o tym, jak było dawniej, kilkanaście lat przed wojną, kiedy ludzie mogli bez przeszkód podróżować po całym świecie. Czekwała też zawsze na ostatnie zadanie, jako że historyk zwykle przyjemnie ją czymś zaskakiwał.

Nie inaczej było tym razem.

– Tato!

Krzyk się obudził. Spojrzał na córkę stojącą w drzwiach salonu.

– Lekcje już się skończyły? – spytał półprzytomnie.

– Jeszcze ostatnie zadanie z historii.

– To je zrób.

– Potrzebuję pomocy.

Usiadł na folii, masując zdrętwiały kark.

– Przecież wiesz, że rodzicom nie wolno odrabiać zadań za dzieci – powiedział.

– Nie o to chodzi – rzuciła zdenerwowana. – Mam zaprezentować jakiś przedmiot związany z historią naszej rodziny.

Krzyk był zbyt zaspany, aby zrozumieć.

Nikoła postanowiła postawić sprawę jasno

– Gdzie mama chowa tę broszkę po twojej babci? – spytała.

– Broszkę?

– Tę piękną broszkę robioną ręcznie.

Wreszcie zaskoczył.

– Chyba w którejś szufladzie komody.

Radość na twarzy dziewczyny ustąpiła zatroskaniu.

– Ale mama zamyka wszystkie szuflady na klucz.

– Zapasowy znajdziesz w szafce z licznikiem prądu.

Już jej nie było.

– Nara! – krzyknęła z przedpokoju.

Wróciła po kwadransie, wyraźnie z czegoś zadowolona.

– Dzięki!

– Za co?

– Za to, że mi powiedziałaś, gdzie jest ta broszka. Dostałam celujący!

Uśmiechnął się szeroko.

– Gratuluję. A teraz muszę zbierać się do pracy.

Nagle spoważniała.

Znał ten wyraz twarzy. Wiedział, że Nikoła coś kombinuje.

– Co się stało? – spytał.

– Chciałam pójść na spacer z Maćkiem.

Krzyk miał wrażenie, że jego serce zaczęło szybciej bić. Wybierała się na spacer z chłopakiem! Jeszcze kilka miesięcy temu w życiu by o tym nie pomyślał. Teraz co prawda czuł stres, ale też wiedział, że córka musi zacząć spotykać się z chłopcami. W szkole praktycznie nie miała z nimi kontaktu. W klasach siedziało zawsze tylko kilka osób, dwie, czasem trzy, same dziewczyny. Jeśli już trafił się jakiś uczeń – to z innej klasy i w innym pomieszczeniu. Na przerwach też nie było okazji do rozmowy, bo dziewczęta spędzały je na własnym korytarzu, bez dostępu do chłopców. Tylko w czasie wolnym można było nauczyć się tego, czego w jego czasach uczyła szkoła.

– Zarejestrowaliście się w systemie?

– Tak. Mamy promesę na pół godziny – potwierdziła. – Ale brakuje mi punktów...

Spotkania pomiędzy osobami spoza rodziny w grupie większej niż dwie musiały być rejestrowane z co najmniej trzydniowym wyprzedzeniem. Należało też uzyskać zgodę SYCO. Przy dwóch osobach aż takie restrykcje nie obowiązywały, ale trzeba było wykazać się odpowiednim zasobem na koncie Systemu Punktacji Zachowania.

– Ilu?

– Jeszcze sześciu.

– A Maciek?

– Ma pełną pulę.

– Kiedy chcecie iść na ten spacer?

– Dzisiaj popołudniu.

– Chyba najprościej będzie, jeśli zamówisz jakąś książkę z listy lektur premiowanych.

Nikola się skrzywiła.

– Ale tam są same nudy...

Krzyk musiał się śpieszyć do pracy, nie miał czasu na targi.

– Chcesz iść z tym chłopcem na spacer czy nie?

– Chcę.

– To wypożycz od razu dwie książki, może system wydłuży wam czas o kwadrans.

– Byłoby super!

Pogroził córce palcem.

– Ale pamiętaj, że jak już je wypożyczysz, to musisz przeczytać, żeby zdać test końcowy. Inaczej następnym razem SYCO może ci zablokować spacer.

Rzuciła mu się na szyję.

– Dzięki, tato!

– Tylko odnieś broszkę na miejsce – przypomniał. – Inaczej matka się wścieknie. Ja w tym czasie pójdę się wylogować ze swojego konta.

Poszedł, przyłożył opaskę do czytnika. Wszedł do przedpokoju, sięgnął po buty.

– Tato!

Krzyk Nikoli dobiegał z sypialni rodziców.

– Tato, chodź!

W drodze do pokoju spojrzął na zegarek. Jeśli chciał zdążyć do roboty, musiał się zbierać!

– Czego się tak drzesz?

– Nie drę się, tylko cię wołam.

– To wołaj tak, żeby cię nie słyszeli dwie klatki dalej – prychnął.

– Nie ma sprawy – obruszyła się. – Na drugi raz cię nie zawołam.

– O co chodzi?

Prawą dłonią uniosła kawałek srebrnej tkaniny. Chwyliła za materiał drugą ręką, rozłożyła go tak, jakby chciała powiesić na wieszaku.

– Co to takiego? – spytała.

Nie odpowiedział od razu, tak bardzo był zaskoczony. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział żonę w czymś takim. To musiało być przed wojną.

– Strój kąpielowy – rzekł po chwili.

– Ekstra, co nie?!

Potaknął machinalnie.

– Chociaż trochę skąpy – powiedziała.

– I to bardzo – potwierdził bez zastanowienia. Jeśli strój coś zakrywał, to najwyżej samą szparkę i sutki.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam...

– Mama od dawna go nie używa... – odpowiedział ostrożnie. Sam nie kojarzył całej garderoby Ady, ale jednego był pewien: nigdy nie miała takiego wyzywającego stroju. To nie był komplet, jaki mężowie kupują swoim żonom, co najwyżej kochankom.

Albo dziwkom.

– Jak mama wróci, to spytam, czy mi kiedyś też taki kupi – zaszczębiotała Nikola radośnie.

– Malina... – zawahał się. Wiedział, że musi powściągliwie dobierać słowa. –
Lepiej nie mów mamie, że to widziałaś.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się.

Szybko znalazł wyjaśnienie, które powinno jej wystarczyć.

– Bo nie lubi, jak ktoś grzebie w jej rzeczach, prawda?

Córka była wyraźnie niepokieszona.

– Niech ci będzie – westchnęła.

– Odłóż strój dokładnie w to samo miejsce, z którego go wzięłaś.

– Jasne.

Krzyk ruszył w kierunku drzwi.

– Muszę wracać do roboty.

Machnęła radośnie dłonią.

– Do wieczora! A pogramy, jak wrócisz?

– Jeśli wrócę o normalnej porze, to tak – zapewnił, chociaż w tej chwili w głowie układał sobie zupełnie inny plan. Najchętniej po powrocie wyjąłby kusy strój z komody, poprosiłby Adę na stronę i pokazał go, pytając, skąd ma to kurewstwo, bacznie rejestrując przy tym jej reakcję.

Coś mu podpowiadało, żeby tego jednak nie robić.

Rozdział 13

Środa 24 września 2031

Gabinet Medyni był przestronny, ale za to skromnie wyposażony. Jemu wystarczało biurko, szafa na archiwalne dokumenty wytworzone w wersji papierowej, fotel do pracy przy komputerze, dwa krzesła – jedno niewygodne dla przesłuchiwanym, drugie dla niego samego – i ukochana paprotka, do której potrafił prawić godzinne monologi.

Właśnie skończył unizony list będący odpowiedzią na skargę Pierwszaka, którego syna jeden z funkcjonariuszy SBP nieopatrznie poturbował, myśląc go z poszukiwanym małoletnim czwartej kategorii.

Postawił ostatnią kropkę, wysłał wiadomość, po czym sięgnął po butelkę. Otworzył ją, wypił duszkiem połowę, patrząc przy tym na dwie ramki stojące na biurku. W jednej trzymał starą fotografię z czasów przedwojennych, kiedy z żoną i synem wypoczywali w Karpaczu na nartach. W drugiej tkwiła praca synka z przedszkola: nad nieforemnym domkiem wisiało równie niezgrabne słońce, a obok stały trzy postacie z rozczapierzonymi rękoma i nogami: rodzina w komplecie.

Uśmiechnął się na myśl o powrocie do domu. Przed nim były jeszcze tylko dwa przesłuchania i mógł kończyć pięciogodzinną zmianę.

Chcąc ten moment przyspieszyć, wcisnął guzik interkomu.

– Przeprowadzić kolejnego zatrzymanego z listy – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Kilka minut później w drzwiach pojawiła się łysa głowa jakiegoś nastolatka, a zaraz po niej kapitan Patryk Wicha ze swoją zmierzwioną czupryną.

– Dawajcie go – rzucił Medynia.

Wicha pchnął chłopaka, po czym posadził go na krześle, aż ten jęknął.

– Matka czeka na korytarzu – powiedział.

– Niech czeka – rzekł Medynia.

– Mówiła o prawie do obecności podczas przesłuchania małoletniego.

– Mówiła coś o prawie? – Uśmiechnął się w taki sposób, że chłopaka przeszyły dreszcze. – Powiedzcie jej, że w tym gabinecie prawo stanowią ja.

– Przekażę.

Medynia spojrzał na podwładnego. Wicha był tylko trzy lata młodszy od niego, a dochrapał się zaledwie kapitana. Ale czy mogło stać się inaczej, skoro był głupi jak but, a jego jedyną zaletą było bezwzględne posłuszeństwo przełożonym? Nawet w SBP to było za mało, aby sprawnie piąć się po szczeblach kariery.

– Tylko nie zapomnijcie.

– Nie zapomnę.

– Jak zapomnicie, to wam dupę skopię.

Wicha nie skomentował, po zachowaniu szefa wnioskował, że teraz lepiej nie wchodzić mu w drogę. Zniknął w drzwiach, ostrożnie je za sobą zamykając.

Medynia stanął za krzesłem, na którym siedział chłopak. Nachylił się nad jego głową, przysunął usta do ucha.

– Mój czas jest cenny, dlatego lepiej dla ciebie będzie, jak pójdzie szybko – zaczął mówić. – System oskarżył cię o notoryczne łamanie dystansu społecznego z małoletnią o numerze identyfikacyjnym cztery dwa zero jeden sześć zero jeden. Konto w Systemie Punktacji Zachowania masz puste od trzech miesięcy. Wiesz, jak mówimy na takich, jak ty?

Zatrzymany pokręcił przecząco głową.

– Element społecznie niebezpieczny! – wrzasnął.

Chłopak krzyknął z bólu, podrywając się z krzesła.

Medynia brutalnie posadził go z powrotem.

– Siad! – warknął.

Okrążył zatrzymanego. Stanął przed nim twarzą w twarz.

– Do tego dochodzi jeszcze dwukrotne manipulowanie przy opasce...

– To nie tak! – zaprotestował. – Ostatni raz zahaczyłem opaską o...

Esbek nie czekał, aż chłopiec skończy. Walnął go na odlew, aż ten spadł z krzesła, nakrywając się nogami. Stanął nad nim, wpatrując się w jego rozbiegane oczy, które zaszklily się łzami.

– Nie kłam – wycedził. – Nie próbuj ze mną pogrywać. Wielu takich, którzy próbowali... – Nie dokończył, wiedział, że w ten sposób jeszcze bardziej gówniarza wystraszy.

Wtem drzwi się otworzyły, do środka wbiegła zadyszana kobieta.

– Jak pan może! – krzyknęła, podbiegając do chłopaka. – To jeszcze dziecko!

– Kto ci pozwolił wejść bez pytania?

Przytuliła syna, nie odpowiedziała od razu.

– Mam prawo być obecna podczas przesłuchania małoletniego – rzuciła dopiero po dłuższej chwili. – Złożę skargę!

– Na co? – spytał Medynia kpiąco. – Nic mu się przecież nie stało...

Pokazała dłonią zaczerwieniony policzek, który już zaczął nabierać ciemniejszego koloru.

– A to?! – powiedziała podniesionym głosem.

Esbek podszedł do drzwi, zamknął je, dopiero potem wrócił do kobiety, która wciąż tuliła syna do piersi.

– Słuchaj, suko... – rzekł ostro. – Jakbym chciał, mógłbym mu spuścić taki wpierdol, że byś go nie poznała i nawet włos by mi za to z głowy nie spadł.

Podniosła się z kolan, pomogła wstać synowi. Chłopak schował się za jej plecami.

– Złożę skargę! – jęknęła. – SYCO wszystko rejestruje!

– SYCO? – Zaśmiał się. – Rejestruje? – Kolejny wybuch śmiechu. – Głupia cipo, rozejrzyj się.

Popatrzyła najpierw na niego, potem nerwowo zaczęła taksować ściany pomieszczenia.

– W moim gabinecie nie ma kamer ani mikrofonów – powiedział Medynia.

Podszedł bliżej kobiety.

– Mogę robić, co chcę – wolno cedził słowa. – Rozumiesz?

Nie czekał na jej reakcję, z zaskoczenia uderzył ją pięścią w splot słoneczny.

Upadła na podłogę, próbując wciągnąć powietrze.

Chłopak skoczył w kierunku Medyni, ale ten był na to przygotowany. Wyprowadził podbródkowy, a kiedy cios dotarł do celu, dzieciak runął

nieprzytomny obok matki cały czas walczącej o oddech.

Esbek podszedł do biurka, włączył interkom.

– Wicha!

Kapitan pojawił się dopiero po dwóch minutach.

– Na rozkaz, panie pułkowniku!

– Za to, że wpuściliście tę pizdę do mojego gabinetu, staniecie przed karnym raportem.

Wicha zmarkotniał, ale szybko przywołał się do porządku.

– Tak jest, panie pułkowniku!

– A teraz zabierzcie stąd te ścierwa.

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Chłopaka zamknijcie na dwa tygodnie do karceru, matkę na miesiąc do obozu. Za kwadrans przyprowadźcie kolejnego więźnia.

– Tak jest, panie pułkowniku!

Wicha chwycił kobietę za bluzkę, wyciągnął na korytarz. Kiedy zaczęła machać rękoma, trzasnął ją w nos, aż trysnęła z niego krew. Potem za nogi wyciągnął z gabinetu jej syna.

*

Kapitan nie był okazem inteligencji, ale przynajmniej wiedział, że polecenia przełożonych należy wykonywać z bezwzględną pieczołowitością. Dokładnie po piętnastu minutach wprowadził więc do gabinetu kolejną osobę.

Tym razem była to kobieta. Z wyglądu jej wiek można było ocenić na dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat. Łysa głowa była pokryta strupami, usta miała spierzchnięte i popękane. Jedyne części garderoby, jakie na sobie miała, były figi i stanik ciasno opinający olbrzymie piersi.

Wicha posadził ją na krześle. Podał pułkownikowi plastikowe opaski, wiedział, że ten lubił osobiście krępować przesłuchiwanym. Potem zniknął za drzwiami.

Medynia podszedł do kobiety, chwycił jedną rękę, wykręcił ją brutalnie, po czym przywiązał ją do oparcia. Następnie tak samo postąpił z drugą. Jęki zatrzymanej tylko go podnieciły.

– Który raz widzimy się w ciągu ostatnich trzech dni? – spytał.

– Nie wiem... – odpowiedziała, zwieszając głowę. – Nie pamiętam.

Podszedł do niej, chwycił za brodę, podniósł ją.

– Kiedy do ciebie mówię, masz mi patrzeć prosto w oczy, jasne?

– Tak... – wyszeptała.

– Widzimy się już szósty raz – odpowiedział za nią. – Jeśli będziesz grzeczna, to będzie już ostatni.

Spojrzała na niego pytająco.

– Przecież wiesz, czego od ciebie chcę – powiedział. – Przyznasz się do winy i będzie po wszystkim.

– Ale ja nic nie zrobiłam... – jęknęła.

– Wydaje ci się, że SYCO mylnie wytypowałoby osobę biorącą udział w spisku?

– Tak! – potaknęła gwałtownie głową. – Ja tylko powiedziałam do koleżanki, że nie podoba mi się kolejna podwyżka...

– Powiedziałaś tak do trzech koleżanek z pracy.

– Te dwie podsłuchiwały!

– Nieistotne. Liczy się fakt, że słyszały, o czym mówiłaś. Przy grupie większej niż dwie osoby mamy do czynienia ze spiskiem.

– Ja nic nie zrobiłam... – Zaczęła szlochać.

Medynia patrzył na jej olbrzymie piersi podskakujące w za małym biustonoszu.

– Znowu kłamiesz – powiedział. – Mamy zeznanie twojego ojca. Wszystko w nim jest.

Przełknęła ślinę. Tatę zabrali cztery dni przed nią. Łudziła się, że do czasu, kiedy przyszli po nią, trafił do obozu lub nie żył. Tylko wtedy nie mogłaby mu bardziej zaszkodzić tym, co zamierzała właśnie powiedzieć.

– On kłamie.

Esbek popatrzył na nią pobłaźliwie.

– On kłamie, a ty mówisz prawdę?

Potwierdziła nerwowym ruchem głowy.

Medynia podszedł do biurka, wziął z niego butelkę. Otworzył ją, wrócił przed krzesło.

– Chce ci się pić?

Pytanie było zupełnie niepotrzebne, doskonale przecież wiedział, że tak. To z jego polecenia zatrzymanej już dwa dni temu wstrzymano podawanie wszelkich płynów.

– Tak... – wychrypiała.

Pociągnął łyk z butelki.

– Rozumiem – powiedział. – Doskonale rozumiem. To musi być straszna męczarnia, tak o suchym pysku...

Spojrzała błagalnie na niego, zaraz potem skierowała wzrok na butelkę, w której wciąż była jeszcze połowa zawartości.

Podniósł ją wyżej, popatrzył na kobietę.

– Hm? – spytał.

Znów gwałtownie potaknęła.

– Chciałabyś się napić?

Jeszcze mocniej potrząsnęła głową.

Podszedł do niej. Przysunął szyjkę butelki do jej ust. Zaczął ją podnosić i wtedy nagle się odsunął. Zrobił w tył zwrot, znalazł się przy biurku. Wylał zawartość naczynia do doniczki.

Spojrzał na kobietę.

Płakała.

– Zlizuj szybko językiem – odpowiedział.

Była tak roztrzęsiona, że nie potrafiła wyciągnąć języka na tyle mocno, aby dotknąć kropel. Uświadomiwszy sobie własną niemoc, zrezygnowana zwiesiła głowę.

– Krępuje cię to, że jesteś tu w samej bieliźnie? – spytał nagle.

Nie odpowiedziała. Bała się każdego słowa.

– Nie musisz się obawiać – powiedział delikatnie.

Cały czas milczała.

– Zastanawiasz się, dlaczego nie musisz się bać?

Nie zareagowała.

– Jesteś taka trochę tłuściutka. – Zaśmiało się grubiańsko. – Jak dla mnie zbyt duży z ciebie grubas. Cycki też masz grube. Mógłbym się nimi trochę pobawić, ale są zbyt nabrzmiałe.

Nagle się zamyślił. Wrócił do biurka, spojrzał na wirtualny ekran.

– Karmisz, to dlatego.

Mysł o dziecku sprawiła, że kobieta jęknęła głośno.

– Pozwólcie mi chociaż na chwilę wrócić do domu i nakarmić małą...

– Najpierw podpisz zeznanie.

– Pozwólcie mi się z nią chociaż pożegnać! – błagała.

– Najpierw zeznanie.

– Najpierw chcę ją zobaczyć!

– Oczekujesz miłosierdzia od społeczeństwa? Od tego samego społeczeństwa, które tak perfidnie oszukiwałaś, udając, że jesteś przykładną obywatelką?

– Powiem wszystko, co każecie! – krzyknęła. – Przyznam się do wszystkiego, tylko pozwólcie mi zobaczyć córeczkę!

Wziął krzesło stojące pod ścianą, postawił przed kobietą oparciem w jej stronę. Usiadł na nim okrakiem. Położył dłonie na oparciu, podtrzymał nimi brodę.

– Powiesz, to prawda – powiedział cicho. – Przyznasz się, to też prawda. Zrobisz to, bo ja tak chcę.

– Dobrze...

Wrócił do biurka, z szuflady wyjął nóż, z blatu zabrał formularz i długopis. Podszedł do kobiety, uwolnił jej ręce. Oczekał, aż przywróciła w nich krążenie, a potem podpisała zeznanie. Następnie znów ją unieruchomił i z powrotem zajął miejsce na swoim krześle.

– Jednak zmieniłem zdanie – rzucił niespodziewanie.

Ostrzem noża zaczął wodzić po linii między piersiami. Czubkiem przeciął stanik, nie przejmując się tym, że zranił skórę, spod której zaczęła kapać krew.

Kobieta z bólu przygryzła wargi.

Ostrzem noża dotknął najpierw jednego sutka, potem drugiego, cały czas zerkał przy tym na jej twarz, czekając na reakcję.

Nagle drugą ręką złapał pierś, chwytając za brodawkę, zaczął ją brutalnie ścisnąć. Od razu wyciekła z niej biała ciecz.

– Chciałabyś się napić? – Zarechotał.

Podciągnął pierś wyżej, jakby chciał ją podać kobiecie.

Ta pochyliła głowę, jak tylko mogła, wysunęła język maksymalnie.

– Masz, pij! – krzyknął.

Wyciągnął pierś jeszcze bardziej, ściskając jednocześnie otoczkę brodawki.

Kiedy język kobiety prawie dotykał kropli mleka, która pojawiła się na sutku, Medynia zwolnił chwyt. Pierś opadła.

– Nic z tego – rzucił triumfalnie.

Kobieta zwiesiła głowę, ostatecznie pokonana.

Podszedł do biurka, przywołał Wichę.

Tym razem kapitan musiał warować pod drzwiami, bo zjawił się natychmiast.

– Tak, panie pułkowniku?

– Wyprowadzić ją.

Wicha zaczął odcinać więzy, wpatrując się w biust.

– Do celi? – spytał.

– Nie – zaprzeczył Medynia. – Obóz. W trybie natychmiastowym.

Kobieta dopiero teraz się ocknęła.

– Nie! – wrzasnęła. – Moje dziecko! Obiecał pan, że jeśli podpiszę, to pozwolicie mi zobaczyć się z moim dzieckiem!

Pułkownik zaśmiał się głośno. Spojrzał znacząco na Wichę.

Kapitan dotknął najpierw lewej piersi kobiety, potem prawej, wodząc po nich opuszkami palców.

– Panie pułkowniku, czy możemy?... – zawiesił pytanie.

– Kto z chłopaków jest jeszcze na zmianie? – zaciekawiał się Medynia.

– Brzozowski i Dudziak.

– Jeśli o mnie chodzi, możecie penitencjarnym przekazać ją dopiero rano.

– Dzięki, szefie... – Nagle urwał. – To znaczy, panie pułkowniku!

Medynia pogroził mu palcem.

– Na noc jest wasza – powiedział. – Ale jest warunek.

– Jaki?

– Nie zagalopujcie się. Drugi raz penitencjarni nie uwierzą, że skazana zmarła w nocy, zakrztusiwszy się własnymi wymiocinami. A nie chcę tu mieć żadnej kontroli, jasne?

– Tak jest, panie pułkowniku!

Wicha był mikrej postury, kobieta była od niego większa, musiał się więc mocno napocić, aby wyciągnąć ją z gabinetu.

Kiedy zamknęły się drzwi, Medynia wrócił za biurko. Chciał jak najszybciej zamknąć komputer i pójść do domu.

Zanim dotknął wirtualnego ekranu, dostrzegł czerwony alert.

SYCO dawało znać, że pojawiła się nowa sprawa. Postanowił, że sprawdzi jeszcze, kogo dotyczy i to będzie na dzisiaj koniec.

Wybrał odpowiednią opcję. Kiedy zobaczył imię i nazwisko podejrzanego, nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Momentalnie zablokował funkcję błyskawicznego przeszukiwania i przełączył na tryb dokładnej analizy. Trwało to znacznie dłużej, ale chciał, żeby SYCO znalazło absolutnie wszystko, co miał na podejrzanego. W takich wypadkach znacznie rosły szanse nie tylko na prewencyjne zatrzymanie obywatela, ale też na wyrok skazujący, którym można pochwalić się w mediach.

Powrót do domu musi poczekać – z tą myślą Medynia rozsiadł się wygodnie w fotelu, otworzył kolejną butelkę, po czym wbił spojrzenie w wirtualny ekran.

SYCO dopiero zaczęło mieć informacje, ale on jedno już wiedział.

To będzie sprawa jego życia.

Rozdział 14

Krzyk wyjął z lodówki margarynę. Preferował prawdziwe masło – co kilka tygodni mogli sobie na nie pozwolić – ale bez obecności Nikoli w mieszkaniu nie mógł na to liczyć, strażnik rewolucji dietetycznej naliczyłby mu zbyt dużą karę za podwyższanie poziomu cholesterolu.

Nie miał więc wyjścia, chleb musiał posmarować margaryną. Zanim na kanapkę położył plasterek mortadeli, dokładnie oblizał nóż i wytarł go do sucha ręczniczką.

Córka miała akurat dzień szkolny, Ada zaś, której tego dnia przysługiwało wolne, wzięła dodatkowy dyżur, aby w ten sposób dorobić i zwiększyć nieco dzienny przydział rodzinny. Wcześniej takie sytuacje zdarzały się rzadko – te z bieżącego roku Krzyk dałby radę policzyć na palcach jednej ręki – dlatego zaczął się zastanawiać, czy w postępowaniu żony nie kryło się jakieś drugie dno? A może po prostu przyjęła taktykę podobną do tej stosowanej przez niego samego: takiego układania sobie zmian w miejscu pracy, aby spędzali ze sobą jak najmniej czasu?

Wziął kęs kanapki i od razu stwierdził, że smakuje obrzydliwie. Nie chodziło nawet o to, że z racji skąpego limitu musiał wpychać ją do ust na sucho, bardziej o to, że jakość mięsa znów się obniżyła. Dawniej mortadela była jednym z ulubionych rodzajów wędlin, chociaż doskonale wiedział, z czego się ją wytwarza. Wtedy jednak producentów żywności obowiązywały chociaż jakieś normy, teraz każdy robił, co chciał, przynajmniej w przypadku dostaw na drugi rynek, bo towary przeznaczone dla Pierwszaków i Drugich miały nieporównywalnie lepszą jakość.

To był też zresztą jeden z powodów, dla których Ada notorycznie czyniła mu wyrzuty. Gdyby nie jego upór, może nie pławiliby się obecnie w luksusach, ale z pewnością funkcjonowałiby na dużo wyższej stopie życiowej.

Nie musiałbyś babrać się w gównach innych ludzi! A ja mogłabym zostać przełożoną pielęgniarek!

Tak właśnie mówiła, kiedy się kłócili, co ostatnio zdarzało się coraz częściej. I co z tego, że w duszy – ale i na głos również – przyznawał żonie rację, skoro tamtego błędu nie dało się już naprawić. Rozumiał jej rozgoryczenie, sam płakał z bezsilności, odbębniając kolejne zmiany w oczyszczalni. O tym, że Ada mogłaby awansować tak wysoko, też był święcie przekonany. Była wprost stworzona do tej pracy: świetne kwalifikacje i duże doświadczenie szły w parze z powołaniem, co dziś było wyjątkiem. Miała też dodatkowy atut: urodę, która wcale nie bladła z wiekiem. Mimo że przekroczyła czterdziestkę, wciąż była ponętna i apetyczna, a faceci oglądali się za nią na ulicy. Przynajmniej ci, którym nie przeszkadzał brak włosów na głowie.

Z tą myślą Krzyk wepchnął do ust ostatnią porcję kanapki. Właśnie to Ada miała mu za złe najbardziej: że przez niego musiała zrezygnować z długich pięknych blond włosów.

To twoja wina, że mamy tak niski dzienny przydział rodzinny!

W tym też miała rację.

Ale co on mógł dziś na to poradzić? Nic... – westchnął. Co mógł żonie powiedzieć? Może to, że wkrótce jej problemy jeszcze się spotęgują? Jeśli SYCO wszczęło śledztwo w jego sprawie, to było tylko kwestią czasu, aż coś znajdzie i zamkną go albo zniknie raz na zawsze. A wtedy Nikola będzie podbierać butelki żonie, nie jemu.

A jeśli Ada zrobi to, czym groziła mu od dawna? Jeżeli któregoś dnia nie wróci z pracy, tylko zacznie żyć na własną rękę? Wciąż bez problemu znalazłaby adoratora z drugiej grupy – a może nawet pierwszej – który zechciałby ją utrzymywać. Dopóki byli małżeństwem, wymagałoby to trochę zachodu, ale jeśli Krzyk trafi za kratki lub przepadnie bez wieści, droga do jego unieważnienia stanęłaby przed nią otworem.

Zostawiłaby Nikolę samą?

Jeszcze kilka miesięcy temu takie pytanie w ogóle nie przyszłoby mu do głowy. Odkąd jednak Adzie stuknęła czterdziestka, jej zachowanie diametralnie się zmieniło. Drastycznie zmniejszyła czas poświęcany córce – nie licząc obowiązkowego nadzoru nad zdalnym nauczaniem – i jemu zresztą również. Coraz częściej odnosił wrażenie, że łączy ich już tylko wspólne prowadzenie

gospodarstwa domowego, a i to jest spowodowane jedynie tym, że na przeprowadzenie rozwodu normalnym trybem nie mieli właściwie żadnej szansy.

– Cholera! – zaklął na głos. Nikola była w szkole, Ada w szpitalu, nie powinien się zadręczać, tylko cieszyć tym, że całe mieszkanie należy wyłącznie do niego!

Zza lodówki wyjął pusty karton po ulubionym piwie, zabrał go do salonu i postawił na stoliku, wyobrażając sobie, że jest po brzegi wypełniony butelkami.

Usiadł wygodnie w fotelu, włączył ekran, wszedł do folderu z filmami, zastanawiając się, który wybrać. Właśnie wtedy rozległ się dźwięk nadchodzącego esemesa z CYBORGA. Uruchomił wirtualfona, odczytał wiadomość. Alert przypominał o zaległej porcji ćwiczeń fizycznych.

Wiedział, że kolejne zignorowanie zalecenia spotka się z surowymi konsekwencjami, zabrał się więc do przysiadów, pompek i wymachów ramion. Musiał nadrobić zaległości, zatem gdy skończył, cały ociekał potem.

Poczuł smród własnego ciała i krew go zalała. Dostał wolne w pracy, miał wolną chatę i zamiast wypoczywać, marszczył nos z obrzydzenia.

– Kurwa mać!

Wyszedł na balkon, licząc, że gdy wiatr osuszy ciało, fetor zelżeje. Niestety, kiedy wrócił do salonu, cały czas brało go na wymioty.

Nie miał wyjścia.

Musiał to zrobić.

Poszedł do łazienki, zdjął wieko rezerwuaru. Zawartość była przeznaczona tylko do celów sanitarnych – nie do kąpieli – ale był zbyt zdesperowany, aby się tym teraz przejmować. Chwycił za garnuszek, zaczął napełniać pięciolitrowe wiadro. Kiedy skończył, zaniósł je pod prysznic. Rozebrał się, założył okulary do pływania, dwa razy sprawdził szczelność. Zabezpieczył nos klamerką, zacisnął usta i zaczął się polewać, zaraz potem namydlił całe ciało i następnie dokładnie je spłukał.

Dobrze, że Ady nie było w domu, bo wyzwałaby go od najdurniejszych albo nawet wyrzuciła z mieszkania, zaraz po tym, jak wymieniłaby nazwy wszystkich bakterii, jakie lądowały właśnie teraz na jego skórze.

Miał to gdzieś.

Skończył, wytarł się ręcznikiem, wrzucił go do kosza z brudami. Smród zniknął, ale kiepski nastrój miał się dobrze.

Odeszła go ochota na film, zaczął się zastanawiać, co takiego mogłoby poprawić humor. Długo nie musiał się namyślać.

Wszedł do przedpokoju, otworzył szafkę z gazomierzem, sięgnął za niego palcami. Chwilę trwało, zanim udało mu się wyciągnąć to, po co przyszedł.

Wrócił do salonu, usiadł w fotelu, na kolanach położył gruby album obłożony wytartą już w wielu miejscach skórą. Była prawdziwa, żadna tam zastępcza, ale nie to sprawiało, że oprawiony nią przedmiot miał dla niego tak wyjątkową wartość.

Przejechał dłonią po okładce, sycąc się delikatnym dotykiem. Zaraz potem otworzył album i spojrzał na pierwszą stronę.

Znał to zdjęcie na pamięć, a i tak za każdym razem oczy szklily mu się łzami.

Łucja pochylała się nad porcją smażonej ryby, a spomiędzy jej rąk wychylała się główka Jacusia wpychającego naraz do ust kilka frytek umazanych keczupem.

Krzyk pamiętał, co stało się chwilę po tym, jak nacisnął migawkę aparatu. Synek się zakrztusił, a tłuste frytki razem z czerwoną gęstą masą wylądowały na sukience Łucji. Wycieranie serwetkami tylko pogorszyło sytuację, musieli wracać do pensjonatu, żeby mogła się przebrać.

Tego dnia Jacuś był tak zmęczony, że gdy dotarli do pokoju, padł na łóżko i natychmiast zasnął. Mógł więc wejść do łazienki i pomóc Łucji w zmianie garderoby, wykorzystując skrzętnie okazję, jaką zesłał im los.

Do dziś pamiętał jak wspaniale pachniała i jak była cudownie miękka i mokra, gdy w nią delikatnie wchodził.

Krzyk zamknął oczy, przywołując z pamięci to, co się wówczas wydarzyło.

Chwilę potem zasnął.

*

Kiedy się obudził, album leżał na dywanie. Chciał go podnieść, ale zdrętwiała ręka odmówiła posłuszeństwa i upuścił go. Spadł na podłogę tak niefortunnie, że kilka zdjęć wysunęło się z plastikowych koszulek. Podniósł książeczkę i fotografie, zaczął je wsuwać z powrotem, przy okazji im się przyglądając.

Ostatnie przyciągnęło jego uwagę na dłużej. Był na nim sam z Jacusiem, Łucji nie było w kadrze, ale i być nie mogło, ponieważ to ona je wykonała. On trzymał synka pod pachami, pozwalając, aby fale oblewały jego małe nóżki.

Pamiętał jak dziś, jaką frajdę mu tym sprawił.

Spojrzał na fotografię ponownie, ale tym razem nie przyglądał się radosnej twarzy dziecka ani własnemu ciału.

Patrzył tylko na morze.

Ile butelek można by tym napelnić...

Wtem poczuł ogromne pragnienie.

Następna myśl była taka, aby natychmiast odłożyć album, pójść do kuchni i wziąć łyk, może dwa z butelki.

Jednak zaraz potem dotarło do niego, że dzień dopiero się zaczął, a zapasy miał niewielkie. Musiał nimi gospodarować bardzo oszczędnie.

Próbował oblizać spierzchnięte wargi, ale efekt był tak samo bolesny, jak zawsze.

Chcąc odwrócić uwagę od pragnienia, przewrócił kartkę, potem drugą i kolejne. Na koniec zamknął album z hukiem i właśnie wtedy wyleciała z niego pożółkła kartka.

Gdy ją zobaczył, w środku aż go ścisnęło.

Prawie na śmierć zapomniał, że wciąż tu była...

Nie musiał się przyglądać, żeby wiedzieć, co jest na niej narysowane. Nawet fakt, że kolory zdążyły już mocno wyblaknąć, nie był dla niego przeszkodą – ten obraz miał w pamięci, wyraźny jak tego dnia, kiedy zobaczył go pierwszy raz.

Ogromne ciemnoczerwone maliny na cieniotkich konarach drzewa.

Nie żółędzie.

Nie kasztany.

Nie liście.

Maliny.

I coś jeszcze, czego na innych, niemal identycznych obrazkach, brakowało. Pięć literek wykaligrafowanych niestarannym pismem.

Nie, ono nie było niestaranne. Po prostu każda z nich została pociągnięta rączką pięciolatka.

Jacuś.

I ta kreseczka nad ostatnią literą, wielka jak ona sama.

Krzyk uśmiechnął się na wspomnienie dumnego wyrazu twarzy, kiedy pochwalił synka za samodzielnie wykonany podpis. Chłopiec odziedziczył po nim talent, ba, miał go chyba znacznie więcej niż on.

To była ostatnia praca Jacusia, jaką przyniósł z przedszkola, zanim zginął.

Krzyk jęknął w duchu. Otworzył album, aby włożyć do niego obrazek. Zanim to zrobił, jego uwagę przyciągnęło zdjęcie.

Nie znajdował się na nim ani synek, ani ona, ani nawet Łucja. Było tylko morze i kawałek plaży, a wbita w piasek tkwiła dziecięca łopatką, obok stało i wiaderko.

Zamknął album, schował go za gazomierzem, zamknął szafkę. Poczuł przy tym tak wzmożone pragnienie, że musiał mu ulec. Poszedł do kuchni, pozwolił sobie na trzy łyki z butelki.

Wtedy spojrzał na zlewozmywak. Ada znów zostawiła po śniadaniu brudny talerz i widelec. Jakby nie mogła od razu się tym zająć! Na świeżo wystarczyło kilka kropel, po przyschnięciu będzie potrzeba dużo więcej.

Łucja i Ada.

Tak podobne do siebie fizycznie, a tak odmienne charakterami.

Bardzo za Łucją tęsknił, tak mocno mu jej brakowało...

I Jacusia...

Niespodziewanie w jego głowie pojawił się załazek myśli. Puścił się biegiem do przedpokoju. Wyjął album, otworzył go w tym samym miejscu, w którym chwilę wcześniej zamknął. Tym razem jednak nie zwracał uwagi na obrazek z drzewem z malinami, tylko zaczął wertować strony, szukając tego jednego zdjęcia.

Znalazł je po chwili.

Jacuś miał w ręce łopatkę, którą dopiero co wykonał ostatni sztych, otwierając morzu dostęp do portu, jaki wcześniej wspólnie wykonali.

Łucja miała wycucie, bo nacisnęła spust migawki akurat w tym momencie, kiedy pierwsza fala wdzierała się do wielkiego basenu portowego.

Po niej przyszły kolejne, których na fotografii nie było już widać.

Krzyk zamknął oczy.

Widział teraz falę pokrywającą piasek na plaży i zaraz potem wsiąkającą w niego, o czym świadczyła ta charakterystyczna zmiana jego barwy.

Jeszcze nie mógł namierzyć myśli, jaka chwilę wcześniej pojawiła się w głowie.

Pozwolił, aby oczy wyobraźni przywołały jeszcze jedną falę zalewającą piasek na plaży i cofającą się do morza.

Myśl była coraz bliżej.

Trzecia fala wykonała taki sam rytuał.

Czuł, że myśl jest już na wyciągnięcie dłoni.

Czwarta fala zwilżyła piach.

Miał ją!

Teraz mógł już otworzyć oczy. Zrobił to, po czym schował album z powrotem za gazomierzem i wrócił do salonu.

Usiadł w fotelu, ale tym razem nie włączył ekranu, tylko wbił niewidoczne spojrzenie w dal i zaczął analizować w głowie.

Pomysł był jeszcze bardzo mglisty. Istniało duże niebezpieczeństwo, że nic z niego nie wyjdzie, mimo to czuł ekscytację. Wiedział, że najpierw musi pozyskać konieczne informacje. A najważniejsze było, żeby SYCO nie zorientowało się, co go interesuje.

Tak? – pomyślał.

A może wręcz przeciwnie?

Rozdział 15

Ada odczekała, aż Nikola wyjdzie z mieszkania. Mimo że przysługiwał jej tylko jeden dzień szkolny w miesiącu, kiedy już się pojawiał, nie potrafiła wyszykować się na czas i zawsze pędziła na złamanie karku. Dzięki temu ona miała gwarancję, że Nikola nie zobaczy jej wsiadającej do limuzyny zaparkowanej pod kościołem.

O Janka też nie musiała się martwić. Gdy nie był w pracy, tkwił w czterech ścianach, jakby to był najlepszy sposób na spędzanie wolnego czasu. Nie mogła tego zrozumieć, czasem prosiła, aby jej to wyjaśnił, zwykle używał tego samego argumentu: dość miał przebywania na powietrzu w oczyszczalni oraz podczas drogi do pracy i z powrotem.

Skoro jemu to wystarczało, a z jej planami nie kolidowało – a teraz wręcz idealnie się komponowało – nie zamierzała się nad tym zbyt rozwodzić. Woląла skoncentrować się na zawartości barku dostępnego w limuzynie. Nie żeby planowała skuć się w trupa, wtedy bowiem nie wywarłaby na Bernacie takiego wrażenia, jakie zamierzała. Ale drink albo dwa dla kurażu, dlaczego nie?

Poza tym, nie licząc pierwszej imprezy u Grzegorza, nie czuła smaku alkoholu w ustach od pół roku. Skoro oddał do jej dyspozycji swoją limuzynę, trzeba było korzystać.

W posiadłości przywitał ją ten sam lokaj, co poprzednio. Miał identyczną – jeśli nie tę samą – liberię, za to jego zachowanie uległo zmianie. Zauważyła to już po sposobie, w jaki otworzył jej drzwi, zbiegając ze schodów i nie czekając na kierowcę.

– Dzień dobry, szanownej pani!

Wystawiła stopę obutą w najlepsze – i jedyne – szpilki, jakie miała do dyspozycji, podciągnęła sukienkę, odsłaniając zgrabną nogę.

– Dzień dobry – powiedziała.

Podał jej rękę, pomógł wysiąść z limuzyny.

– Bardzo nad tym ubolewam, ale pan Pierwszy Przewodniczący musiał wyjechać w pilnej sprawie do urzędu – powiedział.

– Kiedy wróci?

– Prawdopodobnie za dwie godziny, może za trzy. Prosił o przekazanie, aby w tym czasie rozgościła się pani.

Wstrzymała uśmiech, jaki cisnął się jej na twarz. Zaczęła wchodzić po schodach.

– Dobrze – rzekła krótko.

Lokaj wyprzedził ją, aby przytrzymać drzwi.

Weszli do środka.

Spojrzała na mężczyznę pytającym wzrokiem, nie wiedziała, dokąd ma się udać.

– Madame... – zaczął ostrożnie. – Najmocniej panią przepraszam za moje niestosowne zachowanie poprzednim razem...

To wyznanie ją zdumiało. Czyżby Medynia – a może sam Bernat – odbył wyjaśniającą rozmowę z pracownikiem? Jeśli tak, mogła podziękować w myślach.

– Przeprosiny zostały przyjęte – rzuciła oschle. – Co mam robić do powrotu pana Grzegorza?

Lokaj mrugnął powiekami, ale i tak zdążyła dostrzec w jego oczach, że zastosowana przez nią sztuczka spełniła swoje zadanie.

– Pan Pierwszy Przewodniczący oddał do dyspozycji madame sypialnię królewską.

– Królewską? – zaciekawiła się.

– Tak – potwierdził od razu. – Nazwa idealnie oddaje jej wyjątkowy charakter.

Zaraz to sprawdzę – pomyślała, a na głos wymusnęło się jej:

– Czy jest dostęp do łazienki?

Tym razem lokaj się spisał i nie dał po sobie poznać, że pytanie go zaskoczyło.

– Oczywiście – powiedział.

– Bateria ma założony limiter? – pytała dalej.

Nawet nie mrugnął okiem

– Skądże – zapewnił.

Popatrzył na nią badawczym wzrokiem.

Ona w odpowiedzi uniosła prawą brew.

– Czy mogę dodać coś od siebie? – wyszeptał, jakby się bał, że ktoś może go usłyszeć.

– Proszę.

– Sypialnia królewska to najpiękniejsza sypialnia ze wszystkich w całej posiadłości.

Tego Ada się nie spodziewała. Przyszło jej coś do głowy i, zanim najpierw to przemyśleć, odezwała się:

– Mówi pan tak każdej kobiecie przyjeżdżającej do szefa?

Lokaj zrobił urażoną minę, po czym nisko się uklonił.

– Już panią przeprosiłem, madame, za moją nieuprzejmość.

– Moja uwaga też była niepotrzebna. – Zreflektowała się. – Chciał pan jeszcze coś powiedzieć?

– Tak, madame.

Sposób, w jaki na nią patrzył, wskazywał, że mówi szczerze.

– Proszę, niech pan mówi.

– Pani jest pierwszą damą, która dostała tego zaszczytu.

– A...

Lokaj domyślał się, co chciała powiedzieć, ale uznał, że tego pytania nie powinien za nią kończyć.

– A jego małżonka? – rzekła po chwili.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma jej w domu. Ani dzieci i wnuków. Pan Pierwszy Przewodniczący zadbał o to, abyście byli państwo sami. Jak już przyjedzie, oczywiście...

– Zatem wiem już wszystko – skłamała. Miała jeszcze wiele pytań, ale lepiej było z nimi poczekać. – Proszę mnie zaprowadzić do sypialni.

Ruszył przodem.

– Oczywiście, madame!

*

Kiedy Ada weszła do sypialni i lokaj zamknął za nią drzwi, stwierdziła w myślach, że nie powiedział jej całej prawdy. Nazwa pomieszczenia, chociażby była najbardziej wyszukana, nie mogła oddać przepychu, z jakim zostało urządzone.

Patrzyła wstrząśnięta na pozłacane ramy obrazów – rozpoznała płótna Van Gogha, Picassa i Moneta – kilimy rozwieszane na ścianach, ręcznie rzeźbione nogi stołu, poręcze krzesel i wezglowia wielkiego łóża z ciemnego mahoniowego stojącego na podwyższeniu, na które prowadziły trzy niewielkie schodki przykryte zwierzęcymi skórami: niedźwiedzia, tygrysa i renifera. Także meble: szafy i szafki, komody i stołki, były misternie zdobione, pełne dziecięcych twarzy, jedne były uśmiechnięte, inne rozbawione, jeszcze inne jakby zatroskane.

To, co widziała, tak porażało wyjątkowością, że zakręciło jej się w głowie. Usiadła na jednym z zydeł, zaczęła głęboko oddychać, chwilę później w rogu sypialni dostrzegła parę drzwi, obok, nieco dalej, znajdowały się kolejne.

Otworzyła pierwsze i znowu poczuła się oszołomiona. W garderobie ktoś rozwiesił wieszaki z sukienkami. Koktajlowe... Wieczorowe... Małe czarne... Trafiło się nawet po jednej bombce i sukni balowej!

Szła między nimi, sunąc po nich delikatnie palcami. Od razu rozpoznała, że wszystkie były dobrane do jej rozmiaru i figury. Zaczęła sprawdzać metki i zdumiała się, rozpoznając najlepsze i najdroższe pracownie Europy. Ściągnięcie ich wszystkich w tak ekspresowym tempie musiało Bernata kosztować fortunę.

Prawdopodobnie za dwie godziny, może trzy... Prosił o przekazanie, aby w tym czasie rozgościła się pani...

Tak powiedział? – pomyślała, zrzucając z siebie sukienkę wartą tyle, co wieszaki tych, na które dopiero co patrzyła. Założyła na siebie pierwszą, zaczęła oglądać się w lustrach. Potem przyszła pora na kolejne.

Zatraciła się w przymierzaniu tak bardzo, że dopiero po godzinie znalazła liścik od Bernata, w którym oddawał jej do dyspozycji nie tylko samą sypialnię królewską, ale też całe wyposażenie: garderobę i kosmetyki. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, aby zajrzeć do szuflad i szufladek. Otwierała każdą kolejną, wydając okrzyki zachwyty.

Na koniec została ostatnia szafa.

Chwyliła za klamki, pociągnęła do siebie i niemal zemdląca.

W środku stał manekin – a właściwie górna połowa – z jego głowy zwisała peruka. Od razu wiedziała, że to jest dokładnie taka długość włosów i kolor blond, jakie miała jeszcze zaraz po wojnie, zanim wprowadzono codzienne przydziały rodzinne i musiała zrezygnować z kosztownej pielęgnacji fryzury.

Zbliżyła opuszki palców do włosów. Musnęła je, prawie ich nie dotykając. Zaraz potem chwyciła kilka kosmyków i się rozplakała.

*

Szybko wzięła się w garść. Jeszcze w garderobie rozebrała się do naga i przeszła do łazienki mającej rozmiary większe niż ich salon w mieszkaniu. Weszła pod prysznic, włączyła zraszac, pozwoliła, aby myśli zaczęły swobodnie krążyć.

Jak na złość, niemal od razu zaprowadziły ją do Janka.

Co teraz robił? Jak zareagowałby, gdyby wiedział, co ona teraz robi i na kogo czeka?

Dość! – przywołała się do porządku. Żadnych wyrzutów sumienia! Janek miał swoją szansę, ale zaprzepaścił ją, skazując na nędzną wegetację nie tylko siebie – do czego miał przecież pełne prawo – ale też ją i Nikolę – czego nie wolno mu było robić. Właśnie o to miała do niego największy żal: że podjął decyzję mającą dalekosiężne skutki dla nich trojga, nie pytając jej wcześniej o zdanie.

Córka...

Poświęcał jej każdą wolną chwilę, robił dla niej wszystko, nawet oddawał część swojego przydziału, czego żonie – jej – nie zaproponował nigdy! Przez pierwsze lata małżeństwa była zbyt pijana własnym szczęściem, żeby się w tym zorientować. Musiało minąć sporo czasu, ale wreszcie to do niej dotarło. Janek zachowywał się tak, jakby związał się z nią tylko po to, aby wypełniła mu pustkę samotności.

Z jednej strony, znając jego tragiczną przeszłość, wcale się temu nie dziwiła. Z drugiej jednak, chciała z tego powodu krzyczeć całą sobą, nie była przecież czyjąkolwiek zapchajdziurą!

Dość! – Zwiększyła przepustowość baterii do maksimum. Dość! – Wystawiła twarz na tysiące kropli.

Nie była mu niczego winna.

Nie powinna teraz o nim myśleć.

Nie musiała być mu wierna.

Rozdział 16

Stała pod prysznicem tak długo, aż skóra zaczęła się marszczyć. Wyszła, osuszyła się przygotowanym wcześniej ręcznikiem. Potem założyła świeżą bieliznę znaną w garderobie i zaczęła się malować. Na koniec sięgnęła po perukę, ale zanim ją nałożyła, zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero, kiedy poczuła na skórze przyjemny dotyk włosów.

Kiedy się zobaczyła, mało brakowało, a wybuchnęłaby płaczem. Powstrzymała się – lzy mogłyby zniweczyć czas poświęcony na wykonanie makijażu – zamiast tego uśmiechnęła się do siebie.

Wreszcie miała to, o czym marzyła...

Nagle usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Nikt się nie odezwał, ale wiedziała, że to Grzegorz, czuła to. Poza tym lokaj nie odważyłby się wejść do sypialni bez jej zgody, o tym też była przekonana.

Nie chciała, aby zobaczył ją w tym miejscu, dlatego krzyknęła:

– Poczekaj!

W odpowiedzi doleciało do niej radosne mruknięcie.

Wstała z taboretu, obciągnęła małą czarną, wyglądając ledwo widoczne zagniecenia. Stanęła w drzwiach.

– Długo kazałeś mi na siebie czekać... – wyszeptała.

Nic nie powiedział. Nie był w stanie. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

– Długo jeszcze kazesz mi na siebie czekać? – spytała.

Dopiero teraz zareagował. Podbiegł do niej, wziął na ręce, ruszył w kierunku łóżka, po czym rzucił na nie z udawaną brutalnością.

Oddychała głęboko, sycąc się przyjemną wonią, jaką roztaczało wokół jego czyste ciało.

– Weź mnie!

– Teraz?

– Tak! – krzyknęła. – Teraz!

Chwycił małą czarną za ramiączka, zaczął je zsuwać. Kiedy mu się to nie udało, spiął się w sobie, rozerwał sukienkę.

– Kupię ci nową!

Mruknęła zmysłowo w odpowiedzi.

Bernat zerwał z niej stanik, zaraz potem obrzucił jej piersi pocałunkami.

Ona jęczała cicho, myśląc tylko o sukienkach zostawionych w garderobie.

*

– Jak ci było? – spytał, leżąc obok niej na łóżku i sapiąc.

Spojrzała na niego czule.

– Cudownie – skłamała. – A tobie się podobało?

Zanim odpowiedział, już wiedziała, że tak.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo! – rzekł, próbując wyrównać oddech.

– Chciałbyś to powtórzyć?

Zaśmiał się.

– Jeszcze pytasz? – rzucił ironicznie.

Nie zareagowała. Zrobiła to z premedytacją.

– Przyjedziesz jutro? – W jego głosie dało się wyczuć autentyczny niepokój.

Udała zatroskaną.

– Nie wiem. Dzisiaj miałam wolne w pracy, dlatego mogłam przyjechać.

– A którą zmianę masz jutro?

Usiadła obok niego w taki sposób, aby biust zaprezentował się jak najbardziej okazale.

– Dzienną – powiedziała. – Ale potem będę tak padnięta, że... – dodała szybko.

Sięgnął dłonią do jej piersi, zważył ją delikatnie.

– Wymyślę coś. Załatwię, co trzeba.

– Kiedy?

Puścił jej pierś, usiadł.

– Mamy teraz gorący czas przed wyborami prezydenckimi...

Pchnęła go ostrożnie na łóżko. Pochyliła się nad nim. Dotknęła jego torsu ustami, potem polizała językiem.

– Kazesz mi czekać na siebie tak długo?

– To tylko kilka dni...

Zaczęła zsuwać się coraz niżej.

– To aż kilka dni... – wyszeptała zmysłowo.

Dotknęła językiem czubka penisa.

– To jak będzie?

Polizała go.

– Masz pomysł, jak to załatwić?

Jęknął.

Raz jeszcze musnęła językiem czubek penisa.

– Nie usłyszałam...

Bernat nie mógł się skupić.

– Mogłabyś zostać zatrudniona jako moja prywatna pielęgniarka – rzekł po chwili.

– A zrobisz to tak, żeby mój mąż o niczym się nie dowiedział?

– Oficjalnie dostaniesz etat w dziale zaopatrzenia medycznego, dobrze?

Udała, że się zastanawia.

Milczenie sprawiło, że się zaniepokoił.

– Powiedziałem coś nie tak?

Przyłożyła palec do ust.

– Nic już nie mów... – szepnęła. – Wszystko mi pasuje...

Uśmiechnął się zadowolony.

– Zasłużyłeś na nagrodę? – spytała prowokacyjnie.

– Tak!

– Też tak myślę... Zrobię ci loda, chcesz?

– Uhm!

– A czy ja też zasłużyłam na nagrodę?

Wydał z siebie ciche mruknięcie.

Podniosła się, przesunęła się bliżej jego głowy, po czym nad nią ukucnęła.

– Teraz ty daj mi trochę rozkoszy...

– Przysuń się jeszcze bliżej – powiedział.

Zrobiła to, o co poprosił.

Dotknął jej kobiecości językiem.

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że robi jej to pod prysznicem, a ona wystawia twarz, pozwalając, aby tysiące kropli pieściło skórę.

Zamruczała raz.

Drugi.

Trzeci.

Zaczęła jęczeć bez ustanku.

Na twarzy czuła miliony przyjemnych dotknięć.

Była szczęśliwa, jak nigdy przedtem.

Rozdział 17

Krzyk wiedział, że w każdej chwili może zniknąć albo trafić do aresztu wydobywczego. Był na to gotowy, bał się zupełnie o coś innego.

Drżał o Nikołę.

Gdyby jego zabrakło, co się z nią stanie? Teoretycznie miała jeszcze Adę, coś mu jednak podpowiadało, żeby nie wiązać z żoną zbyt dużych nadziei. A to z kolei oznaczało, że musiał szybko znaleźć wyjście, które zabezpieczy przyszłość jedyne dziecko. Już kiedyś stracił syna, teraz obiecał samemu sobie, że Malinie nie pozwoli zrobić krzywdy, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić.

Musiał działać i to szybko.

Z tą myślą wyszedł z domu, kierując się do biblioteki.

*

Lubił to miejsce, które dzisiaj odwiedzali nieliczni. Uwielbiał pachnące starością książki, gazety sprzed kilkudziesięciu lat, dzięki którym mógł się przenieść do bezpiecznych czasów i te śmiesznie wyglądające telefony stacjonarne, których bibliotekarze wciąż używali do łączenia się z innymi agendami. Musiał jedynie uważać na opaski, bo te dostawały tu czasami świra i raportowały o złamaniu dystansu społecznego, mimo że siedziało się samemu w ogromnej czytelni. Kiedyś usłyszał, że z powodu grubych murów gmachu SYCO miało problemy z poprawnym działaniem, ale nie wiedział, ile jest w tym prawdy.

Wszedł do holu biblioteki, zarejestrował wizytę w systemie – miał taki obowiązek, mimo że SYCO zrobiło to, kiedy przekraczał próg, sprawdzając też przy okazji listę wypożyczanych do tej pory publikacji – i właśnie wtedy rozległa się syrena alarmowa.

Instynktownie zerknął na tablicę bezpieczeństwa i ku swojemu zdziwieniu dostrzegł, że czyjaś temperatura ciała podskoczyła do trzydziestu siedmiu i pół stopnia.

To oznaczało, że sytuacja jest krytyczna.

W tym samym momencie z głośników dobiegł mechaniczny głos.

– Została zarządzona ewakuacja... Wszyscy pracownicy oraz czytelnicy mają kierować się do wyjścia... Zasada utrzymywania dystansu społecznego została wstrzymana do odwołania...

Krzyk wiedział, że nie ma żartów i że każdy, kto nie zastosuje się do poleceń, może skończyć za kratkami. Wybiegł na ulicę, mając nadzieję, że alarm okaże się jednak fałszywy. Kiedy obok niego zaczęły pojawiać się kolejne osoby, dotarło do niego, że sytuacja naprawdę jest poważna.

Tłum rósł z sekundy na sekundę – Krzyk nie podejrzewał, że w bibliotece pracuje taka chmara ludzi – kilka minut później dała się słyszeć syrena karetki pogotowia ratunkowego. Ambulans zaparkował tuż przed schodami, wyskoczyło z niego dwóch ratowników ubranych w maski i szczelne kombinezony.

Zanim dotarli do drzwi, ten sam mechaniczny głos wydał kolejny komunikat:

– Alarm bezpieczeństwa termicznego zostaje odwołany z uwagi na awarię czujników. Wszyscy pracownicy oraz czytelnicy mogą kierować się do stanowisk pracy. Odwołanie zasady utrzymywania dystansu społecznego zostanie odwołane w przeciągu pięciu minut...

Tyle dobrze, że nie zamkną biblioteki – pomyślał Krzyk, karnie ustawiając się w kolejce do wejścia.

Kwadrans później stał już przed wirtualnym ekranem. W drugi bliźniaczy odbiornik skierowany do niego plecami wpatrywał się bibliotekarz. Kojarzył go z widzenia, głównie za sprawą nieco zadartego nosa.

– Zarejestrował się pan? – spytał.

– Tak, przed alarmem – odpowiedział Krzyk. – Czyli to prawda, co mówią o tym gmachu?

Bibliotekarz nawet nie oderwał wzroku od ekranu. Jedną ręką sięgnął po stojącą na blacie butelkę – pracownikom budżetówki przysługiwały dodatkowe deputaty – drugą odkręcił korek.

– Że niby co?

Krzyk wpatrywał się w zawartość butelki, czując coraz większe pragnienie.

– Że tu straszny. – Próbował zażartować.

Mężczyzna z charakterystycznym nosem dopiero teraz podniósł głowę.

– To miało być śmieszne?

Krzyk cały czas patrzył na butelkę.

– Przepraszam – rzekł po chwili. – Chodziło mi o awarię czujników. Ostatnio źle mi odczytało opaskę i musiałem reklamować nałożoną karę...

– Poproszę aktualną książeczkę szczepień.

Krzyk wręczył dokument.

Bibliotekarz sprawdził dokładnie wszystkie wpisy – raz za razem pociągając z butelki – i odnotował ten fakt w systemie. Nagle coś na ekranie przyciągnęło jego uwagę.

– Ma pan niski stan konta Systemu Punktacji Zachowania.

Krzyk odchrząknął.

– Wiem.

– Chciałby pan zwiększyć saldo?

Krzyk pomyślał, że to wcale nie jest głupi pomysł.

– A co jest najlepiej punktowane? – spytał.

– Na miejscu czy do wypożyczenia?

– Do wypożyczenia.

– Z obecnie dostępnych jest *Samodyscyplina obywatelska w kontekście aksjologii normatywnej ruchu demokratycznego*.

– Ile ma stron?

– Dwieście treści zasadniczej.

– A komentarza?

– Sześćset pięćdziesiąt.

Krzyk westchnął w duchu.

– Poleca pan? – spytał.

– Oczywiście. Czytałem dwa razy. Arcydzieło. Podobno w przyszłym roku mają wprowadzić do kanonu lektur szkolnych.

– W takim razie wypożyczę...

Bibliotekarz dotknął palcem ekran.

– A po jaką pozycję pan przyszedł? – spytał po chwili.

– Szukam czegoś na temat dawnych kopalń węgla brunatnego w Zielonej Górze. A właściwie to w przedwojennym Grünbergu.

Mężczyzna z zadartym nosem momentalnie się ożywił.

– Bardzo ciekawa tematyka!

Zaczął muskać palcami ekran.

– Coś się znajdzie... – powiedział po dłuższej chwili. – Ale przed złożeniem zamówienia musi pan wypełnić formularz zapotrzebowania.

– Formularz? – zdziwił się. – Jak byłem tu ostatnim razem, nie było żadnych formularzy.

– Wprowadzono je niedawno. Musi pan odpowiedzieć na kilka pytań. Takie są procedury.

– Ale po co?

– Dla bezpieczeństwa obywateli istotna jest wiedza, do czego potrzebują danej książki – powiedział to takim tonem, jakby recytował wyuczoną formułkę. – Nie chciałby pan chyba, aby ktoś wypożyczył instrukcję przygotowania bomby i potem podłożył ją w przedszkolu?

Krzyk nie nadażał.

– W przedszkolu? – spytał po chwili.

– W przedszkolu – potwierdził. – A tam być może chodzi pańskie dziecko!

– Jak tam może chodzić moje dziecko, jak moje dziecko nie chodzi do przedszkola?

Bibliotekarz nerwowym ruchem chwycił za słuchawkę telefonu stacjonarnego, wybrał trzycyfrowy numer. Gdy z drugiej strony dobiegły trzaski, zaczął głośno mówić:

– Halo! Tu „Brzoza”, tu „Brzoza”! Źle cię słyszę. Powtarzam, powiedział, że jego dziecko nie chodzi do przedszkola...

Słuchawką wstrząsnęły jeszcze głośniejsze trzaski, a bibliotekarz ścisnął ją mocno.

– „Moje dziecko nie chodzi do przedszkola”, tak powiedział! – wrzasnął. – Tak... Rozumiem... Właśnie tak mu powiem...

Krzyk patrzył na czoło mężczyzny, na którym pojawiły się krople potu.

Pić...

Mężczyzna z zadartym nosem odłożył słuchawkę, otarł pot rękawem koszuli, po czym wbił spojrzenie w czytelnika.

– Z pana jakiś lepszy cwaniak, tak? – spytał, cedząc słowa.

– Ze mnie?... Cwaniak?... Po prostu nie rozumiem, po co te wszystkie formalności.

– Takie są procedury! Jeśli chce pan wypożyczyć publikację, należy wypełnić formularz zapotrzebowania. To jak?

Krzyk się poddał. Jeżeli plan miał się powieść, musiał to zrobić.

– Niech pan pyta.

– Pytanie pierwsze: czy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy popełnił pan przestępstwo umyślne przeciwko zdrowiu lub życiu innych osób?

Krzyk podniósł prawą rękę, palcami drugiej dotykając opaski.

– Przecież wszystko jest w systemie.

Mężczyzna pociągnął łyk z butelki.

– Ja tych pytań nie układałem... Odpowiada pan czy nie?

– Odpowiadam – wychrypiał. – Nie popełniłem takiego przestępstwa.

– Pytanie drugie: czy ktoś z członków rodziny w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy popełnił przestępstwo umyślne przeciwko zdrowiu lub życiu innych osób?

Krzyk zaklął w głowie, a na głos powiedział:

– Nie.

– Pytanie trzecie: czy uważa pan ostatnie zwiększenia obniżki dziennego przydziału rodzinnego za właściwe?

Krzyk poczuł strach. Jedna zła odpowiedź mogła oznaczać kłopoty. Jeśli nie interwencję lotnej brygady SBP, to co najmniej kolejne cięcie dziennego przydziału rodzinnego.

– Tak, uważam, że jest właściwe.

– Proszę odpowiadać tak lub nie.

– Tak.

Krzyk spojrział na butelkę. Zaczął się zastanawiać, czy dałby radę wyrwać ją bibliotekarzowi z ręki, zanim ten zdążyłby zareagować. Tak bardzo chciało mu się

pić, że nie mógł skupić się na pytaniach, odpowiadał machinalnie.

– Pytanie trzydzieste ósme: czy pańskim zdaniem Inspekcji Rolniczej powinny być nadane uprawnienia kontroli w sprawach nasiennictwa roślin strączkowych?

Skąd mam, kurwa, wiedzieć!?! – wrzasnął w myślach, a na głos powiedział:

– Chyba nie do końca zrozumiałem pytanie.

– Czy pańskim zdaniem Inspekcji Rolniczej powinny być nadane uprawnienia kontroli w sprawach nasiennictwa roślin strączkowych?

Jeśli Krzyk liczył na pomoc, to srodze się zawiódł.

– Nie mam bladego pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Nie znam się na nasiennictwie roślin strączkowych.

Mężczyzna z zadartym nosem otworzył kolejną butelkę.

– Proszę odpowiadać tak lub nie.

Krzyk popatrzył na blat, próbując sobie przypomnieć, która to już była. Jeśli dobrze kojarzył, trzecia. A on stał tu o suchym pysku i odpowiadał na debilne pytania!

– Tak – odpowiedział, uznawszy, że równie dobrze może strzelić.

– Koniec testu.

Krzyk poczuł, jak do oczu napływają mu łzy.

W tym czasie bibliotekarz muskał palcami ekran.

– Teraz sprawdzę pańskie zapytanie...

Krzyk wiedział, że wyszukiwarce zajmie to kilka, może kilkanaście sekund. Tyle czasu potrzebowały boty cenzurujące treści.

Mężczyzna z zadartym nosem jęknął z zawodem.

– Na interesujący pana temat mamy tylko jedną dostępną pozycję. Agnieszka Gontaszewska-Piekarz *Odkrycie złóż oraz początki górnictwa węgla brunatnego w Zielonej Górze*, artykuł w „Kwartalniku Historii Nauki i Techniki” z dwa tysiące osiemnastego roku.

Krzyk cały czas wpatrywał się w ledwie co napoczętą butelkę. Dopiero po chwili zareagował.

– Świetnie...

Bibliotekarz przytknął szyjkę do ust, wychylił pozostałą zawartość.

– Jeszcze tylko sprawdzę, czy pozycja nie została wpisana do rejestru ksiąg zakazanych – powiedział.

Krzyk mógł tylko patrzeć, jak pusta butelka ląduje w śmietniku.

Mężczyzna z zadartym nosem uśmiechnął się szeroko.

– Publikacja jest dostępna dla czytelników. Na miejscu.

Krzyk spojrzał na swój ekran. Liczył, że pracownik biblioteki coś pomieszał i będzie mógł przeczytać artykuł w domu. Pomyłki jednak nie było.

– Tylko na miejscu? – jęknął zawiedziony.

– Tak – potwierdził radośnie. – Zamawiać?

– Zamawiać.

Bibliotekarz kilka razy dotknął ekranu palcem.

– Będzie za kwadrans – rzekł ochoczo.

– Poczekam w holu – odparł Krzyk, myśląc jedynie o tym, że coraz bardziej chce mu się pić.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi na mały czerwony punkcik, jaki chwilę wcześniej pojawił się w prawym dolnym rogu wirtualnego ekranu.

Rozdział 18

Medynia był zajęty ścieraniem kurzu z liści ukochanej paprotki, kiedy jego uwagę przyciągnął mały czerwony punkcik, jaki pojawił się w prawym dolnym rogu wirtualnego ekranu.

Alert SYCO był czymś, co podniecało go nie mniej niż seks. Nie inaczej było tym razem. Momentalnie przerwał zabieg pielęgnacyjny i wbił wzrok w ekran. Kiedy zobaczył tytuł zamówionej przez Krzyka publikacji, od razu wiedział, dlaczego SYCO włączyło alarm.

Od zakończenia wojny i wprowadzenia nowego porządku sektorowi prywatnemu zabroniono jakiejkolwiek działalności związanej z pracami ziemnymi i podziemnymi. Znacjonalizowane zostały kopalnie węgla kamiennego i brunatnego, a także kopalnie żwiru i soli. Podobnie rzecz się miała w przypadku przedsiębiorstw zajmujących się wierceniami studni i przekopów technologicznych oraz kładzeniem rur metodą bezwykopową. Niedługo potem wprowadzono obowiązek rejestracji sprzedaży zwykłych szpadli i łopat, a kupujący je obywatele byli wyrywkowo wzywani na przesłuchania. Nic, co miało związek z kopaniem, nie mogło ująć uwadze odpowiednich służb.

Medynia uśmiechnął się sam do siebie.

Nowa władza potrafiła utrzymać porządek, jak żadna wcześniej. Wszystko po to, aby dbać o obywateli i w tych niezwykle trudnych czasach móc im zapewnić równy dostęp do wyczerpujących się zasobów. Dzienny przydział rodzinny był jednym z elementów prowadzenia skutecznej polityki w tym zakresie. Oczywiście były kategorie i grupy obywateli, które limitom nie podlegały, ale przecież tym, którzy brali na swoje barki ratowanie świata, należała się gratyfikacja za ciężką pracę i wyrzeczenia.

Esbek włączył interkom, wezwał Wichę.

Ten się zjawił w gabinecie niemal od razu.

– Melduję się na rozkaz, panie pułkowniku!

Obdarzył podwładnego uważnym spojrzeniem. Nazwać kapitana mało elokwentnym, to jakby określić Titanica mianem zwykłej łódki. Jednego za to nie mógł Wisze odmówić: wierności zarówno Partii, jak i jemu samemu jako przełożonemu.

– Co wiecie o Janie Krzyku? – spytał łagodnie.

Kapitan zmarszczył brwi tak mocno, że zlały się w jedną.

Medynia zachęcił go uprzejmym ruchem dłoni.

– Nie musicie mówić pełnymi zdaniami. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – To nie jest egzamin na wyższy stopień oficerski.

Wicha się rozpromienił.

– A więc tak... Jan Krzyk... Lat czterdzieści pięć... Były wojskowy i człowiek-legenda...

Na dźwięk tych słów esbek się skrzywił.

Kapitan tego nie widział, mówił dalej.

– Weteran wojenny i bohater... Jako ochotnik wziął udział w samobójczej misji... Uratował kraj...

Medynia zacisnął usta.

Wicha akurat spojrział na szefa, zreflektował się.

– Odmówił wstąpienia do Partii... Nie zgodził się na podpisanie lojalki... Wziął czynny udział w protestach przeciwko nowemu porządkowi...

O czym trąbiły media na całym świecie – dodał Medynia w myślach.

– Takie postępowanie nowy rząd uznał za wrogą działalność... – mówił kapitan dalej. – Krzyk został zdegradowany i relegowany z armii... Przeniesiony karnie z pierwszej kategorii do czwartej... – Zamyślił się.

– Zastanawiacie się pewnie, dlaczego nie zgnił w więzieniu? – wtrącił.

Wicha uznał, że pytanie może być z gatunku podchwytliwych, postanowił nie odpowiadać.

Pułkownik zrobił to za niego.

– To tylko dzięki tamtej słynnej akcji... Gdyby nie ona, nikt by o nim nie pamiętał... A tak, mimo że jest czwartakiem, wciąż cieszy się uznaniem społeczeństwa... Kogoś takiego nie można zniknąć z ulicy... – Westchnął.

– Pan pułkownik pytał o Krzyka nie bez powodu?

– A jednak nie jesteście tak głupi, na jakiego wyglądacie. – Zaśmiał się nieprzyjemnie. – Zostawcie wszystkie sprawy, jakie w tej chwili prowadzicie i przekażecie chłopakom. Od teraz zajmujecie się tylko Janem Krzykiem. Chcę mieć u siebie wszystkie materiały dotyczące figuranta. Wszystko, co mamy w archiwach. Grzebiecie tak głęboko, jak się da.

Wicha zrobił zdziwioną minę.

– Tego będą terabajty danych...

– Nie interesuje mnie to – warknął. – Chcę nawet wiedzieć, jakie prace wykonał podczas studiowania na Akademii Sztuk Pięknych. Nie wiedzieliście o tym epizodzie? Dwa lata tam przepękał, zanim oblał sesję.

– Ale zanim SYCO zrobi wstępną selekcję...

– SYCO zajmę się osobiście – rzekł ostro. W planach miał przejście na sterowanie ręczne, dzięki czemu oprócz standardowej inwigilacji, mógł też systemowi zadać wykonanie symulacji, dzięki czemu łatwiej będzie opracować harmonogram dalszych posunięć. – Wam zostawiam archiwa papierowe.

– Papierowe? – jęknął.

– Weźmiecie do pomocy techników – wyjaśnił niecierpliwie. – Chcę wiedzieć o Krzyku wszystko z czasów, zanim komukolwiek zamarzyło się SYCO.

– Tak jest, panie pułkowniku! Mam się odmeldować?

– To jeszcze nie wszystko – zaprzeczył Medynia gwałtownie. – Niezależnie od poszukiwań w archiwum papierowym i skanowaniu SYCO musimy się dowiedzieć, co dokładnie ten skurwiel kombinuje.

Twarz kapitana zastygła w wyczekiwaniu.

– Panie pułkowniku, jak to zrobimy?

– Mamy na niego oko wszędzie, poza domem. – Zaczął analizować na głos. – W mieszkaniu nic nie jest w stanie zrobić.

– No to ja już nic nie rozumiem... Jak mamy dowiedzieć się jeszcze więcej, skoro już wiemy praktycznie wszystko?

Medynia zacisnął pięści.

– Nic nie rozumiecie, bo jesteście głupi. I tyle.

Wicha milczał.

Pułkownik rozluźnił uścisk, wściekły na podwładnego, który dopiero co jemu samu uświadomił własną niemoc.

– Debil! – wrzasnął.

Kapitan wiedział, że teraz lepiej się nie odzywać.

Medynia gotował się w środku. Miał do dyspozycji system, o jakim jego poprzednicy mogli jedynie marzyć, a mimo to potencjalny spiskowiec wyprzedzał go o krok!

– Debil! – krzyknął raz jeszcze. – Powinienem złożyć raport o zdegradowanie takiej miernoty, jak wy, o jedną kategorię! A najlepiej od razu o dwie!

Wicha aż się skulił.

Pułkownik powoli się uspokajał.

– Musimy się dowiedzieć, o czym ten zapluty karzeł reakcji myśli – wyjaśnił, siląc się na cierpliwość. – Macie jakiś pomysł?

– Panie pułkowniku... ale przecież... nie umiemy jeszcze... wnikać w głowy obywateli.

Medynia się zafrasował.

– Nie umiemy, to fakt... – Nagle w jego głowie pojawił się załączek jakiejś myśli. Czuł, że naprowadziłaby go na rozwiązanie, ale nie potrafił jej namierzyć.

Nie zniechęcił się jednak, nie był z tych. Doświadczenie zdążyło go nauczyć, że w tym fachu najważniejsze była determinacja i konsekwencja. Umiejętność wydobywania zeznań także, ale tym mógł popisać się nawet zwykły podporucznik. On – pułkownik i naczelnik Wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa Państwa – był wprost stworzony do wyższych celów i trudniejszych wyzwań.

Jak to, przed którym właśnie stawał. Zniszczyć legendę, jedyne go żyjącego na wolności obywatela Enklawy Zielona Góra i całej Polski – który otwarciem sprzeciwił się nowemu porządkowi, jaki rząd wprowadził po zakończeniu wojny. Ikony będącej wzorem do naśladowania dla niedobitków dysydentów wciąż próbujących organizować w podziemiu ruch oporu.

Krzyk był podwójnie niewygodny dla władzy, bo jako bohatera wojennego, o którym swego czasu mówił cały świat, nie można było tak po prostu zamknąć w obozie lub sprawić, aby zniknął, jak tysiące ludzi w kraju. Pojawiłoby się za dużo pytań, także ze strony zagranicznych mediów, zaprotestowałby też pewnie Komitet Centralny Komisji Europejskiej.

Medynia gonił myśl, ale ta wciąż uciekała...

Co innego, gdyby Krzykowi udowodniono zbrodnię przeciwko społeczeństwu. Wtedy ikonę udałoby się zrzucić z piedestału, a za bohaterem, zamiast glorii chwały, ciągnąłby się tylko smród.

Medynia zaśmiał się gardłowo sam do siebie.

Smród!

Jak on to świetnie określił!

Smród!

Jeszcze raz zarechotał. Zaraz potem zatarł ręce z radości. Dzięki staraniom wielu osób Jana Krzyka udało się już wykreślić z podręczników historii. Teraz trzeba było jeszcze tylko sprawić, aby na dobre zniknął z ludzkich serc. Wtedy nawet Wicha nie szczałby w gacie, wymieniając jego zasługi.

I tego dokona on, pułkownik Justyn Medynia, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa Państwa wcale przecież nie największego województwa.

Kto wie, może nawet dzięki temu uda mu się wreszcie dostać przeniesienie do stolicy? Kraków był takim pięknym miastem, prawie nie ucierpiał w czasie wojny. Miał też własne bogate ujęcia i dużo większe deputaty dla przedstawicieli zawodów zaufania społecznego.

I tam na pewno pracowałby z ludźmi o większej inteligencji niż Wicha.

Spojrzał na kapitana i właśnie wtedy myśl, której tak długo szukał, dotarła do celu.

A to skurwiel! – Raz jeszcze zerknął na Wichę. Był głupi, owszem, ale przecież i ślepej kurze trafi się czasami ziarno. – Zaśmiał się głośno.

Kapitana aż ciarki przeszły po plecach.

– Wiecie, czym jest SYCO? – spytał Medynia.

Wicha zaczął się obawiać, że to test, który zaraz obleje.

– Wiecie czy nie?

– SYCO jest połączeniem sztucznej inteligencji z medium społecznościowym działającym na zlecenie władzy i pod jej kontrolą – wydukał.

– Co jeszcze pamiętacie ze szkolenia? – pytał pułkownik dalej.

– Że w czasie rzeczywistym wykonuje pracę około dwustu tysięcy funkcjonariuszy i analityków.

– Co jeszcze?

– Że jest genialny.

– Genialny może być człowiek. – Miał na myśli funkcjonariuszy takich jak on sam. – Maszyna może być co najwyżej błyskotliwa. Ale zawsze, zapamiętajcie sobie: zawsze, będzie potrzebować do obsługi człowieka. I to geniusz tego człowieka określa poziom błyskotliwości, na jaki może wspiąć się maszyna. Bez obsługującego ją człowieka będzie niczym. Co najwyżej odkurzaczem z funkcją masażera.

Kapitan usłużnie milczał.

Medynia tylko na to czekał.

– Wiecie, co jest najważniejsze? – zadał kolejne pytanie.

Wicha, nawet gdyby znał odpowiedź, nie odezwałby się słowem. Był zbyt przerażony.

Pułkownik popukał się palcem w skroń.

– Ludzki umysł.

Wicha bezwiednie wykonał taki sam gest, jak chwilę wcześniej jego przełożony.

– Nie wasz, debilu... – wycedził Medynia. – Mój!

Popatrzył na kapitana. Ten idiota pewnie nie zdawał sobie sprawy z chwilowego przeblysku własnego geniuszu. Mógłby mu to wyjaśnić, ale przecież nie był od tego, aby niańczyć szeregowych pracowników SBP.

Poza tym, to właśnie wiedza dawała mu przewagę nad takimi, jak Wicha. A Medynia już wiedział, że jest sposób, aby poznać czyjeś myśli, mimo że kamery i mikrofony SYCO nie miały wstępu do jego prywatnego mieszkania – nad czym zresztą jako wysoki stopniem funkcjonariusz SBP ubolewał.

Taki sposób był. Co więcej, od dawna go wykorzystywali.

Teraz trzeba było po prostu nieco go zmodyfikować.

A on wiedział, jak to zrobić!

– Spieprzajcie – warknął bez ostrzeżenia.

Wicha nie należał do tych, którym trzeba było dwa razy powtarzać.

Nie minęło kilka sekund, jak ostrożnie zamykał za sobą drzwi.

Medynia pogłaskał delikatnie kilka listków ukochanej paprotki, potem zaczął do niej czule mówić, uśmiechając się przy tym pod nosem do samego siebie.

Tak, awans miał już na wyciągnięcie ręki.

Rozdział 19

Kiedy Nikola wróciła ze szkoły, od razu po przekroczeniu progu mieszkania skierowała się do kuchni, chcąc zaspokoić pragnienie.

Tam zastała ojca leżącego na podłodze. Obok niego walało się kilka pustych butelek. W pierwszej chwili wściekła się, myśląc, że wypił wszystko sam, kiedy jednak sprawdziła datowanie, zrozumiała, że były stare, a tato szukał w nich ostatnich kropli.

Suszyło ją, ale знаła swój organizm na tyle, żeby wiedzieć, iż da radę funkcjonować jeszcze przez kilka godzin. Co innego ojciec, jego stan wskazywał, że jest bardzo źle.

Zaczęła przetrząsać kuchnię w poszukiwaniu zapasów, ale szybko dotarło do niej, że takie działania były z góry skazane na porażkę. Jeśli w mieszkaniu byłaby gdzieś ukryta najmniejsza butelczyna, ojciec by ją znalazł.

Oczywiście swoje zapasy na czarną godzinę miała matka, ale ani tato, ani ona sama nie znali do niej kodu. Szafka była pancerna, jakiegokolwiek próby wdarcia się do niej siłą za pomocą tych sprzętów, które mieli do dyspozycji w domu, oznaczały tylko stratę czasu.

Właśnie wtedy Krzyk jęknął cicho.

– Tato?

Jęk się powtórzył.

Nikola uklękła obok ojca.

– Tato!

Spojrzał na nią niewidzącymi oczami.

– Malina, to ty?

– To ja, tato... – Poczwała, że w jej oczach zbierają się łzy. Ścisnęła powieki, wypychając krople, dotknęła ich delikatnie palcami, które przytknęła do ust taty. Pod opuszkami wyczuła ostrą tarzę. – Masz...

Krzyk wysunął język, jęknął raz, drugi, otworzył oczy.

– W domu nie ma nic do picia – wychrypiał.

Nagle Nikola zerwała się z kolan. Że też wcześniej o tym nie pomyślała!

– Pójdę pożyczyć trochę do sąsiadów spod jedyńki!

– Zostań... – szepnęła. – Byłem już u nich... Nie pożyczają...

– Dlaczego?

– Nie oddaliśmy jeszcze poprzednich długów... – wychrypiał.

– Ile? – spytała cicho.

Nie odpowiedział, wyprostował tylko palce u obu dłoni.

– Siedem butelek... – Przygryzła wargę. – A ci spod szóstki?

Pokiwał przecząco głową, po czym zamknął oczy.

– Tato! – krzyknęła, rozglądając się nerwowo dokoła.

Nie odezwał się, nie podniósł powiek.

Nikola nie wiedziała, co robić. Zaczęła się nerwowo trząść.

Właśnie wtedy usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

– Mamo! – wrzasnęła. – Mamo!!!

Chwilę potem w kuchni zjawiała się Ada.

– O co chodzi? – spytała.

Nikola zaczęła szlochać.

– Uspokój się... – Ada uklękła obok męża. – Musisz mi powiedzieć, co się stało.

Córka nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa.

– Tato jest odwodniony? – spytała Ada, sprawdzając Krzykowi puls.

Dziewczyna potaknęła gwałtownie.

– Źle z nim – oceniła Ada po chwili.

– Przeżyje? – Nikola przestraszyła się własnego głosu. – W domu nie ma ani kropli. Przyniosłaś coś z pracy?

Ada się zawahała, odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

– Dostałam dzisiaj dodatkową butelkę – rzekła. – Czekaj! – dodała, widząc, że córka sięga do torebki, którą chwilę wcześniej położyła na stole.

Było już za późno, Nikola otwierała już zamek trzęsącymi się ze zdenerwowania rękoma.

Zrobiła to na tyle nieumiejętnie, że materiał wysmyknął się jej z rąk i torebka upadła na podłogę.

Zaraz potem wytoczyły się z niej trzy flaszki.

Nikola spojrzała na nią z wyrzutem.

– Dostałaś dzisiaj jedną dodatkową butelkę, tak?

Ada nie odpowiedziała, odkręciła jedną i przytknęła mężowi do ust.

Krzyk zakrztusił się, zaraz potem przyssał się do butelki, wypijając wszystko. Chwilę później było widać, że szybko dochodzi do siebie.

– Matka nas okłamała – rzekła Nikola twardo.

– Nie rozumiem... – rzekł.

– Powiedziała, że dostała w pracy jedną dodatkową butelkę, a z torebki wypadły trzy.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie grzebała w moich rzeczach? – wycedziła Ada.

– To prawda? – spytał Krzyk cicho.

– Musiałam... – zaczęła Nikola. – To był nagły wypadek...

Krzyk wstał. Spojrzał na żonę.

– Ciebie pytałem – wyjaśnił.

– Odpierdolcie się ode mnie oboje – odparła Ada gniewnie. – Jakim prawem stawiacie mi zarzuty? – Patrzyła to na męża, to na córkę. – Powinniście się cieszyć, że cokolwiek przyniosłam i się z wami podzieliłam...

– Jasne – prychnęła dziewczyna. – Mogłaś od razu zanieść wszystko do tej swojej pieprzonej szafki.

– Nikola, nie wyrażaj się – strofował ojciec. – Skąd masz tyle butelek? – spytał żonę.

– Nie twoja sprawa – odcięła się Ada.

– Jego – burknęła Nikola. – I moja też. Jesteśmy rodziną i...

– I co? – Ada weszła jej bezceremonialnie w zdanie. – Powinnam się z wami dzielić tym, co zarobię? A może według ciebie jestem wyrodną matką, bo nie daję ci pociągać ze swoich butelek tak, jak tatuś?

Nikola milczała, Krzyk też się nie odzywał.

– Wkrótce staniesz się dorosła i będziesz musiała radzić sobie sama – mówiła Ada dalej. – To, że ja potrafię sobie w tych ciężkich czasach radzić, nie oznacza, że mam harować za ciebie i twojego ojca.

– Tak, oboje wiemy, że ty – Krzyk zaakcentował ostatnie słowo – potrafisz sobie radzić. – Przed oczami stanął mu skąpy strój kąpielowy, jaki Nikola znalazła w jej szufladzie. Zerknął na podłogę, na której wciąż leżały dwie butelki. – Skąd to masz? – Pokazał na nie ręką.

– Już powiedziałam: nie wasza sprawa. – Ada zabrała butelki z podłogi.

– Zwiększyli dzienny przydział rodzinny? – pytał Krzyk dalej. – W pracy nikt nic nie mówił...

– Nie zwiększyli – odpowiedziała spokojnie.

– To skąd je masz? – Nie dawał za wygraną.

– Mają mnie przenieść na inne stanowisko, dużo lepiej płatne – powiedziała. Nie skłamała przecież, bo Grzesiu obiecał, że się tym zajmie, więc zmiana pracy była jedynie kwestią czasu. – Byłam już na rozmowie i czekam tylko na załatwienie formalności. Ale podwyżkę deputatu już dostałam.

– Ile dostałaś konkretnie? – spytała Nikola.

– Zgrzewkę – odparła Ada.

W pierwszym momencie Krzyk pomyślał, że się przesłyszał.

– Całą zgrzewkę? – uprawnił się po chwili.

– Tak. Jedną całą zgrzewkę – potwierdziła. Jedno dobre rżnięcie, jedna zgrzewka – dodała w myślach.

– Dlaczego nic nie mówiłaś o tej nowej pracy? – pytał mąż dalej.

– Chciałam wam zrobić niespodziankę. – Ada trzymała się roli.

– Tu są trzy butelki. – Krzyk patrzył na żonę. – Gdzie reszta?

– Zostawiłam w szpitalu – wyjaśniła. – I nie trzy, tylko dwie, bo jedną już wyżłopałeś.

Zmełł w ustach przekleństwo.

Ada jedną butelkę podała córce. Uczyniła to w taki sposób, żeby było widać, iż robi to wbrew sobie. Jeszcze kilka dni wcześniej za nic w świecie nie podzieliłaby się z nimi, ale teraz jedna czy dwie butelki nie miały już żadnego znaczenia. Jeszcze trochę i będzie się w ich zawartości pławić, jak w basenie.

– Masz – powiedziała.

Dziewczyna obdarzyła matkę nienawistnym spojrzeniem.

– Jakaś ty hojna – wycodziła.

Ada wyciągnęła rękę.

– Nie chcesz, to nie bierz – odcięła się.

Nikola zacisnęła zęby, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni, mocno trzymając oburącz butelkę.

Przed oczami Krzyka znów pojawił się tamten skąpy strój kąpielowy.

– Powiedziałaś prawdę? – spytał. – To jest inna praca w szpitalu czy może ta fucha u Joli?

Zaśmiała się.

– Tak się boisz, że jakiś inny facet mógłby zaopiekować się moją cipką?

– Tylko jeden? – Ciął słowami jak brzytwą, zdając sobie z tego doskonale sprawę.

– Taka z ciebie głowa rodziny, jak z koziej dupy trąba – skontrowała. – Kiedyś wydawało mi się, że jesteś prawdziwym mężczyzną. Ale wyprowadziłeś mnie z błędu, w jakim żyłam przez wiele lat. To ty powinieneś brać dodatkową robotę, aby zapewnić rodzinie byt.

Nic nie powiedział, zacisnął tylko pięści.

– Tak... – kpiła dalej. – To byłoby poniżej twojej godności. – Parsknęła śmiechem. – Wiesz, co ci jeszcze powiem?

Krzyk nie zdawał sobie sprawy z tego, że knykcie palców aż mu pobiełały.

Ada rzuciła butelkę na podłogę.

– Że tę też możesz sobie zabrać.

Wyszła z kuchni.

Krzyk jeszcze przez chwilę stał, wpatrując się w puste drzwi i zastanawiając się, dlaczego Ada nie mogła mu wybaczyć?

Po chwili dotarło do niego, że sam pewnie też nie potrafiłby zapomnieć o czymś takim.

Musiał się uspokoić, podszedł do zlewu. Kiedyś uwielbiał zmywanie naczyń, teraz była to dla niego mordęga, bo musiał liczyć się z każdą kroplą.

Zaczął od oczyszczenia talerzy, potem sięgnął po gąbkę, otworzył nieznacznie kran przeznaczony tylko do celów sanitarnych. Kiedy skończył, wszystkie talerze, kubki i sztućce włożył do wyparzynki.

Czekając, aż maszyna wykona swoje zadanie, wziął do ręki butelkę.

Drugą dłonią chwycił za korek, ale go nie odkręcił.

Nie czuł pragnienia.

Co?!

Nie czuł pragnienia!

Powinien się cieszyć, ale jakoś nie potrafił. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie musiał się martwić brakiem zapasów, ale wcale nie odczuwał z tego powodu spokoju ducha.

Pragnienie go nie męczyło, za to coś innego ciążyło niemiłosiernie.

Ada...

Poczuł, że oczy napęcznieją się łzami. Chwilę później spłynęły po policzkach, a on nie zareagował.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów tak zrobił.

Nie starł ich palcami, aby zaraz potem zlizać.

Poszły na zmarnowanie.

Nie musiał się tym przejmować, wcale ich teraz nie potrzebował, a jednak czuł się tak, jakby coś wysysało go od środka.

Nagle zrozumiał.

Rzucił się pędem po klucz do komody. Otworzył szufladę z bielizną Ady. Zaczął ostrożnie sprawdzać zawartość.

– Czego tam szukasz?!

Nawet się nie odwrócił, całą uwagę skupił na dokończeniu przeszukania.

– Pytałam, dlaczego grzebiesz w moich rzeczach?!

Znalazł to. Wziął materiał w dłonie, rozpostarł go, po czym się odwrócił.

– Tego szukam.

Spojrzał na żonę. Dostrzegł, jak na jej twarzy zaskoczenie miesza się ze złością.

– Skąd to masz? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Kupiłam dawno temu... – odpowiedziała, siłąc się na naturalny ton. – Jeszcze przed wojną.

– Akurat – prychnął. – To dlaczego nigdy cię w nim nie widziałem? – Nie wierzył w ani jedno jej słowo.

– Dlatego, że sobie nie zasłużyłeś. – Zimno to powiedziała, lodowato.

– Kłamiesz.

– Od dawna wiem, że mnie już nie kochasz... Czasem zastanawiam się, czy kiedykolwiek mnie kochałeś...

– Nie odpowiedziałas na pytanie.

– Nie zadałeś żadnego pytania.

– Dlaczego kłamiesz?

Zignorowała go.

– Kiedy zacząłeś mnie nienawidzić? – rzuciła cicho.

– A ty mnie? – odbił piłeczkę.

– Ja ciebie wtedy, kiedy podjąłeś tamtą decyzję – odparła bez zastanowienia. – Pamiętam doskonale, kiedy pierwszy raz o tym pomyślałam.

Nagle skąpy strój kąpielowy zaczął mu ciążyć niczym dwuczęściowe zimowe ubranie robocze.

– Nigdy mi nie wybaczysz? – wyszeptał.

– Nigdy – odpowiedziała. – Odłóż to na miejsce.

Położył materiał z powrotem. Kiedy zamknął szufladę, Ada wciąż stała w drzwiach.

– Nigdy więcej nie dotykaj moich rzeczy – powiedziała twardo.

Patrzył na nią bez słowa.

– I mnie też nigdy więcej nie dotykaj – dodała, znikając w przedpokoju.

Krzyk wpatrywał się w puste miejsce, myśląc o tym, że od niej już się nie dowie, jak jest naprawdę.

Ale to nie miało teraz znaczenia. I tak właśnie zyskał pewność, że Ada go oszukuje.

Że kogoś ma.

Zdziwił się, uświadomiwszy sobie, z jaką beznamiętnością o tym pomyślał.

Odwrócił się, spojrział w lustro i go olśniło.

Ada była mu obojętna.

Teraz liczyła się tylko Nikola i to, aby jej – i sobie – zapewnić byt.

Był tylko jeden sposób: realizacja planu musiała zostać przyśpieszona.

Rozdział 20

Czwartek 25 września 2031

Krzyk razem z Kowalskim wymieniali właśnie jakąś małą – ale przy tym istotną – część w prasie osadów, kiedy ten pierwszy został wywołany przez głośniki.

Na dźwięk swojego numeru identyfikacyjnego zamarł. Ostatnim razem, kiedy w ten sposób wezwano go do dyrektora, okazało się, że Nikola miała w szkole wypadek i w dwóch miejscach złamała kość udową.

Puścił się biegiem do budynku administracji. Zanim dotarł do drzwi wejściowych, zatrzymało go dwóch rosyjskich mężczyzn.

Od razu rozpoznał w nich esbeków.

To już koniec – pomyślał. Ale jak, do cholery, mogli dojść do tego, co planował?! Przecież nikomu nie pisał nawet słowa!

Miał mało czasu, aby podjąć decyzję, co dalej. Oddać się potulnie w ręce służb, czy jednak spróbować uciec?

Zanim zdążył cokolwiek sensownego wymyślić, jeden z osiłków przemówił.

– Jesteście wezwani na ponowne badanie na wariografie.

– Ale dlaczego? – spytał Krzyk. Z jednej strony był totalnie zdumiony, z drugiej mu ulżyło.

Drugi esbek przyszedł partnerowi w sukurs.

– Pośpieszcie się, nie mamy całego dnia. Do samochodu.

Dopiero teraz Krzyk zauważył nieoznakowany radiowóz. Chwilę później zajmował już miejsce na tylnym siedzeniu, wciśnięty między dwóch dryblasów.

Ruszyli.

– Mogę się dowiedzieć, dlaczego badanie ma zostać powtórzone? – spytał, z trudem wciągając powietrze w płuca. Przeszło mu przez myśl, aby się trochę porozpychać i w ten sposób zyskać nieco przestrzeni dla własnego ciała, ale szybko z tego pomysłu zrezygnował. Esbecy mogliby wziąć to za próbę ucieczki.

– Nie zadawajcie pytań – odpowiedział ten, który odezwał się wcześniej jako pierwszy.

Zaraz potem ze schowka wyjął dużą butelkę, odkręcił ją i wypił prawie połowę. Podał koledze, ten również pociągnął kilka sporych łyków.

Bulgotanie przypomniało Krzykowi, że od rana funkcjonował na jednej trzeciej szklanki herbaty. Przed wyjściem do szpitala Ada zapewniła, że wieczorem znów przyniesie coś ekstra, ale jakoś jej nie wierzył. Postanowił zatem maksymalnie oszczędzać przydział z oczyszczalni i teraz niemiłosiernie go suszyło.

– Chcecie? – spytał ten pierwszy.

Przez ułamek sekundy Krzyk chciał odmówić – w głowie pojawiła się bowiem myśl, że to jest początek zmiękczenia – ale pragnienie było silniejsze.

– Uhm.

Podał butelkę.

– Macie.

Krzyk po nią sięgnął.

– Dziękuję.

Przyłożył szyjkę do ust, zaczął pić, dzieląc resztę zawartości na kilkanaście łyčzków, w ten sposób chciał jak zwykle oszukać organizm.

*

Kiedy minęli gmach urzędu wojewódzkiego, do Krzyka dotarło, że jadą gdzie indziej. Tak było, kilka minut później kierowca zaparkował samochód na Partyzantów.

Krzyka znów dopadły wątpliwości. Nigdy nie był tu na badaniu na wariografie, te Bilski przeprowadzał u siebie. Jeśli przywieziono go do SBP, mogło to oznaczać, że jednak wcale nie chodzi o badanie prawdomówności, a on po prostu dał się wyprowadzić w pole jak dziecko.

Ta świadomość go przybiła, nie miał siły nawet myśleć o ucieczce, co dopiero o podjęciu jakichkolwiek działań. Dał się zaprowadzić do gabinetu na drugim piętrze. Kiedy zobaczył Bilskiego, miał już kompletny mętlik w głowie.

– Dlaczego nie u ciebie? – spytał cicho.

– Takie są procedury – wyjaśnił Bilski spokojnie. – Ponowne badanie prowadzone jest w innym trybie. Specjalnym.

– Na co czekamy?

– Raczej: na kogo.

Ledwie Bilski skończył mówić, drzwi się otworzyły i stanął w nich Medynia.

– Dobrze, że już jesteście – rzekł, krótkim podniesieniem ręki witając się z urzędnikiem. – Długo czekaliście?

– Dopiero weszliśmy – odparł Bilski. – Pana pułkownika Justyna Medynię już znasz, prawda? – Spojrzał na kolegę z dawnych lat.

Krzykowi po plecach przeszedł nerwowy dreszcz. Jakże mógłby go zapomnieć? Tego skurwysyna zapamięta do końca życia!

– Miałem okazję – powiedział cicho.

– Niektóre momenty z życia zostają w głowie na zawsze. – Esbek uśmiechnął się nieszczercze. – To było pamiętne spotkanie, nieprawdaż?

– Czy któryś z panów mógłby mi wyjaśnić, z jakiego powodu badanie na wariografie zostanie powtórzone? – spytał Krzyk.

– Uzasadnienie zostało utajnione – rzekł Medynia krótko.

– Aha... – rzucił Krzyk. – W takim razie uprzedzę pierwsze pytanie i zgłoszę, że pojawiłem się na badaniu, nie uzupełniwszy poziomu płynów do wymaganego minimum.

Bilski zdusił uśmiech na twarzy.

Medynia podszedł do szafy, otworzył ją.

– Ile? – spytał.

– Dwie powinny wystarczyć – odparł Krzyk.

Esbek wyjął parę półlitrowych butelek, rzucił w kierunku mężczyzny.

– Byle szybko – dodał, nie siląc się na uprzejmości.

– Mówiąc szczerze, zwykle wypijam trzy...

– Szczerość zostawcie na potem – skontrolował Medynia. – Zaraz zaczynamy.

– Przed chwilą wręczono mi nową listę pytań. – Bilski włączył się do rozmowy. – Nie miałem okazji się z nią zapoznać.

– Nie szkodzi. Ja będę prowadzić badanie.

– Pan pułkownik? – Bilski nie krył zaskoczenia. – Nie mogę się na to zgodzić. Pytania muszą być zadawane przez pracownika Departamentu Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli. Pan, jako funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa Państwa może oczywiście pełnić rolę obserwatora. Takie są procedury.

Medynia w ułamku sekundy zgasił wybuch gniewu, jaki zaczął w nim wzbierać. Wyszedł z gabinetu, nic przy tym nie mówiąc.

Wrócił po kilku minutach z jaśniejącą z radości twarzą.

– Pierwszy Przewodniczący będzie do pana dzwonić... – powiedział do urzędnika.

Sekundę później Bilski poczuł charakterystyczną wibrację prawej dłoni. Uruchomił wirtualfon, odebrał połączenie. Rozmowa była krótka, a on sam odpowiadał jedynie monosylabami.

Krzyk patrzył, jak jego kolega ze szkoły z każdą kolejną chwilą robi się coraz mniejszy.

Wreszcie Bilski zakończył połączenie, spojrział z wyrzutem na esbeka.

– Nie ufa mi pan?!

– Nie ufam nawet samemu sobie. – Kiedy Medynia to mówił, na jego twarzy nie pojawił się najmniejszy grymas uśmiechu. – Zaczynamy.

Krzyk rozebrał się do naga, zajął miejsce na fotelu. W tym czasie esbek uruchomił aparaturę. Chwilę później badanie ruszyło.

Pierwsze pytania były standardowe, Krzyk wiedział, że właściwa rozgrywka dopiero się zacznie, ale i tak dał się zaskoczyć.

– Czy utrzymuje pan stosunki seksualne z kobietami innymi niż małżonka?

– Przecież podczas badania na wariografie nie możecie pytać o sprawy intymne!

Medynia spodziewał się tego, był przygotowany.

– Nie możemy, chyba że mogą mieć związek z bezpieczeństwem państwa. Odpowiadajcie na pytanie.

– Nie.

– Czy utrzymuje pan stosunki seksualne z małżonką?

– Co?

– Odpowiadać!

Krzyk przygryzł wargę.

– Jakiego okresu czasowego dotyczy pytanie? – spytał po chwili.

Esbek był zbity z tropu, to było wyraźnie widać.

– W takim razie zapytam inaczej: kiedy ostatnio współżył pan z małżonką?

– Nie macie prawa... – jęknął.

– Mamy! – krzyknął Medynia. – Odpowiadać!

Krzyk postanowił, że nie podda się od razu.

– Uchylam się od odpowiedzi na to pytanie.

– Nie macie takiego prawa.

– Zgodnie z prawem mogę odmówić odpowiedzi na pytanie, jeśli uznam, że mógłbym w ten sposób narazić się na odpowiedzialność karną!

– To prawo dotyczy spraw prowadzonych przed sądem. – Medynia triumfował. – Niniejsze badanie nie podlega jurysdykcji sądu. Odpowiadać!

Krzyk poczuł się nagle bardzo zmęczony.

– Pół roku temu – wyszeptał.

Medynia szykował się do serii kluczowych pytań.

– W którym roku zmarła pańska pierwsza żona?

– Co?!

– Odpowiadać na pytanie!

Krzyk spojrzał na Bilskiego, szukając u niego pomocy, ale ten jedynie patrzył przed siebie tępym wzrokiem.

– Jaki to ma związek? – spytał Krzyk.

– Odpowiadać na pytanie!

– W czternastym roku...

– Kto prowadził wówczas samochód?

– Ja prowadziłem... – wyszeptał.

– Kto jeszcze znajdował się w pojeździe mechanicznym oprócz pana i małżonki?

Krzyk jęknął w duchu.

– Nasz syn...

– Proszę podać jego imię i nazwisko.

Krzyk miał wrażenie, że zapada się w sobie.

– Jacek Krzyk... – odpowiedział po dłuższej chwili.

Medynia uważnie rejestrował zachowanie mężczyzny. To samo za pośrednictwem czułych kamer i mikrofonów robiło SYCO, ale on wiedział, że w takiej sytuacji żadna maszyna nie jest w stanie zastąpić człowieka. Przynajmniej tak doświadczonego funkcjonariusza, jak on.

– Kto według policji był winnym spowodowania wypadku?

– Ja.

– Czy zgadza się pan z werdyktem organów ścigania?

Krzyk spojrział na esbeka. Kusiło go, żeby zapytać, jakie to ma teraz znaczenie, ale zrezygnował. Chciał to mieć jak najszybciej za sobą.

– Tak, zgadzam się.

– Czy to prawda, co przekazał pan psychiatrze podczas sesji terapeutycznej, że ożenił się pan powtórnie, już po wypadku, w głównej mierze z wdzięczności do obecnej małżonki, która opiekowała się panem w okresie rekonwalescencji?

Tego było już dla Krzyka za wiele.

– Pierdol się.

Medynia był pewien, że źle usłyszał.

– Słucham?

– Powiedziałem, żebyś się pierdolił.

Esbek zmusił się do opanowania. Gdyby nie obecność urzędnika Departamentu Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli inaczej by się teraz zachował.

– Masz odpowiadać na pytania – wycodził. – Czy to prawda, co przekazał pan psychiatrze podczas sesji terapeutycznej, że ożenił się pan powtórnie, już po wypadku, w głównej mierze z wdzięczności do obecnej małżonki, która opiekowała się panem w okresie rekonwalescencji?

– Nie pamiętam.

– Masz odpowiadać na pytania!

– Odpowiedziałem: nie pamiętam. Nie można nikogo zmusić do tego, aby pamiętał wszystko, co się wydarzyło w jego życiu.

Medynia zamknął na chwilę oczy. Otworzył je szybko, sięgnął do teczki, wyjął z niej kartkę papieru, pokazał przesłuchiwanemu.

– Co to jest? – spytał.

Krzyk nie odpowiedział od razu, trochę trwało, zanim mógł z siebie coś wydusić.

– Skąd to macie?

– Odpowiadajcie na pytanie.

– To praca z przedszkola mojego zmarłego syna. Skąd ją macie?

Esbek zignorował rozmówcę.

– Czy znane są wam przepisy sanitarne zabraniające przechowywania w szafkach pracowniczych przedmiotów niemających bezpośredniego związku z wykonywanymi zadaniami służbowymi?

– Tak. – Nie wiedział, do czego esbek zmierza, szybko jednak się zorientował. – Ale to tylko kartka papieru!

– Znany wam jest przepis o przypadku nielegalnego mienia przechowywanego w miejscu pracy bez wymaganego zezwolenia?

Krzyk jęknął.

– Odpowiedzcie na pytanie! – wrzasnął Medynia.

– Tak – szepnął, zaciskając pięści.

– Przedmiot zostaje zarekwirowany i ulegnie wybrakowaniu, co zostanie zaprotokołowane.

– Nie! – zerwał się z krzesła, nie zważając na płataninę kabli.

Medynia czekał na taki rozwój wypadków już od dłuższego czasu. Był gotowy. Zanim Krzyk zrobił dwa kroki w jego kierunku, wyprowadził cios. Podbródkowy nie był mocny, ale za to trafił tam, gdzie powinien i mężczyzna runął bezwładnie na podłogę.

– Przesadziłeś – rzekł Bilski.

– Zamknij się – odparował Medynia.

Przyniósł butelkę, odkręcił korek, wylał zawartość na twarz Krzyka. Chwilę później ten zaczął wracać do przytomności.

Esbek odczekał kilka minut, potem posadził przesłuchiwanego na krześle. Przymocował kabelki, stanął z boku, aby dokończyć dzieła.

– Ostatnie pytanie: czy planujesz wziąć udział w spisku mającym na celu zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Demokratycznej?

Krzyk miał rozbiegany wzrok, ale skojarzył, o co jest pytany. Już wcześniej spodziewał się takiego rozwoju wypadków i przygotował linię obrony.

– Boję się odpowiadać na to pytanie – powiedział cicho. – Taki spisek to potworna rzecz i sama myśl o czymś takim sprawia, że się denerwuję, a wtedy moja negatywna odpowiedź mogłaby zostać zinterpretowana jako kłamstwo i stać się powodem zatrzymania prewencyjnego.

Bilski przygryzł język, aby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zadowolony z tego, co usłyszał.

Medynia wręcz przeciwnie, nie krył emocji, jakie nim teraz targały.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie tak lub nie!

– Boję się odpowiadać na to pytanie. Nie uchylam się od odpowiedzi, ale obawiam się o swoje zdrowie lub życie. Udzielę odpowiedzi pod warunkiem obecności obrońcy posiadającego licencję międzynarodową.

Esbek zazgrzytał zębami, zdając sobie sprawę, że tę bitwę przegrał.

– W takim razie odnotowuję wasz sprzeciw – wycedził. – Kończymy na dzisiaj.

Zaczął wyłączać aparaturę.

– Od siebie dodam jeszcze jedno – powiedział po krótkiej chwili. – Przepraszam za ten cios, ale był konieczny. Gdyby nie moja reakcja, wpadłby pan w szal i nie odpowiedział na ostatnie pytanie. Zgodnie z procedurami brak odpowiedzi na którekolwiek z pytań kluczowych zadanych podczas powtórzonego badania oznacza zatrzymanie i osadzenie w areszcie na okres nie krótszy niż trzy miesiące.

– Chcesz powiedzieć, że ten strzał był z troski o pana Krzyka? – Bilski nie dowierzał.

– Właśnie to chcę powiedzieć – kłamał jak z nut. – Powiem więcej: prywatnie jest mi przykro z powodu wcześniejszych pytań, tych dotyczących zmarłej rodziny.

Na dźwięk tych słów Krzyk poczuł silny ból w klatce piersiowej.

– Niestety... – mówił Medynia dalej. – Z powodów formalnych potrzebowaliśmy matrycy zachowań w dużym stresie emocjonalnym, aby móc je porównać z wynikami wcześniejszego badania.

– Zdałem? – Krzyk chciał wiedzieć tylko to.

– Tak. – Esbek kolejny raz gładko minął się z prawdą. – I jeszcze coś: chciałbym, żebyście wiedzieli, jak wielkim szacunkiem darzę was za to, co wtedy zrobiliście.

Bilski nagle chrząknął.

– Dziękuję. – Krzyk zmusił się do uśmiechu. Chciał jak najszybciej stąd wyjść. Miał wrażenie, że jeszcze kilka minut i zacznie się dusić. Wiedział, że to irracjonalne odczucie, bo przecież wszystkie okna w pomieszczeniu były uchylone, ale nie potrafił nad tym zapanować. – Czy jestem już wolny?

Na twarzy Medyni pojawił się jeden z wyuczonych uśmiechów.

– Oczywiście – zapewnił. – Moi ludzie odwiozą pana do pracy.

– Ja też się zbieram – dodał Bilski.

Wszyscy trzej wyszli z budynku, Krzyk wsiadł do tego samego nieoznakowanego radiowozu, co wcześniej. Kiedy ruszyli, nawet nie obejrzał się za siebie. Nie chciał więcej oglądać twarzy Medyni.

Nie widział więc, jak ten uruchamia wirtualfon i zaczyna się niecierpliwić, a zaraz potem wraca biegiem do gmachu.

*

Esbek wpadł do biura sąsiadującego z gabinetem, w którym dopiero co przesłuchiwał Krzyka.

– Kurwa, długo mam czekać?! – wrzasnął na Wiche.

– Panie pułkowniku, byłem w toalecie – wyjaśnił kapitan.

– Lata mi to koło chuja! – Medynia kompletnie nie przejmował się tym, że w pomieszczeniu przebywało też dwóch innych funkcjonariuszy. Wręcz przeciwnie, ich obecność tylko spotęgowała złość, jaką z premedytacją zamierzał wyładować na podwładnym.

– Słuchajcie głęby uważnie – teraz zwrócił się do całej trójki – bo nie będę dwa razy powtarzać. Śledztwo w sprawie Jana Krzyka ma absolutny priorytet. Wyrażam się jasno?

– Tak jest! – potwierdzili zgodnie.

– To bierzcie się do roboty! – wrzasnął.

Odczekał, aż znajdą się w drzwiach, dopiero wtedy dodał:

– A was, kapitanie Wicha, zgłaszam do raportu z wnioskiem o obcięcie premii.

– Ale dlaczego? – jęknął Wicha. – Przecież mówiłem panu pułkownikowi, że byłem w sraczu!

– Koszula. – Medynia przytknął palec do własnego kołnierzyka opinającego ciasno szyję. – Koszulę służbową należy zapinać do ostatniego guzika.

Rozdział 21

Kiedy Krzyk wrócił do oczyszczalni, Kowalski kończył właśnie naprawę prasy osadów. Był na tyle dobrym kolegą, że nawet nie próbował zasypywać Janka gradem pytań. Wystarczyło mu, że widział, w jakim ten jest stanie.

Krzykowi tych kilka godzin do końca zmiany dłużyło się niemiłosiernie, jak rzadko kiedy. Gdy wreszcie mógł odbić opaskę na bramie, miał już tylko jeden cel: jak najszybciej znaleźć się w domu, zapaść w fotelu i spróbować zapomnieć o tym, co wydarzyło się na Partyzantów.

Jednak tego dnia szczęście ewidentnie mu nie sprzyjało. Dotarłszy do wiaduktu na ulicy Zjednoczenia, ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że drogi strzeże kilku młodych funkcjonariuszy SBP z oddziałów prewencji.

– Przejścia nie ma! – warknął jeden z nich.

– Dlaczego? – spytał zdziwiony. Esbecy słynęli z różnych akcji organizowanych na terenie Enklawy Wewnętrznej, ale żeby zamykać cały wiadukt?

– Spierdalaj! – krzyknął młodzieniec.

Krzyk wycofał się kilka kroków, nie było sensu protestować. Zanim zdążył pomyśleć, co robić dalej, rozległ się głos syren, zaraz potem ulicą przemknęła kawalkada radiowozów na sygnale.auta jechały jedno za drugim, naliczył dwadzieścia, w tym wóz jednostki antyterrorystycznej.

Ćwiczenia? – przemknęło mu w głowie. Był pewien, że wiadukt zostanie za chwilę otwarty, ale funkcjonariusze prewencji cały czas stali na posterunku.

– Kiedy będzie przejście? – krzyknął z bezpiecznej odległości.

Esbek, który wcześniej na niego nawrzeszczał, spojrzał tylko kpiąco.

Chcąc nie chcąc, Krzyk musiał wybrać inną drogę do domu. Cofanie się aż do Batorego, żeby pokonać tory tunelem, oznaczałoby znaczne nadłożenie drogi, dlatego zdecydował się na inny wariant. Obszedł sąsiedni budynek, przeskoczył kilka starych sypiących się płotów, chwilę później zaczął się za jednym z filarów wiaduktu. Zaczął się bacznie rozglądać, kiedy nie dostrzegł niczego podejrzanego,

pokonał tory, licząc na to, że nie trafi na jakiegoś nadgorliwego sokistę, bo zgarnąłby taki mandat, że pół roku nie dałby rady go spłacić z pensji.

Ada na pewno nie dorzuciłaby ani jednego euro...

Kiedy był już po drugiej stronie torów, powietrzem wstrząsnęła kanonada.

Od zakończenia wojny minęło już sporo czasu, ale Krzyk wiedział, że tych dźwięków nie zapomni do końca życia. Instynktownie się zgarbił, dobiegł do narożnika najbliższego budynku, chowając się w jego ruinach. Zaczął nasłuchiwać, próbując określić kierunek, skąd padają strzały. Po chwili był już pewny, że to musi być rejon placu Słowiańskiego.

Tam były sądy obywatelskie: okręgowy i rejonowy.

Co to, kurwa, były za ćwiczenia, żeby używać broni maszynowej?!

Strzały rozbrzmiewały jeszcze przez parę minut, potem zamilkły i Krzyk ruszył dalej. Kiedy mijał zgliszcza Castoramy, ciszę raz po raz zaczęły przecinać sygnały karetek pogotowia ratunkowego. Próbował liczyć, ile ich było, ale dźwięki nakładały się na siebie i stracił rachubę. Był jednak pewien, że było ich dużo, więcej niż kilka.

A jeśli to jednak nie był ćwiczenia?

Co zatem stało się na placu Słowiańskim? – zachodził w głowę, szybkim krokiem zmierzając do domu i myśląc już tylko o tym, czy Ada przyniosła jakąś dodatkową butelkę.

Widział już swój blok, zza którego wystawała kościelna wieża – z widocznymi śladami po kulach – kiedy rozbrzmiał sygnał przychodzącej wiadomości. Uruchomił wirtualfona, kiedy ją przeczytał, uśmiechnął się szeroko. W jednej chwili zapomniał o pragnieniu i pytaniach nurtujących go, odkąd usłyszał pierwsze strzały.

Nikola pisała, że świetnie się bawi na spacerze z Maćkiem, przysłała nawet zdjęcie, jak trzymają się za ręce. Widać było, że jest szczęśliwa.

Krzyk wpatrywał się w fotografię, pokonując kolejne stopnie, stanął przed mieszkaniem, wszedł do środka, cały czas patrząc na radosną twarz córki i właśnie wtedy usłyszał głosy. Momentalnie przystanął.

Ada z kimś rozmawiała.

To nie mogła być Nikola, zatem kto? Zaczął się przysłuchiwać. Rodziny w enklawie nie mieli, poza nią owszem, ale z ich kategorią występowanie o zgodę

na spotkanie było właściwie stratą czasu. Ostatnich gości przyjmowali tuż po zakończeniu wojny, potem parę razy wpadła w krótkie odwiedziny któraś z koleżanek Ady.

Właśnie!

Rozpoznał ten obcy głos. To była Oksana, pielęgniarka z tego samego oddziału, co żona.

– Dlaczego strzelali do dzieci? – mówiła przez łzy. – Dlaczego do dzieci?

– Po jaką cholereę oni pobiegli do przedszkola? – jęknęła Ada. – Nie mogli schować się gdzieś indziej?

– Nieważne, gdzie by się ukryli! – krzyknęła Oksana. – Te skurwysyny nie powinny strzelać do ludzi...

– Dla nich to nie są ludzie, tylko numery... – Adzie łamał się głos. – Tak jak ja... Ty masz wyższą kategorię...

– Chcesz powiedzieć, że mam z tym coś wspólnego?!

– Nie! – jęknęła. – Wiesz, co miałam na myśli... Że ci ludzie z piekarni... Same czwartaki... Władza się takimi nie przejmuje...

Krzyk nie mógł już dłużej czekać, wszedł do salonu.

– O czym rozmawiacie? – spytał od razu.

Oksana próbowała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie.

– O niczym... – odparła

– Wszystko słyszałem.

– Skoro wszystko słyszałeś, to po jaką cholereę pytasz? – powiedziała Ada podniesionym tonem. – Nie wolno nam opowiadać o tym, co dzieje się w szpitalu – dodała cicho.

– Przecież wiesz, że jest odgórny zakaz – zawtórowała Oksana. – Nie dotyczy tylko tego przypadku...

Krzyk uniesioną dłonią wykonał młynka nad głową, pokazując na i sufit i ściany.

– Tu nie ma kamer ani mikrofonów – powiedział twardo. – Jesteście tylko wy dwie i ja.

– To nie ma znaczenia – skwitowała Oksana.

– Ma – odbił piłeczkę. – Dawno cię nie było. – Zmienił nagle temat.

– Odwiozłam Adę... – Koleżanka się zamyśliła. – Sam widzisz, w jakim jest stanie... Nie dałaby rady dojść...

– Ty nie wyglądasz wcale lepiej – zauważył. – Też opatrywałaś rannych?

– Nie było kogo opatrywać... – odpowiedziała machinalnie. – To znaczy...

– Przecież już mówiłem, że nikomu nie powiem. – W głowie dopasowywał elementy układanki. – Ci, których do was przywieziono... To były same ciężkie przypadki?

Oksana potwierdziła skinieniem głowy.

– Dużo trupów?

Nie odpowiedziała.

– Nawet nie miałyśmy sprzętu... – Ada powiedziała to bezosobowym głosem, jakby relacjonowała komuś nudny mecz. – Wszystko jak zawsze było na górnym SOR-ze... Nic nie pozwolili stamtąd wziąć...

– Dużo trupów? – powtórzył pytanie. – Kilkanaście?

Obie milczały.

– Kilkadziesiąt? – pytał Krzyk dalej.

Nie odezwały się słowem.

– Setka?!

Ada zamknęła oczy.

– Aż tyle? – Nie mógł uwierzyć. – Dużo dzieci?

Na policzkach jego żony pojawiły się łzy. Oksana gwałtownie westchnęła.

– Powiecie mi czy nie? – wyszeptał mężczyzna.

Nagle Ada sięgnęła do torebki koleżanki. Drżącymi palcami wyjęła z niej paczkę papierosów, nie bez problemu jednego wysunęła i odpaliła.

Krzyk patrzył na żonę zdumiony. Pierwszy raz widział, jak pali.

– Dużo dzieci, tak? – jęknął.

Adą wstrząsnął spazmatyczny płacz, zaraz potem szlochać zaczęła Oksana.

Podszedł, przytulił żonę do piersi, wyciągnął rękę do jej koleżanki i ją też przysunął do siebie.

Przez długie minut tak stali: kobiety płakały, on je tulił, nic nie mówiąc.

– Ile osób przeżyło? – spytał, kiedy już się uspokoiły.

Oksana podniosła jedną rękę.

– Które to było przedszkole? – zadał kolejne pytanie.

– Nie wiemy – odparła Ada. – Nikt z esbeków, jacy wpadli z rannymi do szpitala, niczego nam nie powiedział.

– To musiało być to stare przedszkole na Moniuszki... – analizował na głos.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się Oksana.

– Wracalem z pracy... Nagle się okazało, że esbecy zamknęli wiadukt... – zaczął opowiadać. – Jechało mnóstwo radiowozów, antyterrorystów... Teraz już wiem, że ściągali posiłki z garnizonu... Niedługo później z daleka usłyszałem strzały, gdzieś z placu Słowiańskiego... Do piekarni i przedszkola jest stamtąd dwieście, może trzysta metrów... Głupi, myślałem, że to ćwiczenia...

– Tak pewnie powiedzą dzisiaj w Dzienniku Wieczornym... – Oksana westchnęła głęboko.

– Dzisiaj nic nie powiedzą – skontrował Krzyk.

– Skąd wiesz?

– To jest zbyt poważna sprawa, żeby wydział promocji enklawy zdążył sprepować coś w kilka godzin – wyjaśnił. – Czy wiecie, jak zamieszki się rozpoczęły?

– Rano w piekarni wybuchł strajk – powiedziała Oksana.

Krzyk nie dziwił się takiemu rozwojowi wypadków. Praca w piekarni – jedynej w mieście, zaopatrującej Enklawę Wewnętrzną, Enklawę Zewnętrzną oraz okoliczne mniejsze enklawy – należała do najcięższych i najslabiej opłacanych.

– Ludzie zażądali wycofania planowanych obniżek dziennych przydziałów rodzinnych – kontynuowała Oksana. – Na rozmowy przyjechał ktoś z komitetu wojewódzkiego partii, ale obrzucono go bułkami. Jeden z łez rannych powiedział, że któryś z towarzyszących mu esbeków wyjął pistolet... Nie wiadomo, co było dalej...

– Ale można się domyślić – dokończył. – Chodzi o te obniżki, na które ludzie wyrazili niby zgodę w referendum?

– Tak – potwierdziła Ada.

– To przecież nie powinni być zdziwieni, że je wprowadzają. – Myślał na głos.

– Ludzie nie strajkowali z powodu ich wprowadzenia, tylko wysokości.

– Wysokości? – zdziwił się. – Ma pójść w dół o cztery koma pięć procent.

Ada otarła policzki rękawem bluzki.

– Z choinki się urwał? – prychnęła lekceważąco. – Od kiedy władza robi to, co zapowiada, że zrobi?

Krzyk już rozumiał.

– To o ile? – spytał.

– Prawie dwadzieścia procent – wyszeptała Oksana. – Minimum na trzydzieści dni z możliwością przedłużenia.

– Dwadzieścia procent na miesiąc – powtórzyła Ada. – Wiele osób z Enklawy Wewnętrznej tego nie przeżyje.

Rozdział 22

Oksana wyszła, jakiś czas później do domu wróciła Nikola. Nadszedł wieczór, każde z domowników zajęło się własnymi sprawami.

Krzyk sam ze sobą grał w szachy, próbując nie myśleć o tym, jak bardzo chce mu się pić. Wczoraj dostał od żony dodatkową butelkę, ale to ledwie wyrównało straty spowodowane najnowszymi cięciami i teraz potwornie go suszyło.

Ada oglądała w samotności maraton *Kurzych wojen*, nowe reality show polskiej produkcji robiące furorę na całym świecie. W kolejnych odsłonach rywalizowało ze sobą dwóch hodowców. Ich podopieczne miały w kurnikach zamontowane kamery i ludzie godzinami oglądali je w naturalnym środowisku, czekając na ten moment, kiedy zasiadały, aby znieść jajko. Rolnicy zatrudniali profesjonalne studia fryzjerskie i specjalnie przygotowanych stylistów, wszystko po to, aby kury wypadły jak najlepiej przed kamerami. Godzinne maratony wypełniały komentarze ekspertów i najnowsze wieści z instytutów rolnictwa i hodowli zwierząt.

Kiedy Krzyk wszedł do salonu, charakterystyczna fanfara ogłaszała wygraną jednej z niosek.

– Nie wiesz, gdzie jest moja książka z najbardziej spektakularnymi gambitami?
– spytał, zerkając na ekran.

Ada była myślami zupełnie gdzieś indziej.

– Co?

– Ta z figurami szachowymi na okładce – zirytował się.

– Chyba Nikola wzięła...

– Po co jej? – zdziwił się. – Przecież ona nie gra w szachy.

– Chyba chce zaimponować temu nowemu chłopcu.

– Maćkowi?

– Uhm.

– Pójdę ją spytać...

– Teraz jej nie przeszkadzaj! – Zareagowała gwałtownie.

– Dlaczego?

– Ma z nim randkę. Dwie godziny się szykowała. Pomagałam jej się umalować.

– Randkę? – Ucieszył się. – Naprawdę? To może pójde podłuchać? – Zażartował.

Zrobił to najwyraźniej w złym momencie, bo zza pleców usłyszał huk otwieranych drzwi. Chwilę później do salonu wbiegła zapłakana Nikola.

– To wszystko wasza wina!

Krzyk był kompletnie zbity z tropu.

– Ale co konkretnie?

– To, że nie mam żadnych znajomych i przyjaciół! – krzyczała przez łzy.

Ada była równie zaskoczona.

– A ten Maciek? – spytała.

– Właśnie! – wrzasnęła dziewczyna. – Nawet jego nie chcecie zaakceptować!

– Co?! – zdziwił się Krzyk. – Przecież byłeś z nim na kilku spacerach... Nawet wysłałaś mi fotki...

– Spacer to nie to samo, co zaproszenie do domu! – awanturowała się. – Czemu nie chcieliście, żebym do niego poszła?!

– Na to jeszcze za wcześnie... – Krzyk próbował się bronić. – Poza tym zabrakło ci punktów, żeby uzyskać zgodę...

– To twoja wina! – wrzasnęła Nikola. – Przez ciebie żyjemy jak ostatni nędzarze!

Krzyk spojrzał z wyrzutem na żonę. To były jej własne słowa. Tyle razy mu to wyrzucała, że teraz nawet jego własna córka już tak myślała.

– Nie gap się tak na mnie. – Ada odwróciła głowę. – Nikola nie powiedziała niczego, co nie byłoby prawdą.

Zacisnął zęby, starając się opanować. Popatrzył na dziewczynę.

– Możesz wreszcie powiedzieć, co dokładnie się stało? – spytał.

Nikola otarła łzy z policzków.

– Pojawił się czarny ekran i biały napis: „Wideo kontrolowane”.

– Kurwa mać! – zaklął siarczyście. – Już żadnej prywatności w tym kraju nie ma...

Dziewczyna cały czas chlipała pod nosem.

– Ale to chyba jeszcze nie jest powód do robienia scen? – spytał nagle.

Nikola milczała.

– Powiesz wreszcie czy nie? – naciskał. – Przerwana randka online to nie koniec świata. Ja, kiedy byłem w twoim wieku...

– Nie interesuje mnie, co było sto lat temu! – przerwała mu gwałtownie. – Jakbyś lepiej zarabiał, to miałabym więcej punktów do dyspozycji! I mogłabym mu pokazać w domu! A tak... – Nagle zdała sobie sprawę, że się zagalopowała.

– Co mogłabyś mu pokazać w domu? – podłapał Krzyk natychmiast.

Uwaga Ady też została przyciągnięta. Obróciła się, spojrzała na córkę wyczekująco.

– Mów! – Krzyk był coraz bardziej zdenerwowany.

– To wszystko wasza wina! – wrzasnęła Nikola.

Krzyk nie zamierzał odpuścić.

– Odpowiedz na pytanie – wycedził. – Co mogłabyś mu pokazać w domu?

– To ty nie wiesz? – Ada włączyła się w wymianę zdań. – Nie domyślasz się, co nastoletnia dziewczyna mogła pokazać swojemu chłopakowi, że SYCO włączyło nadzór kontrolny?

– Mów. – Krzyk z trudem nad sobą panował.

– Nic... – Nikola już nie wrzeszczała.

– Mów, co mu pokazałaś!

Dziewczyna próbowała uciekać spojrzeniem.

– Nic... Po prostu rozmawiałam z Maćkiem...

– Akurat. – Ada prychnęła.

– Pokazałam mu dekolt... – wyszeptała.

– Dekolt? – powtórzył Krzyk jak echo. – Jak duży fragment de-kol-tu?

Nikola opuściła głowę, wbiła wzrok w podłogę.

– Zawsze to lepiej, że pokazała mu cycki niż cipkę – rzuciła nagle Ada.

Dziewczyna spojrzała na nią z wyrzutem.

– Mamo!

– Ada! – Krzyk też nie zamierzał owijać w bawełnę. – Jak możesz?

– Jak mogę: co? – Ada była niewzruszona. – A on ci coś pokazał?

– Mamo!!!

– Ada!!!

– Czego ode mnie chcecie? Jakie to ma znaczenie, czy pokazała mu pół cycka czy cały? Jednego czy oba naraz?

Krzyk skrył twarz w dłoniach, przetaił nimi skórę.

– Tak było? – spytał po chwili. – Pokazałaś mu piersi?

– Nie twoja sprawa! – odkrzyknęła Nikola. – I jeszcze ci powiem, że dostałam za to naganę!

– Naganę? – jęknął.

– Taki komunikat się pojawił – odparła szybko. – A potem jeszcze informacja, że opiekunowie prawni mają skontaktować się z infolinią kuratorium oświaty. Dobrze wam tak! – Wybiegła z salonu, trzaskając drzwiami.

– Jeśli choćby myślisz, że to ja będę dzwonić, od razu wyprowadzę cię z błędu – rzekła Ada. – Rozpieściłeś swoją córkę, to teraz płac za jej wybryki.

– Rozpieściłem? – Zmarszczył brwi. – Ja?

– Trzeba było trzymać ją krótko.

– Ty prowadziłaś ją na smyczy, co? – skwitował.

– Tak wokół niej biegałeś... – Zaśmiała się. – Tak na nią chuchałeś... A teraz zamiast dziękuję, są tylko zarzuty za małą liczbę punktów.

Nie odezwał się. Myślał o tym, co właśnie usłyszał. Te słowa bolały, tym bardziej że akurat tym razem Ada powiedziała prawdę.

– Chyba przegapiłeś ten moment, w którym córeczka tatusia przestała być już tak niewinna, jak wcześniej.

– A tego przykładu nie miała akurat od ciebie?

Spojrzała na niego, na jej twarzy niepewność mieszała się z wyrzutem.

– O co ci chodzi?

– O nic.

– To się pierdol.

Wstała, wyszła z salonu.

Krzyk patrzył, jak zamyka za sobą drzwi, potem zaklął kilka razy. Uruchomił wirtualfona, wybrał połączenie, potem przez kwadrans czekał, aż przyjdzie jego

kolejka. Kiedy wreszcie ktoś z kuratorium odebrał, musiał wysłuchać długiej połajanki. Przez jakiś czas udawało mu się trzymać nerwy na wodzy, w końcu jednak nie wytrzymał.

– Przecież to jej ciało! – Podniósł głos.

Kobieta po drugiej stronie słuchawki była nieugięta.

– Niech się pan nie awanturuje, bo zgodnie z procedurami nałożę na pana karę administracyjną. I tylko pogorszy pan i tak nie najlepszą już sytuację rodzinną.

– Chciałem tylko powiedzieć, że córka ma chyba prawo pokazać swojemu chłopakowi kawałek biustu?

– To nie był kawałek, tylko cały biust, od tego zacznijmy. Dalej: zgodnie z najnowszą linią orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego w uzasadnionych przypadkach dysponowanie własnym ciałem może zostać czasowo ograniczone.

– W uzasadnionych przypadkach? – Krzyk pierwszy raz o tym słyszał. – A jakie to są przypadki?

– O tym decyduje System Ciągłej Obserwacji.

– SYCO ma decydować o prawie dysponowania swoim ciałem przez moją córkę?!

– Ja nie będę z panem dłużej dyskutować – rzuciła opryskliwe. – Niniejszym informuję pana, że małaletnia o numerze identyfikacyjnym cztery dwa zero jeden pięć zero siedem pozostająca pod pańską pieczęcią otrzymała oficjalną naganę z wpisem do akt...

Krzyk mógł tylko słuchać, jak urzędniczka z kuratorium wymienia dalszy ciąg konsekwencji.

Kiedy skończyła, zgasił wirtualfona i zaczął szukać żony. Znalazł ją w kuchni. Siedziała przy stole, na blacie stała pusta butelka.

Był wściekle spragniony, ale duma nie pozwalała mu na to, aby spytać, czy może poczęstować go zapasami. Zamiast tego zrelacjonował rozmowę z kuratorium.

– O sprawie zostanie też powiadomiona szkoła, Ministerstwo Edukacji Narodowej i Gospodarki Odpadów, lekarz rodzinny, ksiądz proboszcz oraz sąsiedzi z naszej klatki schodowej i sąsiedniej.

– Co?

– Takie są procedury.

– Nie można się odwołać od tej decyzji?!

– Od decyzji kuratorium nie przysługuje odwołanie. – Westchnął. – Usłyszałem też, że trzy nagany w ciągu dziewięćdziesięciu dni oznaczają skierowanie do placówki resocjalizacyjnej.

– Mogła mu tego cycka pokazać na spacerze!

– Czy ty siebie słyszysz? – Krzyk miał gromy w oczach.

– Słyszę – ucięła. – Powiedz jej, żeby na drugi raz zrobiła to sam na sam, poza zasięgiem kamer i internetu. Mówię poważnie.

– Czy ona ciebie w ogóle interesuje?

– Bardziej niż ci się wydaje. – Sama nie była przekonana, czy to prawda, ale nie zamierzała dzielić się wątpliwościami z mężem. Wkrótce byłym mężem, o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem. – Myślisz, że siedemnastolatka będzie wiecznie żyć w celibacie? Tak jak my?

– Kto ci broni...

– W dupę się pocałuj! – Weszła mu w zdanie. – Pewnie byś chciał, abym po kilkunastu godzinach harówki, jaką mi codziennie fundujesz, jeszcze rozkładała przed tobą nogi, żebyś się mógł spuścić?

Krzyk zerknął na nią, zastanawiając się, skąd ten wybuch złości. I gdzie podziała się ta krucha Ada, którą zaledwie kilka godzin temu tulił zapłakaną do siebie?

Jego milczenie tylko ją rozochociło.

– Jeśli chcesz ze mnie zrobić dziwkę, to musisz lepiej zarabiać – cedziła wolno słowa. – Znacznie lepiej.

Cały czas na nią patrzył. Jakże głupi był, myśląc, że wróci między nimi to, co było kiedyś.

To, że się nie odezwał, podziałało na nią jak czerwona płachta na byka.

– A może uprzykrzasz mi życie specjalnie? – spytała.

Krzyk przygryzł wargę. Tego czegoś już nie było. Umarło bezpowrotnie.

– Ja tobie? – spytał po chwili zrezygnowanym głosem, wycofując się w stronę drzwi. – Ja tobie uprzykrzam życie?

– Tak! Ty mi! – potwierdziła ochoczo. – Chcesz, żebym się wyprowadziła?

Teraz już rozumiał.

– Nie – odpowiedział, stając w przedpokoju. – Ale od kilku dni mam wrażenie, że ty tego chcesz. I robisz wszystko, aby móc potem powiedzieć, że to była moja wina.

Rozdział 23

Piątek 26 września 2031

– Ty tutaj? – spytała Oksana, nie kryjąc zdziwienia.

Ada też była zaskoczona, tyle że pojawieniem się przyjaciółki.

– A gdzie miałabym być? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Oksana zrobiła obrażoną minę.

– Słyszałam, że zmieniasz oddział – rzekła cicho. – Zamierzałaś mi powiedzieć?

Ada ucieszyła się w duchu. Skoro inni już wiedzieli – a przecież sama jeszcze nikomu o tym nie mówiła – to znaczyło, że Grzegorz zaczął działać!

– Oczywiście! – zapewniła.

Oksana spojrzała na nią badawczo.

– Tak? – spytała. – A kiedy? Jak już obejmiesz nową ciepłą posadkę?

– Jesteś zazdrosna? – Próbowała roześmiać się w naturalny sposób, ale nie do końca się jej to udało.

– A ty byś nie była? – odcięła się momentalnie.

– Nie gniewaj się na mnie – rzuciła Ada pojednawczo. – Pojawiła się szansa na awans, to się nie wahałam. Ty na moim miejscu byś się zastanawiała?

Oksana popatrzyła na nią, bacznie się jej przyglądając. Z twarzy można było wyczytać, że nad czymś intensywnie myśli.

– W tym szpitalu z twoją kategorią awans można dostać tylko w jeden sposób...
– zaczęła mówić po dłuższej chwili.

Więcej nic nie powiedziała, ale Ada i tak wiedziała, do czego zmierza.

– Bach czy Jaracz? – spytała Oksana.

– Ani jeden, ani drugi – odpowiedziała bez zwłoki. – Żaden nie jest w moim typie.

– To w czyje łóżko wlażasz? – Nie odpuszczała.

– Przyszłaś mnie wypytywać? – Ada zmieniła temat.

– Nie sądziłam, że cię tutaj spotkam – odparła. – A! – krzyknęła nagle. – Zupełnie bym zapomniała! Ktoś cię szuka!

Ada jeszcze nie podejrzewała, co będzie dalej.

– Kto? – spytała spokojnie.

– Jakiś esbek.

Niemal zdrętwiała w jednej chwili.

– Esbek?! Jaki esbek?

– Z takim śmiesznym imieniem. – Oksana parsknęła śmiechem. – Byłam akurat na dolnym SOR-ze, jak o ciebie pytał.

– Jakim imieniem?

– Śmiesznym, powiedziałam.

– Ale konkretnie!

– Wyleciało mi z głowy.

Ada zadrżała z nerwów.

– Justyn? – spytała cicho.

– Tak! Właśnie tak!

Ada stała jak sparalizowana. Medynia jej szuka! Czego chciał?!

Oksana zbliżyła dłoń do słuchawki interkomu.

– Dam znać na dolny SOR, że tu jesteś.

Ada zastawiła jej drogę.

– Nie!

– Co się stało? – Z twarzy Oksany zniknął uśmiech.

Ada gorączkowo analizowała w myślach. Wczoraj przyjaciółka, pierwszy raz od miesiący, zaproponowała podwiezienie jej autem. Zaraz potem wprosiła się do mieszkania i sprowokowała do zdradzenia tajemnicy służbowej i to wielokrotnie. Fakt, że mężowi, nie miał najmniejszego znaczenia. A teraz szukał jej największy sukinsyn w enklawie.

Spojrzała na Oksanę. W co ona z nią gra?!

– Jesteś sygnalistką? – wycedziła.

– Zgłupiałaś? – Oksana skrzywiła się w dziwnym uśmiechu.

– Tajną współpracowniczką? – pytała dalej.

Oksana cofnęła się w stronę drzwi.

– Całkiem ci odbiło...

– To dlatego zaproponowałaś, że mnie zawieszysz autem?

Oksana nic nie odpowiedziała, stała jak zamurowana.

– Doniosłaś na mnie! – krzyknęła Ada.

– Postradałaś zmysły...

– Ja? – Ada myślała intensywnie, co robić. Jeśli Medynia ją zatrzyma, Grzegorz może nie zdążyć jej z pomocą! SBP mogło przetrzymać ją w nieznanym miejscu. Zanim Pierwszy pozna szczegóły, ona może być już w obozie albo zakopana w piachu nie wiadomo gdzie.

– Ty suko! – Zaczęła się rozglądać wokół. – Ty kurwo!

Chwyła za wazon z różami, prezent od wdzięcznego pacjenta. Nie namyślając się wiele, rzuciła nim w Oksanę.

Ta w ostatniej chwili zdążyła się uchylić i naczynie uderzyło w ścianę nad jej głową.

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi. Stanął w nich Medynia.

– Co się tutaj dzieje? – spytał, zerkając to na jedną pielęgniarkę, to na drugą.

Ada nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa.

Przyjaciółka zareagowała jako pierwsza.

– Nic takiego. – Oksana zmusiła się do uśmiechu. – To przez moją niezręczność...

Esbek otaksował ją wzrokiem pełnym dezaprobaty.

– Będzie tak pani stać, czy zajmie się tym burdelem? – spytał.

Oksana nic nie odpowiedziała, wzięła szufelkę i zmiotkę, zaczęła sprzątać.

Medynia stracił nią całe zainteresowanie, popatrzył na drugą pielęgniarkę.

– Z panią mam do pomówienia – rzucił chłodno. – Na osobności. Poczekamy, aż koleżanka po sobie posprząta.

Ada chciała coś powiedzieć, ale strach ją sparaliżował. Patrzyła jedynie na Oksanę, myśląc o tym, że ogromnie się co do niej pomyliła. Chciałaby ją przeprosić, ale teraz nie mogła tego zrobić.

– Szybciej, nie mam całego dnia – ponaglił Medynia.

Chwilę później Oksana skończyła.

– Do widzenia – rzekł esbek, po czym zamknął za pielęgniarką drzwi. – Mamy do pomówienia... – Wbił wzrok w Adę.

Ta uciekła spojrzeniem.

– O czym chce pan rozmawiać? – spytała cicho.

– To pani nie wie? – Zaśmiał się w nieprzyjemny sposób.

– Nie mam pojęcia. Powie mi pan?

Medynia nie odpowiedział. Przekręcił klucz w drzwiach, sprawdził, czy są zamknięte. Podszedł do okna.

– Wspaniały basen, co? – powiedział po dłuższej chwili.

Ada była skołowana. Kompletnie nie zrozumiała, o co mu chodzi. Za oknem nie było żadnego basenu, jedynie parking dla lekarzy!

– Basen?

Zaśmiał się, potem odwrócił się do niej.

– Miałem na myśli basen w posiadłości pana Bernata.

Kiedy tak na nią patrzył, czuła się nieswojo. Tak, jakby rozbierał ją wzrokiem.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi...

Podszedł bliżej.

– Nie rozumie pani?

Przełknęła ślinę.

– Naprawdę pani nie rozumie?

Zaprzeczyła nerwowym ruchem głowy.

Zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki.

– No to ja pani powiem. – Cały czas patrzył jej prosto w oczy. – Pytałem o basen, bo każdej dupie, którą Bernat rżnie, na widok basenu robi się mokro.

– Nie jestem każdą dupą – wycedziła.

Zarechotał.

– Wszystkie tak mówicie.

Bez ostrzeżenia klasnął głośno. Pielęgniarka aż podskoczyła.

– To jak, podoba się pani ten basen? – Zmienił nagle ton na wiele przyjaźniejszy.

– Czego pan ode mnie chce?

– Od razu do rzeczy, tak lubię! – Uśmiechnął się. Usiadł na krześle obok stołu, ręką pokazał to stojące po drugiej stronie. – Bez gry wstępnej. Od razu ostre ruchanie, tak ma być!

Po plecach Ady przeszedł prąd. Zaraz potem zajęła wskazane miejsce.

Medynia klasnął raz jeszcze, mniej gwałtownie niż chwilę wcześniej.

– Zatem do sedna. Skoro pani pyta, to ja odpowiadam: chcę przysługi.

Ulżyło jej. Czegokolwiek nie miał na myśli, nie chodziło o wczorajszą rozmowę o ofiarach zamieszek.

– Jakiej? – spytała.

– Informacji o naszym wspólnym wrogu.

– Nie bardzo rozumiem...

Obrzucił ją kpiącym spojrzeniem.

– Naprawdę? Nie rozumie pani? Nie wie pani, kim jest ten nasz wspólny wróg? Niech się pani zastanowi.

Ada pomyślała o Bernacie. Już miała wypowiedzieć jego nazwisko na głos, ale w ostatniej chwili coś ją przed tym powstrzymało.

– Cały czas nie wiem, o co panu chodzi. – Skłamała.

– Jeżeli nie jest pani jedynie kolejną dupą rżniętą przez pana Bernata, to mąż będzie tylko zawadzał, prawda?

Zaśmiała się naturalnie.

– Chodzi panu o Janka?!

Reakcja pielęgniarki zbiła Medynię z tropu, a to zdarzało się niezwykle rzadko. Właściwie prawie wcale.

– Rozbawiłem panią?

– Nie wiem, dlaczego pan uważa, że mój mąż jest moim wrogiem.

– Nie? – Był zaskoczony. – Jeśli pani nowy związek – zaakcentował ostatnie słowo – to coś poważniejszego niż tylko przelotny romans dla awansu w pracy... Tak... O tym też wiem... – dodał, widząc jej zdumioną twarz. – To Janek będzie tylko zawadzał.

– Nowy związek?... To już nie jestem kolejną dupą Bernata? – odcięła się błyskawicznie.

Nie zareagował od razu. Najpierw zaczął się jej bacznie przypatrywać.

W pewnym momencie Ada poczuła, jakby wzrokiem wwiercał się w jej mózg.

– Radzę pani zmienić ton – rzekł po dłuższej chwili.

Nieprzyjemne uczucie nie mijało.

– Wkracza pan w moje prywatne życie...

– Nic, co dotyczy bezpieczeństwa państwa, nie jest czyjąkolwiek prywatną sprawą – uciął krótko.

– Czego pan ode mnie chce?

– Będzie pani raportować, co robi mąż w czasie wolnym od pracy.

Wiedziała, że ma niewiele czasu, aby podjąć decyzję. Gdyby zgodziła się od razu, mógłby nabrać podejrzeń. Postanowiła udać opory.

– A jeśli nie wyrażę zgody?

– To pan Bernat dowie się o rzeźączce. I nici z romansu. Nogi zrobiły się jej jak z waty. Gdyby nie siedziała na krześle, miałyby problem z ustaniem.

– Nie zapyta pani, skąd wiem? – Uśmiechnął się nieznacznie.

– Wiem, skąd pan wie – wycedziła. – SYCO wie wszystko...

– Wszystkiego jeszcze nie, bo system wciąż nie obejmuje pierwszych dwóch kategorii obywateli, ale i nad tym problemem ustawodawca ma się niedługo pochylić – odrzekł spokojnie. – Lecz i bez tego jest nieocenionym narzędziem w pracy.

– To było dawno temu – powiedziała nagle. – Nie ma po tym śladu...

– Jak się pani wydaje, ile czasu zajmie spreparowanie wyników badań, z których będzie wynikało, że znów złapała pani trypra? A przede wszystkim, co powie na to Grzesiu?

– To już jest pan z nim na ty?

– Teraz jego tu nie ma. Jesteśmy tylko pani i ja.

Pomyślała, że już czas.

– Co będę z tego miała?

– Pomogę pani załatwić rozwód.

Zaśmiała się.

– Zapomniał pan, z kim sypiam?

Medynia westchnął przesadnie.

– Wyraziłem się nieprecyzyjnie – rzekł. – Nie przeszkodzę w uzyskaniu rozwodu. A mogę uprzykrzyć życie w tym zakresie.

– Zgadzam się – powiedziała.

Esbek wstał od stołu. Zrobił krok w stronę drzwi.

– Świetnie – rzucił, obracając się. – Ale rozwód to nie wszystko, prawda?

Ada cały czas siedziała na krześle, musiała zadzierać głowę, aby patrzeć rozmówcy w oczy. Nie była to dla niej komfortowa sytuacja.

– Nie rozumiem – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Bernat obiecał jeszcze zmianę kategorii?

Nie odpowiedziała. Nie musiała. Teraz można z niej było czytać jak z otwartej książki.

Medynia złączył palce obu dłoni, wylał je z trzaskiem.

– A to nie jest już takie proste jak rozwód. – Uśmiechał się całą twarzą. – Bez zgody odpowiedniej komórki Służby Bezpieczeństwa Państwa przeniesienie do wyższej kategorii jest niemożliwe. Oczywiście mogą być naciski z góry, a pan Bernat potrafi być naprawdę przekonujący... – Nie zamierzał jej zdradzać, że Pierwszy obiecywał gruszki na wierzbie każdej dupie, jaką sobie upatrzył. A gdy ta już mu się znudziła, odsyłał ją, każąc trzymać buzię zamkniętą na kłódkę, o ile nie chciała utracić nabytych benefitów. – W końcu pewnie ulegnę... Ale zanim to nastąpi, może minąć kilka miesięcy... pół roku... może rok...

Ada jęknęła w duchu. Nie ma tyle czasu. Nie da rady. Nie wytrzyma!

Funkcjonariusz chwycił za klamkę.

– Skoro sytuację już sobie wyjaśniliśmy, to powiem jeszcze tylko jedno: raporty mają być solidne i rzetelne, inaczej o rozwodzie może pani zapomnieć.

Nic nie powiedziała.

Medynia otworzył drzwi, szykując się do wyjścia.

– Ciesz się, że się rozumiemy.

Ada milczała. Wiedziała, że przegrała.

Rozdział 24

Kiedy Ada weszła do mieszkania, Krzyk właśnie oliwił zawiasy w drzwiach do kuchni. Uśmiechnął się delikatnie.

– Jak tam w pracy? – spytał

– Jak w pracy? – odpowiedziała pytaniem, po czym spojrzała na męża bojowym wzrokiem.

Po rozmowie z Medynią targaly nią sprzeczne emocje. Z jednej strony cieszyła się, że Bernat rozpoczął już starania o jej przeniesienie. Z drugiej jednak bała się, czy zdąży załatwić wszystkie niezbędne formalności. Wiedziała, że esbek nie blefuje. Każda rozmowa z nim przywoływała w niej wrażenie, jakby stąpała po kruchym lodzie.

Krzyk patrzył na nią, z wyrazu twarzy próbując wyczytać, o czym teraz myśli.

– To nie praca – powiedziała nagle. – To obóz.

Skrzywił się.

– Obóz? Nie masz pojęcia, jak jest w obozie...

– Zaczyniesz teraz opowiadać, jak to jest, kiedy zostaje się jeńcem? – Kłuiła słowami z pełną świadomością. – Skoro tak dobrze poznałeś, jak to jest, kiedy nie wiadomo, czy następnego dnia będzie się jeszcze wśród żywych, to dlatego nie wykorzystałeś szansy, jaką zesłał ci los?

Milczał. Był zły na siebie. Mógł po prostu przywitać się z nią i o nic nie pytać.

– Nie masz nic, a mogłeś mieć wszystko – mówiła dalej, coraz mocniej się emocjonując. – Ja mogłam mieć wszystko.

Spojrzał na nią wymownie. Tylko o to jej chodziło!

– Nikola mogła mieć wszystko. – Poprawiła się błyskawicznie. – Ale nie, ty musiałeś być wierny ideałom! – Uderzyła otwartą dłonią w ścianę.

– Wiedziałaś, jaki jestem...

– Ty parszywy draniu! – wrzasnęła. – Nic już do mnie nie mów!

Wybuchnęła płaczem. Bała się, że Medynia zastawił na nią pułapkę i że wpadnie w nią, zanim Bernat spełni swoją obietnicę. A wszystko przez Janka! Nie dość, że zmarnowała tyle lat u boku tego życiowego fajtlapy, to jeszcze przez niego mogła stracić jedyną szansę na tak wyczekiwaną zmianę.

A była przecież tak blisko!

Nagle w przedpokoju pojawiła się Nikola.

– Znowu się żrecie? – spytała zrezygnowanym głosem.

– Nie twoja sprawa! – warknęła Ada.

Otarła łzy, przecisnęła się między mężem i córką, zniknęła w sypialni, trzaskając za sobą drzwiami.

– Co ją ugryzło? – pytała Nikola dalej.

– Nie wyrażaj się tak o matce.

– Dobra...

Krzyk postanowił zmienić temat.

– Jak dzisiejsza randka online?

– Skąd wiesz, że miałam randkę? Podśluchiwałeś pod drzwiami?!

– Podśluchiwałeś pod drzwiami, tato? – cedził wolno słowa. – Nie, nie podśluchiwałem. Ale nie jestem głupi, domyśliłem się, dlaczego od godziny z twojego pokoju dobiega jedynie cisza.

Nikola zbiła usta w ciup.

Postanowił wykorzystać okazję.

– Przemyślałaś to, co zrobiłaś wczoraj?

– No.

– I?

– Wiem, że powinnam się zachować inaczej...

– Czyli jak?

– Nie pokazywać Maćkowi biustu...

– Malina... – Musiał ostrożnie dobierać słowa. – Nie chodzi o to, że mu pokazałaś biust... W pewnym sensie... W waszym wieku... To nic złego...

Nikola zrobiła zdziwioną minę.

– To o co ci chodzi?

– O to, żebyś dbała o swoją godność... o swoje ciało... o swoją...

– Cipkę?

Westchnął.

– Skoro już rozmawiamy tak dosłownie, niech tak będzie. Każda dziewczyna musi dbać o to, jak postrzegają ją chłopcy. Mówiąc krótko: nie może im pozwolić na zbyt wiele.

– Jasne – rzuciła i zaraz potem zniknęła w swoim pokoju.

Krzyk patrzył na zamknięte drzwi i się zastanawiał. Jak miał wyjaśnić Nikoli pewne rzeczy, skoro czasy, w jakich przyszło im funkcjonować, wywróciły ich życie do góry nogami? Kiedyś można było mieć jedną dziewczynę czy chłopaka, potem drugą, trzecią. Zobaczyć, porównać, nabrać doświadczenia. A teraz? Na trzymanie się za rękę trzeba było uzyskać zgodę. Każdy związek partnerski podlegał rejestracji i surowym wymogom. Jak zatem można było sprawdzić partnera, zanim się na niego zdecydowało? A pójdzie krok dalej i decyzja o małżeństwie, skoro potencjalny rozwód dla przedstawicieli ich kategorii był niemal nieosiągalny?!

Myślał o córce, o tym, jak zaczęła się ostatnio zmieniać. Owszem, cały czas miała swoje odpały, ale widział, że dorośleje i nie chodziło tylko o zainteresowanie chłopcami. Jakby zaczynała rozumieć, że świat wokół jest drapieżny i że trzeba nauczyć się w nim żyć.

Przetrwać.

Szkoda tylko, że Ada tak rzadko z nią rozmawiała. A to przecież ona powinna wyluszczać jej wszystkie te kobiece sprawy!

Spojrzał na drzwi sypialni. Zacisnął zęby, zły na żonę.

Jeśli wystąpi z wnioskiem o rozwód, on się nie zgodzi. Zrobi jej na złość. Zanim się ugnie, ona będzie musiała rozłożyć nogi. I to niejednym razem.

Przerażony własną myślą, dokończył oliwienie zawiasów. Wszedł do kuchni, wyjął swoją butelkę, oszacował, ile pozostało w niej zawartości. Potem wyjął zeszyt, zapisał wynik, zaczął liczyć.

Szlag by to trafił! Wychodziło, że albo zrezygnuje z herbaty na kolację i pójdzie spać o suchym pysku, albo zacznie bez niej następny dzień.

Żadne rozwiązanie mu się nie uśmiechało, ale nie miał wyjścia. Co gorsza, taki stan rzeczy stawiał pod poważnym znakiem zapytania jego plan. Za godzinę

zaczynało się spotkanie, na którym miał przekonać innych do udziału i już teraz mógł się założyć, że to będzie problem. Skąd miał wziąć dodatkowe porcje, których na pewno będą potrzebować?!

Rozmyślenia przerwał natarczywy sygnał esemesa. Zaraz potem taki sam dźwięk dobiegł z sypialni i pokoju Nikoli. CYBORG musiał informować o czymś wyjątkowym.

Uruchomił wirtualfona, sprawdził treść wiadomości.

W dniu dzisiejszym na obywateli Enklawy Wewnętrznej nakłada się obowiązek zapoznania się z nadzwyczajnym wydaniem Dziennika Wieczornego. Transmisja rozpocznie się o godzinie 19.00. Osoby uchylające się od nałożonego obowiązku zostaną pozbawione dziennego przydziału rodzinnego w wymiarze stu procent na okres siedmiu dni.

Sprawdził czas, do wyznaczonej godziny było zaledwie pięć minut. Ktoś z Krakowa w ostatniej chwili musiał wpaść na ten szalony pomysł. Takiej kary nikt z trzeciaków ani czwartaków nie przeżyje!

Krzyk ruszył do salonu. Była w nim już córka, zaraz potem pojawiła się Ada.

– Nie przypominam sobie takiej surowej kary... – rzekła Nikola.

– Była taka raz... – zauważył Krzyk. – Dwa lata temu... Przy referendum za wyrażeniem zgody na bezterminowe zawieszenie konstytucji... – Nie dodał już, że powszechna panika, jaka wówczas wybuchła, była wodą na młyn dla władzy centralnej i władz terenowych. Podejrzewał, że nawet nie musiano posuwać się do fałszowania wyników. Przestraszeni na śmierć ludzie zgodziliby się na wszystko, byle tylko zachować dostęp do dziennego przydziału rodzinnego.

Kiedy skończył mówić, w salonie zapanowała cisza. Wszyscy troje z obawą czekali na początek transmisji, zachodząc w głowę, jakie nowe złe wieści przekażą prenterzy.

Gdy Krzyk zobaczył dym unoszący się nad budynkiem przedszkola przy Moniuszki, już wiedział. Zaczął z uwagą oglądać.

– *Nieźrównoważony psychicznie mężczyzna wdarł się do przedszkola z zapasami amunicji... Zgodnie z procedurami na miejsce zadysponowano wzmożone odwody Służby Bezpieczeństwa Państwa... Zanim jednostki antyterrorystyczne dotarły na miejsce, jeden z rodziców bohatercko podjął próbę interwencji, ocalając wiele istnień dzieci... Błyskawiczne śledztwo organów ścigania wykazało... W trakcie szamotaniny skrzynka z amunicją wpadła na kuchenkę gazową... Doszło do niekontrolowanego wybuchu... Liczba ofiar nie jest*

jeszcze ustalona... Decyzją premiera dzielny zielonogórzanin został pośmiertnie odznaczony... Na terenie województwa zachodniego ogłoszono dwudniową żałobę... Wszystkim mieszkańcom zostaną przydzielone dodatkowe dzienne przydziały rodzinne.

– Mówiłem... – Krzyk odezwał się dopiero, kiedy długi reportaż się zakończył.

Ada spojrzała na niego pytająco.

– Co mówiłeś?

– Że poczekają – wyjaśnił szybko. – Że potrzebują czasu, aby spreparować coś ekstra. Wczoraj zdążyliby zrobić tylko jakieś przebitki. A dzisiaj? Zobacz, jak to wszystko składnie przygotowali. Jeśli ktoś nie ma wiadomości z centrum wydarzeń, uwierzy w tę wersję bez mrugnięcia okiem.

Żona nic nie powiedziała.

– Nawet dołożyli newsa o dodatkowych dziennych przydziałach rodzinnych – zauważył Krzyk. – Jak ci się wydaje, co ludzie zapamiętają?

– Butelki... – szepnęła Ada.

– Butelki i dzielnego bohatera – dodała Nikola. – A jak było naprawdę?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała... – rzuciła Ada.

– Nie taktujcie mnie jak dziecka! – zaperzyła się.

Krzyk podjął decyzję, żeby powiedzieć córce prawdę.

– Żadnego bohatera nie było – rzekł. – Tak samo, jak skrzynki amunicji. To były zamieszki. – Zaczął opowiadać. – Jak znam życie, lżej rannych zabrał SOP? – Spojrzał na żonę.

Ada potwierdziła skinieniem głowy.

Oficjalnie Służba Pomocy Obywatelom była paramilitarną organizacją zajmującą się wolontariatem oraz wspieraniem Służby Bezpieczeństwa Państwa i wojska w razie potrzeby. Jak było naprawdę, wiedzieli tylko nieliczni.

– W takim razie ranni znikną, bo SOP nie pozwoli, aby rozpuścili wieści o prawdziwym przebiegu wydarzeń – tłumaczył Krzyk dalej. – Ty czasem też nikomu nie mów. – Pogroził córce palcem.

– Ojciec nie żartuje. – Ada włączyła się do rozmowy. – Jedno słowo za dużo i zamknęliby nas wszystkich.

– Jasne. – Nikola wstała z kanapy, zniknęła w drzwiach.

Krzyk sprawdził godzinę, trzeba było się zbierać. Ale najpierw musiał coś jeszcze załatwić.

– Jak z twoim nowym przydziałem? – spytał.

– Lada dzień wszystko będzie formalnie załatwione – odpowiedziała, nie dodając, że właśnie taką ma nadzieję.

– Czy gdybym potrzebował przez krótki czas jedną butelkę dodatkowo dziennie, dałabyś radę wygospodarować? – Zaczął nerwowo przebierać palcami. Taka ilość na trzech mogła nie wystarczyć, ale bał się, że jeśli poprosi o dwie, mogłoby się to wydać podejrzanе.

Kiedy Ada słuchała męża, przed oczami miała Medynię. Wiedziała, że esbek nie rzuca słów na wiatr i że w zamian musi dać mu coś ekstra.

– A po co ci to? – spytała, siląc się na naturalny ton.

– CYBORG przysłał mi zalecenia zdrowotne pod rygorem nałożenia kary, jeśli się nie zastosuję.

– Aha. – Nie dała wiary w ani jedno jego słowo, jednak postanowiła nie ciągnąć tematu. Jeszcze by się zorientował. – Mogę się zgodzić, ale tylko przez kilka dni.

– Dobrze. – Uśmiechnął się. – Kilka dni wystarczy.

Miał nadzieję, że się nie myli.

– Dokąd się wybierasz? – spytała, widząc, że sięga po bluzę od dresu.

– Wychodzę – odparł.

– Dokąd?

Założył ją i zapiął zamek.

– Na spacer.

– Baw się dobrze – powiedziała, uważnie mu się przypatrując.

Wyszedł z mieszkania. Kiedy zbiegał po schodach, towarzyszyło mu dziwne wrażenie.

Gotów był się założyć, że Ada nie uwierzyła w ani jedno jego słowo.

Rozdział 25

W bloku kamer i mikrofonów SYCO nie było, co nie znaczyło, że system można było zlekceważyć. Z tego właśnie względu Krzyk i jego dwaj bliscy sąsiedzi comiesięczne zebrania zwoływali nie przez wirtualfony, lecz starym sposobem znanym jeszcze z czasów I i II wojny światowej oraz filmów szpiegowskich, których szczególnym entuzjastą był jeden z nich: Łukasz Matka.

Jeśli któryś z ich trójki odczuwał potrzebę dłuższej rozmowy, malował kredą znak na jednym z siedmiu pierwszych stopni, każdy z nich odpowiadał kolejnemu dniu tygodnia, zaczynając od poniedziałku. Godzina spotkań była stała: 20.00, zaraz po Dzienniku Wieczornym.

Krzyk dotarł do piwnicy i wszedł do pomieszczenia pełniącego niegdyś funkcję suszarni. Mieli tam do dyspozycji sfatygowany stół do ping-ponga – paletki zrobili sami, dostanie ich na wolnym rynku graniczyło z cudem, podobnie było z piłeczkami – oraz starą kanapę i kilka taboretów. Tak, jak w całym bloku, nie było tu kamer, w przeciwieństwie do mieszkań, brakowało również czujników mierzenia temperatury. Mogli tu przebywać, ile tylko chcieli, a jednym ograniczeniem były narzekania małżonek.

Amator opowieści spod znaku płaszczka i szpady znajdował się już na miejscu. Matka był o cztery lata od niego młodszy. Jego żona nie pracowała zarobkowo, jako że opiekowała się niepełnosprawnym fizycznie synem. Żeby utrzymać rodzinę, musiał harować na dwóch etatach: w Centralnym Magazynie Żywności oraz Zespole Zagospodarowania Ruin. Szczególnie praca w tym ostatnim przedsiębiorstwie pociągała za sobą spore ryzyko. Wiecznie niedoinwestowane i wyposażone w kiepski lub przestarzały sprzęt, zajmowało się rozbiórką zniszczonych podczas wojny budynków – tych, które Komisja Centralna do Spraw Odbudowy uznała za nienadające się do odtworzenia – z których materiał wywożono potem ciężarówkami poza granice Enklawy Zewnętrznej.

Drugim sąsiadem, na którego czekali, był Bogdan Grabowski. Kilka lat młodszy od Matki, codziennie dojeżdżał do Powszechnego Gospodarstwa Rolnego w Zaborze, gdzie pracował przy uprawie winorośli. Jego małżonka przed wojną

zajmowała wysokie stanowisko w ówczesnym urzędzie wojewódzkim, potem nie przeszła weryfikacji i skierowano ją do pracy w Zakładzie Utrzymania Czystości Enklawy, on z kolei z powodu żony stracił dobrą posadę informatyka. Kiepskie uposażenie odbijało się mocno na niskim dziennym przydziale rodzinnym, tym bardziej że dziecka nie mieli, nie mogli zatem liczyć na nadzwyczajny dodatek w postaci „500 mililitrów plus”.

Słowem, ani Matce, ani Grabowskiemu się nie przelewało. Poza tym Krzyk już zdążył się kilka razy przekonać, że obaj potrafili dochować tajemnicy. Nie bez znaczenia był też fakt, że wszyscy trzej zajmowali mieszkania położone w jednym pionie i to jedno pod drugim, od parteru do drugiego piętra.

– Gdzie Boguś? – spytał Krzyk. – Jeszcze go nie ma?

– A przyszedł kiedyś punktualnie? – Matka zarechotała. – Skoro urodził się dwa tygodnie po terminie, to ma wymówkę, dlaczego zawsze i wszędzie jest spóźniony.

Krzyk też się zaśmiał. Matka miała absolutną rację. Ile razy któryś z nich zwracał Bogusiowi uwagę, ten tłumaczył się dokładnie w ten sposób.

Matka spojrzał na puste ręce sąsiada.

– Nie masz nic do picia. – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie mam – powiedział Krzyk cicho. – U mnie na chacie totalne pustki. Liczyłem, że może ty coś przyniesiesz...

– A niby skąd mam wziąć? – odparł smutno.

W tym momencie drzwi dawnej suszarni się otworzyły. Grabowski wparował do środka z wielkim animuszem. Podniósł dłoń na powitanie.

– Cześć, chłopaki! – Ziewnął szeroko. – Przepraszam za spóźnienie, ale wiecie, jak to jest... Jak się człowiek urodzi taki kawał po terminie, to potem wszędzie wiecznie jest po czasie.

Krzyk zerknął na Matkę. Ten odwzajemnił spojrzenie. Zaraz potem obaj wybuchnęli śmiechem.

Grabowski zrobił obrażoną minę.

– Czy ja powiedziałem coś śmiesznego? – spytał.

– Nie. – Krzyk nie miał ochoty na słowne przepychanki. – Masz coś do picia?

– A wy macie? – Grabowski odpowiedział pytaniem na pytanie. – Znowu liczyliście, że się nażłopiecie moim kosztem? – dodał, widząc przeczące kiwnięcia

sąsiadów.

– Nikt tu nie przyszedł opijać się niczym kosztem – rzekł Krzyk ostro. – Swoją drogą, dzięki wielkie, chłopaki, że mi ostatnio nie pożyczyliście nawet pół butelki. Tak się odwodniłem, że prawie zdechłem.

– A ty jeden masz takie problemy? – skwitował Matka cicho. – Poza tym pożyczasz i potem nie oddajesz.

– Właśnie! – podłapał Grabowski. – U nas też się nie przelewa. Andzelice znowu zmniejszili deputat za pracę w szkodliwych warunkach. Z trudem dajemy sobie radę. Gdyby nie pomoc teściów, nie wiem, jakby to było...

– Kiedy mieliśmy ostatnie zebranie? – Matka zmienił nagle temat. – Trzy tygodnie temu?

– No – potwierdził Grabowski.

– Pamiętajcie, że wtedy każdy z nas miał ze sobą półlitrową butelkę?

– A nie zero trzydzieści trzy? – Grabowski zmarszczył brwi.

– Pół litra, też kojarzę – rzucił Krzyk. – A teraz jesteśmy bez niczego.

– Mówią, że będzie jeszcze gorzej... – Grabowski westchnął.

– Jeszcze gorzej? – Matka miał strach wymalowany w oczach. – My z Izą już teraz ledwie dajemy radę... Ten zwiększony przydział, który dostajemy na Jarusia, nie pokrywa nawet jednej trzeciej jego dziennego zapotrzebowania na płyny...

– Jezu, jak mnie suszy... – Grabowski otworzył szeroko usta, wciągnął powietrze. – Może otworzymy okno, wpadnie trochę wilgoci... – Podniósł się z taboretu.

Krzyk zerwał się z miejsca. Zrobił krok w bok, zastawiając mu drogę.

– Nie teraz – powiedział twardo. – Usiądź.

– Aleś ty nerwowo! – odpowiedział Grabowski. – Ciebie nie suszy?

– Tak mi się chce pić, że zaraz zwariuję – wyjaśnił Krzyk.

– Ja też – rzekł Matka cicho.

– I ja – zawtórował Grabowski.

Krzyk uznał, że już czas.

– To świetnie.

Matka popatrzył na niego jak na niespełna rozumu.

– Świetnie?

– Tak – potwierdził Krzyk. – Mamy takie przydziały, że wkrótce umrzemy z pragnienia, prawda?

Potaknęli w milczeniu.

– Chyba że sytuacja uległaby poprawie? – pytał Krzyk dalej.

Grabowski się ożywił.

– Ma być podwyżka dziennego przydziału rodzinnego?

– Nie – zaprzeczył Krzyk. – Wręcz przeciwnie. Trzeba spodziewać się dalszych obniżek.

– Jeszcze bardziej przykręcą nam śrubę? – rzucił Matka cicho.

Krzyk mógł przejść do sedna.

– Stoimy na krawędzi, prawda?

Znowu potwierdzili, nic nie mówiąc.

– Wiecie, co wam powiem?... – Użył jednego ze swoich stałych wtrętów na zyskanie czasu i właśnie wtedy zorientował się, że to zrobił, mimo że nie musiał. Był wśród swoich, pomiędzy ludźmi, którym ufał. Tutaj nie musiał walczyć o cenne sekundy na zastanowienie się, by nie palnąć głupstwa, które SYCO zakwalifikuje jako złamanie prawa. Teraz to było niepotrzebne, ale tak mu weszło w nawyk, że zrobił to nieświadomie.

– Mów! – ponaglił Matka.

– Jest nadzieja – powiedział Krzyk.

Spojrzeli na niego badawczo.

– Nadzieja na co? – spytał Grabowski.

– To jest szalony pomysł... – Krzyk przygryzł wargę. – Można powiedzieć, że bardzo ryzykowny... Ale się opłaci.

– Jak bardzo? – dociekał Matka.

Krzyk spojrzał mu w oczy, potem skierował wzrok na Grabowskiego i dopiero wtedy odpowiedział:

– Jeśli się uda, będziemy mieć do dyspozycji praktycznie nieograniczoną liczbę butelek. Tyle, ile damy radę wypić. My i nasze rodziny.

– Kogo trzeba zabić? – spytał Matka cicho.

– Nikogo – zapewnił Krzyk.

– Trzeba kogoś okraść? – dopytywał Grabowski.

– Nie – odrzekł Krzyk.

– Kurwa mać, to co trzeba zrobić?! – Matka podniósł głos.

– Trzeba użyć tego, co mamy do dyspozycji. – Krzyk podniósł obie ręce, zacisnął pięści, potem palce jednej rozprostował i dotknął nimi głowy. Później zaczął wyjaśniać szczegóły.

Uważnie przypatrywał się obu sąsiadom. Chciał wywnioskować, jak zareagują. Kiedy skończył mówić, był przekonany, że w to wejdą. Obaj.

– Wiesz, co na ten temat mówi prawo? – rzekł Matka.

– Wiem. – Krzyk był gotowy na to pytanie. – Kto, bez koncesji wymaganej odrębnymi przepisami prawa, zajmuje się wierceniami mającymi na celu pozyskanie...

W tym momencie w piwnicy rozległ się hałas, dobiegł z rury kanalizacyjnej. Wbili w nią spojrzenie, jakby chcieli ją prześwidrować oczami, licząc na to, że w środku bije nieskazitelnie czyste źródło.

Na tę myśl Krzyk mimowolnie się oblizał. Przywołał się do porządku, zaczął mówić dalej.

– Lub też wykonuje pracę na rzecz przedsiębiorstwa dokonującego wierceń bez koncesji wymaganej odrębnymi przepisami prawa, podlega karze pozbawienia wolności nie mniejszej niż dwadzieścia pięć lat.

– Jeśli nas złapią, nie wyjdziemy z pudła do końca życia – zauważył Grabowski kwaśno.

Krzyk popatrzył na niego gniewnie.

– A ile jeszcze damy radę z tymi przydziałami, które mamy? Dwa tygodnie? Trzy? A co będzie, jeśli znowu obniżą racje?

– Możemy pożyczyć jeszcze trochę od rodziny i sąsiadów, ale to nie wystarczy na długo... – Analizował Matka na głos. – Za miesiąc, dwa będziemy trupami.

– I tu należy postawić pytanie: co my z tym zrobimy? – rzekł Krzyk twardo.

Matka wbił w niego palec wskazujący. Po ruchach ciała było widać, że jest zdeterminowany.

– To, co powiedziałeś.

Grabowski wyglądał na mniej przekonanego.

– Ale jak chcesz to zrobić? – Skierował pytanie do Krzyka. – Nawet łopaty czy szpadla nie można kupić bez rejestracji.

– Wziąłem to pod uwagę – zapewnił Krzyk.

– Jest inny problem – zauważył Matka. – Dystans społeczny. – Pokazał na swoją opaskę. – Tutaj nas nie zarejestrują, bo funkcja mierzenia odległości od innych użytkowników jest dezaktywowana. Ale tam, gdzie będziemy kopać, będzie działać.

– Tym zajmie się Boguś – wyjaśnił Krzyk. – Pamiętasz, jak mi kiedyś tłumaczyłeś, że jest sposób, aby wejść do systemu i móc manipulować opaskami?

– No – potwierdził Grabowski. – Ale to jest możliwe tylko wtedy, kiedy SYCO na jakiś czas wyłączy funkcję mierzenia dystansu u dużej liczby użytkowników.

– Na przykład podczas publicznej egzekucji, prawda?

Boguś potwierdził ochoczym skinieniem.

– Wtedy mógłbym wpuścić trojana, który przesyłałby fałszywe dane – wyjaśnił. – Pod warunkiem, że SYCO nie rejestrowałoby w tym samym czasie naszej aktywności za pomocą kamer i mikrofonów, bo wtedy by to wzięło w łeb.

Słyszając to, Matka skierował na Krzyka spojrzenie pełne podziwu.

– To po to ci ten stary kanał ciepłowniczy?

Krzyk potaknął.

– Kilka dni temu jakiś dzieciak został zatrzymany za kradzież znacznej liczby butelek – powiedział. – Normalnie dostałby kilkanaście lat poprawczaka i obozu koncentracyjnego, ale w obecnej sytuacji politycznej, kiedy władza boi się rozruchów społecznych spowodowanych podwyżkami, może dostać czapę. – W głowie miał wciąż opowieść Ady i Oksany. – Jeśli tak będzie, to egzekucja jest pewna. Trzeba tylko zawczasu przygotować program. Zajmij się tym od razu. – Popatrzył na Bogusia.

– Przyjmijmy, że poradzimy sobie z opaskami – powiedział Matka. – A czy SYCO nie namierzy nas innymi metodami?

– Namierzy – powiedział Krzyk.

– Namierzy?! – Boguś podniósł głos.

– Tak – potwierdził Krzyk. Miał wyrzuty sumienia, że narażał ich na tak wielkie ryzyko. Wiedział, że jest śledzony i że SBP próbuje coś na niego zdobyć. Zdawał

też sobie sprawę, że mógł być obserwowany. Bał się jednak, że gdyby im o tym wszystkim powiedział, zrezygnowaliby z udziału. A on sam nie da przecież rady. – Przed tą maszyną nie da się ukryć.

– Całkiem cię pojebało! – Grabowski się emocjonował. – Najpierw rozbudzasz w nas nadzieję, twierdząc, że możemy wreszcie przestać wegetować, a potem z rozbijającą szczerością mówisz, że z SYCO nie wygramy!

– Nie powiedziałem tak. – Krzyk westchnął.

– A jak powiedziałeś? – Grabowski był zbity z tropu.

– Powiedziałem, że przed tą maszyną nie da się ukryć.

– To nie jest to samo? – wtrącił Matka.

– W żadnym wypadku – odparł Krzyk. – Przed SYCO nie można się ukryć, ale to jeszcze nie jest równoznaczne z tym, że nie można go pokonać.

– Niby jak?

– SYCO to genialna maszyna, ale jednak wciąż tylko maszyna. Można z nią wygrać. Wiem, jak to zrobić. – Zaczął wyjaśniać, jaki ma pomysł.

Słuchali go z uwagą.

– Ale od razu musimy umówić się co do jednego – powiedział Krzyk. – Ujęcie będzie tylko dla nas i naszych rodzin. Żadna napełniona butelka nie trafi do sprzedaży... Żadnego handlu na czarnym rynku... Bo zgarną nas, zanim się zorientujemy... Jasne?

– Tak! – potwierdził Grabowski.

– Tak! – zawtórował Matka. – Mnie martwi jeszcze jedna rzecz: samo kopanie? Damy radę?

Krzyk wzruszył ramionami.

– Technicznie to jest prosta robota. Gdybyśmy żyli w normalnym świecie, taki wykop przy sprawnej ekipie zająłby dzień, dwa, może trzy. Nam zejdzie pewnie dłużej. Ale najwięcej roboty wcale nie będzie z kopaniem.

– A z czym? – spytał Matka.

– Z pozbyciem się piasku – odrzekł Krzyk. – Musimy dokopać się mniej więcej na głębokość dziesięciu metrów. Trzeba liczyć, że to będzie jakieś sześć metrów sześciennych piachu.

– To cała wywrotka! – zauważył Grabowski.

– Której nie możemy wysypać pod blokiem! – dodał Matka.

– Ani tam, gdzie będziemy kopać! – rzekł Grabowski. – Bo któryś z sąsiadów od razu poleci do esbeków donieść, licząc na jedną czy dwie dodatkowe butelki.

Krzyk odetchnął głęboko.

– Mam pomysł, jak to zrobić – powiedział spokojnie. – Nie bez powodu w szkole średniej historia była moim ulubionym przedmiotem. Zawsze na koniec roku miałem celujący.

– Celujący? – podłapał Grabowski.

Dalsze pytania przerwał Matka, gwałtownie gestykułując rękoma.

– Chłopaki, miło by się was słuchało, jakbyście nie pierdolili trzy po trzy – wycedził. – Do chuja pana, jaki związek z tym twoim genialnym planem mają oceny ze szkoły?!

Kiedy Matka skończył mówić, wbił spojrzenie w Krzyka. Zaraz potem to samo zrobił Grabowski.

Krzyk chwilę delektował się uwagą kolegów, później powiedział krótko:

– Gdyby któryś z was interesował się historią, to by wiedział.

Rozdział 26

Niedziela 28 września 2031 (dwa dni później)

Medynia czytał ponownie wiadomość od Adriany Więckiewicz-Krzyk i kolejny raz – jak przy pierwszym podejściu – zaklął siarczyście. Donos, z którego wynikało, że jej mąż poprosił o jedną butelkę dziennie przez kilka dni i że wczorajszego wieczoru poszedł na spacer – co było dla niego zupełnie niepodobne – to zdecydowanie za mało. Tym bardziej że SYCO nie zarejestrowało wyjścia z bloku we wskazanym przez nią czasie.

A może miał w tej samej klatce kochankę i ją rznął? Warto było pochylić się nad taką możliwością.

Żona dawała dupy Pierwszemu Przewodniczącemu.

W tym czasie mąż rznął sąsiadkę. A może sąsiada?

I jeszcze ta córka pokazująca cycki swojemu chłopakowi.

Nie ma co, wesoła rodzinka! – Na tę myśl Medynia roześmiał się głośno.

Zaraz potem jego twarz spochmurniała. Już jakiś czas temu dotarło do niego, że z Krzykiem nie pójdzie tak łatwo, jak z innymi czwartakami. Był zbyt sprytny, a przede wszystkim, stała za nim opinia publiczna. To właśnie jej bał się najbardziej. Nie mógł przecież zmusić go do przyznania się do winy, bo jak pokiereszowana twarz bohatera wojennego wypadłaby w Dzienniku Wieczornym? Złamany nos, wybite zęby i zaschnięte plamy krwi nie były tym, co Medynia chciałby zaprezentować tym, u których zamierzał potem wnioskować o przeniesienie do Krakowa.

Na myśl o pracy w stolicy poczuł rosnącą ekscytację.

Musiał zrobić wszystko, aby tam trafić! A do tego potrzebował twardych dowodów winy Krzyka. Żadnego naciąganego przyznania się do winy ani donosów żony na jakieś nic nieznaczące pierdoły, które wyśmiałyby nawet najbardziej spolegliwy sędzia.

Nowa cipka Bernata mogła działać – tutaj niczym przecież nie ryzykował – ale nie mógł polegać tylko na niej. Musiał sam coś wymyślić!

Ale co?

Nagle wpadł na pomysł. Tak oczywisty, że od razu zrugął się w głowie za to, że nie pomyślał o tym wcześniej. Trudno, nie należało się nad tym rozwodzić, tylko działać!

Wezwał Wichę, gdy ten się zjawił, przedstawił ogólny zarys operacji.

Kapitan zareagował entuzjastycznie.

– Panie pułkowniku, to będzie proste!

Medynia spojrzał na niego groźnie.

– Proste? Wicha, dla was nic nie jest proste! – Ciął słowami. – Tak, jak ostatnio, kiedy pokpiliście sprawę tamtego fryzjera, pamiętacie?

Kapitan uznał, że pytanie było retoryczne.

Dla Medyni taka reakcja była jak woda na młyn.

– Nie wiem, czemu ja was tutaj jeszcze trzymam. – Walnął pięścią w blat biurka.
– Powinienem napisać wniosek o degradację, wydalenie ze służby i załatwić wam skierowanie do Zakładu Utrzymania Czystości Enklawy. Nadajecie się tylko do miotły i grabi!

Wicha skulił się w sobie.

– Domyślcie się w ogóle, po co te przeszukania? – mówił Medynia dalej.

Kapitan nie odpowiedział od razu, intensywnie się nad czymś zastanawiał.

– No! – ponaglał Medynia. – Mówcie! Wymyślcie coś!

– Bo mamy do czynienia z duchem? – powiedział po chwili.

– To wszystko, na co was stać? – Zaśmiał się niemile. – Bo mamy do czynienia z duchem? – Przedrzeźniał sposób mówienia podwładnego. – Duchem? – Kolejny raz wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem. Tak nazywali dysydentów, których nie mogli namierzyć, którzy byli jakby niewidzialni dla SYCO i wszelkich służb. Takie przypadki należały do rzadkości, ale się zdarzały. Krzyk jednak do nich nie należał, jego nie musieli szukać, mieli go przecież na widelcu! – Dla was, Wicha, duch to może co najwyżej zstąpić i odnowić oblicze ziemi. Tej ziemi. – Zarechotał, zadowolony z własnego dowcipu.

Kapitan spojrzał na przełożonego badawczym wzrokiem.

Widząc to, Medynia parsknął śmiechem. Wicha najwyraźniej nie miał pojęcia, kto był autorem tych słów i w jakich okolicznościach je wypowiedział. Nie mógł,

nie studiował przecież nauk politycznych i nie był – tak jak on – inteligentem. Więcej, gdyby nie SBP, kapitan byłby zwykłym robotem!

Szkoda czasu na takiego debila! – pomyślał, a na głos powiedział:

– Co jeszcze mam dzisiaj w kalendarzu?

– Pozwoliłem sobie wpisać panu pułkownikowi rozmowę z matką tego gówniarza, który zaraz zostanie skazany na śmierć.

Medynia nerwowo postukał palcami w blat biurka.

– Bez pytania mnie o zgodę?!

– Nalegała... – zaczął tłumaczyć. – To znaczy: prosiła mnie na kolanach o taką możliwość...

– Na kolanach? – zainteresował się Medynia. – Dosłownie?

– Tak – potwierdził skwapliwie.

– I co?

Na twarzy kapitana pojawił się grymas.

– W jakim sensie pan pułkownik pyta?

– Wicha, wy naprawdę jesteście głupi jak but. – Medynia westchnął teatralnie. – Nie wykorzystaliście okazji?!

Dopiero teraz do kapitana dotarło, co szef miał na myśli. Uświadomiwszy to sobie, skarcił się w duchu.

– Nie...

– A może brzydka chociaż?

Wicha pokręcił nerwowo głową.

– Ładna... Bardzo.

Medynia zatarł dłonie z radości.

– To dawajcie ją tutaj!

*

Kilka minut później kobieta wierciła się już nerwowo na krześle przed biurkiem pułkownika. Ten udawał, że zapoznaje się z aktami, ale tak naprawdę chodziło mu o to, aby jak najbardziej zmiękczyć przesłuchiwaną.

– Czego pani ode mnie chce? – spytał bez ostrzeżenia.

– Czego... – powtórzyła machinalnie. – Przyszłam na widzenie z synem i powiedziano mi, że jutro będzie egzekucja...

Zaczęła szlochać.

– Niech się pani uspokoi – rzucił nerwowo. – Syn popełnił zbrodnię i musi ponieść konsekwencje.

– To jeszcze dziecko! – Łkała.

– Takie są procedury.

– On ma dopiero jedenaście lat!!! – Szlochała.

– Nic na to nie poradzę. – Udawał nieubłaganego.

– Tydzień temu zabraliście mojego męża – mówiła przez łzy – a teraz zbieracie mi syna...

Medynia nie musiał patrzeć na wirtualny ekran komputera, doskonale pamiętał z akt, że męża kobiety stracono pięć dni temu. Z tą różnicą, że egzekucja była przeprowadzona potajemnie, a o jej przeprowadzeniu powiadomiono rodzinę w lakonicznym komunikacie. Inaczej miała się sprawa dzieciaka. Premier osobiście podjął decyzję o przeprowadzeniu pokazówki.

Popatrzył na kobietę. Kiedyś musiała być piękna, ale teraz przeczyły temu przekrwione oczy i brud na łysej głowie. Widać było, że podczas ostatnich nocy spała mało albo wcale.

– Ma pani dwadzieścia siedem lat... – Nie dodał, że w takim stanie wyglądała na dwukrotnie starszą.

– To moje jedyne dziecko... – załkała.

– Współczuję pani. – Skłamał gładko.

Kobieta złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Panie naczelniku, niech mi pan pomoże...

– Wyrok już zapadł.

Zsunęła się z krzesła, uklękła przed biurkiem.

– Ale pan jako naczelnik ma wielką władzę... Błagam pana... Jak matka...

Medynia udał, że się zastanawia.

– Mógłbym zobaczyć, czy coś dałoby się w tej sprawie zrobić...

– Błagam, niech pan to zrobi!

– Ale nie ma nic za darmo.

Otarła oczy pięściami.

– Nie mam pieniędzy... – powiedziała cicho.– Nie mam samochodu, który mogłabym panu naczelnikowi dać... Nie mam niczego, czego pan naczelnik by nie miał...

Wykrzywił się w nieznacznym uśmiechu.

– Jest coś, co mogłoby wzbudzić moje zainteresowanie...

– Co takiego?!

– Jak wiele jesteś w stanie zrobić dla swojego dziecka?

Popatrzyła na niego. Spojrzała mu w oczy. I już wiedziała. Wstała, zaczęła rozpinać guziki sukienki.

– Zrobię to, tylko niech pan obieca, że pomoże mojemu synowi...

Patrzył na jej smukłe palce.

– Przyjrzę się sprawie...

Zsunęła sukienkę z ramion.

– Niech pan obieca, że nie trafi na szubienicę!

Medynia się uśmiechnął.

– Obiecuję.

Sięgnęła rękoma do tyłu, odpięła stanik.

– Niech pan przysięgnie.

Patrzył, jak odsłania ponętne piersi. Wicha miał rację, była ładna, bardzo ładna i nawet brud na głowie nie mógł tego zmienić.

Wstał zza biurka, sięgnął do szuflady, otworzył ją. Wyjął z niej kajdanki.

– Przysięgam.

– Co mam teraz zrobić?

– Stań koło grzejnika.

Wykonała polecenie.

– Pochyl się... – mówił dalej. – Jeszcze bardziej...

Jęknęła cicho, stając w niewygodnej pozycji.

– Przyłóż ręce do rury... – polecił. – Tak... Dobrze...

Przełożył kajdanki przez rurę, zatrzaskał je na przegubach kobiety.

– Rozstaw nogi troszeczkę szerzej – instruował.

Kiedy wykonała polecenie, zarzucił na nią sukienkę. Chwycił za majtki, rozerwał je, odsłaniając widok, jaki lubił najbardziej.

Czując coraz większe podniecenie, rozsunął rozporek, odpiął guzik, opuścił spodnie do kolan. Chwilę potem zaczął się wciskać.

– Rozluźnij nogi!

Kobieta bezskutecznie próbowała zmienić pozycję.

– Jak chcesz! – warknął, po czym wszedł w nią z brutalną siłą.

Syknęła z bólu.

Zaczął miarowo się posuwać, mrużąc pod nosem i nie zważając na jęki kobiety.

Był już blisko finiszu, kiedy drzwi gabinetu się otworzyły.

Medynia obrócił głowę i zobaczył Wichę.

– Poczekajcie chwilę na korytarzu – wysapał. – Spierdalajcie!

Kapitan zniknął za drzwiami.

Kilka minut później było już po wszystkim. Założył spodnie, rozkuł kobietę i zawołał Wichę.

– Nie nauczyli was pukać? – spytał gniewnie.

– Przepraszam, panie pułkowniku...

– Czego chcieliście?

Wicha pokazał na kobietę.

– Zabrać ją stąd na widzenie z synem. Zaraz będzie posiedzenie sądu. Potem dzieciak trafi do celi śmierci.

Kobieta przerwała zakładanie stanika.

– Nie! – wrzasnęła. – Pan mi obiecał!

Kapitan spojrzał na Medynię pytająco.

Pułkownik uśmiechnął się pod nosem.

– Nie musicie się już fatygować – powiedział, patrząc na podwładnego. – Widzenie zostaje wstrzymane.

Kobieta stała, patrząc na esbeka i nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Mogę zabrać go do domu? – spytała.

Medynia zaśmiał się głośno.

– Do domu? Twój dzieciak nie zobaczy już domu... Ciebie też nie zobaczy...

– Obiecałeś...

– Chyba nie chciałybyś, żeby oglądał cię w takim stanie i zapamiętał taką na ostatnie chwile życia? – Medynia kpił w najlepsze.

– Przysięgałeś...

Medynia zerknął na kapitana.

– Zabierzcie ją stąd.

Wicha podszedł do kobiety, chwycił ją za rękę, pociągnął w kierunku drzwi.

Nagle zaczęła stawiać opór.

– Nie! – wrzasnęła. – Oddajcie mi moje dziecko!!!

Kapitan sprężył się jeszcze mocniej, ale nie był przygotowany na to, że kobieta znajdzie w sobie nagle dodatkowy zapas siły.

– Piekło cię pochłonie, morderco! – krzyknęła. – Będziesz się tam smażyć!!!

Udało jej się wyrwać ramię z uścisku Wichy. Ruszyła w kierunku biurka, ale potknęła się i upadła na kolana.

Kapitan ruszył za nią, ale Medynia go ubiegł. Wyskoczył zza biurka, znalazł się przed kobietą. Wyprostował prawą nogę, celując w jej głowę.

Dało się słyszeć chrzęst łamanego nosa i wybijanych zębów. Zaraz potem twarz kobiety zalała się krwią, ona sama runęła plecami na posadzkę.

Medynia kucnął obok niej i się pochylił. Czekał, aż otworzy oczy.

– Głupia pizdo, sama chciałaś... – mówił wolno. – Zanim cię stąd wyciągną, jak jakąś starą wywłokę, coś ci jeszcze powiem.

Zacharczała.

– Wiesz, kto doniósł na twojego dzieciaka? – spytał.

Z ust kobiety wydobyło się kilka czerwonych pęcherzyków powietrza. Pękały jeden po drugim.

– Nie domyślasz się? – pytał dalej.

Jęknęła głośno. Było widać, że mocno cierpi.

– Wiesz?

Powiedziała coś niezrozumiale.

Nachylił się nad nią.

– Powtórz – powiedział.

Wyszeptała coś, a kolejne bąble trysnęły krwią na policzek esbeka.

– To ja ci powiem... – mówił, patrząc jej prosto w oczy. – To był twój mąż...
Wszystko nam wyśpiewał...

Ciałem kobiety wstrząsnęły gwałtowne drgawki. Zaraz potem zmusiła się, aby coś powiedzieć. Mówiła cicho, ale mimo to było ją dobrze słychać.

– Będiesz... smażyć... się... w... piekle...

Medynia wyprostował się. Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę, wytarł nią ubrudzoną twarz. Spojrzał na Wiche, machnął dłonią.

– Zabrać stąd to ścierwo.

Rozdział 27

Poniedziałek 29 września 2031

Od rana Krzyk machał łopata, czyszcząc kontener z resztek śmierdzących odpadów. Nie mógł się skupić, co chwilę rozsypywał zawartość, jakby pierwszy raz w życiu miał szufłę w dłoniach.

Tak bardzo był rozemocjonowany. Nigdy wcześniej nie czekał z taką niecierpliwością na dźwięk przychodzącej wiadomości. Od końca wojny, kiedy zaczęto wprowadzać kolejne obostrzenia sanitarne i ograniczenia praw obywatelskich, sygnał esemesa przyprawiał go o nerwowe dreszcze na plecach, kojarząc się równie źle, jak dźwięk zatraskiwanych krat w obozie jenieckim. I tak, jak rosyjscy strażnicy robili to z premedytacją – potęgując cierpienia przetrzymywanych żołnierzy wroga – tak samo twórcy CYBORGA specjalnie wybrali nieprzyjemne tony, co więcej, takie ustawienia narzucili wszystkim trzeciakom i czwartakom. Obywatele pierwszej i drugiej kategorii mogli sygnał dowolnie zmieniać, pozostali takiej możliwości nie mieli. To musiało być celowe działanie władzy, Krzyk był o tym święcie przekonany.

Jednak do tej pory nigdy nie zareagował w taki sposób, jak teraz, kiedy w uchu rozległ się dźwięk przypominający drapanie palcami po starej szkolnej tablicy, takiej, jaką pamiętał jeszcze z dzieciństwa. W głowie radość mieszała się z ekscytacją, że oto przed nim, Bogusiem i Matką pojawia się szansa na wpuszczenie trojana do SYCO!

Jeśli się uda, będą mogli przejść do kolejnego etapu!

Nagle zamarł, a zawartość łopaty wylądowała na czubku jego buta.

Czuł radość.

Chłopak kilka lat młodszy od jego Nikoli miał zawisnąć na stryczku za kradzież kilku butelek, a on czuł z tego powodu radość.

Kurwa!!!

Dokąd ten świat zmierza? – Z tą myślą ściągnął rękawice robocze, uruchomił wirtualfona, odczytał esemesa i jęknął z zawodu.

Wkrótce zostanie nadany ważny komunikat. Wkrótce zostanie nadany ważny komunikat.

A jeśli to jednak nie będzie dotyczyć egzekucji?!

Jego obawy zostały szybko rozwiązane. Z systemu megafonów rozległy się trzaski, zaraz potem rozbrzmiał z nich dobrze znany głos lektora z Dziennika Wieczornego:

– Wszyscy obywatele trzeciej i czwartej kategorii od siódmego roku życia wzwyż stawiają się dzisiaj o godzinie szesnastej zero zero na dawnym stadionie żużlowym przy ulicy Wrocławskiej sześćdziesiąt dziewięć. Obywatelom uchylającym się od tego obowiązku dzienne przydziały rodzinne zostaną wstrzymane na okres siedmiu dni. W związku z nałożonym obowiązkiem wyżej wymienione osoby otrzymują zwolnienie z miejsca pracy od godziny dwunastej zero zero. Bramy stadionu zostaną otwarte od godziny dwunastej piętnaście.

Miał rację, będzie egzekucja! Dobrze przewidywał, że władza będzie się bać kolejnych rozruchów i postawi na terror. Przestraszonymi ludźmi łatwiej było manipulować. Gdyby nie to, chłopaka pewnie by nie stracono.

Ruszył do budynku socjalnego. Chciał jak najprędzej opuścić oczyszczalnię. Wbrew pozorom nie miał zbyt wiele czasu, wzięwszy pod uwagę, że najpierw musiał wrócić do domu, aby przebrać się w odświętny strój – to był kolejny narzucony obowiązek, którego niewypełnienie oznaczało dotkliwą karę – a potem dojść jeszcze do stadionu.

Zanim jeszcze chwycił za chusteczki nawilżone ostatnimi zapasami deszczówki, uruchomił wirtualfon. Najpierw zadzwonił do Ady. Ona też dostała wolne i również szykowała się do wyjścia do domu. Potem połączył się z Nikolą i upewnił, że otrzymała wiadomość. Gdyby któreś z ich trojga nie stawiło się na egzekucji, konsekwencje poniosłaby cała rodzina.

Rozdział 28

Pić.

Pić.

Pić.

Teraz była to jedyna myśl towarzysząca Krzykowi. Już drugą godzinę razem z rodziną stał w kolejce wiodącej do dawnego stadionu żużlowego. Gdy dotarli w jego pobliże, sznur ludzi ciągnął się aż do stacji benzynowej Państwowego Monopolu Paliwowego – POMPY, jak mawiali obywatele pierwszej i drugiej kategorii, którym dane było cieszyć się z posiadania własnego samochodu.

Rodzinie Krzyków takie prawo nie przysługiwało. Nie wolno im nawet było korzystać z komunikacji miejskiej. Przemieszczać się mogli jedynie wydzielonymi częściami chodników, dlatego cztery kilometry dzielące osiedle Słoneczne od celu musieli pokonać na piechotę.

Kiedy mężczyzna razem z Adą i Nikolą zajęli miejsce w ogonku, zmęczenie dawało im się mocno we znaki, a przecież przed nimi były jeszcze długie godziny. Szczególnie córka, nieprzywykła do wysiłku fizycznego, wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć. Dopiero dwa łyki z butelki – jedyny zapas, jaki udało im się wygospodarować na całe popołudnie, gdyż Ada nie przyniosła tego dnia ze szpitala nic ekstra – pomógł na tyle, że dała radę stać w oczekiwaniu na ich kolej.

Nikola odzyskała siły, za to w Krzyka pragnienie uderzyło ze zdwojoną mocą. Jak na złość, całą drogę musieli iść w palącym słońcu, co pogarszało ich i tak kiepską sytuację.

Może trzeba było nie przychodzić przed czasem? – pomyślał. Zerknął za siebie i od razu wiedział, że takie rozwiązanie byłoby jeszcze gorsze. Sznur ludzi ciągnął się aż za dawne centrum handlowe Polska Wełna, a Krzyk mógł się założyć, że to wcale nie jest koniec.

Pić!

Spróbował oblizać językiem spierzchnięte wargi, ale efekt był taki, jakby potarł po nich papierem ściernym.

Chcąc odwrócić uwagę od coraz bardziej dojmującego pragnienia, zaczął szacować liczbę oczekujących, licząc kolejne grupki oddzielone od siebie przepisową odległością dwóch i pół metra. Większość rodzin składała się z trzech osób, ale w bliskim sąsiedztwie zauważył też sporo samotnych par. Część z nich mogła posiadać dzieci młodsze niż siedmioletnie – a te były zwolnione z obecności na egzekucji – reszta należała pewnie do tego grona szczęśliwców, którzy dziennymi przydziałami rodzinnymi mogli dysponować jedynie we dwójkę.

Z tą myślą Krzyk najpierw spojrział na pustą butelkę trzymaną w dłoni, potem na Nikolę. Zrugał się w głowie za niepoprawne myśli. Przecież to nie jej wina, że pojawiła się na świecie. Kto mógł wtedy przypuszczać, że kilka lat później stanie on najpierw na progu jednej katastrofy, potem drugiej i jeszcze zaraz później trzeciej?!

Córka jakby wyczuła, że o niej myśli, bo odwróciła się i spojrzała na niego.

– Zostało coś jeszcze do picia? – spytała cicho.

– Po co pytasz, skoro wszystko wyłopałaś? – warknęła Ada.

Krzyk zmusił się do uśmiechu.

– Nic już nie ma, przykro mi.

– Jej na pewno nie jest przykro – wycodziła Ada. – Nawet się nie spytała, czy któreś z nas chciałoby bodaj zwilżyć usta.

– Jestem dzieckiem, musicie o mnie dbać – wypaliła Nikola.

– Teraz jesteś dzieckiem? – Krzyk zaczynał powoli tracić cierpliwość. – A kto ostatnio wrzeszczał na cały blok, że jest już dorosły i nie musi słuchać rodziców?

Córka skrzywiła się, potem odwróciła do niego i Ady plecami, nic przy tym nie mówiąc.

Krzyk odetchnął głęboko, ciesząc się w duchu, że kolejny wybuch złości został – przynajmniej na razie – zażegnany w zarodku. O ile Nikola urodę odziedziczyła po matce – na szczęście swoje i dumę ojca – o tyle charakterek miała ewidentnie po nim. Niestety, od pewnego czasu rodziło to coraz większe problemy, ponieważ zaczęli się nią interesować chłopcy, zresztą z wzajemnością.

Rozmyślenia mężczyzny przerwał ruch w kolejce. Ta wreszcie ruszyła z miejsca, zaraz potem ogonek posuwał się już z dużą prędkością. Kolejne rodziny sprawnie pokonywały bramki wejściowe, przykładając białe lub mahoniowe opaski do czytników. Krzyk co chwilę kontrolnie zerkał na swoją – sprawdzając – czy zielona

lampka nie zmienia koloru na ostrzegawczą czerwień. W przypadku przekroczenia dozwolonego dystansu powinna zasygnalizować to delikatnym porażeniem prądem, ale to była tylko teoria. Mężczyzna już kilka razy miał okazję się przekonać, że urządzenia były zawodne, szczególnie te przeznaczone dla czwartaków. To było podwójnie bolesne, gdyż dla tej kategorii kary były dużo bardziej surowe niż dla trzeciaków. Przy ostatnim takim przypadku przydział zmniejszono ich rodzinie tak bardzo, że gdyby nie pomoc kolegów z pracy, mogliby nie przeżyć. Na własnej skórze przekonał się więc, że maszynom nie wolno ufać.

Dopiero gdy dotarli pod bramę stadionu, mógł na chwilę odetchnąć. Z uwagi na ograniczoną ilość miejsc działanie SYCO było w tym miejscu zawieszane.

– Nogi mnie bolą... – jęknęła Nikola.

– Nie marudź! – syknęła Ada w odpowiedzi.

Na twarzy dziewczyny pojawił się charakterystyczny grymas.

– Ale to prawda!

Krzyk delikatnie dotknął córkę zaciśniętą pięścią w ramię.

– Jeszcze chwilę i wejdziemy.

Nikola cała aż się zatrzęsała.

– Weź przestań!

Taki wybuch złości zdziwił mężczyznę, ale już po krótkiej chwili zrozumiał, w czym rzecz. Córka wpatrywała się w przystojnego chłopaka stojącego przed nimi w kolejce, nie mając pojęcia, co robić. On zresztą wyglądał na równie przestraszonego.

Twarz chłopaka wykrzywiła się w dziwną minę, zaraz potem Nikola parsknęła śmiechem. W tym czasie jego ojciec podniesionym głosem zaczął tłumaczyć coś funkcjonariuszowi Służby Bezpieczeństwa Państwa z wyglądu młodszemu o kilka lat od jego syna.

– Wcielają coraz większych smarkaczy... – szepnął Krzyk sam do siebie. – Pomagamy i monitorujemy – bezwiednie wyrecytował hasło widniejące na pojazdach znienawidzonej przez społeczeństwo formacji. – Szkodzimy i mordujemy... – Z pamięci przywołał te stworzone przez nieistniejącą już opozycję.

– Proszę! – Mężczyzna przed nimi krzyknął błagalnie.

– Syn zostaje zatrzymany. – Młody esbek kiwnął głową na stojącego kilka metrów dalej kolegę z twarzą pokrytą gęstym trądzikiem. Ten od razu ruszył z pomocą, a w jego oczach mieniły się jakieś dziwne błyski.

– Dlaczego? – Ojciec chłopaka był coraz bardziej zdenerwowany.

– Takie są procedury. – Funkcjonariusz był nieugięty. – Opaska jest naruszona. Manipulowano przy niej.

– To na pewno jakaś pomyłka! – Mężczyzna miał łzy w oczach. – Dopiero tydzień temu założono mu nową!

– Odsunąć się albo użyjemy środków przymusu bezpośredniego. – Esbek stanął w rozkroku.

Nagle mężczyzna spojrzał na chłopaka.

– Znowu przy niej grzebałeś? To przez tę dziewczynę? – Zachowywał się teraz tak, jakby był tu tylko z synem.

Chłopak coś pokrętnie tłumaczył. Jego ojciec odwrócił się do funkcjonariuszy, uśmiechnął się przyjaźnie.

– Panowie oficerowie, to tylko dziecko...

– Odsunąć się. Chłopak jest zatrzymany.

– Błagam! – Mężczyzna uklęknął. – Moja małżonka nie żyje... Nikogo innego nie mam... Nie zabierajcie mi go...

– Odsunąć się! – Esbek z brzydką twarzą przyłożył prawą dłoń do boku. – Natychmiast!

W tym momencie mężczyzna popełnił błąd, wyciągając rękę, jakby chciał syna odgrodzić od funkcjonariusza.

Kiedy ten wyprowadził cios pałką, nie zdążył się nawet zasłonić.

Krzyk usłyszał głucho stuknięcie, jakby ktoś grubym kijem pacnął w dynię. Zanim mężczyzna padł nieprzytomny na ziemię, młody esbek zdążył jeszcze poprawić po koledze.

Widząc to, chłopak rzucił się w stronę ojca. Funkcjonariusz z policzkami pooranymi przez trądzik tylko na to czekał. Wyprowadził cios, ale tym razem źle oszacował odległość, bo pałka przecięła jedynie powietrze, a on sam – straciwszy równowagę – upadł. Zaraz potem poderwał się z wściekłością na nogi, całą złość wyładowując na chłopaku. Ten próbował uchylać się od razów, ale z dwoma

przeciwnikami nie miał szans. Po kilku ciosach upadł niedaleko ojca. Nawet wtedy esbek z trądzikiem nie przestawał bić. Pauzę zrobił dopiero, kiedy ciałem nastolatka zaczęły trząść konwulsje, a z jego ust poczęła toczyć się piana.

Krzyk patrzył na to oszołomiony. Kiedy tylko pierwszy raz pałka poszła w ruch, zrozumiał, że on i jego rodzina mogą być następni. Chciał zrobić coś, aby uniknąć takiego scenariusza, ale był jak sparaliżowany. Próbował szepnąć coś do żony i córki, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa.

Dopiero po chwili udało mu się odzyskać głos.

– Nie patrzcie tam... – mówił cicho. – Nawet nie próbuj... – rzucił do Adriany, widząc, że ta robi krok w kierunku leżących na ziemi mężczyzn.

– Chłopak potrzebuje pomocy... – zaprotestowała.

– Zanim zdążysz im wyjaśnić, że jesteś pielęgniarką, mogą cię zabić – wyszeptał żonie do ucha.

– Nic mi nie... – Ada już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. W tej sytuacji faktycznie nie pomogłyby jej żadne znajomości.

– Szkoda go. – Nikola wbiła spojrzenie w ciało chłopaka. – Taki był ładny...

– Taki był ładny? – Kobieta odwróciła się do córki. – Tylko to masz do powiedzenia? Chłopiec być może trafi do szpitala w ciężkim stanie, nie wiadomo, czy z tego wyjdzie, a tobie szkoda jego ładnej buzi?

Wcale nie wiadomo, czy zabiorą go tam, czy może od razu zniknie – pomyślał Krzyk.

– Wiesz, co? – Nikola miała gniew w oczach. – Chcesz, to idź go ratować! Jak wylądujesz obok, to straty nie będzie.

– Ciszej! – Krzyk nerwowo taksował otoczenie wzrokiem, szukając potencjalnego zagrożenia. – I nie mów tak do matki.

– Ona jest moją matką tylko z nazwy. – Dziewczyna w jednej chwili straciła zainteresowanie chłopakiem. – Nasza kolej.

– Następny! – Stojąca przy bramie funkcjonariuszka SBP jakby to słyszała. – Szybciej!

– Dziewczyny, tylko bez żadnych gwałtownych ruchów – strofował Krzyk. Bał się nie o siebie, ale przede wszystkim o Nikolę. Chłopak, który przestał się już nawet ruszać, nie był jednym nastolatkiem próbującym przechytryć SYCO, za to,

gdyby mu się udało, byłby pewnie pierwszym. Krzyk nie mógł mieć żadnej gwarancji, że opaska córki była w stanie fabrycznym. Co gorsza, wcale nie trzeba było manipulować przy urządzeniu, żeby narazić się na reakcję esbeków. Zdążyli już udowodnić, że najpierw biją, a dopiero potem ewentualnie zadają pytania i sprawdzają, czy alarm jest wynikiem zabronionej ingerencji, czy też awarii stadionowych czytników używanych tylko kilka razy w roku.

*

Na szczęście bramkę pokonali bez problemów i mogli ruszyć na przydzielone rano miejsca. Dramat, jaki rozegrał się przed wejściem, sprawił, że Krzyk zapomniał o wszystkim. Teraz pragnienie przypomniało o sobie, wracając do niego ze zdwojoną siłą. Wznoszenie modłów było bezcelowe, nie padało przecież od miesięcy, nie licząc tego jednego razu. Nic też nie wskazywało na to, aby taki stan rzeczy miał się zmienić. Na błękitnym niebie próżno było szukać choćby jednej chmury.

Tyle dobrze, że słońce właśnie zaczęło chować się za drzewami, dzięki czemu przynajmniej znaleźli się w cieniu. Inaczej kolejnych dwóch godzin oczekiwania na zapelnienie się stadionu Krzyk mógłby nie przetrwać.

Wtem z głośników rozległ się tubalny, mocny głos.

– Witam wszystkich obywateli trzeciej i czwartej kategorii!

Wypowiadającego te słowa nie było jeszcze widać, ale i tak zgromadzeni wiedzieli, kim jest.

– Witajcie!

Krzyk rozglądał się uważnie dookoła. Nie szukał jednak wzrokiem Pierwszego, którego postać pojawiła się na wielkim ekranie zamontowanym nad wjazdem do parku maszyn, interesowali go ludzie zgromadzeni na stadionie, a konkretnie ich liczba. Bez dostępu do SYCO dokładne policzenie było niewykonalne, ale mężczyzna mógł przynajmniej pokusić się o orientacyjne szacunki. Kiedyś, gdy działał jeszcze miejscowy klub żużlowy Falubaz, trybuny mieściły mniej więcej dwanaście tysięcy widzów. Teraz w połowie zionęły pustką.

I pomyśleć, że przed wojną Zielona Góra liczyła sobie prawie sto czterdzieści tysięcy mieszkańców – Krzyk westchnął. Egzekucja zgromadziła jakieś sześć tysięcy, tyłu było w mieście trzeciaków i czwartaków. Ludzi z wyższym statusem

była połowa tego, a gdyby tylko zapadła taka decyzja, też zmieściliby się na stadionie.

Refleksję przerwał Pierwszy.

– Niektórzy z obecnych tutaj być może zadają sobie pytanie, czy kara, jaką za chwilę wymierzymy, musi być aż tak surowa?

Krzyk spojrział na Adę, ale z jej zachowania trudno było wyczytać, co myśli.

– Zadajecie sobie pytanie: czy to dziecko musi umrzeć? – Postać Pierwszego była prezentowana na ekranie w taki sposób, że każdy ze zgromadzonych miał wrażenie, jakby patrzył mu prosto w oczy.

Krzyk zerknął na Nikołą, ta wyglądała na nieobecną. Brakowało tylko, aby włączyła wirtualfona.

– Obywatele trzeciej i czwartej kategorii! – Nagle Pierwszy pojawił się na scenie zajmującej środek murawy – Zadajcie sobie to pytanie! Zadajmy je sobie wszyscy!

Zadajmy sobie pytanie, kiedy będziemy mogli się czegoś napić! – wrzasnął Krzyk w myślach.

– Zadajmy je i od razu sobie na nie odpowiedzmy! – Pierwszy kroczył wolno po deskach, niczym aktor odgrywający wyuczoną wcześniej rolę.

Krzyk był chyba jednym z niewielu na stadionie, którzy nie spoglądali na mówcę. Zamiast tego dyskretnie przyglądał się ludziom wokół. Próbował sięgnąć pamięcią, aby przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był tak blisko innych, ale nie potrafił. Z pewnością nic takiego nie miało miejsca w tym roku. Wyjątkiem był zakład pracy, ale tam przecież miał do czynienia tylko z kilkoma kolegami, zresztą, niemal przez całą zmianę byli zwykle pod dyskretnym nadzorem kierownika.

– Czy to dziecko musi umrzeć? – Albo ktoś zajmujący się sprzętem podkreślił głośność, albo Pierwszy zbliżył mikrofon do ust, bowiem jego słowa brzmiały teraz o wiele mocniej.

Do Krzyka dotarło, że zbliża się moment kulminacyjny egzekucji. Zaczął kręcić się jeszcze bardziej, chciał zobaczyć jak najwięcej twarzy, uśmiechów, grymasów, właściwie chłonał każdy detal wyglądu tych, którzy stali najbliżej niego, zanim tłumem wstrząśnie dzika ekstaza.

Dwa rzędy niżej dostrzegł mężczyznę niskiego wzrostu, z opasłym brzuchem i przetłuszczoną resztką włosów, który co rusz nerwowo tarł palcami o brodę.

Na ten widok Krzyk bezwiednie przejechał dłonią po swojej łysej głowie, czując w środku ukłucie zazdrości. Kępkę włosów Grubasa wyglądały może karykaturalnie, ale i tak byłby gotów się z nim zamienić, byle tylko znów móc poczuć pod palcami przyjemny dotyk.

Ciekawe, czy Ada i Nikola zwróciły na niego uwagę? – pomyślał, patrząc na lśniące głowy żony i córki. A może jeszcze ktoś zachował resztę włosów? – Znów zaczął się rozglądać.

Nagle napotkał ukradkowe spojrzenie niewysokiej kobiety ze sporą nadwagą. Sposób, w jaki na niego patrzyła, sprawił, że aż go zmroziło.

Czyżby była donosicielką typującą podejrzaną osobę na potrzeby SBP? A może znajdowała się stopień wyżej w hierarchii, piastując funkcję prowokatorki i szykując pułapki na Bogu ducha winnych czwartaków?

Wtem kobieta się odwróciła, jakby czytała w myślach Krzyka. Chwilę później raz jeszcze spojrzała na niego dyskretnie. Tym razem widział już wyraźnie, że w jej oczach czaił się strach.

Boi się, że to ja jest kapusiem? – pomyślał mężczyzna. Od razu uśmiechnął się delikatnie, w ten sposób chciał nieznamym dać znać, że nie musi się go obawiać.

Ale ta momentalnie uciekła wzrokiem.

– Jeszcze raz: czy to dziecko musi umrzeć? – Pierwszy odezwał się po długiej chwili ciszy. Od razu też sam sobie odpowiedział. – Tak, musi!

Słyszając te słowa, Ada odwróciła się na chwilę, aby spojrzeć na męża. Kiedy zaskoczona napotkała jego wzrok, poczuła nieprzyjemny ucisk w podbrzuszu.

– Tak, musi! – Pierwszy powtórzył jeszcze głośnie.

Kobieta czuła na policzku palący wzrok Janka. Wzięła głęboki oddech, ze wszystkich sił starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. W umyśle coraz mocniej tliła się jednak obawa, od której uginały się jej kolana.

Podejrzewał coś?!

Gdy tylko myśl dojrzała, od razu zaczęła uspokajać samą siebie.

Niemożliwe. Janek nie mógł o niczym wiedzieć!

– Musi! – Pierwszy wrzasnął tak, że echo odbiło się od trybun, ze zwiększoną siłą uderzając w zgromadzonych. – To dziecko nie okradło mnie! – Grzmiał. – Ono nie okradło naszego miasta! Ono nie okradło naszej ojczyzny! Ono okradło

wszystkich z was!!! – Jego wielki palec widoczny na ekranie wbił się w każdego ze zgromadzonych.

Pić.

Krzyk próbował poruszyć językiem, ale ten był sztywny jak kołek. Że też Nikola musiała wszystko wyłopać! Spojrzał na córkę, ta lewą dłonią próbowała ukryć otwartego wirtualfona. Już miał wyrazić swoje oburzenie, kiedy dostrzegł, że podobnie zachowywało się kilkoro innych nastolatków w najbliższym otoczeniu. Otaksował wzrokiem dalsze rzędy, sytuacja była identyczna.

Ta dzisiejsza młodzież... – westchnął. Na wszystko ma wyjebane. Nic się nie liczy: rodzice, szkoła, praca, ważna była tylko sieć.

– Obywatele! – Palec Pierwszego zniknął z ekranu, znów pojawiła się na nim jego dobrotliwa twarz. – A może nie powinienem podejmować decyzji samodzielnie?

Krzyk wiedział, do czego szef Partii zmierza i musiał przyznać, że odgrywał swoją rolę pierwszorzędnie. Nie zmieniało to jednak faktu, że słuchał go z obrzydzeniem.

– Obywatele! Może należałoby pozostawić ją wam?

Sześć tysięcy zielonogórczan milczało.

– Zatem podejmijmy tę decyzję wspólnie! – Pierwszy nie zwlekał. – Kto z was powie nam, co należy zrobić ze złodziejem, który okradł nas wszystkich z najcenniejszej rzeczy, jaką mamy?

Odpowiedziała mu cisza.

– Kto powie, co mamy z nim zrobić? – Pierwszy przyłożył dłoń do czoła, udając, że wypatruje ochotnika.

– Zabić. – Delikatny głos dobiegł gdzieś z okolicy wieżyczki sędziowskiej.

Krzyk zdawał sobie sprawę, że nie sposób tego udowodnić, ale był przekonany, że autorem tych słów nie był nikt ze zgromadzonych na trybunach, chociaż rozstawione gęsto mikrofony potrafiły wychwycić nawet szept. Same mogły też jednak być źródłem dźwięku.

– Zabić!

Tym razem mężczyzna był już pewien, że ktoś naprawdę krzyknął.

– Zabić!

Nie minęło kilka sekund, gdy pierwszym głosem zawtórowały kolejne.

– Zabić!

– Zabić!

– Zabić!

– Tak! – Pierwszy triumfował. – Zabić!

– Zabić! Zabić! Zabić!!! – Teraz tłum wył już z nienawiści.

Mężczyzna na ekranie pokraśniał z zadowolenia. Odczekał dłuższą chwilę, wiedział, że to z bezwolnej ludzkiej masy wyzwoli wszelkie pokłady nienawiści. Potem mówił dalej.

– Taki krok może niektórym wydawać się nieludzkim, ale jest konieczny, abyśmy mogli dbać o naszą ojczyznę, naszą enklawę i o nas samych. – Zrobił krótką przerwę dla zwiększenia efektu. – Pamiętajcie też, że musimy tak zrobić dlatego, że... – kolejna pauza była już dużo krótsza – takie... są...

Tłum dokończył za niego.

– Procedury!!!

– Takie są procedury! – krzyknął Pierwszy raz jeszcze.

Jan miał wrażenie, jakby wrzaski wydostające się z głośników płynęły prosto do jego uszu, wwiercając się w mózg, niczym świder w miękką ziemię.

– Wprowadzić skazańca! – ryknął Pierwszy bez ostrzeżenia.

Niemal od razu na ekranie pojawiła się postać chłopaka – mógł mieć dziesięć, może jedenaście lat – ślaniającego się na nogach. Był wleczony przez dwóch rośliwych esbeków trzymających go pod ręce, dodatkowo skrępowane za plecami. Zanim dotarli na scenę, minęła minuta, może dwie. W tym czasie ludzie milczeli, tylko co chwilę przez tłum przechodził cichy pomruk.

Kiedy zakładali mu pętlę na szyję, z głośnika rozległ się beznamiętny głos lektora, który wszyscy doskonale kojarzyli z Dziennika Wieczornego.

– Przypomina się o zasadach obowiązujących na dzisiejszej egzekucji...

Charakterystyczny bas spikera miał przyjemne brzmienie. Gdyby Krzyk nie wiedział, czego dotyczy komunikat, mógłby się nawet odprężyć.

– Każdy, kto w momencie kulminacyjnym odwróci głowę lub zmieni pozycję ciała na taką, która uniemożliwi rejestrowanie obrazu, zostanie tymczasowo pozbawiony dziennego przydziału rodzinnego...

Krzyk położył dłoń na ramieniu Nikoli. Ta spojrzała na niego, zamknęła wirtualfona, potaknęła, dając znać, że zrozumiała.

– Podobne konsekwencje spotkają tych, którzy zasłonią lub zamkną oczy...

Krzyk nabrał głęboko powietrza, po czym wypuścił je z sykiem, patrząc na chłopaka, który wyginał głowę we wszystkich kierunkach, próbując pozbyć się pętli. Nic nie mówił, nie krzyczał, zaklejone taśmą usta nie były w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Musiał wiedzieć, że jego wysiłki są daremne, a i tak nie dawał za wygraną. Walczył do końca.

Mężczyzna miał świadomość, że większości zgromadzonych na trybunach los chłopca kompletnie nie obchodzi i że za chwilę z dziką przyjemnością będą wpatrywać się w jego wiszące ciało, niczym dzicz sycącą się przed stuleciami walkami gladiatorów. Oni będą patrzeć dobrowolnie, cała reszta – tak jak on – z musu. Żadne sztuczki nie wchodziły w grę, na straży stały bowiem setki kamer i czujników SYCO rozpoznających nie tylko twarze, ale też rejestrujących reakcje poszczególnych ludzi, ich nastrój, temperaturę ciała i dziesiątki innych danych.

– Uwaga! – Pierwszy stanął w rozkroku dwa metry przed nastolatkiem. Dał znak podniesioną ręką.

– Przygotować się do egzekucji. – Głos lektora cały czas brzmiał tak samo spokojnie.

Krzyk ze zgrozą odnotował fakt, że kilka osób w rzędach poniżej otworzyło wirtualfony i włączyło nagrywanie. Rozejrzał się wokół, tych parę przypadków to był wierzchołek góry lodowej.

Jakby byli na meczu żużlowym, a pod taśmą startową ustawiało się właśnie czterech zawodników.

– Dziesięć... – Spiker zaczął odliczanie.

Krzyk spojrzał na szubienicę, dużo wyżej niż głowa skazańca.

– Dziewięć...

Opaska na dłoni mężczyzny zadrżała, rażąc go delikatnie prądem.

– Osiem...

Krzyk ją zignorował.

– Siedem...

Natężenie prądu wzrosło.

– Sześć...

Zacisnął zęby, chcąc wytrwać jak najdłużej.

– Pięć...

Delikatne mrowienie ustąpiło miejsca nieznośnemu pieczeniu.

– Cztery...

Ból potężniał z sekundy na sekundę.

– Trzy...

Wiedział, że za chwilę dotrze do progu wytrzymałości.

– Dwa...

Krzyk nie dał rady walczyć dalej. Cena, jaką musiałby za to zapłacić, była zbyt wysoka. Przeniósł wzrok na twarz chłopca.

– Jeden.

Mikrofony ustawione na scenie wylapały dźwięk otwierającej się zapadni, a sprzęt obsługujący nagłośnienie na stadionie dodatkowo oczyścił go i wzmacnił. Zaraz potem ciało nastolatka zaczęło podrygiwać, z megafonów dało się słyszeć rżenie.

Krzyk miał lzy w oczach. Modlił się, żeby SYCO nie uznało tego za złamanie procedury. Niemal czuł, jak czujniki rejestrują ruch jego gałek ocznych. Wiedział, że to niemożliwe, że robiły to niedostrzegalnie dla ludzkich zmysłów, ale i tak czuł się nieswojo. Miał wrażenie, jakby ktoś zaglądał mu do wnętrza mózgu.

– Koniec. – Lektor cały czas brzmiał tak, jakby czytał dziecku bajkę. – Egzekucja została zakończona.

Krzyk z ulgą odwrócił głowę. Odetchnął głęboko, patrząc na dziesiątki wirtualfonów rejestrujących wciąż ruchy dyndającego ciała. Wstrząsnął nim gniew, ale momentalnie przywołał się do porządku. Nic nie mógł na to poradzić.

– Podaję dane statystyczne. – Lektor odezwał się raz jeszcze. – Udział w egzekucji wzięło sześć tysięcy dwudziestu osiem obywateli, to jest sto procent uprawnionych. Prawidłowy udział w egzekucji zaliczono sześciu tysiącom dwudziestu siedmiu obywatelom.

Krzyk poczuł w środku ukłucie zazdrości.

Znalazł się ktoś, kto potrafił się wyłamać!

I to nie był on...

Cwaniak! – pomyślał. Pewnie chował gdzieś w domu zapasy na czarną godzinę i mógł sobie na coś takiego pozwolić. Ciekawe tylko, czy rezerwę zawdzięczał prostytuowaniu się swojej żony lub córki? A może wynajmował na godziny własne ciało, jeżdżąc do posiadłości Pierwszaków?! Gdyby tylko wiedział, który to, podbiegłby do niego i rozszarpał gołymi rękoma!

A jeśli to była kobieta?

Też by ją zabił!

– Należy kierować się do bramek wyjściowych. – Lektor zaczął instruować tłum.
– Przypominamy, że poza stadionową strefą buforową obowiązują przepisy dotyczące utrzymania dystansu społecznego.

Krzyk ruszył za Adą i Nikołą wolno kroczącymi w stronę ogrodzenia. Rzucił okiem na scenę. Ciało chłopca wciąż wisiało na szubienicy.

Wiedział, że nie jest to niefrasobliwość. Wręcz przeciwnie, esbecy specjalnie nie odcinali ciała. Chcieli, żeby zgromadzeni na stadionie ludzie jak najdłużej się w nie wpatrywali.

Żeby scena, jaka rozegrała się przed ich oczami i w ich umysłach, załęgła się tam na zawsze. Aby pamiętali o niej, kiedy tylko przyszlaby im do głowy próba kradzieży choćby jednej małej butelki.

Pić!

Krzyk odwrócił głowę, złorzeczając w myślach martwemu dzieciakowi. Gdyby nie przestępstwo, jakiego się dopuścił, on nie miałby teraz w nogach czterech kilometrów i tyłu samo przed sobą w drodze powrotnej!

Pić...

Żeby odwrócić uwagę od pragnienia, spojrział na zegarek, starą „Rakieta” wyprodukowaną jeszcze w czasach istnienia Związku Radzieckiego i jedyną pamiątkę po ojcu, która uchowała się podczas wojny.

Szybko obliczył czas, jaki upłynął od wejścia na stadion i wyłączenia systemu nadzorującego utrzymanie dystansu społecznego. Jeżeli Boguś nie mylił się w obliczeniach, wprowadzony podczas egzekucji trojan powinien zrobić to, do czego został zaprojektowany. Dowiedzą się tego już wkrótce.

A jeśli się udało...

Krzyk poczuł, jak jego serce przyśpiesza. Uśmiechnął się mimowolnie, wiedząc doskonale, że tym razem nie jest to reakcja na postępujące odwodnienie.

Jeżeli ich szalony i śmiały plan się powiódł, to...

Na tę myśl mężczyzna aż przymknął oczy.

Wreszcie będą mogli zacząć kopać.

Rozdział 29

Niespodziewanie głos lektora znów przyjemnie rozbrzmiał w głośnikach.

– Uwaga! Uwaga! Przy bramie wyjściowej każdy obywatel obecny na stadionie za spełnienie obywatelskiego obowiązku zostanie uhonorowany przydziałem jednej butelki...

Tego, jaka będzie jej pojemność, nie było już słycać, głos spikera zginął w radosnych okrzykach tysięcy gardeł.

– Mówi, że każdy otrzyma jedną butelkę! – Mężczyzna z kępką włosów na głowie wrzasnął radośnie, patrząc w stronę Krzyka, kiedy tumult nieco złagodniał.

Ten miał wrażenie, że nieznajomy w ostatniej chwili powstrzymał się przed klepieniem go przyjaźnie w plecy. Zresztą, w pierwszej chwili on sam miał ochotę porwać kogoś w ramiona, nie dziwił się zatem reakcjom innych.

– Wspaniale... – wychrypiał, myśląc już tylko o tym, aby zwilżyć usta cennymi kroplami. Wyobraził sobie ten moment i zakręciło mu się w głowie. Zaraz potem w miejsce radości narodził się strach.

Czy to będzie półtora litra?

Litr?

Pół?

A może tylko zero trzydzieści trzy?!

Pić!!!

Wyprostował się jak struna, wyciągnął szyję maksymalnie, próbując dojrzeć, co dzieje się przy bramie, od której dzieliło ich jeszcze kilkanaście metrów, jednak ciżba ludzi przed nimi skutecznie to uniemożliwiała. Tutaj dwa i pół metra dystansu nie obowiązywało, ale i tak nie należało przecież stać sobie na plecach! Każda rodzina powinna cierpliwie czekać na swoją kolej, utrzymując dystans zastępczy.

Szkopuł w tym, że w tym konkretnym przypadku SYCO nie wysyłało sygnału ostrzegawczego do opasek i te nikogo nie raziły prądem.

A powinny... – Krzyk zazgrzytał zębami. Jeszcze chwilę i zaczną wchodzić na siebie, deptać po stopach, a na końcu pewnie tratować się nawzajem.

Wtem zamarł. Ciałem targnął nieprzyjemny dreszcz, chwilę później drugi, potem trzeci.

Powietrza! – znów zrobiło mu się słabo. Ludzie, dlaczego tak się ciśnicie?!

– Odsuńcie się... – Próbował krzyknąć, ale wyschnięte usta i skołowaciały język sprawiły, że wydobył z siebie tylko cichy jęk. Gestykulujące wokół ręce obcych ludzi wydawały mu się niczym macki ośmiornicy oplatającej nieświadomą ofiarę, by wkrótce wycisnąć z niej ostatnie tchnienie życia. – Umieram... – Wyciągnął rękę, chciał położyć ją na ramieniu Nikoli, może ona dałaby radę pomóc, ale fala ludzkich ciał porwała go ze sobą i uniosła niczym morski prąd.

W pierwszym momencie uległ panice i dał się ponieść masie, ale potem błyskawicznie przywołał się do porządku. Zaparł się nogami, rozdzielił kilka kuksańców, później zaczął przeć do przodu, szukając wzrokiem dziewczyn. Nie było to łatwe, wszystkie łyse głowy wyglądały od tyłu jak jedna, musiał mocno wypatrywać, aby dostrzec kolczyki Ady.

Wreszcie się udało. Namierzył żonę, następnie córkę, przedarł się do nich, nie zważając na protesty tych, którym deptał po nogach i uderzał łokciami.

– Trzymajmy się razem... – wystękał, dotarłszy na miejsce.

– Już blisko – zauważyła Ada.

– Ale tu będzie największy ścisk – ostrzegł Krzyk. Chwycił Nikolę za ramiona, bezceremonialnie przesunął ją między siebie i żonę. – Pilnuj się! – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Przypomina się o obowiązku zachowania dystansu społecznego po opuszczeniu stadionowej strefy buforowej – deklamował lektor.

Na wzmocnienie tych słów opaska Krzyka wygenerowała krótki słaby impuls. Spojrzał na Nikolę, ta skrzywiła się w charakterystyczny sposób – najwyraźniej SYCO uznało, że sytuacja może wymknąć się spod kontroli i postanowił temu przeciwdziałać.

– Bierzcie! – Mężczyzna chwycił butelkę rzuconą mu przez esbeka. Półtoralitrowa!!! Dlaczego egzekucje odbywały się tak rzadko?!

Przycisnął ją do piersi, skontrolował, czy Ada i córka też dostały prezent. Upewniwszy się, że tak, obie pchnął w stronę bramy.

Korciło go, aby od razu odkręcić butelkę i pociągnąć z niej mały łyk, ale się powstrzymał. Zbyt dużo by wylał, gdyby ktoś go w tym momencie potrącił.

– To moje! – Jakiś mężczyzna padł na ziemię, próbując chwycić pojemnik turlający się w stronę trybuny.

Krzyk patrzył, jak zawartość wylewa się na suchą jak pieprz ziemię.

Mimowolnie się zaśmiał.

Dobrze zrobiłem! – pogratulował sobie w myślach i zaraz potem poczuł rozdzierający ból w plecach.

Obejrzał się i zobaczył tego samego esbeka, który chwilę wcześniej rzucił mu butelkę. Teraz zamiast prezentu dla kolejnego obywatela w dłoni trzymał pałkę.

– Przechodzić! – wrzasnął i znów podniósł broń.

Krzyk nie zwlekał ani sekundy, rzucił się tyłem w kierunku bramy, chcąc kontrolować poczynania funkcjonariusza.

Gdy razem z Adą i Nikolą wydostali się poza stadion, pokazał dziewczynom na wzgórze, jakie mieli przed sobą.

– Chodźmy tam!

Chwycił córkę za wolną rękę, zaczął za sobą holować.

– Tam się napijemy!

Nie bez trudu wdrapali się kilka metrów wyżej, zatrzymali, oparli o drzewa. Jak na zawołanie, każde z nich odkręciło swoją butelkę i przytknęło do niej wargi.

Krzyk wziął tylko mały łyk, Ada niewiele więcej, za to Nikola przyssała się do szyjki z mocą kleju błyskawicznego.

– Zostaw sobie trochę na później! – strofował.

– Z mojej nie dostaniesz ani kropli. – Wyraz twarzy matki jasno wskazywał, że nie rzuca słów na wiatr.

Mężczyzna oparł się o drzewo, ciężko wzdychając. Czy każda nastolatka na tym etapie życia toczyła wojnę ze swoimi rodzicami?

Nagle poczuł uwieranie w plecy. Odwrócił się i uśmiechnął szeroko, widząc konar ułamany niemal przy samym pniu.

Co za przypadek! To właśnie pod tym drzewem stawał jego ojciec w ostatnich latach swojego życia, gdy nie było go już stać na coraz droższe bilety na żużel. Nie było stąd widać prawie całego drugiego łuku, ale tacie to nie przeszkadzało. Przez

pięćdziesiąt lat nie opuścił ani jednego meczu, nie mógł też tego zrobić wówczas, kiedy dla klubu stał się już za biedny. Krzyk kilka razy towarzyszył mu w tych dziwnych eskapadach – tylko tyle, bo dla niego niezrozumiałe było oglądanie zawodów na połowie dystansu – i charakterystyczna sosna wryła mu się mocno w pamięć.

Z rozrzewnieniem spojrzął na tor, przeniósł wzrok na murawę, jakby liczył, że zobaczy żuźlowców i piękne podprowadzające.

Zamiast nich dostrzegł szubienicę.

Ciało chłopaka wciąż na niej wisiało.

Krzyk zatrzęsł się mimowolnie, zaraz potem bezwiednie przycisnął butelkę do piersi. Odwrócił się plecami do stadionu.

– Idziemy do domu – rzekł z naciskiem.

– Ja nie idę. – Ada zakręciła butelkę, dwa razy sprawdziła, czy korek dobrze trzyma. – Muszę wracać do pracy. – Zamierzała zadzwonić do Grzesia i wprosić się do niego, a potem zrobić wszystko, aby przyśpieszył jej awans w pracy i zmianę kategorii.

– Miałaś mieć wolne! – wypaliła Nikola.

– Nie jesteśmy koleżankami, żebyś mówiła do mnie na „ty”.

– Dobrze, ma-mo – przesadnie przeciągnęła ostatnie dwie sylaby. – Nie rozumiem, jak możecie godzić się na taką harówkę. Zapierdalacie dwanaście godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu i nic z tego nie macie.

– Zważaj na słownictwo! – Krzyk zrobił groźną minę.

– Dobrze, ta-to. – Nikola bawiła się w najlepsze. – Nie zapierdalacie dwunastu godzin dziennie, tylko zapieprzacie. Tak może być?

– Zobaczymy, czy ty będziesz tak gadać, jak sama pójdziesz do pracy – wycedziła Ada. – O ile jakąkolwiek znajdziesz.

– Nie mów tak do córki. – Krzyk próbował tonować bojowe nastroje. – Znowu dostałaś wezwanie?

– Nic na to nie poradzę – odpowiedziała żona zmęczonym głosem. Gdyby Grzesiu tak się nie guzdrał, ominęłoby ją to, pożał się boże, widowisko!

– Nikt z nas nic na to nie poradzi. – Mężczyzna wiedział, że trzeciaków i czwartaków wykorzystywano do granic możliwości, zupełnie nie przejmując się

ich życiem rodzinnym i prywatnym. On miał lepiej, pracował w takim miejscu, w którym zmiany ustalano odgórnie z dużym wyprzedzeniem, a wezwania awaryjne należały do rzadkości. Ada tego komfortu nie miała.

– Chodźmy. – Nikola złapała ojca za rękę. – Głodna jestem.

– Żreć to ty potrafisz. – Ada schowała butelkę do torebki. – Ale żeby dać coś od siebie... Pomóc w domu... Ojcu... Mnie...

Córka pociągnęła Krzyka za dłoń, ignorując tyradę matki.

– Idziesz? – spytała.

– Nie. – Mężczyzna w jednej chwili podjął decyzję. Musiał zachowywać się normalnie, nie zmieniać przyzwyczajeń, bo SYCO z pewnością wyłapie wszelkie odchylenia. I bez tego wystarczająco się już narażał. – Jak już taki kawał przeszliśmy, przejdę się na cmentarz. Chcesz pójść ze mną?

– Mowy nie ma! – Nikola wyglądała na kogoś, komu właśnie zaproponowano udział w maratonie. – Jestem zmęczona. Chcę do domu.

– Cholera... – Krzyk udał, że ma dylemat.

– Róbcie, co chcecie, muszę spadać do roboty. – Ada machnęła dwa razy i śladem ścieżki wydeptanej przed laty przez miłośników żużla ruszyła w kierunku ulicy Wrocławskiej.

– Mogę iść sama... – zaproponowała dziewczyna.

– Tylko bez żadnych głupich pomysłów po drodze, jasne? – Na samą myśl, że znów obcięliby im dzienny przydział rodzinny, ugięły się pod nim nogi. Do momentu, w którym zrobią wykop, trzeba było uważać podwójnie!

– Przecież wiem.

– Akurat – zachnął się mężczyzna. Ostatnim razem stało się tak, gdy córka opuściła lekcję geografii. Na myśl o niedawnej rozmowie z dyrektorem szkoły poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach.

Kiedy Nikola ruszyła śladem matki, uruchomił wirtualfona. Zarejestrował w bazie nową lokalizację docelową, potem zmodyfikował jeszcze trasę powrotną do domu. Na szczęście SYCO w ułamku sekundy zaakceptowało zmiany. Wiedział, że wynikało to z faktu, iż cmentarz znajdował się w bliskim sąsiedztwie stadionu. Dzięki temu odchylenie od pierwotnej marszruty było niewielkie, a w takich przypadkach system rzadko odrzucał wnioski obywateli.

Rzucił wzrokiem za oddalającą się córką. Żałował, że nie mogła – tak jak wielu jej rówieśników obecnych na stadionie – skorzystać ani z roweru, ani hulajnogi. Od tylu lat zbierali z Adą pieniądze, a wciąż nie było ich stać na zakup chociażby któregoś ze starych modeli tego drugiego jednoślada. Wtedy na stałej trasie mogłaby się przemieszczać na mocy odnawianego co miesiąc stałego zezwolenia. O rowerze – nawet zardzewiałym – mogli jedynie pomarzyć.

*

Dziesięć minut później stał już przed wejściem na cmentarz. Ponownie uruchomił wirtualfona, wpisał numer kwatery i ułamek sekundy później SYCO przedstawiło mu trasę wijącą się między grobami. Musiał się jej ściśle trzymać, aby zachować dystans społeczny. Wyjątków od tego nie było, jeśli w tym samym czasie na cmentarzu groby bliskich odwiedzałby ktoś z sąsiedniej kwatery, musiałby czekać. Na szczęście teraz na terenie nekropolii przebywało tylko osiem osób, a temperatura ciała wszystkich – jak pokazywała tablica kontrolna – mieściła się w dopuszczalnej normie.

Dotarcie do celu nie zabrało mu dużo czasu. Usiadł na ławeczce przed podwójnym grobem, zaczął wpatrywać się w złote inskrypcje wyryte na pomniku. Poczł ukłucie w okolicach serca.

Minęło już siedemnaście lat, a wystarczyło, że zamknął oczy i widział tamtą chwilę, jakby wydarzyła się sekundę temu.

Tak długo, a ból wciąż nie ustawał.

Tyle czasu, a tak bardzo brakowało mu ich obojga.

Boże, dlaczego mi ich zabrałeś? – Krzyk ukrył twarz w dłoniach. Dlaczego!

Opuścił ręce, zaczął rozglądać się dookoła, szukając staruszka opiekującego się grobem żony. Mężczyzna miał okropny charakter, był niesamowicie zrzędlivy, a z każdym otwarciem ust wypływały z niego potoki nieprzyjemnych słów, ale zdążył się przyzwyczać do jego obecności. Poza tym zawsze pożyczał mu zapalki, gdy ich zapomniiał.

Brakowało mu go. Oczywiście nie tak, jak Łucji i Jacusia, po prostu stał się częścią rytuału, co Krzykowi właśnie uświadomiła jego nieobecność.

Jego też zabrali? A może zachorował? Umarł?

Jeśli nie żył, przynajmniej skończyły się już jego męczarnie... – Krzyk poczuł przejmujący ból w piersi. Może to jednak lepiej, że Łucja i Jacuś nie dożyli tych strasznych czasów?

Opuścił głowę, zamknął oczy i pozwolił myślom płynąć. Najpierw powoli, jednej za drugą, by zaraz potem pozwolić wchłonąć się wirowi nieskładnych obrazów.

*

Pierwszy Skurwysyn Enklawy – Krzyk wypowiedział te słowa jedynie w głowie. Na cmentarzu, podobnie jak w całym mieście, rozmieszczonych było multum czułych mikrofonów. Za taką obrazę Bernata wypowiedzianą na głos mógłby spodziewać się najgorszego.

Otworzył oczy, zdumiał się, widząc, że zapadł już zmrok. Spojrzał na zegarek i skarcił w myślach samego siebie. Nie było się co dziwić, o tej porze roku musiało być ciemno.

Spojrzał raz jeszcze na grób. Złote litery lśniły w blasku cmentarnych lamp.

Opuścił nekropolię, zanim ruszył Wrocławską pod górę, spojrzał jeszcze w drugą stronę. W oddali, przy rondzie obok pętli autobusowej, błyskały ostrzegawcze światła wewnętrznego ringu oddzielającego Enklawę Wewnętrzną od Enklawy Zewnętrznej, do której dostęp mieli jedynie obywatele pierwszej i drugiej kategorii.

Kiedy ostatnio tam był? Próbował sięgnąć pamięcią, ale go zawiodła. Z pewnością nie w tym roku, o to mógł się złożyć. Tak, to było poprzedniej jesieni, kiedy razem z kolegami z oczyszczalni zostali wezwani do przepompowni w Drzonkowie. Wybudowane tam przed wojną rezydencje – te, które przetrwały bombardowania – w większości skonfiskowano, po czym przydzielono przedstawicielom zawodów zaufania społecznego: urzędnikom wyższego szczebla, policjantom, wojskowym, lekarzom i wybranym dziennikarzom. Prawowitych właścicieli przesiedlono zaś do ocalałych blokowisk Enklawy Wewnętrznej.

Ruszył przed siebie. Nie uszedł kilku kroków, kiedy dobiegł go dźwięk przychodzącej wiadomości. Wzdrygnął się nerwowo, spodziewając się, że to kolejny alert CYBORGA.

Nie chciał jej czytać, ale wiedział, że nie ma wyboru, o ile nie chce się narazić na kolejne zmniejszenie przydziału. Wyprostował prawą dłoń, zamknął ją, potem zrobił tak jeszcze raz. Kiedy wirtualny ekran się pojawił i pokazał wiadomość, odetchnął z ulgą.

To była tylko Nikola, dawała znać, że właśnie wróciła do domu.

Aż tyle czasu tu zmitrężył? – Z tą myślą przyspieszył kroku.

Dotarł do wysokości stadionu żużlowego, kiedy przyszedł kolejny esemes. Uruchomił radośnie ekran, zastanawiając się nad tym, czego córka chce od niego tym razem.

Ale to nie była Nikola.

Pamiętaj: zachowanie obowiązkowego dystansu społecznego sposobem na utrzymanie dziennego przydziału rodzinnego.

Zaklął pod nosem. Nie zdążył zamknąć dłoni, kiedy dostał kolejną wiadomość.

Samodzielna Komórka Terytorialna Partii składa życzenia urodzinowe obywatelowi o numerze identyfikacyjnym cztery-jeden-dziewięć-siedem-osiem-jeden-jeden. Pamiętaj: sumienna praca przyszłością naszej wspólnej Enklawy.

Na śmierć zapomniał, że dzisiaj ma urodziny! Nic dziwnego, skoro nikt nie złożył mu życzeń... – westchnął.

Po Adzie mógł się tego spodziewać, ale żeby Nikola, ona też?

To go zabolalo.

Zaraz potem w głowie pojawiła się inna nieznośna myśl. Chwilę stracił, zanim wyłuskał ją z mętliku, ale wreszcie ją miał.

Przecież on i Jacuś urodzili się w tym samym miesiącu i tego samego dnia. Pamiętał doskonale, jak dumny z pierworodnego syna powtarzał wszystkim do znudzenia, że lepszego prezentu na dwudzieste drugie urodziny nie mógł sobie wymarzyć.

Teraz miał na karku cztery i pół krzyżyka, a Jacusia nie było.

Oczy zaszły mu łzami.

Jacuś...

Nie!

Nie Jacuś, tylko Jacek.

Odetchnął głęboko.

Jacek miałby dzisiaj dwadzieścia trzy lata. Byłby sześć lat starszy od swojej siostry...

Zamknął oczy, pozwalając, aby pojawiła się w nich postać zmarłego synka.

Nie nacieszył się długo jego widokiem, ponieważ kolejny raz rozległ się znienawidzony dźwięk CYBORGA.

W trosce o bezpieczeństwo obywateli Enklawy Wewnętrznej w dniu dzisiejszym godzinę policyjną ustanawia się od godziny 20.30 do godziny 5.00 dnia jutrzejszego.

Spojrzał na „Rakietę”.

Skurwysyny! – zaklął w myślach. Jak można było planować cokolwiek, skoro godzina policyjna każdego dnia była ustawiana o innej porze, a dane podawano do wiadomości trzeciaków i czwartaków – jedynie ich obowiązywała – dopiero na godzinę przed jej rozpoczęciem?!

Raz jeszcze skontrolował czas.

Jeśli chciał zdążyć, musiał się śpieszyć.

Rozdział 30

Tego dnia pierwszy raz żaden z nich nie musiał mazać umówionej kreski na schodach. I bez tego wszyscy trzej pojawili się wieczorem w piwnicy, o zwyczajowej porze, jedynie Krzyk trochę się spóźnił.

Grabowski przywitał go radośnie, machając butelką. Cieszył się jak dziecko.

– Mamy po dodatkowej półtoralitrówce!

Matka dla odmiany miał poważny wyraz twarzy.

– To znak – rzekł dostojnie.

– Znak? – spytał Krzyk.

– Potrzebujemy dodatkowych porcji, aby móc w ogóle zacząć kopać – wyjaśnił Matka. – Te półtora litra na łebka spadło nam jak z manna z nieba.

– Cud – wtórował Boguś.

– Znak? – Krzyk ponowił pytanie. – Cud? Chłopaki, o czym wy pierdolicie? Byliście na stadionie? – Nie zamierzał czekać na odpowiedź, mówił dalej. – Widzieliście moment egzekucji? Widzieliście. Patrzyliście, jak ciało tego dzieciaka dynda? Patrzyliście.

– Jego i tak nie można już było uratować. – Grabowski próbował się bronić.

– Wiem – przyznał Krzyk. – Ale miejmy dla niego chociaż trochę szacunku. Zostaw to! – warknął, widząc, że Matka przykłada szyjkę butelki do ust. – Zdążyłeś wypić już połowę?!

– Suszyło mnie...

– Kurwa! – zdenerwował się. – Ta jedna butelka każdemu z nas miała wystarczyć minimum na trzy dni kopania!

Matka odsunął butelkę, zakręcił korek.

– Nie wiem, czy uda mi się załatwić ten dodatkowy przydział, o którym wam mówiłem – perorował Krzyk dalej. – Inna kwestia: nie zapychajcie żołądka przed pracą. Pragnienie będziemy zaspokajając na koniec dniówki. Kolejna rzecz: możemy

kopać krótko, godzinę, półtorej, do dwóch. Inaczej nasze żony zaczną zadawać pytania, a tego przynajmniej na razie powinniśmy uniknąć.

Boguś westchnął.

Krzyk obrzucił go groźnym spojrzeniem.

– Już Andżelice powiedziałaś? – Jakby mógł, dałby mu teraz w mordę. – Ja pierdolę!

– Miałaś nic nie mówić! – Matka był równie wkurwiony. – Jeszcze żeśmy dobrze nie zaczęli, a ty już rozpowiadasz?

– Moja Andżelisia nikomu nie powie – bronił się Grabowski.

– Ty też miałaś nikomu nie mówić i co? – zauważył Krzyk. – Ustalmy jedno: pomysł jest mój. Projekt jest mój. Zatem ogłaszam się kierownikiem tego przedsięwzięcia. Od teraz albo działamy tak, jak powiem, albo od razu dajmy sobie z tym spokój. To jak?

Matka jako pierwszy się odezwał.

– Ty tu rządzisz.

Boguś podniósł dłoń.

– Więcej już nie dam dupy – zapewnił.

Krzyk sięgnął po ubranie na zmianę, które przyniósł tu już wcześniej. Pozostali dwaj poszli w jego ślady.

– Trojan działa? – spytał Krzyk, wkładając spodnie robocze.

– Tak... – Grabowski się zawahał. – Ale wiecie dobrze, że pewnośc będziemy mieć dopiero po drugiej stronie? Jeśli nikt się nie zjawi...

– Musimy zaryzykować. – Krzyk nie zamierzał się już wycofywać. Bał się aresztowania i nieuchronnej kary śmierci, ale tylko w ten sposób miał szansę na to, aby zapewnić byt sobie i Nikoli.

O Adzie nie pomyślał. Nie brał jej pod uwagę.

Uświadomiwszy to sobie, zaklął w duchu. Jeśli faktycznie zamierzała ich zostawić – a taka wątpliwość coraz mocniej się w nim zagnieżdżała – jej sprawa.

Stanął przed wejściem do nieużywanego już kanału ciepłowniczego, który łączył ich blok z bliźniaczym, stojącym naprzeciwko. Odsunął płytę OSB zasłaniającą dziurę, kucnął. Włączył czołówkę.

– Idę pierwszy – powiedział.

– Nieżle to wszystko wykombinowałeś – rzucił Matka.

– Mam ciary na plecach, jak sobie pomyślę, że wykorzystujemy pomysł tamtych lotników – dodał Boguś.

– Ja też – przyznał Krzyk, zaraz potem wcisnął się do tunelu. Posuwał się mozolnie, centymetr za centymetrem, przywołując myślami tak dobrze znaną sobie historię.

Żagań leżał pięćdziesiąt kilometrów od Zielonej Góry. Obozy jenieckie powstawały w nim już w czasie wojen napoleońskich, czyli na początku XIX wieku. Podczas II wojny światowej – kiedy miasto nosiło niemiecką nazwę Sagan – funkcjonował w nim zespół stalagów stworzony przez nazistów. Jeden z nich przeznaczony był tylko dla zestrzelonych lotników alianckich. Głównie byli to Brytyjczycy, choć w tym gronie można też było znaleźć Polaków, Kanadyjczyków, Australijczyków, Nowozelandczyków, Belgów, Litwinów, a nawet obywateli RPA.

Wielu z tych, którzy trafili do Stalagu Luft III miało już za sobą nieudane próby ucieczki podejmowane w innych obozach. Już później się okazało, że naziści popełnili błąd, zbierając ich wszystkich w jednym miejscu. Czujność strażników mogła zostać uspijona faktem, że baraki, w których przetrzymywano jeńców, były mocno oddalone od podwójnego ogrodzenia. Najwyraźniej nie wzięli pod uwagę determinacji lotników, którzy ucieczkę postawili sobie za punkt honoru.

Możliwość mieli tylko jedną: wykopanie wystarczająco długiego tunelu. W ciężkiej pracy brało udział sześciuset więźniów. Tak wielu, gdyż jednocześnie robiono trzy podkopy. Każdemu tunelowi nadano imiona: Tom, Dick i Harry. Pierwszy nie spełnił swojej roli, ponieważ niemieccy strażnicy odkryli go w czasie rewizji. Dick okazał się bezużyteczny, gdyż w czasie jego kopania komendantura obozu podjęła decyzję o rozbudowie stalagu, akurat w tym kierunku, w którym drążony tunel miał wychodzić na powierzchnię.

Został więc Harry. Miał 111 metrów długości i był cholernie ciasny: wysoki na 54 i szeroki na 52 centymetry. Mówiąc krótko: można było w nim dostać klaustrofobii.

Takiej samej, na jaką narażeni byli teraz oni – trzech sąsiedzi – na tych kilkunastu metrach długości tunelu ciepłowniczego. Sam w sobie nie miał tak małych rozmiarów, jak Harry, ale sprawę pogarszały znajdujące się w nim rury. Miejsca dla nich zostawało niewiele, praktycznie przez całą drogę Krzyk i jego koledzy

musieli przeciskać się między betonem i stalą owiniętą resztkami specjalnej piankowej osłony. Tyle dobrze, że ten odcinek już dawno nie był eksploatowany, tak więc temperatura powietrza była w miarę znośna.

– Kurwa, jak tu ciasno! – narzekał Matka, który ruszył jako drugi.

– Nie marudź, tylko posuwaj się do przodu – strofował go Krzyk. – I tak masz więcej miejsca niż Steve McQueen. – Przed oczami momentalnie pojawiły mu się kadry z filmu *Wielka ucieczka* z 1963 roku z tym aktorem w roli głównej. To właśnie ta produkcja sprawiła, że cały świat poznał kulisy najśłynniejszej ucieczki jeńców w Europie podczas II wojny światowej, do której doszło w nocy z 24 na 25 marca 1944 roku.

Parł przed siebie niczym czołg, zachodząc w głowę, czy któryś z tych z tyłu zapyta go, jak skończyła się tamta historia. A jeśli tak, to czy powiedzieć im prawdę? Że z siedemdziesiątki uciekinierów do celu udało się dotrzeć zaledwie trzem? Że resztę schwytano, a pięćdziesięciu rozstrzelano na osobisty rozkaz Adolfa Hitlera?

Właściwie... – pomyślał. Jeśli tamtym trzem się udało, to może oni też mieli jednak jakieś szanse?

Rozdział 31

Po kwadransie przeciskania się dotarli do starego węzła ciepłowniczego w ruinach sąsiedniego bloku. Jako pierwszy na piwniczny korytarz ostrożnie wychynął Krzyk. Począł na kompanów, a kiedy się pojawili, zatoczył ręką koło.

– Zobaczcie, ile tu jest materiałów. – W jego głosie było słychać radość. – Bez problemu znajdziemy wszystko, co jest potrzebne do zabezpieczenia wykopu!

Wszędzie wały się drewniane elementy mebli, krótsze i dłuższe kawałki prętów zbrojeniowych i rur – plastikowych i stalowych. Wyglądało, jakby dawno temu ktoś zrobił tutaj skład tego wszystkiego, co uległo zniszczeniu na wyższych kondygnacjach. Mieszmasz był ogromny, ale im to nie przeszkadzało.

– Rur też nie zabraknie, trzeba tylko będzie powycinać zdrowe odcinki – rzekł Boguś. – W piwnicy mam taką starą kątownikę, szybko pójdzie.

– Paznokcie sobie spiłuj tą kątowniką – odparł Matka. – Brzeszczot do ręki i jedziemy.

– Brzeszczot? – Grabowski był zdumiony. – Pojechało cię? Wiesz, ile czasu nam to zajmie?

– A wiesz, gdzie będzie słychać kątownikę? – Matka odbił piłeczkę. – Na całym, kurwa pierdolonym osiedlu!

Boguś posmutniał.

– Fakt – przyznał. – O tym nie pomyślałem.

– Do kładzenia rur jeszcze nam sporo brakuje, chłopaki. – Krzyk tonował nastroje. – Najpierw musimy wykopać wywrotkę piachu.

Zaczął odrzucać kawałki betonowej posadzki.

– Kupiłeś ten szpadel z krótkim trzonkiem? – spytał Matka, patrząc na sąsiada. – Gdzie go masz?

– Jest tam, gdzie ma być – odpowiedział Krzyk spokojnie.

– Nie zabrałeś go ze sobą?!

– Tutaj jest zbędny – wyjaśnił. – W tym projekcie pełni zupełnie inną rolę.

Grabowski odebrał od Krzyka kolejny kawał betonu.

– Niby jaką? – dociekał.

– Powiedziałem wam tyle, ile musicie wiedzieć – odrzekł Krzyk. – Ani słowa więcej.

Matka spojrzał wymownie na kolegę.

– Nie ufasz nam?

– Gdybym wam nie ufał, nie wciągnąłbym was do tego – zauważył Krzyk.

– To dlaczego trzymasz całą resztę w tajemnicy? – spytał Boguś.

– Im mniej wiesz, tym krócej będą cię przesłuchiwać – stwierdził Krzyk filozoficznie. – Mamy kilof, dwukilowy młot i przecinak na wypadek jakichś niespodzianek oraz coś takiego – pokazał składaną saperkę – i to musi nam wystarczyć.

– Optymista z ciebie... – skwitował Matka. – Tą dziecięcą zabawką chcesz się dokopać dziesięciu metrów?

– A co, chciałbyś wyjechać w tej małej piwnicy wielką jamę? – ironizował Krzyk. – Zamówić dźwig z kręgami betonowymi? Przed chwilą opierdalałeś Bogusia za kątówkę...

Matka podniósł ręce do góry w geście poddania.

– To jaki jest plan?

– Kopać będziemy na zmiany: krótko, ale za to intensywnie – wytłumaczył Krzyk. – Jeden macha łopata. Drugi zajmuje się wybieraniem wiader. Trzeci robi za pingwina.

Grabowski wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Pingwina?

– Tak lotnicy nazywali żołnierzy wynoszących piach z baraku w małych workach – wyjaśnił Krzyk. – Potem rozrzucali go na terenie całego obozu i pod siedzeniami w teatrze. Najczęściej wysypując z nogawek. W ten sposób pozbyli się ponad stu trzydziestu ton.

– Ilu?!

Krzyk wbił pierwszą łopatę w piach.

– Ponad stu trzydziestu – powiedział.

– To się musieli napracować. – W głosie Bogusia dało się słyszeć autentyczny podziw. – Aż szkoda, że nie można tam pojechać – westchnął Grabowski. – Teraz jest tylko lej po atomówce...

Matka odebrał pierwsze wiadro – przygotowane wcześniej przez Krzyka – i podstawił kolejne.

– I tak nie dostałbyś zgody na opuszczenie Enklawy Wewnętrznej – zauważył kąśliwie.

– Ale przecież to wszystko kiedyś się skończy – rzekł Grabowski cicho. – Wtedy mógłbym tam pojechać z Andżeliką i zobaczyć... Tylko już nie ma czego oglądać...

– Myślisz, że to się skończy? – szepnął Matka. – Wierzysz w to?

– A ty nie? – spytał Krzyk równie cichym głosem. – Nie masz już nadziei?

– Nie wiem... – Matka się zamyślił. – To chyba teraz nieistotne...

Zapanowała cisza przerywana jedynie szuraniem piachu po stylisku saperki.

– Musimy go jakoś nazwać – wypalił Grabowski nagle.

– Co takiego? – spytał Krzyk.

– Nasz tunel – wytłumaczył Boguś.

– Raczej studnię, a nie tunel – wtrącił Matka.

– Studnia, tunel, nieważne co – odciął się Grabowski. – Musi mieć jakieś imię. Jak te żagańskie... Już wiem!

Krzyk spojrzał na niego przeciągle.

– Mamy się bać?

– Wal się! – skontrował Grabowski. – Na pamiątkę po lotnikach ochrzcimy go imieniem Harry.

Krzyk pokiwał przecząco głową.

– Stary, sorry, ale nie możemy tego zrobić.

– Dlaczego nie? – zdziwił się Boguś. – Bo to jest mój pomysł, a nie twój?

– Dlatego, że jak będziesz ze swoją ukochaną Andżeliką na spacerze i zaczniesz jej opowiadać o tym, o czym nie wolno ci opowiadać, ale i tak będziesz jej opowiadać, to możesz powiedzieć jedno słowo za dużo. – Krzyk zrobił pauzę, żeby nabrać powietrza. – SYCO wychwyci to mikrofonem albo wyczyta z ruchu warg, skojarzy i wzbudzi alert.

– Myślisz, że ta maszyna jest aż tak inteligentna? – Matka postanowił podzielić się swoimi wątpliwościami.

– Każda maszyna jest tak inteligentna, jak obsługujący ją ludzie – rzucił Krzyk. – Większość esbeków to skończeni debile, ale znajdzie się paru takich, z którymi nie chciałbym się zmierzyć. Chyba że któryś z was woli zaryzykować?

Obaj nie odezwali się słowem.

– I jeszcze jedna ważna rzecz – mówił Krzyk dalej. – Żeby któremuś z was nie przyszło też do głowy szukać jakichkolwiek informacji na temat żagańskiego stalagu, *Wielkiej ucieczki* ani nawet samego Steve'a McQueena.

Milczeli.

– Zobaczcie...

Krzyk ukucnął w wykopie głębokim już do bioder. Odłożył saperkę na bok. Wsunął palce prawej dłoni w piach, nabrał go, podniósł ją bliżej twarzy. Był ciężki i mokry. Potem podsunął po kolei sąsiadom pod nosy.

– Powąchajcie... Czujecie?... Wiecie, co tak pachnie?

– Wiemy! – odpowiedzieli zgodnie.

Krzyk wręczył Matce saperkę, sam wyszedł z wykopu.

– Teraz twoja kolej na przodek – rzekł radośnie. – Boguś, ty zajmij się wiadrami. A ja pójdę zabawić się w pingwina.

– Gdzie będziesz wysypywać piach? – spytał Grabowski.

Krzyk otworzył worek płócienny, przytrzymał go tak, aby Boguś mógł wsypać zawartość pierwszego wiadra.

– Tam, gdzie nie sięgają kamery SYCO i nie działa godzina policyjna – odpowiedział po chwili. – W drodze do kościoła.

Rozdział 32

Wtorek 30 września 2031

Medynia patrzył na kapitana, nerwowo bębniąc palcami w blat.

– Znajdźcie mi cokolwiek!

Wicha spuścił wzrok, zastanawiając się, jak długo pułkownik wytrzyma, zanim puszcza mu nerwy.

Medynia przestał uderzać w biurko. Splótł palce, wyłamał je z trzaskiem.

– Cokolwiek!

Wicha zdrygnął się nerwowo. Nienawidził tego dźwięku, o czym przełożony doskonale wiedział, gdyż kiedyś mu o tym wspomniał. Do dziś tego żałował.

Medynia raz jeszcze splótł dłonie, ale tym razem stawy nie zatrzeszczały. Wywołało to w nim wybuch złości.

– Cokolwiek, Wicha! Cokolwiek! Chociażby coś, co da się podciągnąć pod paragraf dwadzieścia dwa!!!

Łatwo powiedzieć... – pomyślał Wicha kąśliwie. Ustawa o przeciwdziałaniu skutkom znieważania lub nawoływania do nienawiści na tle instytucjonalnym, społecznym, narodowościowym, rasowym, etnicznym lub wyznaniowym – a konkretnie paragraf dwadzieścia dwa – był Świętym Graalem wszystkich funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa Państwa. Za mowę nienawiści – jak to w skrócie nazywano – można było wsadzić za kratki każdego, nie tylko obywatela jednej z dwóch najniższych kategorii, także Pierwszaka i Drugiego. Należało jedynie dobrze uzasadnić akt oskarżenia, a do tego wystarczyła jakakolwiek krytyczna wypowiedź pod adresem władzy centralnej lub lokalnej. Potem trzeba było odpowiednio poprowadzić przesłuchanie, aby mieć materiał na jeszcze grubszy kaliber: próbę siłowego obalenia ustroju państwa. Wówczas jedyną niewiadomą pozostawał już tylko rodzaj kary: długoletni obóz koncentracyjny czy szubienica. Owca

Był tylko jeden problem.

SYCO nie miało w bazie ani jednej wypowiedzi Krzyka, którą można by zakwalifikować pod dwudziestkę dwójkę.

Ani jednej!

Jego znajomi i koledzy z pracy, których kapitan i dwaj pomagierzy przesłuchali w ostatnich dniach, też nie dostarczyli żadnego materiału nadającego się do wykorzystania.

Żadnego!

Żona figuranta również nie dała im czegokolwiek, co mogłoby stanowić bazę wyjściową do dalszych skutecznych działań.

Nie mieli niczego!

Poruszali się po omacku.

– Cokolwiek, Wicha! – warknął Medynia. – Dajcie mi cokolwiek!

– Panie pułkowniku... Obawiam się, że nie mamy niczego... Wygląda na to, że figurant jest czysty jak dupa niemowlaka.

Medynia zazgrzytał zębami.

– Mówi się: pupa niemowlaka, Wicha, pupa!

Kapitan popatrzył na przełożonego wzorkiem pełnym zdziwienia. Jakie to miało znaczenie?

W odpowiedzi na to Medynia pokiwał głową z dezaprobatą.

– Wy jednak naprawdę jesteście durni jak noga od stołu – westchnął. – Z kim ja, kurwa, muszę pracować! Ja się tutaj, kurwa, marnuję!

Nagle oczy wyobraźni przeniosły go na Wawel, na którym od dwóch lat funkcjonowała główna siedziba centrali SBP na Polskę oraz kraje, które na mocy Porozumienia Norymberskiego pozostawały pod polską kuratelą: Czechy, Słowację i Ukrainę Zachodnią.

W tym czasie Wicha zastanawiał się, jakby to było, gdyby pułkownika wreszcie awansowano, o czym zresztą mówiło się już od dłuższego czasu. Co prawda ci bardziej złośliwi – i odważni zarazem – szeptali po kątach, że owe plotki rozpuszcza sam zainteresowany, jednak dla kapitana nie miało to znaczenia, liczyła się tylko nadzieja, że kat województwa zachodniego przestałby być jego bezpośrednim przełożonym.

A wtedy ta praca zaczęłaby mu w końcu sprawiać radość.

Medynia wałnął otwartą dłonią w blat.

– Myście, Wicha, myście! – wrzasnął. – Tak będzie dla was lepiej. Niewiele lepiej, ale lepiej!

Kapitan czuł, że szef jest bliski wybuchu i że ma niewiele czasu, aby uratować skórę.

– Panie pułkowniku, moglibyśmy posunąć się do standardowych procedur, których do tej pory jeszcze nie wykorzystaliśmy. Wniosuję o wykonanie przeszukania miejsca zamieszkania figuranta oraz miejsca pracy.

Medynia wbił wzrok w podwładnego. Jak na Wichę to była istna tyrada!

– Harmonogram przygotowany? – spytał po krótkiej chwili.

– Figurant obecnie przebywa w miejscu zamieszkania, skąd prawdopodobnie za dwie godziny wyruszy do oczyszczalni. Chłopaki czekają w pogotowiu, moglibyśmy teraz załatwić miejsce pracy, a potem mieszkanie.

Pułkownik otworzył szufladę biurka, wyjął dwie kartki papieru, sprawdził, czy są odpowiednio przygotowane. Czasy się zmieniały, ale biurokracja pozostawała ta sama: liczba podpisów i pieczętek na papierkach musiała się zgadzać nawet w SBP.

– Tu macie dwa nakazy przeszukania podpisane przez sędziego in blanco – powiedział. – Wypełnijcie, tylko się nie pomylcie tak, jak ostatnio, kurwa!

Wicha wziął dokumenty.

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Oczekuję raportu niezwłocznie po zakończeniu przeszukania, jasne?

– Tak jest, panie pułkowniku!

– To na co jeszcze czekacie? Spierdalać!

*

Pół godziny później ludzie Wichy byli już w oczyszczalni i zabezpieczali obie pary drzwi prowadzących do szatni. Kapitan wszedł do środka, położył na posadzce specjalną walizkę, otworzył ją i uruchomił ASP – Automatyczny System Przeszukujący. Kiedy wychodził z pomieszczenia i zamykał za sobą wejście, tysiące mikroskopijnej wielkości mikrobotów wzbijały się już w powietrze.

Kwadrans później procedura była zakończona, a esbecy wsiadali już do radiowozu i ruszali w dalszą drogę. Byli na wiadukcie kolejowym na Zjednoczenia, kiedy SYCO poinformowało ich, że Krzyk wyszedł z bloku. Co prawda jego córka cały czas przebywała w mieszkaniu, ale i na to Wicha miał radę. Mógł wywabić dziewczynę na zewnątrz, ale to z kolei pociągało za sobą ryzyko, że – gdyby później opowiedziała o tym ojcu – Krzyk czegoś by się domyślił. Była też druga opcja, znacznie bezpieczniejsza – której sprzyjała pochmurna pogoda – i właśnie tę kapitan wybrał.

Polecił SYCO wyłączenie prądu w całym bloku, dzięki czemu w mieszkaniach zapanował półmrok. Potem razem z Brzozowskim i Dudziakiem wszedł do klatki schodowej i tam wypuścił mikroboty. Odczekał chwilę, wpatrując się w ekran kontrolny i sprawdzając, czy urządzenia przez szpary w drzwiach dotarły do właściwego lokalu, sporadycznie zdarzały się bowiem przypadki pomyłek.

W mieszkaniu Krzyka było więcej pracy niż w szatni, dlatego przeszukanie i skanowanie zajęło niemal trzykrotnie więcej czasu. Aby więcej go nie marnować, gdy tylko wsiedli do radiowozu, Wicha założył specjalne okulary i od razu rozpoczął wirtualną rewizję.

Rozdział 33

– Panie pułkowniku, melduję, że nie znaleźliśmy niczego godnego uwagi – powiedział Wicha, kładąc na biurku przełożonego nośnik z nagrany filmem. Teoretycznie wirtualne przeszukanie można było przesłać przez SYCO, ale w niektórych przypadkach nawet oni woleli nie pozostawiać po sobie zbyt wielu śladów. Lepiej było nie wystawiać samych siebie Wydziałowi Kontroli Wewnętrznej.

Medynia skrzywił się kpiąco.

– Nie wy o tym decydujecie – burknął. – Sporządziliście listę rzeczy godnych uwagi?

– Tak jest, panie pułkowniku! W kuchni znajduje się lodówka drugiej generacji, szafka model dwanaście osiem beta sztuk osiem, kuchenka elektryczna oraz stół i dwa krzesła... – Wstrzymał na chwilę głos, uważnie przypatrując się szefowi. – No i jest jeszcze wyparzarka – dodał dumnie. – Zachodzi wysoce uzasadnione podejrzenie, że została przerobiona na własną rękę niezgodnie z obowiązującymi przepisami prawa. Moim zdaniem...

Medynia powstrzymał dalszą wypowiedź ostrym ruchem dłoni.

– Wyparzarka, tak? – spytał łagodnie. – A taboret? – Podniósł nieco głos. – Taboretu, kurwa, nie ma?! – krzyknął.

Kapitan spojrzał na listę, szybko coś na niej sprawdził.

– Umknął mi... Faktycznie, jest na wyposażeniu... To...

– Chuj mi lata koło taboretu! – wrzasnął, gwałtownie mu przerywając. – Mielicie mi dać punkt zaczepienia! Dowód, skończony debilu, a nie listę ze składu meblowego i jakąś pierdoloną wyparzarke!!!

Wicha aż się zgarbił.

Pułkownik sięgnął po nośnik, przytknął go do wirtualnego ekranu.

– Módlcie się, żeby nagranie nie było spierdolone, jak to wy potraficie – warknął. Założył okulary, wstał z krzesła, stanął przed biurkiem. – Siadajcie na dupie i mi nie przeszkadzajcie!

Kapitan posłusznie wypełnił polecenie.

Medynia rozpoczął od przeszukania mieszkania, przy czym Wicha od razu zauważył, że szef robi to znacznie staranniej. Widać było, że ma w tym dużą wprawę. Po ruchach rąk i głowy można było poznać, jak metodycznie przegląda kolejne szafki i szuflady, niczego nie opuszczając.

Kiedy pułkownik skończył z mieszkaniem Krzyka, włączył odtwarzanie skanu szatni. To przeszukanie zajęło mu znacznie mniej czasu, ale przeprowadził je równie pieczołowicie.

Zdjął okulary. Z szafki wyjął ręcznik, wytarł nim spoconą twarz.

– Taboret, kurwa wasza mać! – rzekł twardo. – Jak chcecie zostać porządnym śledczym, skoro nie widzicie tego, co macie przed oczami?

Pytanie było zbyt ogólne, dlatego Wicha postanowił, że bezpieczniej będzie odpowiedzieć równie enigmatycznie.

– Staralem się sprawdzić każdy zakamarek...

Twarz Medyni złagodniała.

– Nie chodzi o to, żeby wszędzie szukać, tylko żeby widzieć – powiedział. – Żeby zo-ba-czyć! Zwrócić uwagę na coś niepasującego do reszty! – perorował. – Nie-pa-su-ją-ce-go!

Kapitan wiedział, że zaraz się dowie, w czym rzecz, dlatego się nie odezwał.

– Widzieliście kwit z biblioteki? – spytał Medynia.

– Uhm.

– I co?

– Kwit jak kwit... – zaczął odpowiadać, ale natychmiast się zreflektował. – Widnieje na nim jedna pozycja. To opracowanie naukowe dotyczące pokładów węgla brunatnego wydobywanego z nieistniejącej już kopalni.

– Czyli jednak umiecie obserwować? To dlaczego nie powiedzieliście od razu o tym kwicie?

Wicha był w kropce.

– Bo przecież pan pułkownik już zdobył informacje na temat tej publikacji – odparł po chwili zastanowienia. – Myślałem, że skoro tak, to kolejne dane powielające ten sam wątek nie są istotne.

– Pomyśleliście, Wicha, tak? – W głosie Medyni dezaprobata mieszała się z kpina. – Naprawdę uważacie, żeście pomyśleli? Bo mnie się wydaje, że to była ostatnia czynność, jaka stała się waszym udziałem podczas przeszukania szafki w szatni. Bo gdybyście naprawdę pomyśleli, to zwrócilibyście uwagę na pewien kluczowy aspekt. Jeśli ktoś przechowuje tak nieistotną rzecz jak kwit z biblioteki, to najwyraźniej ma ku temu powód. A jaki to jest powód?

Wicha miał skupiony wyraz twarzy.

Medynia wyjaśniał dalej.

– To znaczy, że kwit dotyczy na tyle ważnej publikacji, że figurant postanowił go nie wyrzucać.

A może po prostu zapomniał? – pomyślał kapitan. Postanowił jednak nie dzielić się tym spostrzeżeniem z szefem.

– Idźmy dalej, Wicha – mówił Medynia. – Czy wzięliście pod uwagę fakt, że ta dawna kopalnia znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie bloku, w którym obecnie mieszka figurant? Wydaje wam się, że to przypadek? To ja wam powiem: to nie jest przypadek! Figurant właśnie coś kombinuje i to ma związek z tą kopalnią! I wiecie, co zrobię z tą wiedzą?

Na twarzy kapitana wystąpiły krople potu. Ta rozmowa była dla niego zbyt obciążająca psychicznie. Medynia lubował się w słownych gierkach, on z kolei wolał znacznie prostsze metody: jak figurant nie chciał mówić, to dostawał w mordę.

– Pan pułkownik dokona zatrzymania? – powiedział po namyśle.

Medynia siłą woli powstrzymał wybuch irytacji. Skoro stracił już tyle czasu na próbę nauczania czegoś tego tępaka, chciał lekcję doprowadzić do końca.

– Nie! – krzyknął. – Czytanie książek nie jest karalne. Przynajmniej na razie, coś w tej materii ma się wkrótce zmienić, chociaż aktualnie odpowiednia ustawa utknęła w sejmie. Jeśli już wiem, że właśnie ta kopalnia ma znaczenie, to muszę dowiedzieć się o niej znacznie więcej? A gdzie to mogę zrobić?

– W bibliotece? – wypalił bez zastanowienia.

Pułkownik nie skomentował, zamknął tylko na chwilę oczy, potem uruchomił wirtualfon, znalazł numer, nawiązał połączenie. Kiedy zostało odebrane, przedstawił się, w kilku zdaniach opowiedział, w czym rzecz. Potem dłuższą chwilę uważnie słuchał. Nagle na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy.

– Panie profesorze... – powiedział, z trudem kryjąc radość. – Czy dobrze pana zrozumiałem: opisane przeze mnie przedsięwzięcie jest z góry skazane na porażkę?

– Tak.

Medynia włączył tryb głośnomówiący, tak, aby Wicha też słyszał.

– To dlaczego ta osoba chce to zrobić? – spytał.

– Mogę tylko zgadywać... – odparł profesor.

– Bardzo proszę!

– W przestrzeni publicznej pokutuje opinia, że ten rejon miasta jest poszatowany dawnymi wyrobiskami jak ser szwajcarski. Prawda wygląda inaczej, tak, jak ją panu opisałem.

Pułkownik uśmiechnął się szeroko.

– Czyli, mówiąc krótko: nie musimy się niczym martwić?

– Absolutnie – zapewnił rozmówca.

– Bardzo gorąco dziękuję panu profesorowi za wyjaśnienia.

– Czy korzystając z okazji, mógłbym przypomnieć się w temacie...

– Oczywiście, panie profesorze! – Medynia wszedł mu w zdanie. – Bilety do teatru będą czekać na pana profesora w impresariacie.

Pułkownik zakończył połączenie, wziął butelkę, odkręcił ją. Kiedy w gabinecie rozległ się charakterystyczny syk, spojrzał na Wichę, uśmiechając się przy tym jeszcze szerzej.

– Wiecie, co teraz zrobimy?

– Jeszcze trochę wstrzymamy się z aresztowaniem? – spytał ostrożnie.

Medynia postawił butelkę na biurku z takim animuszem, że trochę się wylało. Ale nie zwracał na to uwagi.

– Tak! – potwierdził. – Skoro figurant zamierza kopać, to mu na to pozwolimy. Dlaczego?

Twarz Wichy nagle pokraśniała.

– Kto bez koncesji wymaganej odrębnymi przepisami prawa, zajmuje się wierceniami mającymi na celu pozyskanie... – Aż się zakrztusił z wrażenia. – Lub też wykonuje pracę na rzecz przedsiębiorstwa dokonującego wierceń bez koncesji

wymaganej odrębnymi przepisami prawa, podlega karze pozbawienia wolności nie mniejszej niż dwadzieścia pięć lat.

– Nie mniejszej niż dwadzieścia pięć lat... – Medynia się rozmarzył.

– Jest już nasz! – cieszył się kapitan.

Pułkownik podniósł nagle palec wskazujący prawej ręki.

– Nie tak szybko, Wicha, nie tak szybko! – strofował. – Wiecie, co robi błyskotliwy funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa Państwa?

– Nie spoczywa na laurach?

– Tak – potwierdził. – A konkretniej?

To było już dla Wichy zbyt trudne.

Medynia postanowił go wyręczyć.

– Zabezpiecza się z każdej strony. W naszym przypadku oznacza to, że wy zajmiecie się ścisłym nadzorem SYCO w sprawie wszystkich działań związanych ze śledzeniem aktywności figuranta, a ja pomyślę, jak jeszcze można by tę sprawę spróbować ugryźć.

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Jesteście wolni. Spierdalajcie!

Wicha momentalnie zniknął w drzwiach.

Medynia nie zamierzał czekać, od razu dotknął palcami wirtualnego ekranu i zaczął wpisywać kolejne dane dotyczące Krzyka, potem dodał jeszcze swoje spostrzeżenia, a na koniec poprosił SYCO o analizę.

Kilka minut później pojawił się wynik.

Medynia wpatrywał się w ekran, nie wierząc własnym oczom. W pierwszej chwili pomyślał, że system się pomylił. Szybko jednak przywołał się do porządku.

SYCO się nie myliło. Nigdy.

Kiedy to sobie uświadomił, poczuł zazdrość, że to nie on wpadł na coś tak genialnego i prostego zarazem, ale zaraz potem znów postawił samego siebie do pionu.

Przecież to dzięki niemu – i wprowadzonym przez niego danym – SYCO wpadło na tak szatański plan.

Gdyby nie on, maszyna nadal poruszałaby się po omacku.

Medynia szeroko się uśmiechnął.
Tak, to on był prawdziwym geniuszem.

Rozdział 34

Środa 1 października 2031

Kiedy wczoraj Krzyk niezwykle delikatnie otwierał drzwiczki swojej szafki i rzucał spojrzeniem na kwit z biblioteki schowany częściowo pod parą brudnych skarpetek, wiedział, że nie ma możliwości, aby mieć pewność, że esbeckie mikroboty tu buszowały. Miał jednak dwie poszlaki. Jedną była wizyta trzech smutnych panów, która siłą rzeczy nie mogła ująć uwadze załogi. Oczywiście oficjalna wersja mówiła o kontroli Państwowej Inspekcji Pracy i Kontroli Czasu Wolnego, ale mało kto dawał temu wiarę. Drugim dowodem pośrednim było przesunięcie włosa kierownika oczyszczalni, który położył na dokumencie. Jak wszyscy obywatele, był świadomy, że miniaturowy sprzęt do inwigilacji jest niezauważalny dla ludzkiego oka, ale wiedział też inną rzecz – o której większość nie miała pojęcia – że w małych kubaturach mikroboty generowały odczuwalny ruch powietrza. A to wystarczyło, aby przesunąć coś tak lekkiego, jak ludzki włos.

Właśnie dlatego mógł przyjąć, że przeszukanie już się odbyło. Wolno mu też było założyć, że kwit z biblioteki nie umknął uwadze Medyni.

Otwartym pozostawało jedynie pytanie, czy esbek dodał dwa do dwóch?

Na to pytanie odpowiedź też była tylko pośrednia: skoro od wczoraj nikt go nie zatrzymał, to znaczyło, że przynęta została połknięta.

*

Skończył zmianę w oczyszczalni, wrócił do domu, chwilę porozmawiał z Nikołą, potem powiedział córce, że wychodzi naprawić coś do piwnicy. Prosił też, aby przekazała Adzie, że potem, na koniec dnia, wybiera się jeszcze do kościoła.

Zanim zdążył wyjść z mieszkania, rozległ się zniecierliwiony dźwięk. Wzdrygnął się nerwowo, ale odebrał wiadomość, nie mógł sobie pozwolić na jakąkolwiek karę. Przeczytał esemesa i zaklął pod nosem.

CYBORG donosił o wznowieniu programu lojalnościowego. Nazwa była myląca, bo jego założeniem było donoszenie na innych. Tym razem każdy, kto w ciągu

czterdziestu ośmiu godzin od otrzymania wiadomości zgłosi uprawionym służbom przypadki łamania przepisów porządkowych przez innych obywateli, może liczyć na zwiększenie o połowę dziennego przydziału rodzinnego i to przez okres aż trzech dni.

To znaczyło, że z Matką i Bogusiem musieli jeszcze bardziej uważać.

Z tą myślą zszedł do piwnicy, dostał się do pomieszczenia z węzłem ciepłowniczym. Wyjął ze schowka urządzenie skonstruowane przez Grabowskiego, przyłożył do niego opaskę. Kiedy pojawił się komunikat o przejęciu sygnału, mógł się przebierać. Zaraz potem zaczął przeciskać się kanałem ciepłowniczym na miejsce kopania.

Każdy z nich pracował wtedy, kiedy tylko pozwalały mu na to obowiązki służbowe i domowe. Wykorzystywali praktycznie cały wolny czas, ale nie zawsze działali razem, tak jak teraz, gdy Krzyk zamierzał kopać w pojedynkę. Głównie jednak planował zająć się zwałami piachu, które zdążyły się już nagromadzić. Intuicja podpowiadała mu, że trzeba się ich jak najszybciej pozbyć.

W pierwszej turze udało się przenieść do ich piwnicy zaledwie pół wiadra. Potem wyszedł z bloku na krótki spacer, wysypując zawartość z nogawek. Kiedy tak chodził w kółko, znów dopadły go wyrzuty sumienia, że nie powiedział chłopakom o tym, iż SBP zaczyna mu deptać po piętach.

Nie mógł tego zrobić. Wycofaliby się. A przecież – jeśli wszystko dobrze zaplanował i przemyślał – to powinno im się udać.

Musiał zaryzykować.

*

Tego dnia był zmęczony i szybko przyłapał się na tym, że jego ruchy zaczynają się robić niezdarne. Wyczerpanie potęgowało ogromne pragnienie. Ada nie spełniła obietnicy, przynajmniej nie w pełni. Zamiast obiecanych dwóch półtoralitrowych dodatkowych butelek dziennie, przynosiła jedną i tylko litrową. Praktycznie całą pochłaniała Nikola, dla niego zostawało tyle, co kot napłakał.

Kiedy zabierał się do drugiej tury, ręce drżały mu z wysiłku. Mimo że nappełnił wiadro jedynie w połowie, i tak część piachu wysypała się na posadzkę. Nie miał siły zebrać tego od razu, postanowił zająć się tym po powrocie z dworu.

Gdy wrócił, ku swojemu zaskoczeniu dostrzegł, że ten piach, który mu się wysypał, był już praktycznie suchy. Nie można było się domyślić, że jeszcze nie tak dawno temu znajdował się kilka metrów pod poziomem podłogi.

Krzyk nabrał garść piasku w dłoń, pozwolił, aby ten wyleciał spomiędzy palców. Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z tego, że jego niezdarność wydatnie im pomoże i nie będą musieli przeciskać się kanałem, a potem wysypywać z nogawek całej wywrotki.

Nie konsultował tego z Matką ani Bogusiem, sam podjął decyzję i resztę nagromadzonego piachu zaczął roznosić po ruinach. Już wiedział, że szybko wyschnie i nie będzie wzbudzał niczych podejrzeń, nawet gdyby ktoś się tutaj zabłąkał.

Musiał jedynie tak przemieszczać się po zgliszczach, aby nie dać się zauważyć żadnemu z sąsiadów z własnego bloku. Trzy dni zwiększonego przydziału były łakomym kąskiem. Oczami wyobraźni już widział balkony wypełnione ludźmi wyposażonymi w lornetki i czekającymi tylko na to, aby komuś innemu powinęła się noga.

Godzinę później, kiedy kończył na ten dzień i przebierał się w piwnicy własnego bloku, przypomniało mu się, że Nikola prosiła go o odebranie przesyłki z paczkomatu. Jako niepełnoletniemu czwartakowi nie wolno jej było zrobić tego osobiście, musiał ją w tym wyręczyć.

*

Zaraz po wojnie, kiedy zaczęto wprowadzać kolejne obostrzenia, jednym z najważniejszych był dystans społeczny. W efekcie tego coraz więcej osób zaczęło unikać sklepów, wybierając robienie zakupów online i zamawiając dostawy kurierem. Gdy władze zorientowały się w tym procederze, uznały to za potencjalnie niebezpieczny punkt zapalny i zmieniły zasady. Odtąd trzeciaki i czwartaki nie mogli już przyjmować paczek bezpośrednio od kurierów, do dyspozycji mieli jedynie paczkomaty, których w całej enklawie stanęło kilkadziesiąt.

Dziwnym trafem jednak, ile razy Krzyk szedł po odbiór zamówionego towaru, tyle razy SYCO kierowało go nie do najbliższego paczkomatu, tylko odległego o kilometr, półtora, czasami nawet więcej. Bał się rozmawiać o tym z innymi, ale

kilka razy z luźnej wymiany zdań udało mu się wywnioskować, że nie był jednym, którego system tak traktował.

Miał nawet swoją teorię na ten temat. Podejrzewał, że komuś zależało na tym, aby obywatelom niższych kategorii zabierać jeszcze więcej czasu. Już bez wycieczek przez pół miasta do paczkomatów byli chronicznie przemęczeni – tylko nieliczni mieli ośmiogodzinne zmiany – w domu, zamiast wypoczynku, czekało na nich odrabianie z dziećmi zdalnych lekcji. A przecież im człowiek był bardziej zapracowany i wyczerpany, tym mniej sił i chęci zostawało na krytykowanie władzy lub – co gorsza – próby knucia przeciwko niej.

Tym razem mu się poszczęściło, SYCO skierowało go do paczkomatu na tyłach aresztu śledczego, w sumie nie tak znowu daleko. Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył wóz kurierski i kuriera w charakterystycznej czapeczce z daszkiem mocującego się z jedną z szafek.

Podszedł do maszyny, bacznie kontrolując dystans, jaki dzielił go od pracownika poczty. Już miał wyjąć swoją paczkę, kiedy kurier odwrócił się w jego stronę.

Dopiero wtedy zorientował się, że ma do czynienia z kobietą.

– Dzień dobry – rzekł. To i „do widzenia” były jedynymi dopuszczalnymi słowami, jakie obywatel mógł zamienić z kurierem bez narażania się na konsekwencje karne.

– Dzień dobry panu – odpowiedziała kurierka, zdejmując czapkę.

Kiedy Krzyk zobaczył jej twarz, poczuł, że świat zawirował mu przed oczami.

Kobieta uśmiechnęła się w taki sposób, jakby chciała za coś przeprosić.

– Pomoże mi pan? – spytała.

Krzyk słyszał, co do niego mówi, ale nie był w stanie zrozumieć sensu wypowiedzianych słów.

– Pracuję dopiero od trzech dni... – mówiła dalej.

Próbował przywołać się do porządku, ale szło to opornie.

– Jeszcze się w tym wszystkim gubię... – Kolejny raz się uśmiechnęła.

Udało mu się wreszcie ogarnąć. Ręką pokazał na najbliższą kamerę.

Obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

– Boi się pan kary?

Potaknął, cały czas walcząc o to, aby się nie przewrócić. Nogi wciąż miał jak z waty.

Kurierka uruchomiła wirtualfona.

– Kurier o numerze identyfikacyjnym dwa dwa zero zero zero jeden jeden zgłasza potrzebę udzielenia pomocy technicznej przez nieznanego obywatela. Potwierdź.

Krzyk patrzył na nią, chłonąc każde wypowiedziane przez nią słowo.

– Mam potwierdzenie – powiedziała po chwili. – Może się pan nie bać.

– Jak mógłbym pani pomóc? – wyszeptał.

Pokazała na paczkomat.

– Ta szafka chyba się zacięła... – rzekła.

– W zasadzie... – powiedział na głos, w tym samym czasie gorączkowo myślał, jak zareagować. Istniało zagrożenie, że rozmowa z kurierką zostanie jednak uznana za naruszenie dystansu społecznego – mogła go przecież oszukać. Gdyby jednak zignorował prośbę kurierki, SYCO z kolei mogłoby to zakwalifikować jako zachowanie odbiegające od normy, a tym samym zwróciłby na siebie jeszcze większą uwagę. A tego przecież nie chciał.

Ale nie to zaważyło. Postanowił jej pomóc z zupełnie innego powodu.

– Już pani pokazuję. Tylko lepiej niech się pani odsunie.

Począł, aż się cofnie. Nie, żeby się jej bał. Nie chciał, żeby wyczuła, jak bardzo śmierdzi.

Puknął w szafkę delikatnie raz, potem drugi. Otworzyła się.

– Dziękuję! – powiedziała kurierka.

Krzyk spojrział na nią ponownie.

– Proszę. – Uśmiechnął się.

A potem wbił wzrok w kobietę raz jeszcze. I znowu.

Mógłby tak wpatrywać się w jej twarz godzinami.

Nieznamąca do złudzenia przypominała Łucję.

Wiedział, że nie może już tak dłużej stać, że SYCO nie znajdzie na to uzasadnienia, a nie chciał trafić do aresztu z tak błahego powodu. Zabrał paczkę Nikoli, pożegnał się i ruszył przed siebie.

To było tylko kilka minut, ale jemu wydawały się teraz godzinami. Całą wiecznością. Gdyby mógł, nie odstąpiłby nieznajomej na krok.

Dlaczego nie spytał, czy pomóc jej wsiąść do busa i jeździć razem z nią po mieście?! Mógłby wkładać z nią paczki, zerkać co chwilę i sycić się każdą sekundą!

Ale tego nie zrobił. A teraz było już za późno.

Szedł wolnym krokiem, prawie nie patrząc przed siebie. Ta krótka rozmowa z kobietą o twarzy Łucji tak mocno nim wstrząsnęła, że najchętniej wróciłby do mieszkania, wytrzepał ubranie z resztek piachu i poszedł spać, marząc o zmarłej żonie.

Czuł, że przyśni mu się tej nocy. Był o tym wręcz przekonany.

Ale nie mógł od razu pójść do domu. Miał do zrobienia jeszcze jedną ważną rzecz.

Musiał iść do kościoła.

Rozdział 35

Poniedziałek 6 października 2031 (kilka dni później)

Przez kilka dni, jakie minęły od ostatniego spotkania z Grzegorzem, Ada siedziała jak na szpilkach. Wyjechał na konwencję partyjną do Krakowa – ostatnią przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi – i musiała czekać. Miała do niego trochę żalu, liczyła, że gdyby wcześniej uwinął się z papierkami, mogłaby pojechać z nim i zobaczyć stolicę.

Na szczęście wczoraj, kiedy wreszcie wrócił, od razu przysłał po nią limuzynę, tym razem pod szpital. Gdy już zrobił swoje, przekazał jej miłą niespodziankę: zmiana kategorii była załatwiona. Miał też trochę gorszą wiadomość: na zmianę pracy trzeba było jeszcze trochę poczekać, zwłoka była spowodowana nieoczekiwaną kontrolą w szpitalu.

O tym ostatnim akurat wiedziała. W pracy wszyscy chodzili z nerwów po ścianach, począwszy od dyrektora i ordynatorów, przez lekarzy i pielęgniarki, na salowych i wózkowych skończywszy. O skali problemu świadczył fakt, że wstrzymano wszelkie przyjęcia pacjentów planowych, zamknięto nawet dolny SOR. Przyjmowano jedynie nagłe wypadki, a i to tylko w przypadku obywateli pierwszej i drugiej kategorii. Pozostałych odsyłano do Głogowa i Leszna, bez względu na stan zdrowia.

*

Tego dnia załatwiła sobie wolne. Nie miała z tym teraz kłopotów. Ordynator, odkąd dowiedział się o jej bliskiej znajomości z Pierwszym, zmienił swoje nastawienie do niej o sto osiemdziesiąt stopni.

Z samego rana mogła więc pojawić się w punkcie technicznym zajmującym się serwisowaniem opasek. Już w progu spotkało ją wielkie zaskoczenie. Czekają na nią kilku odświętnie ubranych pracowników, wielki kosz róż – które lubiła najbardziej ze wszystkich kwiatów – oraz ekipa telewizyjna. Szybko okazało się, że

jest pierwszą obywatelką od blisko roku, która otrzymała awans na wyższą kategorię – jakby tego było mało, od razu o dwie.

Bach pęknie z zazdrości – pomyślała, wsuwając rękę w specjalne urządzenie. Kilka minut później pierwszy raz od zakończenia wojny mogła swobodnie pomasować nadgarstek i przedramię. Taki stan rzeczy nie trwał długo – od razu bowiem zamontowano nową opaskę – ale ta, mimo że o podobnych rozmiarach i ciężarze, nie uwierała tak bardzo, jak poprzednia.

Według wersji oficjalnej podawanej przez władze tych krajów, które zdecydowały się na taki system, opaski miały stać na straży przestrzegania zasad dystansu społecznego, który z kolei został podyktowany środkami ostrożności i był jednym z elementów szeroko zakrojonej walki z szeregiem chorób zakaźnych, które od czasu COVID-19 naukowcy pracujący dla firm farmaceutycznych zaczęli odkrywać tuzinami. Obroży – jak nazywali je nieprzychylnie nastawieni ku takim środkom bezpieczeństwa – nie nosili jedynie wybrani obywatele kategorii pierwszej, w enklawie wielkości Zielonej Góry takich osób było zwykle kilka, maksymalnie kilkanaście. Oni zamiast opasek mieli wszczepione czipy najnowszej generacji i wyświetlacze podskórne.

Technik skończył instalowanie systemu i wykonał próbę. Zadowolony z efektu, uśmiechnął się szeroko.

– Gratuluję pani – powiedział.

Popatrzyła na niego, potem na swoją nową opaskę lśniąca złotym kolorem. Mimowolnie wzrok powędrował na ścianę za plecami technika, która obwieszona była dziesiątkami obroży: głównie tych w kolorze mahoniu przeznaczonych dla czwartaków i białych, zakładanych trzeciakom. O wiele mniej było srebrnych, złotej nie widziała ani jednej.

– Opaski dla pierwszaków robimy tylko na specjalne zamówienie. – Technik jakby czytał jej w myślach. – Pozostałe zawsze są w zapasie na magazynie.

Dotknęła swojej obroży. Zrobiła to z czułością, delikatnie wodząc palcami po plastiku.

– Piękna...

– Zazdroszczę... – szepnął. Podniósł dłoń. – Ale ze swojej też jestem zadowolony.

– Zaśmiał się w przyjemny sposób. – To zupełnie co innego niż... – Zawahał się.

Ada popatrzyła na resztki swojej starej opaski, przeciętej w dwóch miejscach i przeznaczonej do utylizacji.

– Niż moja? – dopowiedziała. – Ten kolor... jest... obrzydliwy. – Skrzywiła się. – Żaden z niego mahoń. Wygląda, jakby ktoś... – Szukała odpowiednich słów. – Jakby ktoś miał sraczkę...

– Ten fragment wytniemy! – Odezwał się dziennikarz przypatrujący się całej scenie od samego początku.

– Przepraszam! – Ada pisnęła przerażona. – Kompletnie zapomniałam, że państwo wciąż kręcicie!

– To żaden problem – zapewnił dziennikarz. – Będziemy kończyć, materiału mamy aż nadto, a jeszcze zrobimy setkę z Pierwszym Przewodniczącym. Pani miała okazję go poznać?

– Osobiście wręczył mi nominację. – Uśmiechnęła się delikatnie. Nie miała zamiaru precyzować, w jakich okolicznościach się to odbyło. Nawet reżimowa Telewizja Państwowa nie puściłaby szczegółów w eter. – Przy okazji chciałabym mu serdecznie podziękować.

Dziennikarz pokazał operatorowi kamery, że czas kończyć.

– Przekażemy to w pani imieniu – powiedział. – Jeszcze raz gratulujemy!

– Dziękuję.

*

Dwie godziny później Ada stała w drzwiach łazienki z ręcznikiem przewieszonym przez szyję i delikatnie zakrywającym piersi. Uważnie rejestrowała przy tym reakcje Bernata.

– Powtórzmy to? – zamruczał radośnie, wpatrując się w jej sterczące sutki.

Zaczęła iść w jego stronę, uśmiechając się zalotnie.

– Kto wie? – odparła. – Jeśli sobie zasłużysz...

Udał zagniewanego.

– Nie drocz się ze mną!

Stała za nim, dotykając piersiami owłosionych pleców.

– Przecież ty to uwielbiasz...

Otoczyła jego szyję rękoma, zbliżyła usta do jego ucha.

– Jak ty przyjemnie pachniesz... – szepnęła zmysłowo.

Nagle odsunęła się od niego, obeszła go, stanęła przed nim, patrząc prosto w oczy.

– Nie wiem, ile kobiet miałeś wcześniej w tym łóżu i mnie to nie interesuje. – Nie mówiła całkowitej prawdy, chociaż dla swojego dobra gotowa była o tym teraz nie myśleć. – Chciałabym tylko, abys wiedział jedno: nie interesuje mnie rola drugiej, trzeciej czy szóstej kochanki. Albo będę pierwszą, albo żadną. Wybieraj.

– Lubię kobiety z temperamentem. – Ożywił się. – Odważna jesteś... Nie boisz się, że zmuszę cię do tego, żebyś dała mi to, czego chcę?

Rozsunęła nogi, palce lewej dłoni przyłożyła do przerwy między piersiami, zaczęła wolno sunąć nimi coraz niżej, aż dotarła do szparki.

– A ty nie boisz się, że będę musiała zmuszać się do tego, aby dawać ci rozkosz? – wyszeptała. – Czy wolisz, abym wkładała w to całą siebie?

Patrzył, jak wsuwa koniuszki palców do środka.

Przymknęła oczy. Jęknęła raz, drugi, trzeci.

– To jak będzie? – spytała po chwili, podniósłszy powieki.

– Wygrałaś... – wysapał. – Rzniesz się, jak mało która... Ale to nie jest najważniejsze... Takich mogę mieć na pęczki...

Mówił urywanymi zdaniami, ale słuchała cierpliwie. Czuła, że ma jej do przekazania coś ważnego. Że tym razem nie liczy się forma, tylko treść.

– Wiesz, co mnie w tobie urzekło, oprócz urody? – spytał. – Wtedy, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz w szpitalu?

Nic nie odpowiedziała. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że od początku wiedziała, że chodzi mu tylko o to, aby ją przelecieć. Inna rzecz, że od tego czasu sytuacja mocno się zmieniła.

– Wreszcie spotkałem kobietę na poziomie. A nie tylko cycki, cipka i pustka w głowie. Takie co prawda świetnie się różną, ale...

Pogroziła mu palcem.

– Uważaj na słowa. Ja się nie rznę – rzekła twardo. – To ty mnie rzniesz. Co zresztą wychodzi ci bardzo dobrze. – Nie do końca była to prawda, ale tę myśl pozostawiła dla siebie.

Spojrzał na nią uważnie.

– Chcesz się wyprowadzić z bloku na Słowackiej i zamieszkać ze mną?

Czekała na ten moment. Myślała o nim całymi dniami. Marzyła o nim. Odpowiedź miała przygotowaną od dawna. Dlatego nawet się nie zawahała.

– Kiedy mogę się wprowadzić?

– Już wkrótce. Najpierw musimy załatwić jeszcze kilka drobnych formalności.

– A twoja żona?

– Nią się nie przejmuj. Czerstwiej na plaży w Hiszpanii. Najlepiej wypoczywa się jej beze mnie.

– A co ty na to?

Wyglądał, jakby pytanie było pozbawione sensu.

– Ja? – zawahał się. – Ja wypoczywam tutaj, bez niej. – Zaśmiał się. – Jeszcze jedno...

Widziała, że chce poruszyć jakiś ważny temat.

– Mów – zachęciła.

– Wybacz, że powiem to bezpośrednio, ale lepiej, żeby sytuacja była jasna.

Poczuła, jakby żołądek zacisnął jej się w supeł.

– Wprowadzasz się sama, bez bachora.

Ulżyło jej. Uśmiechnęła się szeroko. Na to też była przygotowana. I również miała gotową odpowiedź.

– Nie brałam pod uwagę innej opcji.

Wstał z łóżka, założył spodnie, potem koszulę.

– A teraz przepraszam, ale musisz mnie opuścić – powiedział. – Za pół godziny przyjdzie kilku ważnych gości. Może pojedziesz na zakupy?

– Chyba się mnie nie wstydzisz?

– Zwariowałaś? Moim gościom opadłyby szczęki na widok twoich walorów. Ale to ważne spotkanie, mamy do omówienia przeprowadzenie wyborów. Musimy się skupić na robocie, nie na cyckach.

– Uważaj sobie!

Zaczęła wycierać się ręcznikiem. Potem założyła nową bieliznę i świeżo kupiony żakiet. Przejrzała się w wielkim lustrze. Zadowolona z efektu, wzięła od Bernata

kartę i zeszła na dół.

Kierowca już czekał na nią przy limuzynie.

*

Ledwie wyjechali z Jarogniewic, rozległ się dźwięk przychodzącego połączenia. Uruchomiła wirtualfona. Była przekonana, że Grzegorz zapomniał jej o czymś powiedzieć.

Kiedy zobaczyła twarz Medyni, uświadomiła sobie, że przez uroczystość z opaskami i późniejszy seks z kochankiem nie złożyła raportu.

– Chyba nie do końca się zrozumieliśmy. – Esbek zaczął w swoim stylu.

– Miałam parę spraw do załatwienia...

– Tak, widziałem w Dzienniku Popołudniowym. Podobno wieczorem ma być większy materiał. Gratuluję.

– Dziękuję.

– Gdzie raport?

– Już mówiłam: nie zdążyłam wysłać. Ale Janek nie robił nic innego niż zwykle, nie licząc pójścia do kościoła.

– Znów był w kościele?

Czy on za każdym razem będzie o to dopytywał?! – krzyknęła w myślach, a na głos powiedziała:

– Tak.

– Jest pani pewna?

A gdzie miał być, na księżycu?!

– Chodzi tam codziennie? – pytał Medynia dalej.

– Wczoraj był na wieczornej mszy i nabożeństwie. Dzień wcześniej tak samo. Zwykle nie ma go półtora godziny, czasem dwie, nawet nieco więcej. Teraz modły są bardzo długie.

– Jest pani pewna?

– Czego jestem pewna? Mszy? Modłów? Trzech godzin?

– Tego, że chodzi do kościoła.

– Tak, jestem pewna – powtórzyła.

– Tak pani powiedział?

Westchnęła w duchu. Jak długo zamierzał pytać ją o to samo?!

– Tak powiedział – potwierdziła po krótkiej chwili.

– A skąd pewność, że tam dotarł? Mógł tylko tak powiedzieć. – Medynia wiedział, że SYCO nie rejestruje dźwięku ani obrazu w miejscach kultu religijnego ani w ich bezpośrednim obrębie.

– Bo widzę z okna wejście do kościoła. I mój mąż... – Ada się zawahała. – I Janek codziennie wchodzi do środka.

Esbek postanowił zmienić nieco temat.

– Jak pani myśli, skąd takie zachowanie? – spytał.

Miał swoją teorię, ale chciał poznać zdanie jednej z dwóch najbliższych mu osób, przynajmniej pod kątem zamieszkiwania pod wspólnym dachem.

Zaczęła się zastanawiać, nie odpowiedziała od razu.

– Wydaje mi się, że ostatnio stał się jakiś taki uduchowiony...

Chyba skurwiel nie zamierza wstąpić do zakonu?! – zaniepokoił się esbek. To by zniweczyło wszystkie jego plany, a Kraków znów stałby się odległym snem!

– Coś jeszcze? – spytała, nie siląc się na uprzejmości. – Śpieszę się.

– Nie wątpię – parsknął śmiechem. – Mogę pani coś podpowiedzieć?

Rozmowa zaczynała ją męczyć.

– Co takiego? – spytała.

– Radę, która przyda się pani na nowej drodze życia. – Zarechotał cicho.

Prawie wybuchła, wściekła, ale bardziej na samą siebie, że pozwala mu na takie bezczelności.

– Niech pan mówi, bo naprawdę muszę już kończyć.

– To ja decyduję, kiedy rozmowa zostaje uznana za zakończoną.

– W takim razie zaraz dam do aparatu pana Bernata.

Blefowała, ale nie sądziła, aby Medynia sprawdzał przez SYCO, gdzie ona się teraz znajduje.

– Tam pani jedzie?

Zobaczyła, jak uśmiecha się w ten swój obleśny, obrzydliwy sposób, od którego brało ją na wymioty. Zmusiła się, aby się opanować.

– Niech pan wreszcie mówi.

– Pan Bernat preferuje na pieska. – Medynia mówił udawanym szeptem. – To jego ulubiona pozycja, choć po małej modyfikacji. Z obrozą, smyczą i skórzanym kagańcem.

Postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji.

– Myślałam, że mnie pan czymś zaskoczy.

Medynia przez chwilę się nie odzywał.

– Wedle życzenia – powiedział po krótkiej przerwie. – Zanim powiem, o co jeszcze mi chodzi, przypomnę tylko o rzeźączce. Rozumiemy się?

Ucieszyła się, że od kierowcy limuzyny oddziela ją gruba dźwiękoszczelna szyba.

– Czego pan jeszcze ode mnie chce? – spytała, cedząc słowa.

– Wywiązania się z umowy.

– Robię to codziennie.

– Teraz chodzi o coś innego. Nie wiem, czy już uwiła pani gniazdko w Jarogniewicach i mnie to szczerze mówiąc nie interesuje. Tak samo, jakie są wasze ustalenia z panem Bernatem. Ale jeszcze nie może się pani do niego przeprowadzić na stałe.

Tego kompletnie się nie spodziewała.

– Że co?!

– Na razie będzie pani mieszkać nadal na Słowackiej.

– Ale Grześ na pewno będzie pytał, dlaczego...

– Coś pani wymyśli.

Wiedziała, że opór nic nie da, bo Medynia trzymał ją w garści.

– Jak długo? – spytała cicho.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to kilka dni powinno wystarczyć. Wkrótce się odezwę.

Była wściekła, ale musiała wytrzymać.

Poza tym, to przecież tylko kilka dni.

Rozdział 36

Piątek 10 października 2031 (kilka dni później)

Tamtej nocy śniła mu się Łucja. Kiedy się obudził, niewiele z tego snu kojarzył, ale dwie rzeczy zapamiętał: jej twarz tego dnia, gdy wsiadali do samochodu. Uśmiechniętą, z tymi prześlicznymi dołeczkami na policzkach.

I tę drugą, którą zobaczył po tym, jak się ocknął, obudzony bólem złamanej nogi. Zamiast twarzy widać było jedynie czerwoną bezkształtną masę.

Z momentu wypadku pamiętał jeszcze tylko jedno: że zemdłał, a następne, co był w stanie odtworzyć z pamięci, to szpitalne łóżko i nogę wiszącą na odciążu.

*

Przez kilka kolejnych dni okłamywał wszystkich dookoła. W oczyszczalni Kowalskiego i szefa, biorąc jedyne wolne, jakie przysługiwało mu do końca roku. W domu Nikolę i Adę, wymawiając się długimi spacerami. I jeszcze Matkę oraz Bogusia, że ma do załatwienia sprawy niecierpiące zwłoki.

Kiedy oni wydobywali kolejne wiadra mokrego piachu, on chodził bez celu po okolicy. Nie, nie bez celu, cel przecież miał. Odwiedzał najbliższe paczkomaty, jeden po drugim, w nadziei, że znów się na nią natknie.

Nic z tego. Kobiety o twarzy do złudzenia przypominającej Łucję nie udało mu się spotkać.

*

Tego dnia wrócił z oczyszczalni wcześniej – wydębając od przełożonego skrócenie czasu pracy o dwie godziny – z myślą, aby ostatni raz wybrać się na rundę po paczkomatach.

Ale kiedy spragniony i zmęczony dotarł do domu, wyjął ze schowka album ze zdjęciami i zaczął go przeglądać, zmienił zdanie. Odpuścił. Dotarło do niego, że próba dogonienia przeszłości nie ma sensu.

Kurierka nie mogła mu jej zastąpić, nawet gdyby to miały być tylko krótkie chwile.

I właśnie kiedy miał się położyć spać, weszła Nikola.

– Jest paczka do odebrania – zaczęła bez zbędnego wstępu.

Westchnął.

– Co tym razem?

– Zestaw kredek do szkoły.

– Przecież dopiero co odbierałem dla ciebie nowy komplet – zdziwił się niepomiernie. – Po co ci kolejny?

Milczała. Po wyrazie jej twarzy było widać, że się nad czymś zastanawia.

– Nie idziesz dzisiaj na spacer? – spytała po chwili.

– A wyglądam, jakbym się wybierał?

– Nie i dlatego pytam... – Zrobiła pauzę. – Co się stało? – Nic, po prostu jestem przemęczony...

– Jasne... – prychnęła lekceważąco.

– Czy tę paczkę muszę odebrać dzisiaj?

– Przecież dobrze wiesz, że tak, inaczej wróci do sklepu. Odpowiedź córki sprawiła, że poczuł wzbierającą złość.

– Ale po co ci kolejna paczka kredek?

Nikola popatrzyła na niego badawczo.

– Nie domyślasz się?

Rozmowa zaczynała go męczyć. Nie miał ochoty na bieganie po mieście, chciał spać. I pić!

– Nie – odparł cicho.

– Żebyś miał dobrą wymówkę do łażenia po okolicy – wypaliła.

Nic nie powiedział, zatkało go.

Mimo że byli sami w mieszkaniu, Nikola rozejrzała się, jakby bojąc się, że ktoś może ich podsłuchiwać.

– Poznałeś kogoś? – szepnęła.

– Słucham?!

– Tato, nie udawaj... – Wzniosła oczu ku sufitowi. – Od kilku dni jesteś nieobecny... Co chwilę uśmiechasz się do siebie pod nosem...

– Co z tego? – rzekł ostrożnie.

– To, że nie mam jeszcze chłopaka, nie znaczy, że nic nie wiem na tematy sercowe... – skwitowała.

– A Maciek? – Nie zamierzał być dłużny.

Wzruszyła ramionami.

– Jak na razie ze sobą nie chodzimy – powiedziała. – To jeszcze nie jest tak na poważnie. Ale miły z niego chłopak. I przystojny. – Roześmiała się.

Krzyk patrzył, jak się cieszy, a w głowie miał gonitwę myśli. Nikola dorastała, a on niemal przeoczył moment, w którym z dziewczynki zaczęła przeistaczać się w kobietę. Dzisiaj dzieci dojrzewały dużo szybciej, mimo że były emocjonalnie pokiereszowane przez system, który nawet dorosłymi targał niczym wiatr chorągiewką. Dorastały dużo szybciej, co jednak nie znaczyło, że tak było dla nich dobrze.

– Nie musisz się bać – powiedziała Nikola.

– Czego?

Uśmiechnęła się figlarnie.

– Nikomu nie powiem... – wyszeptała konfidencjonalnym tonem.

Chodziło jej o Adę... – pomyślał.

– Kim ona jest? – spytała.

Uznał, że nie ma już co dalej udawać.

– Kurierką...

Kiedy wypowiedział te słowa, aż mu ulżyło.

Nikola aż podskoczyła.

– Wiedziałam!

Skakała raz po raz.

– Wiedziałam!

Rzuciła mu się na szyję.

– Wiedziałam!

– Malina, spokojnie! – tonował. – Między nami nic nie ma. Spotkaliśmy się tylko raz...

– Nie szkodzi! – W oczach miała błysk, jakby to dotyczyło jej osobiście. – Widzę, ile to dla ciebie znaczy. Ile ci daje radości...

Zrobił pytającą minę.

– Nie licząc tego, jak wyglądasz teraz... – Wstrzymała na chwilę głos. – To jak, pójdziesz po tę paczkę?

Ruszył w stronę przedpokoju.

– Chyba nie mam wyjścia, co? – Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Tato...

Obrócił się w drzwiach.

– Tak? – spytał.

Podniosła pięści z zaciśniętymi kciukami.

– Powodzenia – powiedziała.

*

Nie miał pojęcia, skąd w nim ta pewność, ale kiedy wyszedł z bloku, wiedział, że ją spotka. Kiedy przy pierwszym paczkomacie nieznanym nie było, nie zniechęcił się. Podobnie było przy drugim i trzecim. Przy kolejnym wiara we własną nieomyślność była już nieco zachwiana, przy piątym zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej od razu wracać do domu.

Obiecał sobie, że odwiedzi już tylko jeden paczkomat, ostatni, a potem da sobie spokój.

I kiedy dotarł na miejsce, wychylając się zza rogu budynku, dostrzegł busa, a zaraz potem ją.

– Dzień dobry! – powiedział radośnie.

– Dzień dobry – odpowiedziała, uśmiechając się szeroko. – Znowu się widzimy.

Nie posiadał się ze szczęścia. Chciał coś powiedzieć, ale bał się wszechobecnych kamer i mikrofonów SYCO.

W lot złapała, w czym rzecz

– Poczekaj! – Uruchomiła wirtualfona. – Kurier o numerze identyfikacyjnym dwa dwa zero zero zero jeden jeden zgłasza potrzebę udzielenia pomocy technicznej przez innego obywatela. Potwierdź.

Krzyk nie słyszał, jaka padła odpowiedź, ale mógł się domyślić po wyrazie twarzy kobiety, że była po ich myśli.

– Proszę o wyłączenie funkcji monitorowania dystansu społecznego... – mówiła dalej do dłoni. – Teraz możesz podejść bliżej. – Te słowa skierowała już w jego stronę.

Zawahał się. Śmierdział.

Pokazała na stertę paczek.

– Pomożesz? – spytała.

Podszedł bliżej, podał pierwszy pakunek, potem drugi. Przy dziesiątym, a może dwunastym jakoś tak się stało, że znaleźli się obok siebie na wyciągnięcie ręki.

Wciągnął nosem jej zapach, był cudowny. Nagle zakręciło mu się w głowie.

Znał tę woń.

Doskonale ją kojarzył, chociaż minęło już tyle lat.

Tak pachniała Łucja!

– Wszystko w porządku? – spytała.

Potaknął nerwowo, czując, że ma miękkie nogi. Odnosił wrażenie, jakby był na pierwszej randce! Próbował usilnie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio rozmawiał z jakąś kobietą, nie licząc Ady oraz Hanki z administracji – ale ona akurat miała tak męskie rysy twarzy, że o żadnej ekscytacji nie było mowy – lecz jedyne, co był w stanie ustalić, to że działo się to bardzo dawno temu.

W tym czasie kurierka wyjęła butelkę z auta. Odkręciła, wzięła kilka łyków. Patrzyła przy tym, jak on wodzi za nią wzrokiem.

– Jesteś spragniony?

Próbował przełknąć ślinę, ale usta były całkowicie wysuszone.

– Skłamałbym, mówiąc, że nie. – Zaśmiał się przyjaźnie. – Bardzo ciepło jest dzisiaj...

– Nawet jak na październik – przyznała. – Trzydzieści trzy stopnie to chyba rekord.

Odwróciła się do niego tyłem, wyciągnęła się, sięgając do komory załadunkowej.

Miał okazję, aby przypatrzeć się jej zgrabnym pośladkom.

Wyprostowała się, rzuciła mu butelkę.

Złapał ją w ostatniej chwili.

– Dziękuję.

Poczekala, aż zaspokoi pragnienie, potem zapytała.

– Czym się zajmujesz?

– Jakby to powiedzieć... – rzekł, aby zyskać chwilę na zastanowienie. – Pracuję w sektorze bezpieczeństwa... – Nie powiedział całej prawdy, ale też przecież nie skłamał, gdyż oczyszczalnia należała do grupy przedsiębiorstw o strategicznym znaczeniu. A nie musiała wiedzieć, że do jego zadań należy taplanie się w gównach innych obywateli. Nie było się czym chwalić.

– Lubisz swoją pracę? – pytała dalej.

– Na dobrą sprawę... – odparł. – Tak...

Spojrzał na nią. Zadawała bardzo dużo pytań. Nagle w jego głowie pojawiły się wątpliwości. Od razu postanowił, że musi coś z tym zrobić.

– A ty swoją? – zadał pytanie z pozoru niewinnym tonem.

Najwyraźniej nic nie wyczuła, bo zaśmiała się szczerze.

– Jeszcze nie wiem! – odpowiedziała. – Dostałam tę robotę zaledwie tydzień temu. Jak się widzieliśmy po raz pierwszy, to był dopiero mój drugi dzień.

To stąd te problemy przy paczkomacie – Krzyk mógł uspokoić samego siebie.

– I jak ci się w niej podoba? – kontynuował.

– Spotykam wielu różnych ludzi – odparła po chwili zadumy. – Niestety, rzadko da się zamienić z kimś więcej niż dwa słowa.

– Dzień dobry albo do widzenia...

– Właśnie – skwitowała kwaśno. – Z tobą jest inaczej... Jesteś... jakby to ująć... dużo bardziej rozmowny...

Chciał jej powiedzieć, jaka jest prawda, ale nie mógł. Bał się, że nie zrozumiałaby.

– Trochę się boję... – rzekł cicho.

– Czego?

Pokazał na kamery.

– Że każde nasze słowo oraz gest są teraz słyszane i oglądane przez esbeków.

Zamyśliła się, nie odpowiedziała od razu.

– Ja już się do tego przyzwyczaiałam... – Widać było, że zastanawia się, co powiedzieć dalej. – Niestety, czas na mnie.

Krzyk się nie wahał, wiedział, o co chce spytać. O co musi spytać.

– Zobaczymy się jeszcze?

Popatrzyła na niego, delikatnie się uśmiechnęła.

– Chyba tak – odparła. – Właśnie na najbliższe dwa tygodnie przydzielono mi stały rewir. Rejon Łużyckiej i górną część Wyszyńskiego. Mieszkasz gdzieś blisko?

Zaśmiał się radośnie.

– Można tak powiedzieć.

– To chyba jeszcze się zobaczymy.

– A nadal będziesz potrzebować pomocy innego obywatela?

– Czuję, że tak – odpowiedziała bez zastanowienia. – Inaczej nie moglibyśmy porozmawiać, prawda?

Potaknął, już teraz ciesząc się w duchu na następne spotkanie. Machnął ręką na pożegnanie, zaczął iść w stronę domu. Zaraz potem pierwszy raz się odwrócił.

Kurierka zamykała tylne drzwi busa.

Szedł dalej, myśląc o tym, że to, co się działo, było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Drugi raz okręcił się tak, aby móc na nią spojrzeć.

Wsiadała do auta.

Dlaczego? – spytał samego siebie. Przecież jemu też szczęście może wreszcie zacząć sprzyjać.

Kolejny raz się odwrócił.

Odjeżdżała już w kierunku aresztu śledczego.

A jeśli to nie jest przypadek? – zadał sobie pytanie w głowie. Jeżeli to nie był zbieg okoliczności? Jeśli kryło się za tym coś więcej?

Ale co?

Jestem przewrażliwiony! – Nagle zaczął strofować samego siebie. Przez to wspólne kopanie z Matką i Bogusiem wszędzie widzi czających się szpicli,

agentów i tajniaków SBP. A przecież prawda mogła być dużo prostsza.

Może los wreszcie się do niego uśmiechnął!

Resztę drogi pokonał, już nie obracając się co chwilę. Roztrząsał za to w głowie każdą sekundę spotkania, każde słowo kurierki, każde jej spojrzenie. I przywoływał z pamięci zapach tak bardzo przypominający mu Łucję.

Kiedy dostrzegł zniszczoną wieżę kościoła, dotarło do niego, że w ogóle nie myśli o Adzie.

Jakby dla niego już nie istniała.

Rozdział 37

Kiedy Krzyk wrócił do mieszkania, Ady nie było w domu. Nikola przekazała mu, że znów dostała wezwanie na dodatkową zmianę. Poważnie wątpił, czy to była prawda, ale nie zamierzał dzielić się tym z córką. Ponieważ ona z kolei miała randkę online i nie chciał jej przeszkadzać swoją obecnością – a przy tym nosiło go z emocji po rozmowie z kurierką – postanowił spożytkować siły na wyższy cel.

Zszedł do piwnicy, od razu zauważył zwykle ubrania Matki i Bogusia. Ucieszył się, że będzie mógł spotkać się z nimi i zamienić kilka słów. Przede wszystkim zaś ekscytowało go widmo szybko postępujących prac w wykopie.

Ponieważ od pierwszego dnia systematycznie porządkowali stary kanał ciepłowniczy, wnosząc z niego zawadzające elementy, niektóre wycinając brzeszczotem, przeciskanie się nie było już tak czasochłonne i męczące, jak na początku.

Szybko dotarł na miejsce, wszedł do węzła akurat w momencie, gdy Grabowski wyciągał wiadro piachu.

– Szkoda, że nie widzisz, kto nas zaszczycił swoją obecnością! – krzyknął, nachyliwszy się nad otworem.

– Szef? – dobiegło z wykopu.

– We własnej osobie! – potwierdził Boguś.

– Nie uwierzę, aż nie zobaczę – rzucił Matka.

Krzyk podszedł ostrożnie do krawędzi zabezpieczonej mieszanimi deskami, stalowych prętów i aluminiowych blach. Całość przypominała mu wyglądem niektóre pojazdy z serii filmów *Mad Max*. Zajrzał do wewnątrz. Pstryknął kilka razy wyłącznikiem czołówki.

– Oto stała się jasność! – rzekł radośnie. – Matka, kurwa! – zaklął bez ostrzeżenia.

– Czego chcesz? – odpowiedział.

– Dlaczego nie jesteś przywiązany liną?

– Po chuj mi lina? – burknął. – Tylko przeszkadza przy kopaniu.

Krzyk poczuł, jak wzbierają w nim nerwy. Tyle mówił im o bezpieczeństwie, a wystarczyło, że kilka dni go nie było i już mieli wszystko w dupie.

– Nie po chuj, tylko dla bezpieczeństwa – strofował. – Gdy ziemia się obsypie, to jak cię, do kurwy nędzy, wyciągniemy?

– Przesadzasz – bagatelizował.

Krzyk sięgnął po krąg liny, której koniec przywiązany był do haka wystającego ze ściany. Rzucił ją w dół.

– Nie wkurwiał mnie, tylko się zawiąź! – polecił.

Matka marudził jeszcze przez chwilę, ale posłusznie obwiązał się liną w pasie i wrócił do kopania. Wbił saperkę w piach obok lewej nogi, w miejsce, w którym od dłuższego czasu go wybierał. Od razu zapadł się kilkanaście centymetrów, stracił równowagę, oparł się ręką w miejscu, w którym wykop nie był jeszcze zabezpieczony.

– Ja pierdolę! – zaklął. – Wleciało mi za kołnierz. A butelki już puste, więc jak...

Nie skończył mówić, gdy usłyszeli głuchy huk, zaraz potem Matka zniknął pod zwałami piachu.

Pierwszy zareagował Krzyk. Zszedł po drabinie, chwycił za wystającą linę.

– Ciągnij! – krzyknął do Grabowskiego.

Sam też pociągnął.

To, co działo się później, rejestrował jak film w zwolnionym tempie. Postękiwania Bogusia, który ciągnął za linę znad krawędzi wykopu i sapanie samego siebie, mocującego się z nią, oblepioną mokrymi ziarenkami.

Na szczęście zawał był niewielki i pół minuty później głowa Matki wystawała już ponad powierzchnię, a on sam prychnął i kaszlał, próbując pozbyć się piachu z ust. Chwilę później wystawił jedną rękę, potem drugą i Krzykowi udało się go wyswobodzić do końca.

Dłużej trwało wychodzenie na powierzchnię. Przez te siedem metrów, jakie już wykopali, wdrapywał się, co chwilę tracąc czucie pod nogami, buty ślizgały się, palce nie chciały łapać się szczebli.

Kiedy tylko wydostał się z wykopu, Grabowski zaczął otrzepywać twarz, potem obmył ją resztkami, które zostały w ostatniej butelce.

– Pić mi się chce... – rzekł, plując śliną zmieszaną z piachem.

– Nic już nie zostało – powiedział Boguś.

Matka popatrzył na Krzyka.

– A ty coś przyniosłeś?

– Nie – odpowiedział. – Nic mi w domu nie zostało.

– Nazarłem się tego gówna... – jęknął Matka.

– Na dzisiaj chyba już dość, co? – spytał Grabowski.

O dziwo, pierwszym, który zaprotestował, był Matka.

– Nie – powiedział krótko. – Musimy jak najszybciej zabezpieczyć wykop, inaczej zawali się jeszcze więcej.

– Zgadzam się – poparł go Krzyk.

– Chuj mnie obchodzi, że się zgadzasz. – Matka był wyraźnie w złym nastroju. – To twoja wina. Jakbyś mnie tak nie denerwował, to by się nic nie stało.

– Moja wina? – Krzyk westchnął. – Ciesz się, że tu byłem, bo Boguś w pojedynkę by cię nie wyciągnął.

– To akurat racja – potwierdził Grabowski. – Może trzeba było jednak kopać większy otwór?

– I siedzieć tu pół roku? – Krzyk nie krył sceptycyzmu. – Mamy tyle czasu? Ja od dwóch tygodni jestem cały czas odwodniony.

– Ja też... – przyznał Boguś.

– Trzeba zabezpieczyć wykop – mówił Krzyk. – Najpierw tam, gdzie jebnęło. Potem raz jeszcze resztę, ale solidniej. I zastanawiam się, czy poprzeczki nie powinny być co pół metra, a nie co metr.

– Zrobi się ciasno – zauważył Matka. – Przeciskanie się na dół za każdym razem zajmie nam sporo czasu.

– Wyciąganie też będzie dłużej szło – wtórował Grabowski.

– Ale przynajmniej wszyscy przeżyjemy, prawda? – spytał Krzyk. – Ile jeszcze, zanim się dokopujemy?

– A skąd mam wiedzieć? – prychnął Matka.

– Na moje oko ze dwa, może trzy metry – odezwał się Boguś. – Góra cztery.

– A ty co, geologię studiowałeś? – kpił Matka.

– Widzę po piachu, który dzisiaj wyciągałem – odciął się Grabowski. – Jest coraz bardziej mokry.

– Nieważne: dwa metry, trzy czy cztery – rzekł Krzyk ostro. – Musimy robić swoje.

*

Kolejną godzinę poświęcili na wzmocnienie oszalowania. Potem Matka znów zaczął kopać, Boguś chwycił linę, czekając, aż kolega napełni kolejne pół wiadra.

– Muszę już iść – powiedział Krzyk.

– Ledwo przylazłeś, a już spierdalasz? – zdziwił się Boguś. – Zostawiasz nas samych?

Krzyk milczał. Nie mógł ich wtajemniczyć. Jedno nieopatrznie powiedziane słowo mogłoby zniweczyć cały wysiłek, jaki w to do tej pory włożyli. A sami wylądowaliby w obozie lub – co w gorącym czasie wyborów było znacznie bardziej prawdopodobne – na szubienicy. Już widział te nagłówki w internecie o zorganizowanej grupie przestępczej. Nie, musiał pilnować i siebie, i kolegów. A tajemnicą była przecież tylko ta tajemnica, o której nie wiedziała więcej niż jedna osoba.

– Chłopaki, naprawdę muszę – powiedział.

Grabowski machnął lekceważąco ręką.

– Co to za sprawa niecierpiąca zwłoki tym razem? – spytał.

– Idę do kościoła – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Znowu? – zdziwił się Boguś. – Szef znowu idzie się pomodlić! – rzucił do wykopu.

– Przecież pozbywamy się piachu na miejscu – wtrącił Matka.

– Właśnie – podłapał Grabowski. – Już nie musisz bawić się w lotnika i szurać nogawkami po trawnikach.

– Nie o to chodzi – odparł Krzyk.

– Co ty znowu kombinujesz? – zaciekawiał się Boguś. – Taki bogobożny się nagle zrobiłeś?

Krzyk przytknął palec do ust, a potem powiedział:

– Pamiętaj: im mniej wiesz, tym krócej jesteś przesłuchiwany.

Rozdział 38

Poniedziałek 13 października 2031 (dwa dni później)

Medynia miał za sobą kilka dni urlopu. Wypoczynek oceniał jako średnio udany, co zresztą wcale go nie dziwiło. Było tak zawsze, kiedy na wakacje zabierał żonę razem z dziećmiakami. Tarabanienie się na plażę z całym tym majdanem i hordą rozwrzeszczanych smarkaczy było ponad jego siły. Wszystko przez to, że we własnym domu rządził nie on, tylko małżonka, wspierana przy tym przez dwóch najstarszych synów, z których każdy już teraz, nie będąc jeszcze pełnoletnim, miał wręcz dyktatorskie zapędy. Musiał szczerze przed sobą przyznać, że właściwie na większość domowników nie miał kompletnie żadnego wpływu. Efekt był taki, że po urlopie odczuwał większe zmęczenie niż przed jego rozpoczęciem. Nie inaczej było tym razem, mimo że wyjazd nie trwał długo. Właściwie miał żonie za złe, że ciągała go do Hiszpanii, prawie tyle samo czasu spędzili w podróży, co na miejscu.

To właśnie był jeden z głównych powodów, dlaczego na wakacje jeździł niezwykle rzadko. Drugim, nie mniej ważnym był fakt, że prowadzone śledztwa musiał powierzać kapitanowi i jego dwóm kolegom, co bardzo często kończyło się źle. Raz nawet doszło niemalże do skandalu, gdy sąd uniewinnił podejrzanego o mowę nienawiści tylko dlatego, że ten debil Wicha zapomniał o załatwieniu następczego nakazu przeszukania.

Kiedy zatem mógł wreszcie wrócić na Partyzantów, usiąść za biurkiem i uruchomić wirtualny ekran, poczuł się jak nowo narodzony.

Zalogował się do SYCO, wygenerował bieżący raport aktywności Krzyka z ostatniego czasu i wydrukował go. Przeczytał uważnie raz, potem drugi, teraz robiąc już notatki na marginesie. Zaraz potem poprosił o kolejne opracowanie, tym razem jednak bardziej szczegółowe i ograniczone do tych kilku przedziałów czasowych, kiedy figurant miał do czynienia z kurierką i podczas wędrowania od paczkomatu do paczkomatu.

Jego zachowanie: mimika twarzy, ruchy gałek ocznych, gestykulacja i wszystko pozostałe składające się na mowę ciała, komponowały się w jedną całość.

Kiedy zobaczył ocenę SYCO, zaśmiał się radośnie. Miał dokładnie takie samo zdanie!

– Jak pies goniący za suką w rui – rzucił pod nosem.

Nagle usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Cmoknął, niezadowolony, że ktoś ośmiela się przerywać mu głęboką analizę.

– Wlazł! – wrzasnął.

Do środka wszedł Wicha. Wyprężył się jak struna.

– Panie pułkowniku, melduję, że raport dotyczący śledzenia figuranta i wypytania na jego okoliczność w miejscu pracy i zamieszkania, jest już gotowy.

Medynia zapomniał o swojej złości.

– Co ciekawego macie?

Wicha nieświadomie przygryzł wargę.

– Nic – odpowiedział.

– Nic?!

– Nic, co można by uznać za łamanie prawa. – Zamyślił się. – Były co prawda prowadzone przez niego rozmowy z kurierką, co jest czynem zabronionym. Ale w obu przypadkach kurierka uzyskała na to zgodę, tak więc nie ma się do czego przyczepić.

Pułkownik westchnął przesadnie.

– Z kim ja muszę pracować... – Niby powiedział to do siebie, ale zrobił to na tyle głośno, aby dotarło do podwładnego. – To jest cały wynik kilkudniowej pracy operacyjnej trzech ludzi?

Kapitan uznał, że pytanie jest z gatunku retorycznych i nie zareagował.

Medynia popatrzył na niego pobłaźliwie.

– Wicha, nigdy nie będzie z was porządny śledczy. Choćbyście się zesrali, do pięt mi nie dorośnięcie, że o tych dwóch jeszcze większych debilach od was nie wspomnę.

Wicha spiął się w sobie, ale milczał.

Za to pułkownik nie zamierzał na tym poprzestawać.

– Nie było mnie kilka dni, wróciłem, usiadłem do ciężkiej pracy analitycznej i wystarczył mi kwadrans, żeby uzyskać nieporównywalnie lepsze efekty od całej waszej trójki! – perorował z namaszczeniem. – Nieporównywalnie lepsze!

Kapitan zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej było przysłać tutaj Dudziaka albo Brzozowskiego, zamiast samemu narażać się na reprimendy i wyzwiska.

Medynia zmrużył oczy.

– Jak oceniacie figuranta? – spytał. – Jest wymagającym przeciwnikiem?

– Właściwie... – Zaczął analizować w głowie. – Można powiedzieć, że tak... – Rejestrował reakcję przełożonego. – Nawet bardzo wymagającym.

– Brawo, Wicha, brawo! Wreszcie powiedzieliście coś sensownego!

Kapitan odetchnął z ulgą.

Tymczasem Medynia wspaniałomyślnie postanowił podzielić się z nim cenną radą.

– Wiecie, Wicha, że czasem nawet najgroźniejszego psa trzeba spuścić ze smyczy?

Podwładny potaknął energicznym ruchem głowy.

– A co należy zrobić, jeśli jest już spuszczone ze smyczy i pozwala się mu biegać luzem? – pytał Medynia dalej.

Kapitan nie miał pewności, ale domyślał się, że pułkownik cały czas mówi o figurancie. Na wszelki wypadek jednak bezpiecznie milczał.

Medynia nie zamierzał czekać długo na odpowiedź, sam zaczął mówić.

– Ja wam powiem, Wicha. Trzeba cały czas kontrolować, gdzie biega i śpi, gdzie szcza i sra. A najlepiej jeszcze, jak w pobliżu jest jakaś suka.

Wicha zmarszczył brwi.

Pułkownik zaczął suwać palcami po ekranie.

– Suki są najważniejsze! – powiedział radośnie. – Ale o tym wiedzą tylko ludzie, Wicha, tylko ludzie! – Wpisywał kolejne polecenia do SYCO, napawając się każdą sekundą, kiedy to ta genialna maszyna musiała słuchać jego. – Sztuczna inteligencja nigdy nie mogłaby wpaść na taki plan. Nie potrafiłaby, wymyka się to jej możliwościom. Tylko człowiek jest w stanie wykonać taki ruch.

Kapitan patrzył z uwagą, jak przełożony rusza palcami.

Medynia nagle przestał, spojrzał na swojego człowieka.

– Jak w szachach, kiedy poświęcasz hetmana, aby potem dać mata w trzech ruchach. Grywacie w szachy, Wicha?

Kapitan nic nie odpowiedział, był zaskoczony.

– Tak myślałem... – Westchnął Medynia. – Tym razem nie musiałem poświęcać hetmana, ale manewr jest równie zaskakujący i błyskotliwy... Tak zaskakujący, że SYCO zaprotestowało i musiałem wybrać opcję sterowania ręcznego, żeby móc wdrożyć mój plan w życie.

Wicha był pod wrażeniem. Jemu nigdy nie zdarzyło się, aby musiał omijać zabezpieczenia SYCO. Zresztą, chyba by nawet nie potrafił.

Pułkownik uśmiechnął się, bardziej do siebie niż rozmówcy.

– Będą o tym uczyć w akademii – wyjaśnił. – Słupki danych... Pomiary temperatury... Wykresy mobilności figuranta... Przesłuchania bliskich... To nie wszystko, Wicha. To nie jest najważniejsze. Wiecie, co jest?

Kapitan milczał. Wiedział z doświadczenia, że to nie jest dobry moment, aby się odzywać.

Medynia klasnął teatralnie.

– Intuicja! – rzucił głosem pełnym ekscytacji. – Coś, czego nie ma żadna maszyna. Coś, czego nie ma wielu ludzi. SYCO tego nie ma. – Zrobił pauzę, aby spotęgować efekt. – Ja to mam!

Wichę korciło, aby przypomnieć szefowi, że negatywne wypowiedzianie się na temat SYCO było złamaniem wewnętrznych przepisów prawa i regulaminu pracy Służby Bezpieczeństwa Państwa. Za coś takiego można było trafić za kratki i to na długie lata. Więzienia i obozy były pełne tych, którzy postąpili w tak nierozważny sposób, wśród nich zdarzali się nawet członkowie partii. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić, bo Medynia z pewnością wpadłby w szal.

Pułkownik podszedł do szafki, wyjął dwie butelki, jedną podał kapitanowi.

– Skończone! – rzekł triumfalnie. – Teraz będziemy czekać i patrzeć, jak nasz pies gania za suką. Bo musicie wiedzieć, Wicha, że jeśli w pobliżu jest jakaś suka, to pies może sobie biegać luzem, a i tak jakby się go miało na smyczy. – Zarechotał głośno.

Kapitan z grzeczności zawtórował.

Medynia spojrzał na niego. Miał dobry dzień, postanowił poczekać, aż jego człowiek wypije swoją porcję, dopiero potem warknął:

– A teraz spierdalajcie.

Wicha odłożył butelkę na biurko, po czym ruszył do drzwi.

– Bo suka jest najważniejsza! – Pułkownik niemal się zakrztusił. –
Najważniejsza!... Suka!... – Raz po raz zanosił się śmiechem.

Kiedy Wicha oddalał się korytarzem w stronę swojego gabinetu, rehot Medyni
cały czas wwiercał się w jego głowę.

Rozdział 39

Środa 15 października 2031 (dwa dni później)

To musiało nastąpić prędzej lub później. Krzyk brał to pod uwagę od samego początku. Zbyt często schodzili do piwnicy i spędzali tam długie godziny, aby pozostało to niezauważone w ich domach. Pierwsza pytania zaczęła zadawać żona Bogusia, Andżelika, czego zresztą też można było się spodziewać. Niedługo potem problem zgłosił Matka.

Początkowo zastanawiali się nad odpuszczeniem na jakiś czas i zmniejszeniem tempa. Uznali jednak, że i bez tego była to mozolna robota. Był takie dni, że więcej czasu przeznaczali na przebieranie się i przeciskanie kanałem ciepłowniczym do celu, niż później na kopanie. Już to zaczynało ich frustrować, a sytuacja pogorszyła się, tym bardziej że znów obniżonoienne przydziały rodzinne. Krzyk kilka razy próbował wyprosić u Ady podzielenie się dodatkowymi butelkami, ale dostał tylko jedną i to wypitą do połowy, co nie poprawiło ich kiepskiego położenia.

Dlatego – po burzliwej dyskusji, jaką któregoś dnia przeprowadzili nad wykopem – uznali, że nie ma co dłużej zwodzić małżonek i uzgodnili, że wprowadzą je w temat, zobowiązując jednak do utrzymania wszystkiego w ścisłej tajemnicy.

Nie dotyczyło to jedynie Ady. Krzyk od razu, bez ogródek powiedział, że nie chce jej wtajemniczać. Nie rozwodził się przy tym nad szczegółami i nie mówił, że żona wciąż dopytuje o jego wyjścia do kościoła. Niby robiła to mimochodem, nie naciskając na niego, ale i tak czuł, że jest w tym jakieś drugie dno. Dlatego sam zaproponował, aby wykluczyć ją z grona spiskowców, jak sami siebie nazywali. Skłamał, że zdarza jej się mówić przez sen, a że na nocnych zmianach czasami ma możliwość ucięcia sobie drzemki, to mogłaby ich nieświadomie zdradzić.

Jedynym plusem było to, że siłą rzeczy rzadziej zaglądał do piwnicy i krócej tam przebywał – aby nie wzbudzać podejrzeń Ady – dzięki czemu miał więcej czasu na poszukiwania nieznajomej.

*

Krzyk znów nie powiedział towarzyszom całej prawdy i czuł się z tym coraz gorzej. Nie pomagała też świadomość, że musi uważać na SYCO i esbecję. Nie zastanawiał się już, czy go zwiną, lecz kiedy. Zadania nie ułatwiała również sytuacja we własnym domu, bo cały czas konieczne było ostrożne postępowanie z żoną.

Takie życie w stresie odcisnęło na nim swoje piętno. Jakby tego było mało, długie spacery po okolicznych paczkomatach zdawały się psu na budę: ani razu nie udało mu się spotkać kurierki.

Dzisiaj pół dnia stracił na łażeniu po okolicy, aż CYBORG przysłał mu esemesa o zbyt intensywnym wysiłku fizycznym. Szkoda, że nigdy nie dostawał takich wiadomości w trakcie wielogodzinnej harówki w oczyszczalni.

Wieczorem, po starciu z Adą, która znowu strzeliła focha z niewiadomego mu powodu – wziął poduszkę i poszedł do salonu na kanapę, mając nadzieję, że sen przyćmi męczące go coraz mocniej pragnienie.

Ale spał źle. Śnił mu się film *Wielka ucieczka*. Kiedy się obudził, przed oczami miał tę scenę, w której specjalna grupa poszukiwawcza Niemców zatrzymała wojskową ciężarówkę, niby po to, aby transportowani nią złapani lotnicy mogli rozprostować kości. Gdy ci zeskoczyli z paki i oddalili się od konwoju, znad drugiej ciężarówki odślonięto plandekę i zaczęto do nich strzelać.

Obraz dziurawionych kulami ciał tkwił w głowie Krzyka jak żywy, jakby stało się to dopiero teraz, przed chwilą. Usiadł na kanapie, ściągnął koszulkę mokrą od potu. Pragnienie paliło jeszcze mocniej niż wówczas, kiedy kładł się spać, ale wiedział, że nie ma po co iść do kuchni. W domu nie było ani jednej butelki, ani kropli – nie licząc pewnie tych schowanych przez Adę w szafce chronionej kodem.

Poruszył językiem, ale jedyny efekt, jaki udało mu się osiągnąć, był nieprzyjemny ból w szczęce. Poszedł do kuchni, wyjął miskę, zaczął nad nią wyzymać koszulkę. Mimo wysiłku udało się wycisnąć zaledwie kilka kropli. Dotknął ich skołowaciałym językiem. Były obrzydliwie słone, ale i tak nie odpuścił.

Plując i kaszląc, wrócił do salonu. Zaczął cicho płakać z bezsilności.

Nawet nie miał dokąd uciec. Zazdrościł tamtym lotnikom, którzy chociaż mogli spróbować. Ryzykowali wszystkim, co najdroższe, ale się nie zawahali. Stracili życie, ale przynajmniej byli wolni.

Ja też będę wolny! – Zacisnął pięści i z tą myślą w głowie zasnął z powrotem.

*

Następnego dnia w oczyszczalni ledwie się trzymał. Przydział pracowniczy pozwolił mu przetrwać fizycznie, ale psychiczne męczarnie były nie do zniesienia. Cały czas przyłapywał się na tym, że myśli o kurierce.

Tak nim to ośwładnęło, że po pracy nie wrócił nawet do domu, tylko do razu zaczął obchodzić paczkomaty z jej rejonu. Po czwartym lub piątym stracił rachubę, mając wrażenie, że kręci się w kółko.

Wreszcie przy którymś z kolei, kiedy przestał już próbować liczyć, natknął się na busa kierowanego przez wysokiego mężczyznę.

– Dzień dobry – powiedział. – Nie kojarzy pan, gdzie mogę spotkać pańską koleżankę? – Opisał jej wygląd, nie zważając przy tym na sygnał esemesa, który niechybnie zwiastował karę za niedozwoloną rozmowę z kurierem.

Mężczyzna był zaskoczony, lecz nie widział powodu, aby nie odpowiadać na pytanie. To nie jego konto miano obciążyć.

– Imienia pan nie zna? – spytał.

Krzyk dopiero teraz uświadomił sobie, że wcześniej mu to umknęło.

– Nie znam – powiedział.

– W sumie... To, co pan podał, pasuje tylko do jednej koleżanki...

– Mówiła, że przydzielono jej ten rejon. Niedawno, tydzień, może dwa tygodnie temu.

– To z pewnością o niej mówimy – rzucił kurier.

– Gdzie ją spotkam?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, bo centrala nie informuje nas o obsadzie innych rewirów – odparł. – Ale na pewno nie w tym rejonie, bo ten przydzielono właśnie mi.

Sens tych słów nie dotarł do Krzyka od razu, potrzebował chwili, aby przetrawić informację.

Kiedy to się stało, odniósł wrażenie, jakby właśnie stanął nad krawędzią przepaści.

Rozdział 40

Czwartek 16 października 2031

Rankiem następnego dnia Krzyk z trudem zwałół się z łóżka i zmusił do tego, aby iść do pracy. W oczyszczalni wcale nie było lepiej, a kiedy kierownik zobaczył, że zachowuje się niczym żywy trup, kazał mu schować się w kantorku i odpocząć. Ale co mu było po leżeniu na stercie płóciennych worków, skoro myśli bezustannie krążyły wokół kurierki?

Przekręcał się z boku na bok, próbując zasnąć choć na chwilę, ale jedynym efektem było jeszcze większe zmęczenie. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie wrócić na halę, przy łopacie może na chwilę udałoby się zapomnieć. Nie zdążył podjąć decyzji, kiedy w kantorku pojawił się Kowalski.

Od razu było widać, że jest ciężko przestraszony.

– Przyjechali po ciebie... – wyszeptał.

Krzyk jęknął w duchu. A więc jednak go dopadli. Znaleźli coś, o czym nie pomyślał, czego nie przewidział. Jęknął, nie mając siły zejść ze sterty worków.

– Chodź... – mówił Kowalski dalej. – Są u dyrektora... Trudno – pomyślał Krzyk. Stało się, nie ma co więcej walczyć. Chociaż próbował, jak tamci lotnicy. Skończy jak większość z nich, ale przynajmniej będzie mógł spojrzeć w lustro z podniesioną głową.

Zeskoczył na posadzkę, poczłapał za Kowalskim.

Kiedy wszedł do gabinetu dyrektora, stanął jak wmurowany. Zamiast Medyni – jak się spodziewał – lub jego wiernego psa o nazwisku, którego za cholerę nie mógł zapamiętać, czekało na niego dwóch jajogłowych z Departamentu Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli. Szybko okazało się, że działali na zlecenie zastępcy naczelnika wydziału walki z bandytyzmem.

Zabrali go do auta, a Krzyk całą drogę zastanawiał się, czego Bilski mógł od niego chcieć. Kiedy zatrzymali się przy urzędzie wojewódzkim, odetchnął z ulgą po raz pierwszy, bo już się bał, że znów pojedą na Partyzantów. Jeszcze nie był gotowy na starcie z Medynią, czas, który spędził w samochodzie, przyglądając się

ludziom na chodnikach, sprawił, że znów odnalazł w sobie wolę walki. Tam, gdzieś wśród tych setek pieszych mogła być Nikola. To dla niej nie wolno mu było jeszcze się poddawać.

Drugi raz ulżyło mu, gdy siedział już u Bilskiego, odkręcał korek butelki i poznawał powód zatrzymania.

– Kupiłeś szpadel ze składanym trzonkiem – powiedział urzędnik.

– Kilka dni temu... – potwierdził. – Kompletnie o tym zapomniałem.

Bilski obdarzył go karcącym spojrzeniem.

– Na twoim miejscu nie byłbym taki beztroski – wycodził. – Zdajesz sobie sprawę, że od tamtego badania na wariografie jesteś na celowniku służb?

Krzyk potaknął. Wiedział o tym doskonale.

Bilski kontynuował tyradę.

– Masz pojęcie o tym, że Medynia to kawał skurwysyna i należy na niego uważać?

Krzyk był tego świadomy.

– Nie powinienem ci tego mówić, ale... co tam. Sprzęt nie jest jeszcze włączony...

– Bilski wbił wzrok w kolegę ze szkoły. – Po badaniu na wariografie SBP zakwalifikowało cię do pełnej inwigilacji przez SYCO. Od tamtej pory system rejestruje wszystkie twoje podejrzane zachowania bez okresu przedawnienia.

– I?

Naczelnik przesunął palcem po wirtualnym ekranie, szukając kolejnego dokumentu. Znalazł.

– Jedno opuszczenie Dziennika Wieczornego... Sześć przekleństw w miejscu publicznym... Dwa razy zaliczyłeś przejście przez ulicę w miejscu niedozwolonym... – wymieniał jednostajnym tonem. – O! – Nagle się ożywił. – Jest też coś, co może trafić na komisję orzekającą.

Dopiero teraz Krzyk się zaniepokoił. Wcześniejsze wykroczenia były drobiazgami i jedyne, co mu za nie groziło, to obcięcie limitu.

– Niby co? – spytał.

– Dwa razy złamałeś zasadę zachowania dystansu społecznego, aczkolwiek system pokazuje, że ktoś z uprawnieniami stopnia trzeciego uzyskał na to zgodę...

Na myśl o kurierce Krzyka ogarnął smutek.

Bilski był tak zaaferowany przeglądaniem akt, że tego nie spostrzegł.

– Zgoda rzeczywiście była, dziwne, że w systemie wciąż zaznaczona jest opcja skierowania na komisję... – Zamyślił się. – Sam już nic nie rozumiem...

– Nie ty pierwszy...

Urzędnik machnął ręką.

– Mniejsza z tym, pewnie znowu jakiś błąd w programie... Zastanawiasz się pewnie, dlaczego dostałeś wezwanie w związku z zakupem szpadla dopiero po tylu dniach od transakcji? Dziwne, co?

Nie, nic mnie już nie zdziwi – pomyślał Krzyk, a na głos powiedział:

– Dziwne, bo poprzednim razem nie zdążyłem wrócić do mieszkania...

– Poprzednim razem był zakup... – Szybko sprawdził w systemie. – Kompletu nożyczek.

Krzyk chciał jak najszybciej mieć to za sobą.

– To dlaczego teraz tyle czekaliście? – spytał, siląc się na uprzejmy ton.

– Zapowiada się kolejna rekordowo ciepła zima – odparł Bilski. – Długoterminowa prognoza mówi o utrzymaniu się temperatury powyżej piętnastu stopni aż do połowy stycznia. Nic dziwnego, że obywatele rzucili się na sprzęt ogrodowy i budowlany, jakby to był środek lata. Sezon na trzecie ogórki przed nami... Aczkolwiek są i złe strony... Krzyk domyślał się, w czym rzecz.

– Macie więcej roboty?

– Nawał! – potwierdził skwapliwie. – A najbardziej wkurwiające jest to, że niektóre rodziny sobie z nami pogrywają.

Nic go to nie obchodziło, ale uznał, że warto zabawić się w dyplomatę. Nigdy nie wiadomo, kiedy może potrzebować pomocy Bilskiego.

– W jaki sposób? – spytał przymilnie.

– Mąż kupuje szpadel, żona grabie, a córka sekator. Każde osobno. – Urzędnik prostował po kolei palce prawej dłoni. – Jakby nie mogli wziąć wszystkiego za jednym zamachem. I potem musimy wzywać na przesłuchania wszystkich po kolei. Wiesz, ile osobogodzin marnuje się w taki sposób?

Miał to w dupie, ale nie mógł powiedzieć tego na głos. Zamiast tego spytał:

– Nie możecie tych zakupów sumować?

– Nie możemy. – Westchnął. – Takie są procedury.

– Rozumiem...

Bilski wybrał kolejną pozycję z menu na ekranie.

– Wracając do tematu: jaki jest powód nabycia szpadla z krótkim trzonkiem?

Krzyk spodziewał się tego pytania od momentu zakupu – a szczerze mówiąc, nawet wcześniej, kiedy go planował. Wszystkie realizowane w sklepach budowlanych zamówienia były przecież rejestrowane i SYCO musiało to wychwycić, na co zresztą liczył. Dlatego odpowiedź miał już gotową.

– Do prac ogrodowych. Ada od tygodni męczy mnie, żeby przesadzić kwiaty na balkonie.

– Jaki gatunek? – padło błyskawiczne pytanie.

Na to Krzyk też był przygotowany.

– Jakies rozchodniki, ale jakie konkretnie, to ci nie powiem. Nie znam się. Wiem tyle, że ładnie wyglądają.

Bilski się uśmiechnął.

– I po kłopotcie – rzucił pod nosem, zaznaczając coś na ekranie.

– Wszystko? – spytał Krzyk. Czuł, że znajomy mu uwierzył, ale podejrzewał przy tym, że z Medynią to nie przejdzie. Jeśli raport trafi do niego, z pewnością wyciągnie właściwe wnioski.

Miał na to nadzieję!

– Tak... – rzekł Bilski, ale zaraz potem wbił uważne spojrzenie w jedną z kolumn danych. – O!... Jest jeszcze coś, co idzie pod komisję orzekającą, a na co na pewno nie miałeś zgody osoby uprawnionej.

Przestraszył się. Przeoczył coś? Niemożliwe! Przecież skrupulatnie planował każdy krok!

– Jest świeże zgłoszenie, że próbowałeś przeprogramować lodówkę.

Krzyk miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. A więc o to im chodziło!

– Nienawidzę brukselski, a lodówka wciąż ją dla mnie zamawia i zmusza do jedzenia – wyjaśnił zgodnie z prawdą.

– Sęk w tym, że zgodnie z danymi masz za mało żelaza, fosforu i cynku – zauważył Bilski. – Poziom magnezu i miedzi też mógłbyś nieco podnieść. To wszystko zapewnia brukselka.

– Wiem, ale ja nie potrafię jej przelknąć. Gotowaną w wodzie może dałbym radę, ale w mikrofali...

– To musisz złożyć wniosek o powołanie komisji lekarskiej – powiedział. – Ale z góry cię uprzedzam, że okres oczekiwania wynosi obecnie od dwunastu do czternastu miesięcy. Poza tym, bez dobrze udokumentowanego powodu nie masz co liczyć na wyznaczenie diety zamiennej.

– Czyli co sugerujesz?

– Nie grzeb więcej w ustawieniach lodówki, tylko podporządkuj się jadłospisowi. Za trzy do czterech miesięcy będziesz mógł spróbować zastosować inną ścieżkę... Ale to ci wyjaśnię, jak poprawisz wyniki badań. Bez tego nie ma szans.

– Jasne...

Bilski cmoknął wymownie.

– Tyle na dziś – rzekł. – Do następnego.

– Na razie...

Krzyk wyszedł z gabinetu. Zaraz potem Bilski ponownie spojrzął na ekran. Chciał sprawdzić coś, co zauważył kilka minut wcześniej i o czym znajomemu ze szkoły nie odważył się powiedzieć.

Dotknął parę razy ekranu palcami, przesunął kilka ikon, dwa razy wpisał unikalny kod dostępu i już wiedział.

Miał rację! Ten sukinsyn Medynia podłączył się do systemu departamentu i na bieżąco ciągnął wszystkie dane generowane przez niego. SYCO przekazywało każdy pojedynczy dokument, Bilski nie wiedział więc, o jakie konkretnie osoby tak naprawdę chodzi esbekowi, ale miał swoje podejrzenia.

Jeśli racja była po jego stronie, znaczyło to, że Krzyk coś narozrabiał albo też miał w planach jakąś poważniejszą akcję.

Bez względu jednak na to, kogo esbek inwigilował, zrobił to na skróty, a tym samym złamał procedury. Bilski nie zamierzał teraz robić o to awantury. Medynia mógł żyć sobie w przekonaniu, że jego jest na górze.

Z tą myślą zaczął wybierać kolejne opcje, aż wreszcie uzyskał to, co chciał.

Od tej pory SYCO miało informować go o wszystkich krokach, jakie wobec Krzyka podejmie SBP.

*

W tym samym czasie Medynia zapoznawał się z raportem Bilskiego na temat zakupu szpadla z krótkim trzonkiem. Kiedy przeczytał, jak Krzyk je wytłumaczył, zaśmiał się głośno.

Akurat! Kwiaty ogrodowe! Jasne!

Podszedł do ściany, na której wisiała wielka tablica. Na co dzień była zamknięta tak, aby osoby postronne nie mogły niczego podejrzeć. To dotyczyło też Wichy i reszty funkcjonariuszy wydziału, gdyż Medynia nie miał zamiaru dzielić się z nikim swoimi technikami prowadzenia śledztwa.

Otworzył tablicę, zaczął się przyglądać. W centralnym miejscu znajdowały się najważniejsze dane: tytuł pracy geologicznej o dawnych kopalniach, kwit z biblioteki, fotografia zmarłej żony – obok której wisiało zdjęcie kurierki – oraz mapa tej części miasta z wziętymi w czarne koła: blokiem przy Słowackiej 15 oraz kościołem Ducha Świętego, do którego – zgodnie z raportami jego żony – Krzyk regularnie ostatnio uczęszczał.

Medynia dodał karteczkę, na której napisał: szpadel z krótkim trzonkiem. Potem zaczął chodzić przed tablicą tam i z powrotem, raz po raz przypatrując się przypiętym do niej kartkom i karteluszkom.

– Jemu naprawdę się wydaje, że mnie przechytry... – rzekł sam do siebie.

Nagle się zatrzymał. Podszedł do tablicy, zdjął fotografię kurierki i wpiął ją dokładnie w sam środek ekspozycji.

– Suka... – szepnął. – Najważniejsza jest zawsze suka... Rzucił się pędem do biurka, uruchomił wirtualny ekran, poprosił SYCO o dodatkowe informacje.

Chwilę później oglądał już nagrania z kamer, na których było widać, jak Krzyk chodzi po osiedlowych uliczkach, przemyka między ruinami i wychyla się zza rogów kolejnych budynków ze spojrzeniem pełnym nadziei, a potem zatrzymuje się w pół kroku, z wielkim zawodem wymalowanym na twarzy.

Filmy były tak dobrej jakości, że Medynia mógł policzyć włosy na nieogolonej twarzy figuranta.

Włączył kolejne nagranie, i jeszcze jedno, i następne. Wszędzie była ta sama nadzieja i ten sam ból.

Widząc to, Medynia uśmiechnął się sam do siebie. Chwilę później wydał SYCO ciąg poleceń.

– Suka! – krzyknął radośnie. – Bo zawsze najważniejsza jest suka!

Teraz Krzyk był już jego.

Rozdział 41

Jak tylko Krzyk usłyszał klakson, zareagował momentalnie. Prawo do tego, aby zatrąbić, mieli jedynie kierowcy radiowozów, karettek pogotowia ratunkowego, wozów straży pożarnej i kurierzy.

Kurierzy.

Odwrócił się natychmiast.

Zobaczył ją od razu, mimo że jechała po drugiej stronie alei Wojska Polskiego, najszerszej arterii enklawy i dzieliły ich od siebie trzy pasy oraz szeroki trawnik.

Zauważył, że wrzuciła kierunkowskaz. Skręciła w wąską uliczkę prowadzącą do piętrowego parkingu przy trzech sąsiadujących ze sobą wieżowcach, jedynych przy tej ulicy.

Nie namyślając się wiele, podbiegł do przejścia dla pieszych. Dokładnie sprawdził, czy w pobliżu nie ma żadnego krawężnika – esbecy lubili wystawiać mandaty za wydumane wtargnięcia na pasy – i dopiero wówczas przeszedł przez jezdnię.

Chwilę później stanął przy busie.

Nieznajoma otworzyła drzwi, zaraz potem uruchomiła wirtualfona.

– Kurier o numerze identyfikacyjnym dwa dwa zero zero zero jeden jeden zgłasza potrzebę udzielenia pomocy technicznej przez innego obywatela. Potwierdź. – Uśmiechnęła się. – Dzięki!

Popatrzyła na niego i wskazała na siedzenie pasażera.

– Wsiądziesz?

Nie zastanawiał się ani chwili.

– Co u ciebie? – spytała, kiedy już zajął miejsce.

– Jak masz na imię? – zignorował pytanie. Nie pozwolił jej odpowiedzieć, mówił dalej jak najęty. – Nie spytałem cię, jak masz na imię. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem wcześniej. Od razu. Pierwszego dnia, jak się poznaliśmy. Nie wiem.

Przerwała mu, delikatnie kładąc palec na jego ustach.

Krzyk poczuł, jak przez całe ciało przechodzi mu przyjemny prąd.

– Marzena – odparła. – Bo się bałeś.

Nie wiedział, co ona ma na myśli.

– Bałem się?

– Nie spytałeś mnie o to, jak mam na imię, bo się bałeś.

Nadal nie rozumiał, był zbyt skołowany.

– Czego?

– Kary – wyjaśniła. – Bałeś się kary, jak każdy inny obywatel. Są dotkliwie. Mnie to przeszkadza.

Kabina była wypełniona zapachem perfum mieszającym się z wonią jej ciała. Kręciło mu się od tego w głowie.

– Kara? – zadał kolejne pytanie.

Zaprzeczyła.

– Przeszkadza mi to, że ludzie nie mogą się do nas odzywać – wyjaśniła. – Tylko „dzień dobry” i „do widzenia”. Czuję się jak zakonnik w pustelni.

Ja czasem tak się czuję we własnym domu... – rzekł Krzyk w myślach, a na głos powiedział:

– A ty nie chcesz wiedzieć, jak ja mam na imię?

– Janek.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Skąd wiesz?

– Trochę znam historię. – Zaśmiała się. – Poza tym znają cię wszędzie, nie tylko w tej enklawie.

Znów na nią spojrział. Nie odezwał się, gorączkowo analizował w myślach. Podświadomość podpowiadała mu, że Marzena powiedziała właśnie coś ważnego, ale nie potrafił tego nazwać.

Sięgnęła ręką za siedzenie. Wyjęła stamtąd dwie półlitrowe butelki. Jedną podała Krzykowi.

– Nawet nie pytam, czy chce ci się pić.

Bez słowa odkręcił korek, opróżnił zawartość do ostatniej kropli.

– Dokąd idziesz? – spytała po chwili.

A to ma jakieś znaczenie? – pomyślał, a na głos powiedział:

– Wracam z pracy.

Zmarszczyła nos.

– Jej charakter jest chyba dość osobliwy – rzekła, krzywiąc się nieznacznie.

Spojrzał na nią oczami pełnymi przerażenia. Kompletnie zapomniał, jak bardzo musi od niego walić!

Zaśmiała się przyjaźnie.

Gorączkowo myślał, jak się zachować. Najrozsądniej byłoby wysiąść, na powietrzu ubranie tak bardzo nie śmierdziało. Ale wtedy mógłby się na nich napatoczyć jakiś patrol prewencji.

Jego rozmyślenia przerwała Marzena.

– Nie przeszkadza mi ten zapach... – powiedziała ciepło. – Wtedy, jak cię spytałam, gdzie pracujesz, nie odpowiedziałeś wprost. Potem się nad tym zastanawiałam...

– I do jakiego wniosku doszłaś? – szepnął.

– Że się czegoś wstydzisz... – odpowiedziała bez zastanowienia. – Zupełnie niepotrzebnie...

Nachyliła się w jego stronę.

Krzyk wciągnął głęboko powietrze. Miał wrażenie, jakby jej zapach wypełnił całe jego ciało.

Pochyliła się jeszcze bardziej, przymykając oczy.

Patrzył na jej twarz, przywołując z pamięci to, co czuł, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Potem wspomniął pustkę w sercu, gdy zniknęła pierwszy raz.

Musnęła swoimi wargami jego usta.

Mało brakowało, aby się odsunął. Był przerażony. Jeśli ona znowu zapadnie się jak kamień w wodę? Jeżeli za chwilę on wysiądzie z busa – a przecież nie będzie tu mógł siedzieć w nieskończoność! – powiedzą sobie cześć, a następnego dnia już jej nie zobaczy?

Wtem Marzena odsunęła się i otworzyła oczy.

– O czym myślisz? – szepnęła.

– O tobie... O tym... – Zawahał się.

W jej oczach pojawiły się ogniki.

Krzyk cały czas zastanawiał się, jak ubrać w słowa to, co czuł.

– Myślę o tym, że nie chciałbym cię znowu stracić...

Chwyliła go za ramię, przyciągnęła do siebie i wpiła się swoimi ustami w jego. Całowali się długo, kiedy przestali, powiedziała:

– Z tyłu jest więcej miejsca!

Przecisnęła się pierwsza, Krzyk za nią. Przywarła do niego, on zaczął rozpinąć jej służbowy uniform, złorzecząc w duchu ogromnym guzikom w kolorze złota. Kiedy skończył, chwycił za swoją koszulę, ściągnął ją, krzywiąc nos, bo ubranie śmierdziało gównem.

Przysunął swoją twarz bliżej szyi Marzeny. Wciągnął ten cudowny zapach, aby zabić fetor własnego ciała.

Obróciła się do niego plecami. Rozpięła pasek, zrzuciła spodnie i oparła dłonie o ścianę samochodu.

Krzyk spojrział na seksowne figi i poczuł, jak rośnie w nim podniecenie. Położył dłonie na pośladkach, delikatnie wsunął palce pod skąpy materiał. Poczuł, że zadrzała.

Zsunął majtki, zaczął wodzić opuszkami po jej delikatnej skórze, chwilę później wsunął dłoń między nogi i poczuł przyjemne ciepło.

Marzena mruknęła cicho.

Nagle Krzykiem targnął paroksyzm bólu.

Jeśli ona zniknie, to tym razem tego nie przeżyje. Co będzie wtedy z Nikołą?!

– Chcę jeszcze... – szepnęła.

Krzyk chciał ją odepchnąć, odsunąć od siebie. Powiedzieć, że nie mogą. Że on nie może. Że lepiej, jak rozstaną się już teraz. Że każda kolejna chwila przyniesie później większe cierpienie.

Ale nie potrafił.

Marzena się odwróciła, przyciągnęła go do siebie. Zdjęła mu brutalnie spodnie, nie przejmując się guzikami w rozporoku, które wystrzeliły w powietrze.

Krzyk czuł, że powinien się sprzeciwić, krzyknąć, że musi już iść. Że czekają na niego w piwnicy. Że Matka i Boguś nie mogą znów harować sami.

Marzena wsunęła dłoń w jego majtki.

A jeśli właśnie się dokopywali?!

Zacząła go delikatnie masować.

Nieważne! – krzyknął Krzyk w myślach i rzucił się na nią jak wygłodniałe zwierzę. Obrócił ją z powrotem, rozchylił nogi i wszedł w nią gwałtownie.

Jęknęła.

Zaczął ruszać się miarowo.

Znów jęknęła.

Przyśpieszył.

Mruknęła raz, drugi, trzeci, a on poruszał się coraz szybciej.

Kiedy skończył, jej ciało zadrżało mocno, zaraz potem stracili równowagę i runęli na podłogę auta zasłaną leżącymi w nieładzie paczkami.

Marzena się zaśmiała, zaczęła ubierać. Poszedł w jej ślady.

– Co teraz? – spytała, kiedy siedzieli już w fotelach.

Krzyk nie odpowiedział od razu, w głowie miał gonitwę myśli, przyjemność mieszała się ze strachem. Analizował intensywnie, układał elementy puzzli, wreszcie udało mu się namierzyć tę myśl, której załączek pojawił się, kiedy okazało się, że Marzena wie, jak on ma na imię. Zrozumiał!

Zadrżał nerwowo, modląc się przy tym w duchu, aby nie zauważyła tej reakcji. Jeśli miał rację i się nie mylił, musiał działać. Natychmiast.

– Co teraz? – powtórzył.

Potaknęła w milczeniu.

Uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy.

– Teraz chciałbym cię prosić o pewną przysługę.

Rozdział 42

Poprosił Marzenę, żeby wysadziła go na przystanku przy skrzyżowaniu Wyszyńskiego z Węgierską, bliżej wolał nie podjeżdżać, jeszcze któryś z sąsiadów z lornetką mógłby go zobaczyć.

Pożegnał się krótkim, ale namiętym całusem i pognął w stronę bloku. Śpieszył się, musiał jak najszybciej skontaktować się z Matką i Bogusiem.

Wszedł do mieszkania, zamierzał jedynie zostawić plecak, zjeść coś na szybko i zejść do piwnicy.

Słuchał właśnie poleceń lodówki, kiedy w kuchni pojawiła się Nikola. Od razu przeszła do sedna.

– Spotkałeś ją?

– Mamę?

Zrobiła zdziwioną minę.

– Tato, nie żartuj sobie... Kiedy ostatnio podśpiewywałeś tak radośnie pod nosem z jej powodu?

Westchnął głęboko.

– Właśnie – skwitowała. – To jak, spotkałeś tę kurierkę? – Spotkałem... – Uśmiechnął się na samo wspomnienie tego, co wydarzyło się w busie. – Ma na imię Marzena.

– Opowiadaj!

– Teraz nie mogę, śpieszę się – wyjaśnił. – Mama jest w domu?

– Nie ma, chyba że chodzi ci o reportaż z jej udziałem...

– Jaki reportaż?

– To ty nic nie wiesz? – zdziwiła się. – Od rana pokazują ją na lokalnym paśmie... Już chyba trzy razy ją widziałam... Podobno za kilka dni pójdzie też w głównym wydaniu...

– Mogłabyś jaśniej?

Nikola ruszyła do salonu.

– Sam zobacz.

Uruchomiła ekran, wybrała program z archiwum, włączyła odtwarzanie.

Krzyk patrzył na szeroko uśmiechniętą twarz Ady, na to, jak dumnie prezentuje opaskę w nowym kolorze. Zaraz potem słuchał gratulacji składanych przez Pierwszego Przewodniczącego. Wkładał w nie jakoś podejrzenie dużo serca. Czyżby to on przysłał po nią tamtą limuzynę, do której wsiadła pod kościołem?

– Od rana odbieram esemesy od koleżanek z klasy – rzekła Nikola nagle. – Zastanawiam się, czy wszystkie są szczere...

Popatrzył na córkę, uważnie się jej przyglądając.

– Nie wyglądasz na zadowoloną – powiedział po chwili. – Chyba powinnaś się bardziej cieszyć...

– Godzinę temu dzwoniła ciocia Lena. Wcześniej rozmawiała z matką. Złożyła jej gratulacje i spytała, czy może zarejestrować wizytę u nas. Wiesz, co jej odpowiedziała?

Nie wiedział, ale się domyślał.

– Że nie ma czasu, bo odwiedza nowych znajomych – mówiła Nikola dalej. – Jakby się jej wstydziała.

– Może źle ją zrozumiałaś? Albo ciocia źle zrozumiała mamę?

– Jeszcze jej bronisz? – podniosła głos. – Sprzedała się i tyle!

– Nie mów tak...

– Ciebie i mnie też by sprzedała!

Krzyk milczał, był zdumiony. To już nie były tylko jego przemyślenia i obawy. Skoro Nikola też tak to widziała, coś musiało być na rzeczy.

– Już wcześniej nie było między wami za dobrze... – Córka kontynuowała. – Ale odkąd zaczęła mówić o tym awansie, to stała się niemożliwa. Ile razy podzieliła się chociażby jedną butelką? Raz, dwa?

– To był jej przydział...

– Znowu jej bronisz... – Westchnęła głęboko. – Wiedziałeś w ogóle o jej awansie?

Nie widział powodu, aby kłamać.

– Nie miałem pojęcia – rzucił przygaszony. – Nic mi nie powiedziała.

Pomyślał, że błyskawicznie uwinęła się z awansem i to od razu na drugą kategorię. Jeśli tak, to miała znajomości. Mógł się założyć, że rozwód też spróbuje

załatwić.

– A wiesz, że była dzisiaj w domu? – rzekła Nikola. – Może godzinę temu... Przebrała się i wyszła. A... Jeszcze pytała, co robiłeś wczoraj wieczorem.

Krzyk zareagował gwałtownie.

– Co odpowiedziałaś?

– Że byłeś w kościele.

Odetchnął z ulgą.

Córka bacznie mu się przyglądała.

– Nie powinieneś się z nią wiązać... – powiedziała po chwili.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Słucham?

– Wasz związek oparty był na kruchych podstawach... Skąd ty, dziecko, możesz o tym wiedzieć?! – wrzasnął w myślach, a na głos powiedział:

– Czy ty nie posuwasz się za daleko?

– Ale to jest zdanie matki – odcięła się błyskawicznie. – Słyszałam, jak mówiła o tym przez wirtualfona... Chyba Oksanie...

Zmroziło go. Tak, rozwód z pewnością był już w trakcie załatwiania.

– Kochasz ją? – spytała.

– Malina... – Zawahał się. – To nie jest takie proste... – Jest! Kochasz kogoś albo kogoś nie kochasz. Kochasz, to z nim jesteś. Nie kochasz, nie jesteś.

Pokiwał głową pobłaźliwie.

– Uwierz mi, życie bywa bardziej skomplikowane – westchnął. – To nie jest telenowela dla młodzieży.

– To jak: kochasz ją czy nie?

Milczał.

– No? – naciskała.

Nic nie odpowiedział. Nie miał siły skłamać. Nie chciał tego robić.

– To znaczy, że jej nie kochasz.

Fakt, że usłyszał to od własnej córki sprawił, że poczuł coś w rodzaju ulgi. Do tej pory sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, próbował tłumaczyć Adę, siebie, ich oboje. Teraz zrozumiał, że niepotrzebnie.

– Wyprowadzi się od nas? – spytała Nikola.

– Nic mi na ten temat nie mówiła.

– Wydaje mi się, że zabrała trochę swoich ubrań. – Wstrzymała na chwilę głos. – Ona kogoś ma, prawda? – Chyba tak... – Zaczął wyliczać w głowie, ile rzeczy na to wskazywało. Strój kąpielowy znaleziony przez córkę, dodatkowe dyżury, które najpewniej były tylko kłamstwem mającym przykryć potajemne schadzki. – Tak mi się wydaje...

– To znaczy, że się wyprowadzi. Może to i lepiej, że przestaniemy żyć tak, jak do tej pory?

Krzyk popatrzył na Nikołą, myśląc o tym, jak mógł przegapić moment, w którym zaczęła dorośleć.

– Damy sobie radę bez niej? – spytała.

– Masz na myśli dzienny przydział rodzinny?

Potaknęła nerwowo.

Krzyk sięgnął do plecaka, wyjął butelkę otrzymaną od Marzeny, podał córce.

– Skąd masz?

Uśmiechnął się.

– Pij, a nie gadaj.

Odkręciła korek, przytknęła szyjkę do ust.

Krzyk patrzył, jak pije i zastanawiał się, kiedy będzie mógł jej o wszystkim powiedzieć.

– Śpieszę się – rzekł. – Zobaczymy się wieczorem. Wrócę przed godziną policyjną.

Wcale nie był tego taki pewien.

Musiał zejść do piwnicy, przebrać się w ubranie robocze, przecisnąć kanałem do Matki oraz Bogusia i powiedzieć im, że muszą na dzisiaj kończyć, bo on potrzebuje zabrać sprzęt do oszukiwania opasek.

A gdy spytają, dlaczego, nie będzie mógł powiedzieć prawdy.

Bo jak zareagowałiby, gdyby im wyjaśnił, że zamierza ukraść narzędzia, których absolutnie nie potrzebują do kopania?

Rozdział 43

O dziwo Boguś i Matka tym razem oszczędzili mu złośliwości. Trochę tylko ponarzekali, że muszą kończyć kopanie, choć dopiero zaczęli. Krzyk zabrał urządzenie do manipulowania odczytami opasek i poszedł na umówiony parking.

Marzena już na niego czekała w busie.

– Rozwiozłaś resztę paczek? – spytał.

– Tak – potwierdziła. – Tył jest pusty.

Obejrzał się za siebie.

– Co powiedziałaś bazie? – pytał dalej.

– Że na dzisiaj skończyłam i mam coś do załatwienia prywatnie.

– Niczego nie będą podejrzewać?

– Wszyscy dorabiają na boku. – Wzruszyła ramionami. – Normalka.

– To dobrze – ucieszył się. – Nikt cię nie będzie szukał. – Dokąd jedziemy?

– Tam, gdzie pracuję – odparł. – Do oczyszczalni ścieków.

*

Kiedy byli kilometr od celu, Krzyk kazał Marzenie zjechać w leśną drogę, potem prowadził ją, aż dotarli na miejsce. Zatrzymali się, odczekali kwadrans, upewniając się, że są sami.

– To nie jest oczyszczalnia – zauważyła.

Pokazał ręką na ogrodzenie, do którego mieli 150, może 200 metrów.

– Oczyszczalnia jest tam – wyjaśnił. – A my przyjechaliśmy po to.

Zaczął odgarniać niepozorną stertę gałęzi. Chwilę później Marzena zobaczyła podłużny pakunek o długości równej mniej więcej jej wzrostowi i średnicy niespełna pół metra.

Krzyk chwycił z jednej strony, ona z drugiej. Razem udało im się wsunąć przedmiot do busa, choć musieli się sporo natrudzić.

– Nie mogłeś poprosić kogoś o pomoc? – spytała, sapiąc głośno z wysiłku. – To cholera waży z tonę.

– Nie przesadzaj – uciął. Wcześniej nie wtajemniczał jej w szczegóły. Powiedział jedynie, że potrzebuje pewnej maszyny do nie w pełni legalnego przedsięwzięcia.

– Co to jest? – spytała, siadając za kierownicą.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Teraz mi to mówisz? – zirytowała się. – To będzie kradzież! Wiesz, co za to grozi?

– Szubienica – odparł spokojnie. – Nikt nie zgłosi żadnej kradzieży. Czy złodzieja można okraść? Jak myślisz, dlaczego to było ukryte poza terenem oczyszczalni? Bo ten, kto to zrobił, sam wcześniej dokonał kradzieży. – Nie zamierzał wyjaśniać, że jeden z kierowników od dawna dorabiał sobie na boku i to całkiem niezłe sumy.

– Czyli kto?

– A czy to ważne? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Udała obrażoną.

– Nic mi nie chcesz powiedzieć! – burknęła. – Nawet nie wiem, z kim działasz i ilu was jest...

– A po co ci ta wiedza? – odbił piłeczkę. – Pamiętaj: im mniej wiesz, tym krócej jesteś przesłuchiwana...

Spojrzała na niego przerażona.

– Przesłuchiwana?

– Już powiedziałem, żebyś się uspokoiła.

– Mógłbyś chociaż powiedzieć, ile osób działa w tym przedsięwzięciu – naciskała.

– Nie mógłbym – skontrował. – Wiesz, jaka jest żelazna zasada konspiracji?

– Pojęcia nie mam...

– Poszczególne ogniwa wiedzą tylko o swoim istnieniu, nie o strukturze całej grupy. O ile taka jest.

– To ilu was jest?

Zazgrzytał zębami.

– Właśnie ci powiedziałem, że nie mogę zdradzić – wycodził.

Zaczęła nerwowo bębnić palcami w kierownicę.

– Żałuję, że dałam się namówić... Nie chcę trafić do więzienia!

– Nie trafisz – zapewnił.

– Dokąd z tym jedziemy?

– Do lasu – odparł.

*

Kwadrans później dotarli na miejsce: jakieś pół kilometra od kościoła i bloku na Słowackiej. Wyładowali maszynę, po czym Krzyk ukrył ją, wykorzystując ten sam patent.

Wsiedli do busa, ruszyli w drogę powrotną.

– Czemu zostawiłeś ją tutaj? – spytała.

– Przecież nie mogę jej targać na oczach kamer – odpowiedział. – Przyjdziemy po nią za kilka dni. Dopiero wtedy będzie potrzebna.

– My, to znaczy kto?

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie ty – powiedział.

– Co my właściwie ukradliśmy?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Zakłęła cicho pod nosem.

Krzyk tego nie skomentował. Nie zamierzał zdradzać jej, że kompaktowa maszyna była przeznaczona do wierceń, a z tego modelu korzystali Pierwszaki mający koncesje na wykonywanie odwiertów i posiadanie własnych ujęć na wypadek awarii sieci, co często zdarzało się ze względu na słabe ciśnienie.

Tak samo nie planował mówić jej, że tak naprawdę wcale tego świdra nie potrzebował.

Nagle uderzyła otwartą dłonią w deskę rozdzielczą.

– Nie podoba mi się, jak mnie traktujesz!

– To dla twojego bezpieczeństwa – skłamał gładko.

– O moim bezpieczeństwie mogłeś pomyśleć wcześniej. Zanim poprosiłeś mnie o taką przysługę. A jak coś mi się przez ciebie stanie?

– Już powiedziałem: nic ci nie będzie. – Uśmiechnął się szeroko.

Włos ci z głowy nie spadnie – dodał w myślach. Nawet Medynia nie był aż takim skurwysynem, żeby krzywdzić własnego pracownika.

Rozdział 44

Ada od godziny siedziała w salonie i niemiłosiernie się nudziła. Kiedy rano Grześ zapraszał ją do siebie, obiecywał niespodziankę. I to taką, na widok której majtki miały jej spaść z pupci, tak powiedział.

Niestety, nic takiego się nie wydarzyło. Kiedy limuzyna przywiozła ją do Jarogniewic, okazało się, że Bernat gości u siebie kilku ważnych polityków z sąsiednich enklaw. Jedynym spośród nich, w miarę godnym uwagi, był Piotrek Newman – celebryta znany jej doskonale z telewizyjnego ekranu. Tak naprawdę nosił inne, pospolite nazwisko – którego opinia publiczna nie znała – ale po sukcesie, jaki odniósł, odykując ubikacje najbardziej znanych osób w kraju, postanowił w ten sposób dodatkowo się wyróżnić. Co prawda mówił bardzo niewyraźnie, wypowiadał się nieskładnie, co chwilę kalecząc język polski, ale za to pachniał najprzyjemniej z nich wszystkich.

Przysłuchiwała się dyskusji na temat zbliżających się wielkimi krokami wyborów prezydenckich, jednocześnie myślała tylko o tym, jakby się stąd wyrwać. Już po przekroczeniu progu dotarło do niej, że Grzesiowi wcale nie chodziło o sprawienie jej niespodzianki, a jedynie o to, by móc się nią pochwalić przed ważnymi kolegami.

Po spojrzeniach, jakie na niej zawieszali, wiedziała, iż spełniła zadanie w stu procentach. Co nie znaczyło, że nie była na Grzesia wściekła. Traciła czas na słuchanie głupot, a przecież mogła go spożytkować w zupełnie inny sposób!

Odeszła na bok, uruchomiła wirtualfona, połączyła się z nową kosmetyczką i umówiła wizytę jeszcze na ten wieczór. Najchętniej od razu skorzystałaby z usług fryzjerki, niestety, na to musiała jeszcze poczekać, włosy dopiero zaczęły odrastać.

Odciągnęła Grzesia na bok, wyjaśniła, że musi wyjść, nie słuchając jego sprzeciwu, po czym pożegnała się z resztą towarzystwa.

Kiedy szła do limuzyny, na trawnikach dookoła nagle wystrzeliły zraszacze. Bez namysłu rzuciła się pędem do auta. Wsiadła, zajęła miejsce na wygodnej kanapie i wtedy ją olśniło.

Zaśmiała się tak głośno, że zaskoczony szofer spojrział w lusterko wsteczne.

Zachichotała ponownie. Jeszcze kilka dni temu nie zachowałyby się w ten sposób. Nie uciekałyby przez zraszacze – wręcz przeciwnie! – podeszłyby do nich jak najbliżej i stała, ile tylko by się dało.

A teraz uciekała od nich na złamanie karku! Dlaczego? Bo nie musiała się już martwić wieczornym szukaniem jakiejś zachomikowanej butelki po schowkach albo tym, że będzie musiała odganiać się od natrętnej Nikoli, łązącej za nią jak cień i błagającej o łyk picia.

Gówniara!

A jej tatuś nie lepszy...

– Do kosmetyczki – powiedziała kierowcy i zerknęła na zegarek. Zobaczywszy, która jest godzina, musnęła palcami ekran telewizora.

Ku jej ogromnemu zdziwieniu zamiast znanego sobie lektora z Dziennika Wieczornego zobaczyła jakiś program rozrywkowy. Będąc pewną, że coś poknociła, jeszcze raz sprawdziła czas.

Nie myliła się, to była pora serwisu informacyjnego!

Zaczęła z uwagą przyglądać się ekranowi i po chwili zauważyła zupełnie inne oznaczenie kanału od tego, do jakiego była przyzwyczajona.

To nie był pierwszy i jedyny kanał Telewizji Państwowej, tylko zupełnie coś innego!

Nagle, tknięta przecuciem, weszła w menu i już po chwili zmieniała programy jeden po drugim.

Naliczyła sześć.

Sześć różnych kanałów, od sportowych, przez rozrywkowe i publicystyczne po dwa emitujące jakieś zagraniczne seriale.

Nie mogła uwierzyć!

Wtem limuzyna się zatrzymała. W pierwszym momencie nawet nie spojrzała przez szybę, przyjęła, że dotarli na miejsce. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że od wyjazdu z Jarogniewic minęło zbyt mało czasu.

Coś było nie tak.

Nagle okno kierowcy zjechało w dół, zaraz potem szofer wyskoczył z wozu jak oparzony. Zanim zdążyła zareagować, ktoś otworzył drzwi z jej strony. Chwilę

później Medynia niezdarnie wpakował się do środka, trzymając w dłoni cienką szarą teczkę.

– Jaki piękny zachód słońca – rzekł. – Prawda?

Nic nie odpowiedziała, była przerażona. Czego on znów od niej chciał?!

Esbek najwyraźniej wiedział, o czym ona myśli, bo pomachał aktówką.

– Mam coś dla pani.

Cały czas milczała, jeszcze nie zdążyła ochłonąć.

– To są papiery rozwodowe – powiedział.

Sięgnęła ręką, ale zanim dotknęła teczki, mężczyzna odłożył ją na siedzenie między sobą i drzwiami.

– Nie tak szybko... Na pieszczoty trzeba sobie zasłużyć. – Robiłam, co pan chciał.

Popatrzył na nią uważnie, jakby z oczu chciał wyczytać, co myśli.

– To wciąż mało – rzekł z naciskiem. – A może znowu usłyszę, że Janek poszedł wczoraj do kościoła? – Skrzywił się w kpiącym uśmiechu. Nie musiał jej przecież mówić, że to była jedna z najcenniejszych informacji, jakie udało mu się uzyskać w tym śledztwie. Lepiej pozostawić ją w nieświadomości.

– Bo poszedł.

Znów pomachał teczką.

– Chcę coś więcej! – krzyknął. Potem nagle ściszył głos: – A może mam wrócić do biura i włożyć je do niszcarki?

– A skąd mam wiedzieć, że to naprawdę są moje papiery rozwodowe? – wypaliła.

– Nie wierzysz mi? – Odpiął teczkę, otworzył ją.

Wystarczyło, że spojrzała na pierwszą stronę.

Zamknął aktówkę i schował za siebie.

– A teraz pomyśl i daj mi coś, co mnie zadowoli!

Intensywnie myślała.

– Ale nie wiem, co... – powiedziała po chwili.

– O czym Janek mówi w domu? Z kim utrzymuje kontakty towarzyskie? Z kim się spotyka?

– Ostatnio prawie w ogóle się nie odzywa... – Zrobiła pauzę. – Kontaktów towarzyskich od dawna nie utrzymujemy... A spotyka się jedynie z sąsiadami

z bloku...

– Jakimi sąsiadami? – podłapał natychmiast.

– Jest takich kilku sąsiadów, z którymi Janek się przyjaźni... Tak mi się wydaje...

– Co ci się wydaje? Że kilku? Czy że się z nimi przyjaźni?

– Jedno i drugie...

– Nazwiska!

– Kasprzyk – rzekła cicho.

Medynia zanotował je w myślach.

– Następne! – warknął.

– Wojcieszak – rzuciła.

– Dalej!

– Łazik...

– Ten już nie żyje – skwitował krótko. – Kto jeszcze?

Na końcu języka miała jeszcze dwa nazwiska, ale nie mogła ich sobie przypomnieć. Nagle ją oświeciło, miała chociaż jedno!

– Grabowski.

Medynia zmarszczył brwi.

– Grabowski? – powtórzył. Znam go... – rzucił w myślach. Jego żonę też. Oboje to element społecznie niebezpieczny...

Nagle zorientował się, że kobieta przypatruje mu się z uwagą. Postanowił zmienić temat.

– Wiesz, jak mówią na wasz blok?

Co ją to obchodzi?!

– Nie – odparła, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– Najweselszy barak na osiedlu. Wiesz, skąd takie porównanie?

– Nie.

– Akurat mnie to nie dziwi – mruknął. – Jak mało ludzi zna dzisiaj historię najnowsza... Mniejsza z tym. Mogę ci obiecać, że wkrótce nie będzie to najweselszy barak na osiedlu. – Zaśmiał się.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

Medynia zaczął podsuwać teczkę w jej kierunku, ale nagle zabrał ją z powrotem.

– A mąż? – spytał.

– Były mąż – poprawiła.

Pomachał teczką.

– Jeszcze nie – zauważył. – Co robił wczoraj i dzisiaj?

– Dzisiaj jeszcze się nie widzieliśmy. A wczoraj? Już mówiłam: był w kościele.

Wbił w nią spojrzenie.

– Czegóż mi nie mówisz... – W jego głosie czaiła się groźba.

Spojrzała na aktówkę, potem na esbeka i podjęła decyzję. Niczym nie ryzykowała, a mogła tylko zyskać. No i chciała wreszcie mieć te papiery w dłoni!

– Chyba ma kogoś na boku... – powiedziała cicho.

– Skąd wiesz?

– Kobieta wie takie rzeczy.

– A on wie, że ty masz kogoś na boku?

Roześmiała się.

– On jest mężczyzną – rzuciła. – A mężczyźni dowiadują się ostatni...

Medynia zmarszczył brwi.

Dotarło do niej, że teraz ma okazję odplacić mu się za wszystko.

– A pańska żona nie ma nikogo? – spytała. – Myślał pan o tym kiedyś? Całe dni i noce spędza pan w pracy... Musi być bardzo samotna... A samotne kobiety łatwo ulegają pokusom...

W głowie esbeka przemknęła myśl, że ta cipa może mieć rację.

Ada położyła rękę na teczce, wyjęła ją esbekowi z dłoni. Ten nawet nie zareagował. Wysiadł.

Zaraz potem szofer wrócił na miejsce i limuzyna odjechała.

A Medynia stał i patrzył, jak się oddala.

– Co za pizda! – zaklął nagle. Gdyby nie należała do Bernata, inaczej by sobie porozmawiali!

Machnął ręką. Mniejsza z nią. Nowa dupa Pierwszego już się nie liczyła. Teraz co innego było najważniejsze, a on właściwie mógł pozwoli przymierzać się odtrąbienia sukcesu.

– Cierpliwość popłaca – szepnął sam do siebie. Kapitalnie to rozegrał! Nie dość, że zwinie w błysku kamer bohatera wojennego, to jeszcze dorzuci kilku współników i będzie miał zorganizowaną grupę przestępczą.

Nieoczekiwanie jego rozmyślenia przerwał sygnał przychodzącego połączenia. Uruchomił wirtualfona, spojrzął na ekran, skrzywił się, widząc, że dzwoni Wicha.

– Czego chcecie?... – warknął na wstępie. – Mówcie powoli, bo w ogóle nie można was zrozumieć... Tak, teraz słyszę dobrze... Kto dzwonił?... Co powiedziała?... Aha... To świetnie... Nie podejmujcie żadnych kroków, dopóki nie wrócę na Partyzantów... Zrozumiano?!

Skończył rozmowę, zamknął wirtualfona i szeroko się uśmiechnął.

Właśnie się zaczynało.

Rozdział 45

Jeśli temu małemu esbekowi wydaje się, że jest niewidoczny, to niech mu się dalej tak wydaje – pomyślał Krzyk, wychodząc z klatki schodowej bloku i kierując się w stronę kościoła.

Kiedy razem z Marzeną wracali z lasu, wysadziła go na przystanku przy Łużyckiej, obok dawnych ogródków działkowych, dziś zrównanych z ziemią. Minął kościół, jak zawsze uważnie taksując wzrokiem otoczenie, i od razu go zauważył. Jak na mieszkańca osiedla zachowywał się zbyt naturalnie. Nikt z tych, których Krzyk znał osobiście lub tylko z widzenia, nie pozwalał sobie na wolne spacerowanie o tak późnej porze.

Wszedł do mieszkania, a nie znalazłszy niczego do picia, niemal od razu z niego wyszedł. W piwnicy sprawdził jeszcze, że Boguś i Matka zostawili ciuchy – co znaczyło, że znów kopali w pocie czoła – potem mógł robić swoje.

Teraz szedł rażno, krok za krokiem, na plecach czując wzrok szpicla. Cieszyło go to, lepszego potwierdzenia, że wszystko idzie zgodnie z planem, nie mógł oczekiwać.

Odruchowo spojrzął nad wejście do świątyni i tylko się skrzywił. W kościołach nie było ani systemów monitorujących temperaturę ciała, ani tym bardziej ekranów – podobnie jak w gmachach administracji rządowej i samorządowej – tutaj chociaż przez chwilę mógł poczuć cień wolności.

Był tak spragniony, że zaraz po wejściu do środka zatrzymał się i podstawił dłoń pod kropielnicę. Odczekał do piknięcia oznaczającego wyczerpanie się limitu, po czym zlizął tych kilka kropli, które udało się nazbierać. Miały metaliczny posmak, ale już dawno temu nauczył się go ignorować.

Zatrzymał się przy drzwiach prowadzących do piwnicy, gdzie niegdyś znajdowała się dolna kaplica, a teraz mieściły się jedynie pomieszczenia gospodarcze. Jak zawsze w ciągu ostatnich tygodni zrobił to w sposób niezauważalny dla wiernych modlących się na mszy, korzystając z grubej zasłony.

Drzwi były co prawda zabezpieczone zamkiem, ale mechanizm był bardzo stary i poradził sobie z nim bez najmniejszego problemu.

Zszedł na dół, dostał się do największego pomieszczenia. Pod jedną ścianą leżało kilka worków kleju, które złożył tam już jakiś czas temu, znalazłszy je porozrzucane po piwnicznych zakamarkach. Był przeterminowany, ale na jego potrzeby wystarczał w zupełności. To, czym się teraz zajmował, nie musiało przetrwać aż do wieczności.

W narożniku za workami leżała ogromna sterta połamanej glazury, mniejszych i większych kawałków o przeróżnych kolorach. Domyślał się, że to pozostałość po przygotowaniach do remontu, jaki planowano po zakończeniu wojny. Z zamiarów nic nie wyszło, a zgromadzone materiały leżały, czekając najwidoczniej na lepsze czasy.

Podszedł do nich, zaczął wybierać takie fragmenty, których potrzebował. Kiedy zobaczył tę stertę pierwszy raz, zastanawiał się, po co ktoś nazbierał tego aż tyle. W większości płytki nie nadawały się do wykładania podłogi i ścian, były połamane i wyszczerbione.

Pamiętał jak dziś, że pomyślał wówczas, że do niczego się nie przydadzą.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że się mylił.

Jemu się przydały.

Rozdział 46

Otrzymaawszy raport od kurierki, Medynia od razu wezwał ją do siebie, mimo późnej pory. Zanim dojechała, zdążył jeszcze zwołać naradę w najbliższym gronie.

– Jakież nowe dane z podsłuchu w mieszkaniu? – spytał kapitana.

Wicha nie znosił późnych odpraw, głównie z tego powodu, że pułkownik był podczas nich szczególnie nieprzyjemny. Nie bez znaczenia był również fakt, że prawie zawsze kończyły się one przedłużeniem zmiany aż do rana ze względu na zarządzoną obserwację. Zdarzały się też nocne obławy, a przedzierania się przez leśne ostępy po ciemku wręcz nienawidził.

– Nic – odpowiedział z duszą na ramieniu, zachodząc w głowę, co tym razem Medynia wymyśli. – Jedyne, co moglibyśmy zrobić, to postawić zarzuty nieobyczajnego zachowania online córce.

Brzozowski i Dudziak spojrzeli po sobie ze zdziwieniem wymalowanym na twarzy. Kapitan – ani tym bardziej pułkownik – nie wtajemniczali ich we wszystkie aspekty sprawy i teraz mogli się jedynie domyślać, co starsi rangą funkcjonariusze mają na myśli.

Pułkownik walnął pięścią w blat biurka.

– Jego córka lata mi koło chuja!

Trzeba było zarządzić podsłuch wcześniej, a nie dopiero po tamtym przeszukaniu... – westchnął w myślach. To był jego błąd, jego niedopatrzenie, z czego dopiero teraz zdał sobie sprawę. Nie zamierzał jednak przyznawać się do tego komukolwiek, a już na pewno nie tym trzem debilom.

Dotknął palcami wirtualnego ekranu. Zalogował się do SYCO, zaczął wpisywać polecenia.

– Teraz sprawdzimy dane za ostatni okres czasu... – zaczął mówić na głos. – Godziny wieczorne... Tak... Mamy to jak na dłoni... Rzeczywiście, figurant codziennie chodzi do kościoła i to nie są wizyty krótkie...

Zaczął nerwowo bębnić palcami w blat. Czyżby Krzyk był aż takim idiotą i przez ten cały czas nie zorientował się, że jego misja jest skazana na niepowodzenie?

A może po prostu on był od niego mądrzejszy i pomyślał, aby o kwestie techniczne pytać fachowca, a nie ograniczać się jedynie do lektury publikacji? Geologia była specyficzną nauką, a z tego, co pamiętał z rozmowy z profesorem, od dziesięcioleci o dawnych kopalniach opowiadano bajki, nie zadając sobie trudu weryfikacji.

– Janku, tyle twojej pracy pójdzie na marne... Janku... – Zaśmiał się cicho. – Tyle pracy! – Zaczął rechotać głośnie.

Nagle spojrzął na podwładnych.

– A wy czego się tak śmiejecie jak głupi do sera? – spytał, patrząc Wisze prosto w oczy.

Zaraz potem skierował groźny wzrok na Dudziaka, potem na Brzozowskiego.

Właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wlazł! – wrzasnął na całe gardło. – O, jest i nasza suczka.

Kurierka zatrzymała się w pół kroku.

– Panie pułkowniku, wypraszam sobie takie zachowanie względem mojej osoby – powiedziała cicho, ale dobitnie.

Medynia zerknął na kapitana. Widział, jak mu drgają kąciki ust.

– Zawsze najważniejsza jest suka... – powiedział Medynia. – Zawsze...

– Pan pułkownik mnie poprosił... – zaczęła mówić.

– Nie prosiłem was – przerwał jej gwałtownie. – Wezwałem was. Jest różnica.

Przyjrzał się jej uważnie. Kiedy SYCO zaproponowało podstawienie Krzykowi kobiety przypominającej wyglądem jego zmarłą żonę, był sceptycznie nastawiony do tego pomysłu. Zmienił całkowicie zdanie, gdy porównał fotografie nieżyjącej małżonki figuranta ze zdjęciami funkcjonariuszki Enklawy Wołomin obejmującej swoim zasięgiem tych kilka dzielnic Warszawy, które przetrwały wojnę.

Podobieństwo było uderzające i już wtedy wiedział, że manewr musi się udać.

I chociaż jego przeprowadzenie zaproponowała maszyna, to jednak cały splendor spływał na niego. To on, nie zważając na plany związane ze skaptowaniem obecnej małżonki Krzyka – Ady – optował za tym, aby mieć w zanadrzu wyjście awaryjne. Jak się potem okazało, dało one lepsze owoce niż rozwiązanie, które miało być tym zasadniczym.

To zasługą jego – a nie SYCO – było sprawdzenie danych płatności z karty kredytowej Krzyka i Łucji sprzed wielu lat, dzięki czemu wiedział, jakich perfum używała. Wreszcie to on wymyślił, aby zaraz po tym, jak agentka nawiąże kontakt z figurantem, wycofać ją na jakiś czas, by w ten sposób rozchwiać go emocjonalnie.

Tak, jest geniuszem, to musiałby przyznać każdy, komu udostępniło by się kulisy operacji!

A ta pinda próbowała stawiać go do pionu w jego własnym gabinecie i przed jego własnymi ludźmi?! Ty pizdo, niedoczekanie twoje!!!

Popatrzył na nią, otaksował wzrokiem. Nic dziwnego, że Krzyk połasił się na taki kawał mięcha. Powinien to zrobić, nawet gdyby agentka nie była tak podobna do jego byłej żony.

– Żeby wyjaśnić sytuację... – rzekł tonująco. – To określenie, którego użyłem, a z powodu którego pani major poczuła się tak bardzo urażona, to nasz wewnętrzny system komunikacji.

Wicha siłą woli powstrzymał się, aby nie parsknąć śmiechem. Dudziak postąpił podobnie, jedynie Brzozowskiemu się nie udało, jednak szybko zamaskował to, udając napad kaszlu.

Funkcjonariuszka z Wołomina nie była w ciemną bita.

– I co ta konkretna odzywka oznacza? – spytała z naciskiem.

Przez twarz pułkownika przemknął grymas uśmiechu. – Że podstawienie figurantowi funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa Państwa płci żeńskiej w celach seksualnych zawsze spełnia pokładane w nim nadzieje.

Kurierka zacisnęła pięści. Nie musiała patrzeć na pozostałych mężczyzn, żeby wiedzieć, jaką mają teraz satysfakcję.

– Przypominam panu pułkownikowi, że o charakterze mojej misji miało wiedzieć ograniczone grono osób – wycedziła.

– A ja chciałem przypomnieć wam, że na czas mojej – zaakcentował ostatnie słowo – operacji zostaliście oddelegowani przez macierzystą jednostkę i podlegacie mi – kolejne zaznaczenie – służbowo. Mówiąc krótko: macie wykonywać moje rozkazy.

– Ale to jeszcze...

– Milczeć! – wrzasnęła. – Nie przerywać mi, jak ja mówię!

W jednej chwili oceniła sytuację. Już wcześniej słyszała kilka razy o Medyni i, mówiąc krótko, były to zadziwiająco zgodne charakterystyki: facet miał opinię wyjątkowego skurwiela. Nie sądziła jednak, że w taki sposób zachowuje się też wobec swoich. Na domiar złego była tu sama, daleko od przełożonych i kolegów z pracy, nie mogła więc liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Musiała skapitulować, przynajmniej na razie. Potem, już po powrocie do Wołomina, mogła złożyć oficjalną skargę.

Pułkownik postanowił nagle zmienić taktykę. Lubił takie gierki, to zawsze wprawiało rozmówców w nerwowość, bez względu na to, czy dotyczyło podwładnych, czy też przesłuchiwanym.

Uśmiechnął się przepaszająco.

– Źle zaczęliśmy, pani major – powiedział. – To ważna operacja... Nie wszystko idzie zgodnie z planem... Stąd te emocje...

Nie wierzyła w ani jedno jego słowo, ale nie zamierzała dać tego po sobie poznać.

– Raportujcie, co z tą maszyną – mówił dalej.

– Zacznę od tego, że nie udało mi się jej zobaczyć – rzekła. – Podczas przenoszenia dałam radę jedynie odchylić kawałek materiału, w jaki była zawinięta. To był jakiś panel sterowniczy...

– Kwestie techniczne omówi za chwilę kapitan Wicha – wtrącił Medynia. – Interesuje mnie szczególnie stosunek figuranta do tego urządzenia.

– Panie pułkowniku, nie do końca rozumiem, o czym pan mówi.

– Czy to jest dla niego ważne?

– Dla Janka? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nie spoufalamy się z figurantami – zauważył Medynia. – Proszę używać określenia figurant lub samego nazwiska.

– Krzyk zachowywał się tak, jakby ta maszyna miała dla niego bardzo duże znaczenie – odparła po chwili namysłu. – Ale...

– Ale co? – podłapał pułkownik.

– Ale wydaje mi się, że coś tu jest nie tak... – wyjaśniła.

– Teraz ja spytam: co macie na myśli, bo chyba nie do końca rozumiem.

– Moja intuicja podpowiada mi, że coś w tej sprawie śmierdzi...

– Nic dziwnego, zabraliście to z oczyszczalni ścieków – wypalił Wicha.

Pułkownik zmierzył go groźnie wzrokiem.

– Ktoś was pytał o zdanie, kapitanie?

Wicha się nie odezwał.

– Lepiej mówcie, co ustaliliście w oczyszczalni – kontynuował Medynia.

– Nie było zbyt dużo czasu... – Wicha zaczął się pokrętnie tłumaczyć. – Pani major dała nam znać, że figurant zabiera coś spod oczyszczalni dopiero późnym popołudniem...

– Konkrety – ponaglił Medynia. – Konkrety!

– Udało się przesłuchać tylko sześcioro pracowników oczyszczalni – mówił dalej.

– To jakiś nowy kompaktowy typ maszyny do wierceń.

– Dlaczego był przechowywany poza terenem przedsiębiorstwa? – spytał Medynia.

– To nie były oficjalne przesłuchania...

– Nie każę wam pokazywać papierów do akt. Nie musicie się bać konsekwencji, jeśli jakieś procedury nie zostały dotrzymane – wycedził pułkownik. – Interesują mnie konkluzje.

Wicha spojrzał pytająco.

– Wnioski – wytłumaczył Medynia.

Kapitan się uśmiechnął.

– Biorąc pod uwagę pozyskane informacje wnioskuję, że urządzenie zostało wyniesione z terenu oczyszczalni i zastąpione jakimś dużo starszym modelem. A to ukradzione było przeznaczone do sprzedaży komuś zaangażowanemu w sektor wierceń. W okolicy kilka prywatnych firm pracuje dla kombinatu i z tego, co wiem, wykonują też drobne usługi dla ludności z Enklawy Zewnętrznej.

– Śledztwo w sprawie malwersacji zostanie wszczęte po przeprowadzeniu tej operacji – powiedział Medynia.

– Ale dlaczego figurant podjął takie ryzyko? – spytała pani major nagle. – Przecież powinien się liczyć z tym, że SYCO w jakiś sposób namierzy przewóz urządzenia, a tym samym doprowadzi nasze służby na swój trop.

– W lesie nie ma kamer – zauważył Medynia. – Poza tym nie ma zbrodni doskonałej. Gdyby przestępcy nie popełniali omyłek, nigdy byśmy ich nie łapali.

– A rury? – pytała dalej. – Jeśli Krzyk szykuje się do wierceń na dużą głębokość, będzie potrzebować od cholery rur. My zabraliśmy do busa tylko samo urządzenie.

– Musimy przyjąć, że rury załatwił wcześniej i że są już w kościele – rzekł pułkownik. – A to oznacza, że figurant szykuje się do decydującej fazy swojego projektu. Nie muszę chyba dodawać, że zbliża się najlepszy moment dla nas, aby mu te plany pokrzyżować?

Pytanie było retoryczne, nikt z pozostałych się nie odezwał.

– Dudziak, wy dokończycie przesłuchania w oczyszczalni. Pytajcie nie tylko o samo urządzenie, ale i o rury. Może ktoś coś wie? Może figurant zorganizował je właśnie tam? – powiedział Medynia. – Brzozowski, zaszyjecie się w lesie i będziecie pilnować maszyny. Jeśli tylko figurant się przy niej pojawi, dajecie znać.

– Jak długo mam tam tkwić? – spytał Brzozowski.

– Aż ktoś was zmieni – uciał pułkownik.

– Krzyk chce ją przenieść do kościoła po zmroku, kiedy oświetlenie uliczne jest wyłączane i SYCO ma ograniczone pole działania – dodała pani major.

Medynia wbił wzrok w Brzozowskiego

– Nie wolno wam spuścić tego urządzenia z oczu, jasne? – rzekł z naciskiem.

Brzozowski potwierdził.

Pułkownik przeniósł spojrzenie na Wichę.

– A wam zostaje śledzenie sąsiada figuranta o nazwisku Grabowski – rzucił. – Mamy na niego parę rzeczy w archiwum, sprawdźcie sobie.

– Tak jest! – potwierdził kapitan.

– Was trzech chcę widzieć na jutrzejszej odprawie – rzekł Medynia. – Godzinę spotkania podam wam później. I lepiej, żebyście mogli wykazać się efektami swojej pracy.

– A co ze mną? – powiedziała pani major.

Medynia obdarzył ją ironicznym spojrzeniem. To, czego potrzebował, uzyskał. Teraz nie musiał się już bawić w uprzejmości.

– Pani major dała dupy... – rzekł. – W przenośni i dosłownie. Jak było? Przyjemnie? Ile razy cię rznął?

Próbowała ukryć zaskoczenie, ale jej się nie udało.

– Dopiero co mnie pan przepraszał... – powiedziała cicho.

– Kłamałem – stwierdził Medynia. – Pyta pani, co z nią? – Udał, że się zastanawia. – Ocena pracy pani major, jaką zamierzam wystawić, nie będzie zbyt pochlebna.

Zacisnęła zęby. Chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Czuła, że i tak nie ma szans w starciu z tym sukinsynem. Przynajmniej nie da mu satysfakcji.

– Mówiąc krótko... – Medynia beknął głośno. – Może się pani szykować do karnej kompanii. I to z natychmiastowym przeniesieniem.

Rozdział 47

Piątek 17 października 2031

Były trzy minuty po piątej rano, kiedy SYCO w bezceremonialnie głośny sposób powiadomiło Wichę o opuszczeniu miejsca zamieszkania przez figuranta. Kapitanowi przysnęło się, dlatego musiało minąć kilka chwil, zanim dotarło do niego, gdzie się znajduje i jakie wypełnia zadanie.

Gdy już się ocknął, od razu wyprostował się na fotelu kierowcy i zaczął wypatrywać oczy. Grabowskiego wychwycił niemal od razu, zresztą trudno, żeby było inaczej, skoro o tej porze był jedynym obywatelem na tym odcinku chodnika.

Ze zrobionego wcześniej za pomocą SYCO wywiadu Wicha wiedział, że od poniedziałku do soboty facet codziennie tuż po piątej idzie do piekarni zlokalizowanej kilka ulic dalej, kupuje pół bochenka białego chleba wypiekanego z mąki trzeciej jakości oraz dwie bułki z nieco lepszych jakościowo składników – wszystko z poprzedniego dnia, dzięki czemu zaoszczędza trzydzieści pięć procent kwoty, jaką wydałby na świeże pieczywo. Dwa razy w miesiącu – w pierwszą i trzecią środę – brał też butelkę soku marchwiowego o pojemności jednej trzeciej litra.

Wicha wysiadł z nieoznakowanego radiowozu wyposażony w wielką płócienną torbę na zakupy, licząc, że w ten sposób będzie mógł się zakamuflować. Nie przyszło mu jednak do głowy, że bieganie po mieście z tak charakterystycznym przedmiotem na trzy godziny przed urzędową godziną otwarcia sklepów spożywczych – przynajmniej tych kilku, jakie jeszcze funkcjonowały w Enklawie Wewnętrznej, ostatnimi siłami opierając się konkurencji ze strony Elektronicznego Systemu Dostaw Żywności – zadziała odwrotnie.

Dlatego gdy tylko Grabowski się obejrzał i dostrzegł mężczyznę z torbą, zorientował się, że coś jest nie tak. Od razu przyśpieszył kroku.

Wicha był w kropce: pułkownik kazał mu nie spuszczać figuranta z oczu, nie sprecyzował jednak, jak ma się zachować, gdy ten skapnie się, że jest śledzony. Znając szefa, mógł się spodziewać najgorszego, włącznie z karnym raportem,

obcięciem premii albo nawet kilkoma dniami twierdzy, co niedawno na własnej skórze przerobił Dudziak.

Grabowski zbliżał się do tunelu mieszczącego przejście w jednym z dwóch sąsiednich długich bloków i kapitan wiedział, że musi błyskawicznie podjąć decyzję, co robić.

Dudziak i Brzozowski siedzieli w lesie, czekając na pojawienie się Krzyka, który zgodnie ze wskazaniem SYCO cały czas znajdował się w mieszkaniu, zatem to jemu nadarzyła się okazja, aby się wykazać. Może wtedy Medynia wreszcie zaczęłoby traktować go lepiej?

Z tą myślą cisnął torbą i rzucił się w pogoń, zupełnie nie przejmując się tym, że figurant nie będzie miał już żadnych wątpliwości. Był od niego dużo młodszy i lżejszy o wiele kilogramów, liczył więc, że szybko go dogoni.

Grabowski kalkulował podobnie, dlatego też gdy dotarł w pobliże ulicy Łużyckiej, po której akurat sunął ciąg śmieciarek, postanowił wykorzystać nadarżającą się okazję. Wiedział, że innej może już nie mieć.

Stanął na chodniku, szykując się do tego, aby wbiec na jezdnię między dwoma kolejnymi ciężarówkami. Z jego obliczeń wynikało, że będzie miał wystarczająco dużo czasu.

Nie wziął jednak pod uwagę tego, że dokładnie w tym samym momencie sąsiednim lewym pasem będzie poruszać się inna śmieciarka.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, było już za późno. Próbował ratować sytuację, zatrzymując się w pół kroku i prawie mu się udało. Zabrakło naprawdę niewiele, może kilkanaście centymetrów, ale to wystarczyło, aby został trafiony przednim zderzakiem ciężarówki. Siła uderzenia nie była duża, pech jednak chciał, że odrzuciło go wprost pod kolejną śmieciarkę jadącą prawym pasem. Niefart był podwójny, bo upadł tak, że jego głowa dotknęła asfaltu tuż przed tylnym kołem pojazdu.

Dźwięk, jaki zaraz potem się rozległ, był Wisze doskonale znany – a usłyszał go mimo warkotu silników.

Raz w tygodniu kapitan robił zakupy w sklepie warzywnym obsługującym wyłącznie pracowników budżetówki. Któregoś razu oprócz listy sprawunków przygotowanej przez małżonkę, z własnej inicjatywy dołączył dwa arbuzy.

W drodze do samochodu jeden z nich wypadł mu z przeładowanej torby. Kiedy roztrzaskiwał się o chodnik, wydał właśnie taki odgłos.

Teraz Wicha spoglądał, jak kierowca śmieciarki zatrzymuje wóz kilkanaście metrów dalej i włącza światła awaryjne.

Nie patrzył już jednak, jak wysiada z samochodu. Jego wzrok był zwrócony ku ciału figuranta. Kapitan znajdował się kilkanaście metrów od niego, ale i tak doskonale widział, że w miejscu, w którym zwykle tkwiła głowa, znajdowała się jedynie krwawa masa.

Wicha zaczął rzygać.

Rozdział 48

Jakoś o świcie Krzyka przebudziło wycie karetki pogotowia, ale przewrócił się tylko na drugi bok i spał dalej.

Rano, gdy wstał, pozostało po tym już tylko mgliste wspomnienie. Jedyne, co pamiętał, to przeraźliwy hałas sygnału. Tak to jest, jak się śpi przy otwartym oknie.

Westchnął, mieli połowę października, a noce wciąż były bardzo ciepłe. Zmiany klimatu pędziły jak oszalałe.

Wyszedł z sypialni i choć w przedpokoju nikogo nie zastał, poczuł się nieswojo. Jakby gdzieś za jego plecami ktoś próbował się chować.

– Malina? – powiedział głośno.

Chwilę później głowa córki pojawiła się w drzwiach jej pokoju.

– Tak? – spytała.

– Mama była może w domu?

– Matka była – potwierdziła. – Wpadła na chwilę. To ci zostawiła. – Pokazała kopertę leżącą na szafce z butami.

Zanim wziął ją do ręki i wyjął zawartość, już wiedział. Spojrzał na pierwszą stronę, miał rację. Nagłówek – „Odpis wyroku sądu w sprawie rozwodu” – nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Obrócił się, zobaczył, że Nikola zerka mu przez ramię.

– Zgodziłeś się? – szepnęła.

– Nie.

– Wiedziałeś chociaż?

Zaprzeczył wolnym ruchem głowy.

– Mogła to zrobić tak bez ciebie? – pytała dalej.

– Mogła – przyznał niechętnie. – Odkąd dostała drugą kategorię, mogła to zrobić bez problemu. To już była praktycznie formalność. Jedyne, co musiała uzyskać, to opinia Służby Bezpieczeństwa Państwa, potem... – Zrobił pauzę. Teraz miał już pewność, że Ada go sprzedała. Jeszcze do niedawna się ludził, że to, co się między

nimi działało, było zwyczajnym wypaleniem się związku i że ich życiowe drogi po prostu się rozejdą. Ale teraz sytuacja wyglądała zgoła inaczej.

– Tato, jeszcze coś... – wtrąciła Nikola. – Wiesz, że wirtualfony czasami świrują?

– Tak – zgodził się bezwiednie. Ich sprzęt był o wiele gorszej jakości niż ten dla Pierwszaków i Drugich. – Już kilka razy dostałam na swojego wirta wiadomość skierowaną do ciebie, matki, raz nawet przyszło coś do sąsiada z góry. Dzisiaj było inaczej.

– Czyli?

– Zobaczyłam esemesa wysłanego przez twoją byłą już żonę, tato.

– Do kogo?

– Nadawcy nie ma w bazie – odparła. – Numer jest zastrzeżony.

Zamyślił się. Coraz więcej elementów układanki wskakiwało na swoje miejsce.

– Jakiej treści? – spytał po chwili.

– Że wczoraj wieczorem znów byłeś w kościele.

O tym nie pomyślał, choć była to dobra informacja.

– Skąd wiedziała? – rzekł. – Wczoraj wieczorem nie było jej w domu.

Popatrzył na córkę. Dostrzegł, że jej oczy zaszkliły się łzami.

– Od ciebie?

– Ode mnie... – wyszeptała. – Jak przyszła rano z tymi papierami, to mnie pytała... Nie wiedziałam, że to tajemnica...

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Nic się nie stało – zapewnił.

Spojrzała na niego.

– Naprawdę – potwierdził stanowczo. – Tak właściwie, to nieświadomie wyrządziłaś mi przysługę.

Kiedy na jej twarzy zobaczył uśmiech, przez ułamek sekundy był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie liczył się rozwód, permanentne pragnienie, komplikacje związane z kopaniem ani to, że służby deptały mu po piętach.

Popatrzył na Nikolę, odpowiedział jej równie promiennym wyrazem twarzy.

I właśnie wtedy rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

Przyszli po mnie! – to była pierwsza myśl, jaka wpadła mu do głowy. To był już koniec. Zaraz esbecy wpadną do mieszkania, powalą go na podłogę, skują i zabiorą Bóg wie dokąd.

I nigdy już nie zobaczy Maliny.

Pukanie się powtórzyło.

Krzyk jeszcze mocniej przytulił córkę.

Nagle dotarło do niego, że coś tu nie pasuje.

Ktoś z drugiej strony drzwi zastukał ponownie.

Tym razem Krzyk wsłuchał się uważnie. I zrozumiał, że to nie było zwykłe pukanie, tylko kod. Ich kod: Bogusia, Matki i jego.

Otworzył drzwi, zobaczył w nich Matkę. Zanim zdążył się ucieszyć, w jego oczach dostrzegł łzy.

Zaraz potem sąsiad powiedział krótko:

– Boguś nie żyje.

Rozdział 49

Słuchał opowieści Matki, docierał do niego sens słów, ale cały czas odnosił irracjonalne wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę. Że to tylko film, w którym gra jedną z głównych ról. Że zaraz ktoś krzyknie „cięcie!”, a oni zejną z planu i wrócą do swoich domów oraz rodzin.

Jednak tak nie mogło się stać.

Matka opowiadał dalej.

– Znajomy z tamtego bloku mówił mi, że zaraz po wypadku na miejscu zjawiała się jedna karetka pogotowia i cztery radiowozy, w tym jeden nieoznakowany.

– Tylu esbeków do zwykłego wypadku drogowego? – zdziwił się Krzyk. – I to jeszcze czwartaka? Coś tu nie gra...

– Jego tam w ogóle nie powinno być – zauważył Matka. – To nie jest droga do piekarni ani do jego pracy.

– Jeżeli po wypadku zjawilo się tyle wozów esbecji, to prawdopodobnie Boguś był pod obserwacją.

– Myślisz, że próbował wymknąć się ogonowi?

– Tego się nigdy nie dowiemy. Ale musimy przyjąć, że tak mogło być.

– Co to oznacza?

Krzyk oparł łokcie o blat stołu w kuchni, przy którym usiedli, zamknawszy drzwi. Schował twarz w dłoniach, głęboko westchnął.

– Co to oznacza? – powtórzył cicho. – Oznacza to tyle, że Boguś zginął przeze mnie.

– O czym ty mówisz?

– Mam powody przypuszczać, że SBP wystawiło mi przynętę – rzekł. – I to bardzo atrakcyjną. Uważają, że dałem się złapać, choć to ja wykorzystałem ją. A przynajmniej tak mi się wydawało jeszcze chwilę temu. – Zaczął opowiadać o kurierce i maszynie wywiezionej spod oczyszczalni.

– Teraz rozumiem... – powiedział Matka, kiedy Krzyk skończył opowiadać. – Oni myślą, że potrzebujemy tej maszyny do wiercenia...

– Wiedzą, że ja jej potrzebuję – sprecyzował. – Nie mają pojęcia, kto ze mną pracuje.

– A Boguś? – zauważył.

– To musiał być przypadek – odpowiedział po chwili zastanowienia. – Gdyby było inaczej, już by przyszli po mnie. Po ciebie też.

– Czyli maszyna była dla zyskania czasu? – upewnił się. Krzyk potaknął.

– A ta nieznajoma? Dlaczego pozwoliłeś jej tak mocno się do nas zbliżyć? – Matka nie krył dezaprobaty.

– Przed SYCO nic się nie ukryje – tłumaczył spokojnie. – Nie ma takiej możliwości. Ten system w ułamku sekundy wykonuje pracę dziesiątek tysięcy śledczych. Do dyspozycji ma niezliczoną liczbę kamer i mikrofonów. Ale wciąż pozostaje tylko maszyną. Żeby z nią wygrać, trzeba ją przechytrzyć. Tamta kurierka była tylko jednym z elementów gry, jaką od samego początku prowadzę z SYCO i esbecją.

– Co masz na myśli?

Zaczął wyjaśniać.

– A jeśli ta kobieta wróci? – spytał Matka.

– Będę musiał improwizować.

– Dlaczego wcześniej nam tego nie powiedziałaś?

– Z obawy, że się przestraszycie i wycofacie z kopania – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Co teraz? Złapią nas?

– Nie – powiedział. – Właśnie po to przygotowałem zasłonę. Do dzisiejszego poranka wszystko przebiegało zgodnie z planem...

– To nie twoja wina, że coś się popieprzyło.

– Moja – powiedział cicho. – To nie ciebie ani nie mnie pochowają w grobie bez głowy...

– To nie twoja wina – powtórzył Matka. – Boguś powiedziałby ci to samo. Zdawał sobie sprawę z ryzyka. Podjął je. I wiesz, co ci powiem? Przez te ostatnie dni i tygodnie był szczęśliwy. Widziałem, że chce żyć.

Krzyk popatrzył na sąsiada z wyczekiwaniem.

– To znaczy, że się nie wycofasz? – spytał.

– Nie wycofam się. Nie teraz – powiedział twardo. – Nie możemy żyć w ciągłym strachu. Im właśnie o to chodzi: żeby ludzie bali się własnych cieni. Wtedy robią, co im się każe, czekając na byle jaki ochłap...

– Jak butelki na egzekucji... – dopowiedział Krzyk.

– Właśnie! – potwierdził Matka. – Pamiętaj jeszcze o jednym. Nie robimy tego tylko dla siebie. Ja to robię dla Jarka. A ty dla Nikoli.

Krzyk przymknął oczy.

– A ja dla Nikoli... – wyszeptał.

Właśnie dlatego, aby mieć pewność, że jej się nic nie stanie, wystawił się przecież na wabia i tylko kwestią czasu było, kiedy esbecy po niego przyjdą. Z tym faktem już się właściwie pogodził. Teraz liczyło się jedynie to, co zostawi po sobie Malinie.

Jego rozmyślenia przerwał sąsiad.

– Co dalej?

– Hydrofor działa? – Krzyk odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Tak.

– Rury są podłączone?

– Boguś zdążył wszystko zrobić – wyjaśnił Matka. – Trzeba tylko zamontować zawory w mieszkaniach u ciebie i u mnie. Filtry już są założone.

– U Bogusia też – zauważył. – Jesteśmy mu to winni. Jesteśmy to winni Klaudii.

– Zamyślił się. – Musimy jak najszybciej się dokopać. Każdy kolejny dzień to igranie ze śmiercią.

Sąsiada nagle dopadły wątpliwości.

– A jeśli nie zdążymy?... Jeżeli już po nas idą?

Jakby na dowód tych obaw w kuchni rozbrzmiał sygnał przychodzącej wiadomości, ten znienawidzony przez wszystkich trzeciaków i czwartaków dźwięk.

– To do mnie – powiedział Krzyk.

Matka zrobił się blady na twarzy.

Krzyk uruchomił wirtualfona, odczytał esemesa.

– W trybie natychmiastowym mam się stawić w wydziale walki z bandytyzmem Departamentu Bezpieczeństwa Zdrowia Publicznego Obywateli – przeczytał treść na głos.

– Czego od ciebie chcą? Wiedzą już? Zdradzisz mnie? – Matka zasypał go pytaniami.

– Żywcem mnie nie wezmą.

Krzyk sięgnął do kieszeni spodni, wyjął z nich niepozorna fiolkę z przeźroczystą cieczą.

– Co to jest? – spytał Matka.

– Trucizna o jakiejś długiej nazwie, której za cholere nie da się zapamiętać. Działa błyskawicznie – tłumaczył. – Udało mi się ukraść to z roboty już jakiś czas temu.

– A co ja mam robić?

– Kop dalej. Zostało już naprawdę niewiele...

– Sam?

– Jak tylko wrócę z departamentu, dołączę do ciebie.

Matka chciał coś powiedzieć, ale się zawahał. Odezwał się dopiero po chwili.

– Myślisz, że wrócisz?

– Gdyby chcieli mnie zatrzymać, wyważaliby już drzwi do mieszkania, robiąc to na oczach telewizyjnych kamer.

Sąsiad nie skomentował tego.

– Nie wysyłałoby mi wiadomości esemesem, że mam się u nich zjawić – tłumaczył Krzyk cierpliwie.

Matka odetchnął głęboko.

– To musi być coś innego – dodał Krzyk twardo. – To jeszcze nie może być koniec.

Kiedy wychodził z domu, zastanawiał się, czy to nie jest tylko jego pobożne życzenie.

Już raz przecież się pomylił.

Rozdział 50

Ledwie Krzyk wszedł do gabinetu Bilskiego, zapytał o to, czy ten może poczęstować go czymś do picia.

– Czy ty nie czujesz się tutaj czasem zbyt swobodnie? – Bilski nie krył irytacji.

– Umieram z pragnienia. Nie tylko ja. Ludzie już nie dają rady...

– Ludzie?

– Trzeciaki i czwartaki – doprecyzował Krzyk. – Szczególnie ci ostatni, a ich przecież jest większość.

– Czasy są trudne dla wszystkich...

– Dla ciebie też? Dla innych urzędników? Dla rządu? – Strzelał pytaniami.

Bilski obdarzył go pobłażliwym spojrzeniem.

– Dla rządu? – Skrzywił się. – Rząd się sam napoi. Poza tym sytuacja wcale nie jest taka zła.

– Dopiero co mówili o kolejnym wyczerpującym się naturalnym zbiorniku podziemnym pod enklawą... Bilski zaśmiał się głośno.

– Nie wierz we wszystko, co zobaczysz w Dzienniku Wieczornym – rzekł.

– Nie jest aż tak źle? To dlaczego znów dociskają ludziom śrubę?

– A jak mają rządzić? Pamiętasz, co powiedział premier, kiedy obejmował tekę prezesa rady ministrów zaraz po wojnie?

– Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy... – szepnął Krzyk.

– To się nie dziw.

Krzyk postanowił nie ciągnąć dalej tematu. Czas naglił, a Matka czekał na pomoc.

– Po co mnie wezwalesz? – spytał. – Kolejne badanie na wariografie?

Urzędnik wbił w niego spojrzenie. Potem się odwrócił, sięgnął do zgrzewki stojącej obok biurka, wyjął z niej jedną butelkę. Podał gościowi.

– Nie – powiedział cicho. – Nie chodzi o wariograf. Za kilka minut, jak wyjdiesz z tego gabinetu i więcej się już nie zobaczymy, będziemy kwita.

Krzyk nie rozumiał.

– Kwita? – spytał.

– Nie będzie już żadnego długu.

– Chwileczkę... – Coś sobie uświadomił. – Jak to: już się nie zobaczymy?

Bilski myszkował po ekranie.

– Poczekaj! – rzucił nagle. – Widzę, że u ciebie w życiu prywatnym spore zmiany... Rozwód... Ada wróciła do panińskiego nazwiska... Kto by się spodziewał?

– Ja.

– A spodziewałeś się, że zrzeknie się praw rodzicielskich do Nikoli?

Krzyk nie był tym jakoś mocno zdziwiony, chociaż trochę go to zabolalo.

– To mnie akurat nie dziwi – powiedział. – Nigdy nie lubiła balastu.

– Mówisz tak o własnej córce?

– Ada tak mówiła o Nikoli.

– Matka mówiła tak o własnej córce?!

– Nikola nie jest jej biologiczną córką – wyjaśnił Krzyk cicho. – Była nią Łucja.

W jego głowie pojawiła się myśl, ale jeszcze nie potrafił jej sprecyzować.

– Wracając do długu... – rzekł Bilski po krótkiej chwili. – Mocno ryzykuję, gdybyś wpadł i mnie wydał... Ale wiesz, że lubię zamykać sprawy...

– Wiem.

– W tej chwili na Partyzantów trwa odprawa pod kierownictwem tego skurwysyna Medyni. Wiesz, kogo dotyczą decyzje, które są tam właśnie podejmowane?

– Mnie.

Tym razem to Bilski był zaskoczony.

– A wiesz, jakie to decyzje?

– Nie, ale bardzo chciałbym wiedzieć.

– Wydano już nakaz aresztowania. Zaraz po ciebie wyjadą. Dopij do końca i spierdalaj jak najdalej. Chcesz, mogę dać ci jeszcze ze dwie butelki.

– Nie mogę – zaoponował. – Muszę wrócić do domu.

– Zwariowałaś?!

– Musisz mi w tym pomóc.

– Ty naprawdę postradałeś zmysły! Słyszałeś, co powiedziałem?! Medynia zaraz po ciebie wyjeżdża!!!

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu. – Krzyk był nieustępliwy. Nie mógł teraz się wycofać. Nie krok przed zakończeniem projektu i zapewnieniem Nikoli bytu. – Jesteś mi to winien – mówił wolno. – Ostrzeżenie o zatrzymaniu to nie jest uratowanie życia. Jeszcze nie będziemy kwita.

– Chuj z ciebie.

Krzyk miał to gdzieś.

– Wymyśl coś – naciskał. – Daj mi trochę czasu.

Bilski zaczął nerwowo suwać palcami po wirtualnym ekranie.

– Mamy taką nową procedurę... – rzekł z namaszczeniem. – Dopiero co została wprowadzona... W naszej enklawie jeszcze nikt jej nie wdrożył... Ja będę pierwszy.

– Co to jest dokładnie?

– Alert wirusowy włączany w przypadku podejrzenia zakażenia nowym nieznanym do tej pory szczepem wirusa. Obywatel, bez względu na kategorię, jest izolowany od otoczenia. Wszelkie służby mają zakaz zbliżania się do takiego podejrzanego. Oczywiście poza Brygadą Antywirusową.

– To co mi po tym, skoro zgarnie mnie brygada?! – zżymał się Krzyk.

– Zwariowałaś? W piątek po południu?! Brygady działają w ramach struktury Sanepidu, a Sanepid w piątki o trzynastej kończy pracę. Masz czas do siódmej rano w poniedziałek. Do tej pory będziesz nietykalny dla każdej służby. Poza tym za tydzień są wybory prezydenckie i urzędnicy mają inne problemy na głowie. Zdajesz sobie sprawę, ile zachodu jest z wydrukowaniem tych wszystkich kart do głosowania, kopert i dostarczenia ich każdemu obywatelowi, a potem odebrania i przeliczenia?

– To w ogóle ktoś je liczy? – Krzyk kpił w najlepsze.

– Mnie to nie interesuje. Ja robię swoje – uciał. – Oczywiście moja decyzja oznacza wysłanie cię na kwarantannę domową, więc nie zrobisz też nigdzie zakupów. Ale to chyba nie jest problem?

– Najmniejszy.

– Kilka dni temu robiono ci badanie w firmie, prawda? Właśnie przyszły wyniki, ale nie zostały jeszcze zinterpretowane przez odpowiednią komórkę... Mówiąc szczerze, to wynik jest niejednoznaczny.

– Czyli?

– Mogę go zinterpretować, jak mi się żywnie podoba – tłumaczył cierpliwie. – W takim razie na mocy przekazanych mi uprawnień zaznaczam opcję „zakażony” i z chwilą obecną jesteś nietykalny.

– Dzięki.

Bilski dotknął palcem ekranu.

– To była moja ostatnia decyzja – powiedział. – Zaraz kończę zmianę.

– Ostatnia dzisiaj?

– Ostatnia w tym urzędzie – wyjaśnił. – Dostałem awans i od poniedziałku przenoszę się oczko wyżej, do Departamentu Zdrowia Publicznego Urzędu Marszałkowskiego. Jeszcze trzy, może cztery lata wiernej, wytężonej pracy i dostanę przeniesienie do Krakowa.

– Stolica, gratuluję – rzekł Krzyk z przekąsem.

Bilski się nie zorientował.

– Dziękuję. Już ci parę razy wspominałem: jeśli zawsze mówisz to, co przełożeni chcą usłyszeć, kariera stoi przed tobą otworem. – Zamyślił się. – Szkoda, że ty swoją szansę zaprzepaściłeś.

Krzyk nie zamierzał podejmować tematu. Zamiast tego postanowił załatwić coś zupełnie innego, coś, co właśnie do niego dotarło.

– Wydasz jeszcze jedną decyzję, dobrze? – spytał. – Niniejszym składam podanie o zrzeczenie się praw rodzicielskich wobec Nikoli Krzyk.

– Co?!

– Słyszałeś.

– Jesteś pewien?!

– Jestem.

– Moja córka by mi czegoś takiego nie wybaczyła.

Krzyk nie miał czasu na jałowe dyskusje.

– Daruj sobie pogadanki – wypalił. – Za niespełna pół roku Nikola ma osiemnaste urodziny. Jeśli kojarzę, zgodnie z prawem, w przypadku braku

posiadania prawnych opiekunów będzie mogła zgłosić wniosek o warunkowe przyznanie praw obywatelskich, dzięki czemu nie dostanie kuratora z urzędu. Dobrze mówię?

– Dobrze. – Zawahał się. – Ale chcesz coś takiego zrobić własnej córce?

– Przyjmiesz takie podanie czy nie?

– Jak chcesz. – Zaczął muskać palcami ekran. – Gotowe.

Krzyk spojrział na niego przeciągle.

– Jeszcze coś.

– Co znowu? – burknął Bilski.

– Wpisz Nikolę na listę świadków koronnych.

– Co?!

– Dobrze słyszałeś. To ją uchroni przed zakusami esbeków. Zanim wyjaśni się, że wpis na listę to urzędowa pomyłka, moja sprawa już przyschnie i dadzą jej spokój.

– Ale nie mogę tak sobie...

– Możesz. – Krzyk wszedł mu w zdanie. – Ty możesz wszystko.

– A niby do której sprawy miałbym ją wpisać?

– Obojętnie. Sam wybierz.

– Ale ja naprawdę nie mogę...

– Możesz. Musisz. Jeśli mamy być kwita...

– Jesteśmy kwita, bo włączyłem ci alert wirusowy!

– To za mało – wycedził Krzyk. – Nie ucieknę, dopóki nie zapewnię bezpieczeństwa córce. A jak nie ucieknę, to mnie zabiją. Żeby spłacić dług, musisz uratować moje życie, tak jak ja uratowałem wtedy twoje.

Bilski zaczął dotykać ekranu.

– Sprytnie to sobie wykombinowałeś... – rzucił cicho.

– Pokaż.

– Nie ufasz mi?!

Krzyk wstał, stanął urzędnikowi za plecami.

– Ufam, ale i tak pokaż.

– Proszę.

- Dzięki – rzekł, po czym skierował się w stronę drzwi.
 - Pamiętaj, że masz tylko dwa dni.
 - Wiem – rzucił Krzyk. – Nie musisz mi przypominać.
 - Wystarczy ci tyle?
 - Chyba musi, prawda? – skontrował.
 - Zdasz przygotować sobie ucieczkę?
- A kto mówi o uciekaniu? – pomyślał Krzyk, a na głos powiedział:
- O mnie się nie martw. Wyrobię się ze wszystkim.

Rozdział 51

W gabinecie Medyni trwało akurat odświeżanie – malarze odnawiali ściany i sufit – dlatego tymczasowe stanowisko pracy zorganizował w salce konferencyjnej. Była niewiele większa od tego pomieszczenia, które zajmował na co dzień, do tego jedna ściana została zastawiona zgrzewkami od podłogi niemal do sufitu, ale na tych kilka dni powinna wystarczyć na jego potrzeby.

Nie mając nic innego do roboty, analizował raz jeszcze wszystkie dokumenty zgromadzone w sprawie Krzyka. Skończył zapoznawać się z ostatnim raportem, zamknął teczkę i szeroko się uśmiechnął.

Poszło tak łatwo, a on zupełnie niepotrzebnie bał się, że trafił na równego sobie przeciwnika. Teraz mógł już tylko śmiać się z własnych wątpliwości, żeby już nie czekać, tylko zgarniać Krzyka wcześniej. Gdyby tak zrobił, pewnie by go przyskrzypił, ale przecież wówczas nie byłoby takiej pompy, jakiej się spodziewał, a co za tym idzie, nie mógłby liczyć na czołówkę w Dzienniku Wieczornym – tym samym nie byłoby też pewnie przeprowadzki do Krakowa.

Z tą myślą zalogował się do wewnętrznego panelu SBP, zaczął przeglądać oferty służbowych willi do wynajęcia. W centrum stolicy było dostępnych tylko kilka – i to horrendalnie drogich – ale w Enklawie Zewnętrznej sytuacja wyglądała już dużo bardziej obiecująco.

Zaznaczył kilka interesujących go ofert i właśnie wtedy rozległ się sygnał powiadomienia SYCO.

Od razu sprawdził, o co chodzi, i prawie zamarł z zaskoczenia.

– Alert wirusowy?! – Nie dowierzał. – Kwarantanna?! Ja pierdołę!!!

Momentalnie uruchomił wirtualfona i wezwał podwładnych na pilną naradę.

Po chwili w salce konferencyjnej pojawił się Dudziak.

– Gdzie jest Brzozowski? – spytał Medynia.

– Cały czas waruje w lesie przy tej maszynie – odpowiedział.

– Kurwa! – zaklął. – A Wicha?

- Nie wiem, panie pułkowniku. Niedawno widziałem go na stołówce...
- Kutas! – krzyknął. Nagle się zamyślił. – Jaki jest dzisiaj dzień tygodnia?
- Piątek, panie pułkowniku – odparł usłużnie.

Medynia zazgrzytał zębami. W piątki do kantyny przychodziły świeże pączki z nadzieniem różanym. Wiedział o tym doskonale, bo zawsze odkładano mu o cztery więcej niż wynikało to z przydziału służbowego – brał je dla żony i dzieciaków.

- Ten debil znów obzera się pączkami! – wrzasnął.

Dudziak znał pułkownika na tyle, aby wiedzieć, że w takim momencie jak ten, lepiej się nie odzywać nieproszonym.

- Krzyka zamrożono alertem wirusowym – powiedział Medynia po krótkiej chwili. – Nie możemy go ruszyć.

Dudziak był zdumiony.

- Nie wiem, kto to zrobił, ale dobiorę mu się, kurwa do dupy, jak tylko skończymy operację – mówił pułkownik dalej. – Cały ten burdel na kółkach trzeba, kurwa, roznieść w drobny mak i, kurwa, podpalić!

- Nic nie można zrobić? – spytał Dudziak ostrożnie.

– Uziemiono nas, kurwa! – odpowiedział. – Alert sam w sobie jest gówno wart, bo przecież nie ma żadnego zagrożenia epidemiologicznego, ale procedury nie pozwalają służbom na jakąkolwiek akcję względem osobnika poddanego kwarantannie, nie licząc tej nowo uruchomionej Brygady Antywirusowej...

- Tej z Sanepidu? – upewnił się.

– Tak, z Sanepidu. Nawet my nie możemy ich obejść... – Zawahał się. – Trzeba wstrzymać wykonanie tej decyzji!

Wbił wzrok w Dudziaka.

Podwładny poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach.

- Na co czekacie?! – wrzasnął Medynia. – Dzwońcie do Sanepidu, natychmiast!

Dudziak uruchomił wirtualfona. Od razu włączył tryb głośnomówiący. Zaraz potem usłyszeli głos automatu.

- Wszyscy nasi konsultanci są zajęci. Jesteś sto dwudziesty ósmy w kolejce. Przewidywany czas oczekiwania: cztery godziny dwadzieścia pięć minut.

– Ja cię, kurwa, pierdołę! – Medynię mało nie zalała krew. – Trzeba coś szybko wymyślić, bo inaczej Krzyk nam spierdoli! – Zaczął chodzić nerwowo po salce. – Gdzie się podziewa ten jebaniec Wicha, kiedy jest naprawdę potrzebny?!

W tym momencie drzwi się otworzyły, stanął w nich kapitan. Zupełnie, jakby od dłuższego czasu warował pod wejściem do salki konferencyjnej i podsłuchiwał, czekając na odpowiedni moment, aby się pojawić.

– Tutaj jestem – powiedział Wicha spokojnie.

Dudziak zaskoczony popatrzył na kolegę i od razu zauważył w nim zmianę: nie był już tym zahukanym popychadłem pułkownika, co wcześniej.

Medynia też spojrział na kapitana. On również dostrzegł metamorfozę.

Zacięty wyraz twarzy Wichy jednoznacznie wskazywał, że stało się coś brzemiennego w skutkach.

Rozdział 52

Krzyk drogę do domu pokonał w rekordowym tempie. Śpieszył się, zdawał sobie sprawę, że zapewnienia Bilskiego mogą wziąć w łeb, jeśli do sprawy wmiesza się ktoś wysoko postawiony. Nie wiedząc, czy coś takiego będzie miało miejsce, nie mógł ryzykować. Musiał działać.

Dotarł do bloku i, nie zważając na wcześniejsze ustalenia dotyczące bezpieczeństwa, poszedł do mieszkania Matki. Kiedy ten otworzył, od razu wyjaśnił, że nie mają czasu do stracenia.

Chwilę potem przebierali się już i wciskali do kanału ciepłowniczego. Doczłgali się na miejsce. Krzyk chciał wejść do wykopu, ale sąsiad zaprotestował.

– Prawie w ogóle nie kopales – wyjaśnił. – Większość czasu to ja byłem w studni, trochę Boguś...

– Byłem tyle, ile mogłem...

Matka uśmiechnął się przyjaźnie.

– Źle mnie zrozumiałeś – wyjaśnił. – Jeżeli dobrze przewidujemy, została nam końcówka roboty. Ja już tyle się namachałem, że mam większe doświadczenie. Pójdzie mi szybciej niż tobie.

– Jasne.

Matka postawił stopy na drabinie, ruszył na dół. Chwilę później Krzyk zaczął opuszczać na linie wiaderko z saperką, uważając, aby utrzymać dystans od sąsiada.

Niedługo potem ten pierwszy zaklął.

– Kurwa!

– Co się stało? – spytał Krzyk zaniepokojony. Jeśli zabezpieczenie znowu nie wytrzymało i wykop kolejny raz się zawalił, będzie źle.

– Puścił jeden szczebel i spadłem...

– Żyjesz?

– Tak.

– Coś sobie złamałeś? – dopytywał Krzyk.

– Nie, ale...

– Co: ale?!

– Wpadłem po kolana w...

Krzyk już chciał spytać, w co takiego Matka wpadł po kolana, ale usłyszał charakterystyczny chlupot.

– Woda! – krzyknął Matka. – Mamy ją! Mamy!!!

Krzyk rozejrzał się bojaźliwie dokoła.

– Ciszej! – rzucił w dół wykopu.

Poczuł, jak w oczach zbierają mu się łzy.

– Bo nas ktoś usłyszy... – dodał.

Wytrzeł mokre policzki.

– Będziesz jeszcze kopać? – spytał.

– Nie – odparł Matka. – Wychodzę na górę.

Zjawił się po kilku minutach. Ten czas dłużył się Krzykowi niemiłosiernie.

Najpierw pojawiła się głowa Matki, zaraz potem na brzegu wykopu stanęło wiaderko.

– Jest! – rzucił radośnie.

Krzyk uklęknął obok, dotknął wiaderka ostrożnie.

– Na razie jest do kolan, trzeba będzie jeszcze trochę pogłębić – wyjaśnił Matka.

Krzyk spojrział na jego mokre i ubłocone spodnie i się roześmiał.

– Wpadłem – powiedział Matka zupełnie niepotrzebnie. – Szczebel puścił... Straciłem równowagę... Poślizgnąłem się... Spadłem... Nagle poczułem, że po kolana stoję w czymś zimnym i mokrym... – opisywał urywanymi zdaniami.

Krzyk rzucił się na niego, przytulił go mocno, klepiąc radośnie po plecach.

– Mamy ją! – mówił cicho. – Mamy! Wreszcie ją mamy!

Matka wyrwał się z objęć kolegi, uklęknął obok wiaderka. Wziął je w dłonie, przytknął do ust i przechylił. Wypił kilka łyków.

– Ale zimna! – rzekł radośnie.

Krzyk wziął od sąsiada wiaderko, przyłożył do niego usta. Zaczął łapczywie pić.

– A jaka smaczna! – zawtórował.

Odstawił pojemnik, popatrzył na Matkę, zauważył, że ten ma łzy w oczach. Zaraz potem sam zaczął płakać i chwilę później obaj ryczeli jak dzieci.

*

Siedzieli tak kwadrans, może kilka minut dłużej, to pijąc na przemian, to płacząc, to śmiejąc się i ciesząc.

Krzyk wpatrywał się w szczęśliwą twarz kolegi i czuł wielką ulgę. Kiedy na tamtym spotkaniu zaproponował im wspólne kopanie, nie wspomniał, że ryzyko dotyczyło nie tylko łamania prawa i narażania się na surową karę, włącznie ze stryczkiem. Po lekturze materiałów geologicznych wiedział, że w tej okolicy pod ziemią roilo się wręcz od niewielkich pokładów węgla, których wcześniej nie eksplorowano ze względu na nieopłacalność. Wciąż jednak tkwiły pod powierzchnią i – gdyby na któryś trafili – mieliby wielki problem, czegoś takiego nie da się bowiem pokonać tak łatwo, jak piachu. Nie mówiąc już o kłopotach z pozbyciem się węgla w taki sposób, aby pozostał niezauważony dla osób postronnych.

Nie powiedział współnikom, że jeden z sąsiednich bloków – dużo młodszy od tego, w którym mieszkali wszyscy trzej – stawiano na palach właśnie ze względu na dziesięciometrowe pokłady węgla wykazane przez badania geologiczne gruntu. Gdyby przyszło im kopać właśnie tam, z góry byliby skazani na porażkę.

Tak samo sytuacja prezentowała się, jeśli chodzi o sam kościół. W przestrzeni publicznej od dziesięcioleci pokutowało przeświadczenie, że wzniesiono go na dawnej kopalni i że pod spodem wciąż znajdowały się podziemne korytarze.

Nic bardziej mylnego. Górnicy, którzy swego czasu wydobywali węgiel brunatny z miejscowych kopalni, na koniec pracy na danym pokładzie wyciągali stemple podpierające strop. W ciągu kilku godzin takie wyrobisko zawałało się pod ciężarem ziemi, a na powierzchni robiły się głębokie leje, które z czasem wyrównywano.

– O czym myślisz? – spytał nagle Matka.

– O tym, że czas kończyć ze świętowaniem – odpowiedział. – Zanim wrócisz do mieszkania, musisz się porządnie osuszyć i otrzepać z błota. Iza wie, ale pamiętaj, że inni sąsiedzi nie mają pojęcia, co tu robimy. Jak ktoś nas zadenuncjuje...

– Racja – przyznał.

– Wykop jeszcze trochę piachu, żeby zwiększyć nieco głębokość – polecił Krzyk.
– Prąd mamy dociągnięty, podłącz tylko tę pompę. Jest cicha, nada się idealnie. Pamiętaj tylko o wymianach filtra. Przy okazji sprawdź też jakość. Jakby była potrzeba, zajmij się uzdatnieniem. Nie zapomnij przykryć otworu studni i zamaskować tu wszystkiego.

– Myślisz, że ktoś się tu zabłąka?

– A chcesz ryzykować?

– Nie – odparł bez zastanowienia. – Coś jeszcze?

– Tak: pamiętaj, żeby podłączyć mieszkanie Bogusia.

Matka nad czymś intensywnie myślał.

– Masz rację: cały czas musimy być ostrożni – powiedział po chwili.

– Wy musicie – sprostował.

– A ty?!

– Esbecy depczą mi po piętach – odrzekł Krzyk. – Nie pozwolę im się dopaść. Muszę uciekać.

Rozdział 53

Wicha stał kilka sekund w drzwiach, sycąc się chwilą triumfu, dopiero potem wszedł do środka. Zaraz za nim do salki konferencyjnej wkroczył Bernat w asyście dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy oddziału antyterrorystycznego.

Medynia patrzył na nich zaskoczony. Jeszcze nie przeczuwał, co się zaraz stanie.

– Gdzie byliście, Wicha? – spytał.

– Załatwiałem pewne formalności – odparł kapitan, nieznacznie się przy tym uśmiechając.

– Załatwiałem pewne formalności, panie pułkowniku! – poprawił go gniewnie.

– Załatwiałem pewne formalności – powtórzył Wicha, wolno cedząc słowa.

Medynia już miał coś powiedzieć, ale powstrzymał go przed tym wyraz twarzy podwładnego, na której cały czas widniało to dziwne zacięcie.

Tymczasem kapitan nie zamierzał dłużej czekać.

– Obywatel Justyn Medynia... – zaczął. – Jesteście zatrzymani do dyspozycji Służby Bezpieczeństwa Państwa pod zarzutem popełnienia przestępstwa w związku z paragrafem dwudziestym drugim ustawy o przeciwdziałaniu skutkom znieważania lub nawoływania do nienawiści na tle instytucjonalnym, społecznym, narodowościowym, rasowym, etnicznym lub wyznaniowym.

Kiedy sens tych słów dotarł do pułkownika, pomyślał irracjonalnie, że to mógł być ostatni raz, kiedy z ust innego człowieka słyszał swoje imię i nazwisko. Po przedstawieniu takich zarzutów z automatu straci stopień pułkownika SBP oraz status Pierwszaka i zostanie karnie przeniesiony do czwartej kategorii obywateli. A do tych nie zwracano się po imieniu i nazwisku, tylko wymieniając ich numery identyfikacyjne.

Zaraz potem Medynia uświadomił sobie, że te formalności to jego najmniejszy problem. Skoro Wicha dokonał zatrzymania w związku z mową nienawiści, miał przejebane.

Ale chwila! – w głowie uderzyła go radosna myśl. Przecież nigdy nie pozwalał sobie na krytyczne wycieczki pod adresem władzy centralnej czy choćby lokalnej! Nigdy! Nawet w domu – przy żonie – trzymał gębę zamkniętą na kłódkę. Nikt nie miał prawa nic na niego mieć!!!

Nagle podniósł głowę, spojrział na ścianę naprzeciwko. Kurwa! – zaklął w myślach. Kompletnie zapomniał, że nie jest u siebie w gabinecie i że tutaj SYCO może wrywkowo rejestrować dźwięk i obraz na potrzeby Biura Spraw Wewnętrznych SBP.

– Chodzi o to, co mówiłem do Dudziaka chwilę temu? – spytał gniewnie. – Nie ścigniecie mnie za to! Mówiłem to wszystko w nerwach, tuż przed kluczową dla bezpieczeństwa państwa operacją. Poza tym doskonale pamiętam okólnik z komentarzem do wprowadzenia ustawy o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem chorób zakaźnych wszelkiego rodzaju oraz potencjalnych sytuacji kryzysowych mogących zostać przez nie wywołanych. – Teraz to jego było na górze. – Jasno tam napisano, że wirusy nie stanowią żadnego zagrożenia dla zdrowia i życia obywateli wszystkich kategorii, a wprowadzone mechanizmy mają po prostu służyć utrzymaniu porządku publicznego. Mam to na piśmie! Nic mi za to nie zrobicie!

– Ocena zebranego materiału dowodowego leży w gestii niezawisłego sądu – rzekł Wicha twardo.

Niezawisłego, akurat! – Medynia zaśmiał się w duchu, a na głos powiedział:

– Panie Pierwszy Przewodniczący, to wszystko musi być wynikiem jakiegoś nieporozumienia – rzekł, ostrożnie dobierając słowa. – Nie wiem, czy jest panu Pierwszemu Przewodniczącemu wiadome, ale właśnie zmierzamy do finału bardzo ważnej operacji o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa...

– Nie interesuje mnie to – wycodził Bernat. – W naszej Partii nie ma świętych krów... Dobrze pamiętam, że to wasze własne słowa wypowiedziane podczas zatrzymania trzeciego sekretarza pół roku temu.

Medynia jęknął w duchu. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że mowa nienawiści to był najgrubszy kaliber z możliwych! Można było człowieka zamknąć na wiele miesięcy do aresztu, przedstawiając lipne dowody, i potem czekać, aż na kolejnym przysłuchaniu przyzna się do dziesiątek innych przestępstw, a przy okazji doniesie na rodzinę i kolegów z pracy.

Nie bez powodu władze centralne i lokalne wszystko, co było dla nich niebezpieczne czy niewygodne, pociągały pod ten właśnie paragraf. Jakikolwiek sprzeciw, krytyka, niekiedy nawet pytania czy wnioski pisane przez obywateli w dobrej wierze – ale przez urzędników postrzegane jako podważanie ich kompetencji – były klasyfikowane jako szerzenie mowy nienawiści.

Medynia wiedział o tym z pierwszej ręki, bo sam tak robił. Tylko w ostatnim roku załatwił w ten sposób osiem osób, w tym dwoje właścicielei dworku, na który chrapkę miał zaprzyjaźniony naczelnik jednego z wydziałów dawnego magistratu.

– Jak wyście wtedy powiedzieli?... – mówił Bernat dalej. – Nie liczą się wcześniejsze zasługi, tylko bezwzględna lojalność wobec Partii. Dobrze zapamiętałem?

Medynia postanowił nie odpuszczać. Jeszcze wierzył, że uda mu się coś wskórać.

– Ale to na pewno tylko jakieś nieporozumienie! – rzekł głośno. – Ktoś musiał coś źle zrozumieć...

– Będziecie mieć prawo do przedstawienia swoich argumentów przed sądem – uciał Bernat. – Takie są procedury.

– Ale ja niczego nigdy nie powiedziałem! – Głos Medyni zaczął się łamać.

Bernat wbił w niego wzrok.

– Nie? – spytał. – Obecny tu kapitan Wicha może zaświadczyć osobiście, że to jest nieprawda.

Medynia zaczął raz po raz spoglądać to na kapitana, to na Pierwszego.

– Myśleliście, że kapitanem Wichą możecie tak sobie pomiatać i wyzywać go od debili? – pytał Bernat dalej. – A tak się składa, że kapitan Wicha jest bardzo lojalnym członkiem Partii. Bardzo lojalnym.

Po plecach Medyni przebiegł bolesny prąd.

Ale Bernat jeszcze nie skończył.

– Wydawało wam się pewnie, że kapitan Wicha nie ma pojęcia, kto jest autorem tych słów i w jakim kontekście zostały one wypowiedziane wtedy, a także w jakim kontekście wy je wypowiedzieliście?

– Nie tylko wy przerabialiście na kursie korespondencyjnym mowy Karola Wojtyły – wtrącił Wicha.

Na twarzy Medyni pojawiły się krople potu.

– Wojtyły? – spytał po chwili.

Rozpiął górny guzik koszuli, rozszerzył kołnierzyk.

– Przecież to był żart... – mówił Medynia dalej. – To był tylko taki słowny żart!

Czekał, aż któryś z obecnych w sali mężczyzn się zaśmieje, ale to nie nastąpiło.

– To był żart! – powtórzył płacząco.

Wstał z krzesła, przeszedł przed biurko, zaczął przeskakiwać z jednej nogi na drugą, przesadnie przy tym deklamując:

– Niech zstąpi duch twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi. O właśnie tak! To tylko żart!

Bernat kilka razy teatralnie zaklaskał.

– Pięknie... – rzucił. – Teraz to jest już recydywa. Są na to świadkowie i będą nagrania.

– Ale wtedy to się nie nagrało! – krzyknął Medynia.

– Nie musiało – skwitował Bernat i spojrzał przeciągle na kapitana. – Jest świadek.

Medynia w lot zrozumiał. Rzucił się w kierunku Wichy, wrzeszcząc:

– Ty skurwysynu!

Wicha był od niego niższy o głowę i lżejszy o jakieś dwadzieścia kilogramów, ale wiedział, że teraz nie liczy się masa ani siła mięśni, tylko opanowanie. Pozwolił byłemu już szefowi zbliżyć się na odpowiednią odległość, potem błyskawicznie przesunął się o pół kroku w bok, jednocześnie wyprowadzając cios.

Kiedy jego zaciśnięta pięść wylądowała na brzuchu Medyni, ten jęknął i zgiął się w pół.

Wicha tylko na to czekał. Przyjął dogodną postawę, uderzył ponownie, tym razem jednak miał o wiele lepszą pozycję wyjściową i dużo więcej czasu.

Trafił idealnie, a powietrze przeciął dźwięk łamanego nosa i wybijanych zębów.

Medynia zalał się krwią, upadł na kolana. Wypluł na podłogę resztkę połamanych zębów, zaczął głośno charczeć. Miał opuszczoną głowę. Było wyraźnie widać, że już się poddał.

Wicha kucnął przed nim, jedną ręką uniósł nieco jego brodę, drugą trzasnął na odlew. Medynia obrócił się wokół własnej osi i runął na podłogę.

Kapitan patrzył na to wszystko z satysfakcją, sycąc się każdą sekundą.

– Zapomnieliście o czymś, obywatelu – rzekł radośnie. – Koszulę służbową należy zapinać do ostatniego guzika.

Potem spojrzał na Bernata, a uzyskawszy jego ciche przyzwolenie, rzekł do antyterrorystów:

– Zabrać to ścierwo.

Rozdział 54

– Nie wolno ci! – krzyknęła Nikola.

Do tej pory Krzyk stał w drzwiach jej pokoju. Teraz wszedł do środka. Spróbował córkę przytulić, ale wyszarpnęła się gwałtownie.

– Nie możesz! – wrzasnęła.

Uderzyła go zaciśniętą pięścią w ramię.

– Słyszałeś, co powiedziałam?! – darła się dalej.

Walnęła go z całej siły ponownie.

– Nie wolno ci mnie zostawiać!!!

Teraz biła już raz za razem.

A on stał i nic nie robił.

Nie liczył nawet kolejnych ciosów.

Nagle przestała. Otarła łzy ciekące po policzkach i spytała cicho:

– Dlaczego mówisz do mnie Malina?

Krzyk poczuł, jakby zaraz miał się w sobie zapaść. Próbował się uśmiechnąć, ale tylko sprawił, że z oczu wypłynęły krople.

– Przecież tyle razy już odpowiadałem ci na to pytanie... – wyszeptał.

– Wiem...

Pociągnęła nosem. Zrobiła te swoje oczy, co zawsze, kiedy chciała coś na nim wymusić. Tylko tym razem były wypełnione łzami.

– Opowiedz mi jeszcze raz... – prosiła.

Nie dał się dalej namawiać. Zaczął mówić. O tym, jak pierwszy raz jej zmarły brat narysował drzewo z wielkimi malinami na gałęziach. O kolejnych pracach utrzymanych w tej konwencji. I o niej, która – podpatrzywszy go kiedyś – też zaczęła je malować, ale szybko się jej znudziły.

Nie powiedział za to o tym razie, kiedy dziadkowie odebrali ich z przedszkola, a on przyjechał po dzieci, zapomniawszy drugiego fotelika. Zabrał wówczas tylko Łucję i Jacusia, po nią miał przyjechać później.

Nie zdążył.

– Ale nigdy nie zwróciłeś się tak do mnie przy kimś. Nawet przy... – Zawahała się.

– Nawet przy Adzie – dopowiedział. – Bo to jest tylko twoje, moje i Jacka. Tylko nasze. – Nie dodał już, że gdy tak do niej mówił, to jakby obok nich stawał też Jacuś. Patrzył na siostrę i na niego. Czasem coś mruknął w ten swój sposób. Czasem się zaśmiał. Czasem zapłakał. Nikola przymknęła na chwilę powieki.

– To jest tylko nasze... – powtórzyła cicho. – Nie zostawiaj mnie, tato...

– Malina... Muszę... Nie ma innego wyjścia... Jeśli tu zostanę, złapią mnie prędzej czy później i o wszystkim się dowiedzą. Ja nie przeżyję, a wy nie będziecie mieć dostępu do rurociągu, bo go zlikwidują.

– A jak uciekniesz z enklawy, to cię nie znajdą?!

– Mam takie małe urządzenie, którym przez jakiś czas mogę jeszcze oszukiwać SYCO. A potem po prostu przetnę opaskę.

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Ale wtedy przestaniesz istnieć dla systemu! – zauważyła. – Nie znajdziesz noclegu. Nie zorganizujesz nic do jedzenia. Nikt ci nie sprzeda nawet pół butelki!

– Coś wymyślę.

– Tato, nie rób tego, bo zginiesz!

– Jeśli tego nie zrobię, zginę na pewno – westchnął. – Nie darują mi. Urządzą pokazówkę, a potem mnie powieszają. Ale nie na stadionie Falubazu, tylko przy Reymonta w Krakowie, aby efekt był większy.

Rzuciła mu się na szyję, tonąc we łzach.

– Tato! – krzyknęła. – Tato! Tato! – wołała raz po raz.

– Malina... – Utulił ją najmocniej, jak potrafił. – Jeżeli spróbuję uciec, mam przynajmniej jakąś możliwość. Zaraz są wybory prezydenckie, służby będą w nie zaangażowane. To moja szansa.

– Ale ja nie chcę zostać sama...

– Musisz. Wiem, że sobie poradzisz. Jesteś już dorosła.

– Jeszcze nie jestem...

– Jesteś. – Zaczął opowiadać o zrzeczeniu się praw rodzicielskich. Wyjaśnił jej, jak to wygląda od strony prawnej i że zrobił to, aby mogła samodzielnie

funkcjonować w tym mieszkaniu.

Nagle Nikola coś sobie przypomniała.

– A tamta kurierka?

– To nie była żadna kurierka.

Wyjaśnił córce, że to była jedynie funkcjonariuszka bezpieczeństwa, podstawiona ze względu na podobieństwo do jej zmarłej matki.

– Odejdiesz stąd, uciekniesz i co będziesz robić? – pytała dalej.

– Mam powody sądzić, że codzienne limity rodzinne to jakaś ściema. Chcę to sprawdzić.

Nie kryła sceptycyzmu.

– Niby jak?

– Jeszcze nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. – Coś wymyślę.

Popatrzyła na niego pobłażliwie.

– Tato, nie obraż się, ale... Czy tobie się wydaje, że jesteś jedyną osobą na świecie, która wiedziałaby, jak jest naprawdę? Myślisz, że inne trzeciaki i czwartaki by tak nie myśleli, gdyby to była prawda?

– Nie liczy się to, co myślą inni ludzie, tylko to, czy mówią o tym na głos i czy próbują coś z tym zrobić – zauważył. – Jeśli nie ja, to kto?

Nie wyglądała na przekonaną.

– Pamiętasz, co ci kiedyś mówiłem o walce z większym od siebie przeciwnikiem? – próbował dalej ją przekonywać. – O tej regule?

– O której? – odpowiedziała pytaniem. – Bo były ich dziesiątki...

– Jeśli masz do czynienia z potężnym wrogiem, nie siłuj się z nim, tylko wykorzystaj jego moc przeciwko niemu samemu – wyjaśnił. – Tak właśnie staram się teraz robić...

Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem.

– Jeszcze coś... – powiedział po chwili. – Jeżeli nie uda im się mnie złapać, zamknąć i powiesić, to będą próbowali zniszczyć mnie w inny sposób. Nie wierz w nic, co będą o mnie mówić w telewizji i internecie. I... – Zrobił pauzę. – Nie daj nikomu się zgnębić.

– Nie pozwolę – rzekła hardo. – Wrócisz do mnie kiedyś?

Chciałby ją okłamać, ale nie potrafił.

– Bardzo bym chciał, lecz nie mogę ci tego obiecać. To byłoby wobec ciebie nieuczciwe.

Zamknęła na moment oczy. Gdy otworzyła je z powrotem, szklily się w nich łzy.

– Malina, muszę już iść... – wyszeptał.

Rzuciła mu się na szyję, przytuliła.

Głaskał skórę jej głowy pozbawioną włosów i płakał.

Chwilę później delikatnie ją od siebie odsunął.

– Malina, naprawdę muszę już iść.

Potaknęła głową na znak, że zrozumiała.

Zrobił krok w tył.

– Tato... – jęknęła.

Cofał się dalej w stronę drzwi.

Podbiegła, raz jeszcze rzuciła mu się na szyję i przywarła do niego.

– Malina... – mówił cicho. – Malina...

– Tato, zostań... – wyszeptała.

Miał wrażenie, że serca pęka mu na pół.

– Nie mogę... – powiedział niemal niesłyszalnie.

Nikola płakała.

– Nie zostawiaj mnie...

Wyswobodził się z uścisku. Wziął jej twarz w dłonie. Popatrzył prosto w oczy.

– Malina, nie zostawiam cię – rzekł czule. – Zawsze będę przy tobie.

Odsunął ją od siebie. Odwrócił się i wyszedł z mieszkania, zarzucając plecak na tyle niewielkich rozmiarów, aby nie wzbudzać podejrzeń.

Zbiegł po schodach, co sił.

Kiedy był już na zewnątrz bloku, ruszył żwawo chodnikiem. Szedł tak, wiedząc, że Malina stoi w oknie i patrzy za nim.

Tak bardzo chciał się odwrócić, przystanąć i jej pomachać, ale bał się, że przybiegnie, kolejny raz zarzuci mu ręce na szyję, a on nie znajdzie już w sobie tyle siły, aby oderwać się od niej.

Nie mógł tego zrobić.

Nie chciał.

Nie potrafił.

Zacisnął zęby i szedł dalej, zmuszając się do robienia szybkich kroków i tłumacząc samemu sobie, że tak będzie dla niej lepiej.

Kiedy zniknął za budynkiem kościoła, nie skręcił w stronę lasu.

Miał jeszcze coś do zrobienia.

Rozdział 55

Gdy tylko Wicha pozbył się pułkownika, od razu przejął prowadzone przez niego śledztwo. Pierwszym problemem, z jakim przyszło mu się zmierzyć, był alert wirusowy, na którym Medynia poległ.

Ale on w przeciwieństwie do byłego już szefa miał asa w rękawie: przychylność Bernata – Pierwszego Przewodniczącego Samodzielnej Komórki Terytorialnej Partii i, jakby nie było, jednego z najważniejszych partyjnych baronów w tej części Europy – człowieka dzierżącego w rękach ogromną władzę, którą mógł wykorzystać, jak tylko chciał.

Pod warunkiem, że chciał.

A właśnie teraz tak było.

Bernat uruchomił wirtualfon – kapitan od razu zauważył, że to najnowszy model z emiterami zapachów dostępny jedynie dla wybranych – i nawiązał połączenie. Rozmawiał krótko, kilka wypowiedzianych przez niego monosylab przetykał wybuchami perlistego śmiechu.

Kiedy skończył, miał już śmiertelnie poważny wyraz twarzy i Wicha był przekonany, że jego marzenia właśnie bezpowrotnie przysły.

Mylił się.

– Możecie wchodzić – rzekł Bernat, uśmiechając się przy tym dostojnie.

– A kwarantanna wirusowa? – spytał kapitan.

– Została wstrzymana – wyjaśnił. – Decyzję osobiście podjął pan premier.

Słyszając to Wicha, nauczony latami służby w SBP, postanowił upewnić się co do jednego:

– Mamy to na piśmie?

– Czy wyście, kapitanie, ocipieli? – wypalił Bernat. – Nie wystarczy wam słowo pana premiera? Dla mnie jest święte! Pan premier każe przygotować nowe reality show? Przygotowujemy! Pan premier każe zawiesić konstytucję? Zawieszamy! Pan premier każe przeprowadzić wybory korespondencyjne? Przeprowadzamy!

Wicha zreflektował się, jak wielką gafę strzelił. Postanowił zrobić wszystko, aby zatrzeć złe wrażenie.

– Tak jest! – potwierdził. – Wszystko jest jasne! Działamy!

Jeszcze nie skończył mówić, a już uruchamiał wirtualfona i wydawał kolejne polecenia. Dogadawszy szczegóły akcji, potwierdził jeszcze udział ekipy Telewizji Państwowej.

Wsiadł do ciężarówki razem z brygadą antyterrorystów, do środka zmieściła się jeszcze reporterka. Niespełna kwadrans później kierowca zgodnie z rozkazem zatrzymywał już ciężarówkę za blokiem sąsiadującym z kościołem, dzięki czemu nie można ich było zauważyć ani spod wejścia do świątyni, ani z mieszkania Krzyka. Ten ostatni fakt był podyktowany tym, że Wicha nie lubił niczego pozostawiać przypadkowi.

Zresztą, kościół i sąsiednie budynki już były otoczone armią szpicli, teraz doszli jeszcze strzelcy wyborowi ulokowani na dachach.

Wicha podszedł do Dudziaka kryjącego się za węglem ruin jednego z bloków.

– Sytuacja? – spytał podwładnego.

– SYCO cały czas wskazuje, że figurant jest w środku – zameldował Dudziak.

– A maszyna?

– Bez zmian: w lesie – odparł szybko. – Dopiero co łączyłem się z Brzozowskim.

– W co ten kutas gra? – zastanawiał się na głos. Zaczął pomstować na pułkownika. Zrobił źle, odsyłając tę ładną panią major z Wołomina. Gdyby została na miejscu, mogliby ją teraz wykorzystać do trzymania figuranta na krótkiej smyczy.

Nagle obok esbeków stanęła reporterka.

– Panie kapitanie, jest prośba z reżyserki.

Wicha był totalnie zaskoczony.

– Z reżyserki?

– Z centrali w Krakowie – wyjaśniła cierpliwie.

Kraków?! – Kapitan był wniebowzięty. Takiej okazji nie wolno mu przepuścić!

– Jaka to prośba?

– Chcą to puścić w paśmie na Europę Środkową i Południową, ale potrzebują więcej materiału.

Wicha oczami wyobraźni zobaczył siebie w głównym wydaniu Dziennika Wieczornego nie tylko w Polsce, Czechach, na Słowacji i na Ukrainie Zachodniej, ale też w pozostałych krajach kontynentu, poza Skandynawią, Wielką Brytanią i państwami Półwyspu Iberyjskiego. I pomyśleć, że tyle dokonałby w pierwszym dniu swojego nowego urzędowania na stanowisku naczelnika Wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa Państwa!

– Co to znaczy: więcej materiału? – spytał nerwowo.

Reporterka była równie podekscytowana, co on.

– Musimy wejść razem z wami do piwnicy.

– Jasne...

– Przydałoby się też zrobić krótkie wprowadzenie. Teraz.

– A nie moglibyśmy tego nagrać po akcji?

Zrobiła minę zawiedzionej.

– Gdy pan będzie zmachany i pokryty kurzem?

– No tak... Jak miałyby to wprowadzenie wyglądać?

– Powie pan kapitan kilka zdań do kamery. Co to za akcja, kto jest celem, jakie zbrodnie popełnił. Takie tam pierdoły...

Wicha jeszcze się nie zgodził, a operator kamery już ustawiał statyw.

Reporterka stanęła przed obiektywem.

– Moim i państwa gościem jest kapitan Patryk Wicha, naczelnik Wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa Państwa z siedzibą w Enklawie Zielona Góra. Panie naczelniku, proszę powiedzieć, świadkami jakich działań staniemy się już za chwilę.

Kapitan odchrząknął, potem zaczął mówić.

– Dzięki zaangażowaniu funkcjonariuszy miejscowej jednostki SBP udaremnimy próbę wydrążenia tunelu, którym zorganizowana banda dysydentów próbuje połączyć się z nieczynną już kopalnią węgla brunatnego kryjącą się na głębokości kilkunastu metrów. Działania wywiadowcze pozwoliły nam na uzyskanie pewności, że prowodyrem tej bandy jest nie kto inny, jak sam Jan Krzyk, były bohater wojenny zdegradowany do czwartej kategorii obywateli za postawę antyspołeczną w warunkach recydywy.

Reporterka wykorzystwała sprzyjający moment i zabrała mikrofon.

– Dziękuję panu. A teraz zapraszam widzów na akcję, z której relację na żywo przeprowadzi tylko i wyłącznie Telewizja Państwowa.

Wicha odczekał, aż operator kamery zdejmie sprzęt ze statywu, potem zadał pytanie kobiecie.

– Idziemy w trybie live?

– Tak.

Mało brakowało, a z radości aż by podskoczył.

– Możemy już wchodzić do kościoła? – zadał kolejne pytanie.

– Momencik... Tylko coś sprawdzę... – Palcami przycisnęła słuchawkę zamontowaną w uchu. – Reżyserka, potwórz proszę... Tak?... To naprawdę świetna informacja!

Wicha przysłuchiwał się jej z napięciem.

Reporterka popatrzyła na niego, uśmiechając się szeroko.

– W tej chwili udział w widowni dobija do dziewięćdziesięciu trzech procent. Oglądają nas nawet w największych zakładach pracy. Możecie panowie zaczynać!

Wicha mrugnął okiem do Dudziaka, potem przekazał antyterrorystom sygnał do wejścia. Sam ruszył jako pierwszy. Nie zamierzał pozwolić, aby tych pięć minut, jakie stały przed nim otworem, sprzątnął mu sprzed nosa ktokolwiek inny.

Weszli głównym wejściem bez żadnych problemów. Później kapitan pozwolił, aby jeden z uzbrojonych po zęby osiłków rozprawił się z drzwiami. Potem postawił nogę na pierwszym stopniu schodów. Pstryknął palcami wyłącznik, ale światło się nie włączyło.

– Noktowizory! – szepnął do mikrofonu. Jak to dobrze, że zawczasu o tym pomyślał! – pogratulował sobie w duchu i opuścił okulary na oczy.

Zaczął ostrożnie pokonywać kolejne schody. Wreszcie dotarł na dół. Pokazał sunącemu za nim antyterroryście, aby sprawdził pomieszczenie po prawej stronie, drugiego skierował na lewo, sam kroczył do przodu. Znał te piwnice, sam był jednym z tych, którzy zaraz po wojnie pomagali je odgruzowywać.

Gotów był się założyć, że wie, gdzie Krzyk się zamelinował.

Stanął przed drzwiami prowadzącymi do ostatniego pomieszczenia i poczekał, aż operator kamery ustawi się za nimi. Potem dał znak, aby któryś z osiłków je otworzył. Kiedy tak się stało, wbiegł do środka, wrzeszcząc na całe gardło:

– Nie ruszaj się!

Rozglądał się przy tym, kręcąc głową na wszystkie strony.

Wtem dojrzał niepokojący obraz.

– Stój, bo strzelam! – krzyknął.

Jeszcze nie skończył wołać, a już naciskał spust. Puścił go dopiero wtedy, kiedy magazynek karabinu maszynowego był pusty. Pstryknął wyłącznikiem, ale efekt był identyczny jak poprzednio.

Ten skurwysyn zepsuł jakoś prąd! – warknął w myślach, zzymając się, że przez to ekipa telewizja nie będzie miała możliwości pokazania świata jego wyczynu.

Mylił się.

Gdy tylko oświetleniowiec dostał od antyterrorystów informację, że piwnica jest bezpieczna, zaczął rozstawiać przenośną lampę o dużej mocy z własnym akumulatorem. Dzięki temu chwilę później światło wręcz zalało pomieszczenie jasnością.

Wicha, który czekał na ten moment, jak na zbawienie, od razu dostrzegł siedzącego w kącie ogromnego pluszowego misia – rozmiarów dorosłego mężczyzny – z rzucającymi się w oczy dziurami po kulach.

Na jednej z łap miał opaskę w kolorze sraczkki. Wicha mógł się założyć, że należała do figuranta.

Za to uwagę operatora kamery przyciągnęło zupełnie coś innego: ściana naprzeciwko pluszaka ozdobiona mozaiką wykonaną z fragmentów połamanych płytek. Była duża, miała jakieś dwa metry szerokości i nieco więcej wysokości.

Od razu rzucało się w oczy, że dzieło było misternie wykonane i to przez kogoś, kto nie dość, że znał się na rzeczy od strony technicznej, to jeszcze miał wybitny talent artystyczny.

Widząc zainteresowanie innych, Wicha powędrował wzrokiem za kamerą.

Gdy zobaczył mozaikę, mało nie zemdlął z wrażenia.

Momentalnie rozpoznał Bernata posuwającego kobietę do złudzenia przypominającą swoją nową kochankę. Adriana Więckiewicz opierała się obiema dłońmi o pień, Pierwszy rznął ją zaś od tyłu.

Przesłanie tego obrazu było dla Wichy jasne jak słońce.

Za to ni w ząb nie mógł pojąć, dlaczego korona tego drzewa była upstrzona ogromnymi malinami.

Epilog

W czasie, kiedy kapitan Wicha oddawał pierwszy strzał do pluszowego misia, Krzyk miał już w zasięgu wzroku kutą z żelaza bramę dawnego pałacu biskupiego wybudowanego na Wzgórzach Piastowskich, zajmowanego obecnie przez Bernata. Co prawda Enklawa Zewnętrzna zaczynała się kilkaset metrów dalej – od ronda przed Jędrzychowem – pełna luksusowych posiadłości z prywatnymi lasami, ale Pierwszemu Przewodniczącemu ta akurat rezydencja przypadła do gustu i trzeba było mu oddać, że w tym przypadku wykazał się dobrym smakiem.

Krzyk zmierzał tutaj, chociaż tak właściwie sam zastanawiał się nad odpowiedzią na pytanie: po co? Przecież z Adą nic go już nie łączyło...

Ale wciąż trawił go ból spowodowany tym, że po tylu latach go zostawiła.

I zdradziła.

Dotarł do ogrodzenia posiadłości, popatrzył w górę. Na niebie pojawiły się ciemne chmury, jakich nie widział od miesięcy.

Czyżby miał spaść deszcz?!

Nagle dostrzegł ruch przy bocznej furtce wychodzącej wprost na alejkę spacerową wijącą się między drzewami.

To była Ada.

Ruszył za nią truchtem, trzymał się niezbyt blisko.

Kilka minut później, kiedy już dawno minęli ruiny amfiteatru, musiała chyba wyczuć, że ktoś za nią biegnie, bo się odwróciła.

Gdy go rozpoznała, potknęła się i upadła. Próbowwała natychmiast wstać, ale zahaczyła lewą nogą o wystający korzeń. Syknęła z bólu, po czym runęła na ziemię jak długa.

Podbiegł do niej, rozglądając się uważnie we wszystkie strony i upewniając się, że są sami.

Ada usiadła na ziemi, spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

– To ty?

– A co: myślałaś, że już mnie zabili?

Cofała się, szorując tyłkiem po brudnym piachu, aż plecami dotknęła drzewa.

– Nie... – wystękała.

– Pewnie byłaś pewna, że twój nowy chłoptaś do spółki z tym skurwysynem z esbecji już się mną zajęli?

– To nieprawda...

– Donosiłaś na mnie.

Na ułamek sekundy uciekła wzrokiem, ale to mu wystarczyło, aby mieć pewność.

– Ty suko... – wycedził. – Jak mogłaś?

Podniosła dumnie głowę.

– Nie miałam wyjścia – rzekła twardo.

– Zawsze jest wyjście.

– Tak, ty o tym wiesz, prawda? – kpiła. – Dokonałeś wyboru, o którym mówił cały świat... Ale ten świat nie napoił później ani ciebie, ani twojej żony, ani twojego dziecka...

Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Zabijesz mnie? – spytała cicho.

– Nie.

– Zgwałcisz?

Zaśmiał się głośno.

– Nie dotknę tego, w co wsadza Pierwszy – powiedział wolno. Na głowie poczuł pierwsze kropelki deszczu.

Po nerwowym tiku, jaki wstrząsnął jej twarzą widział, że ją to zabolalo. I dobrze!

– To czego ode mnie chcesz? – spytała.

Nie odezwał się, bo sam nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Czego ode mnie chcesz?! – wrzasnęła.

– Dobrze ci z nim?

– Nie twój zasrany interes!

– Poświęciłaś miłość dla pieniędzy...

– Miłość? – Wybuchnęła śmiechem. – Między nami już od dawna nie było miłości.

– Ale kiedyś była – odciął się. – Przynajmniej na początku...

– Małżeństwo to nie tylko miesiąc miodowy... – Nagle się zamyśliła. – Nigdy nie przestałeś kochać Łucji... Kochałeś tylko Nikolę.

– Za to ty nigdy nie darzyłaś jej uczuciem.

– To nie moje dziecko – rzekła ostro. – Ale może umiałabym je pokochać, gdyby... Gdyby nie ty... Ty i twoja miłość do zmarłej żony, przez co dla mnie zostało jej już niewiele... Tyle, co nic...

Krzyk milczał, czując, jak na skórę głowy spadają coraz większe krople.

– Dlaczego doniosłaś na Bogusia? – Zmienił nagle temat.

– Bogusia?

– Nie udawaj – rzucił oschle.

Przełknęła ślinę, nic nie powiedziała.

– Chcę, żebyś wiedziała, że na swoich rękach masz jego krew.

Ada zamknęła oczy.

Padło coraz mocniej. Krzyk zadarł wysoko głowę, zobaczył ciemne, niemal czarne niebo. Zanosiło się na oberwanie chmury.

– Bernat jest skończony. Ty razem z nim – rzucił z satysfakcją. – Stracisz wszystko...

– O czym ty mówisz?

Uruchomił wirtualfona, wybrał kanał Telewizji Państwowej. Zobaczywszy na ekranie swoją mozaikę, uśmiechnął się szeroko. To były długie godziny spędzone w kościelnej piwnicy, ale się opłaciło!

– Wiesz, że Partia nie toleruje cudzołóstwa? – mówił dalej. – Przynajmniej jawnego.

– Nie jestem już mężatką. – W jej głosie dało się słyszeć nadzieję. – Grzesiowi nic nie grozi.

– Ale rznąłaś się z Bernatem, kiedy jeszcze nią byłaś! – Wspomniał w myślach moment, w którym Nikola pokazała mu tamten strój kąpielowy.

– Nie wie o tym nikt poza nim, mną i tobą.

Spojrzał na nią pobłaźliwie.

– I tu się mylisz – powiedział.

Na jej twarzy malował się autentyczny strach.

– Co ty zrobiłeś?!

– Jak wrócisz do swojej nowej willi, którą niedługo przyjdzie ci opuścić, i zmyjesz z siebie błoto, odpal wirta – cedził wolno słowa. – Wtedy zobaczysz i zrozumiesz.

Ada zaczęła szlochać..

– Ty skurwysynie! – wrzasnęła.

Ale Krzyk już na nią nie patrzył. Odwrócił się, wystawił twarz na deszcz.

– Prawie mi ciebie żal... – rzekł cicho sam do siebie.

Nie oglądając się, ruszył w las. Chciał dojść do Wieży Wilkanowskiej, potem skręcić w lewo, w kierunku Ochli. Dokąd pójdzie dalej, jeszcze nie wiedział.

Bo w istocie nie powiedział Malinie całej prawdy. Właściwie można by nawet rzec, że ją okłamał.

Ale przecież nie mógł jej wyjawić, że nie miał dokąd uciec. Że było jedynie kwestią godzin – może dni – jak go złapią i skażą na karę śmierci.

Tak naprawdę był już pogodzony z losem, mimo to czuł w sobie wielką moc. Wiedział, że to dzięki studni, która jego córce miała zapewnić stały dostęp do zapasów. Jeśli nikt z rodziny Matki i Bogusia się nie wygada, latami będą mogli żyć w spokoju.

Latami... – powtórzył w głowie.

Na tę myśl jego oczy zaszklily się łzami.

Nie zobaczy, jak Malina kończy szkołę.

Spotyka tego jedynego mężczyznę.

Wychodzi za niego za męż.

Ma z nim dziecko.

Krzyk odetchnął głęboko, zwiększył tempo marszu. Nie łudził się, że uda mu się przetrwać, ale przecież to jeszcze nie oznaczało, że ma poddać się bez walki.

Szedł, a ciekące na jego policzkach łzy mieszały się z coraz większymi kroplami deszczu.

Jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

Zaraz potem z nieba runęła na niego ściana wody.

Nowa Sól – Zielona Góra, 22 grudnia 2020

Podziękowania

Agnieszce Gontaszewskiej-Piekarz dziękuję za podzielenie się wiedzą na temat dawnych zielonogórskich kopalni węgla brunatnego. Łukaszowi Kasprzykowi jestem wdzięczny za informacje dotyczące planów architektonicznych mieszkań i układu pomieszczeń w piwnicy bloku przy ul. Słowackiej.

Na ręce Aliny Polak-Woźniak ślę wyrazy wdzięczności za redakcję powieści i celne uwagi.

*

Tradycyjnie pierwsza wersja powieści trafiła do rąk rodziny. Za cierpliwość dziękuję: mojemu Tacie, bratu Łukaszowi oraz Danucie Urbańczyk.

Od Autora

Często tak pisałem na końcu:

Wszystkie wydarzenia opisane w tej książce są co prawda fikcyjne, ale to nie znaczy, że nie mogą się wydarzyć.

Oby tak się nie stało.



Krzysztof Koziołek

Rocznik 1978, zielonogórzanin z urodzenia i zamieszkania. Przez prawie 20 lat mieszkał w Nowej Soli, gdzie zaczęła się jego kariera pisarska. Absolwent politologii na Uniwersytecie Zielonogórskim, z zawodu pisarz i dziennikarz. Pasjonat górskich wędrówek, zapalony kibic żużla i fan serialu „Na południe”. Znany też jako Bookman, czyli człowiek w najbardziej kryminalnym płaszczu na świecie uszytym z okładek książek.

W 2007 roku zadebiutował „Drogą bez powrotu”, od tego czasu wydał dwadzieścia trzy powieści sensacyjne, kryminalne i thrillery. Kilka z nich to kryminały napisane w stylu skandynawskim, czyli podejmujące ważne tematy społeczne.

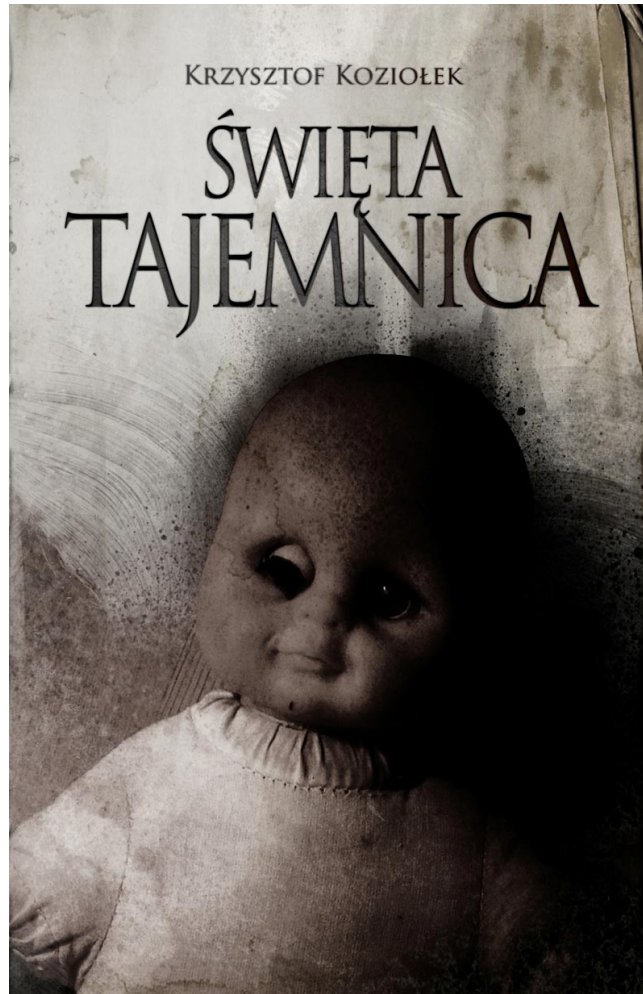
W 2011 roku otrzymał „Lubuską Nagrodę Literacką” dla najbardziej obiecującego lubuskiego pisarza. W 2018 roku za kryminał retro „Wzgórze Piastów” oraz cały dorobek beletrystyczny otrzymał Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka”. W 2019 roku za kryminał retro „Nad Śnieżnymi Kotłami” otrzymał nagrodę „Książka Górska Roku” w kategorii „Górska fikcja literacka i poezja”.

Krzysztof Koziółek
Droga bez powrotu



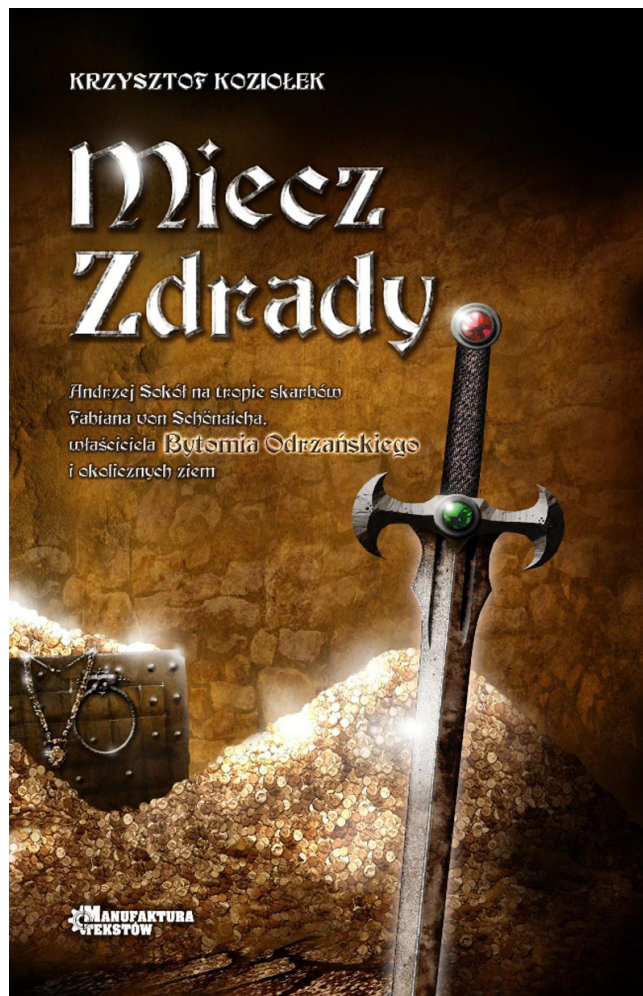
Nowosolski dziennikarz Andrzej Sokół trafia na ślad międzynarodowej afery mogącej zagrozić bezpieczeństwu Polski. W wyniku skrzątnie uknutej intrygi zostaje wrobiony w potrójne morderstwo. Ścigany przez polską policję i rosyjską mafię ucieka w Karkonosze. Tylko tam może znaleźć dowody, które pogrążą prześladowców, a jego oczyszczą z zarzutów. Wyścig z czasem trwa, a po piętach zaczynają mu deptać zawodowi zabójcy...

Krzysztof Koziołek
Święta tajemnica



Ksiądz Sambor wysłuchuje wyznań zabójcy ośmiolatka. Związany tajemnicą spowiedzi nie może o tym poinformować policji. Kiedy ginie kolejne dziecko, wikary podejmuje własne śledztwo. Ale schwytanie mordercy to dopiero początek jego problemów.

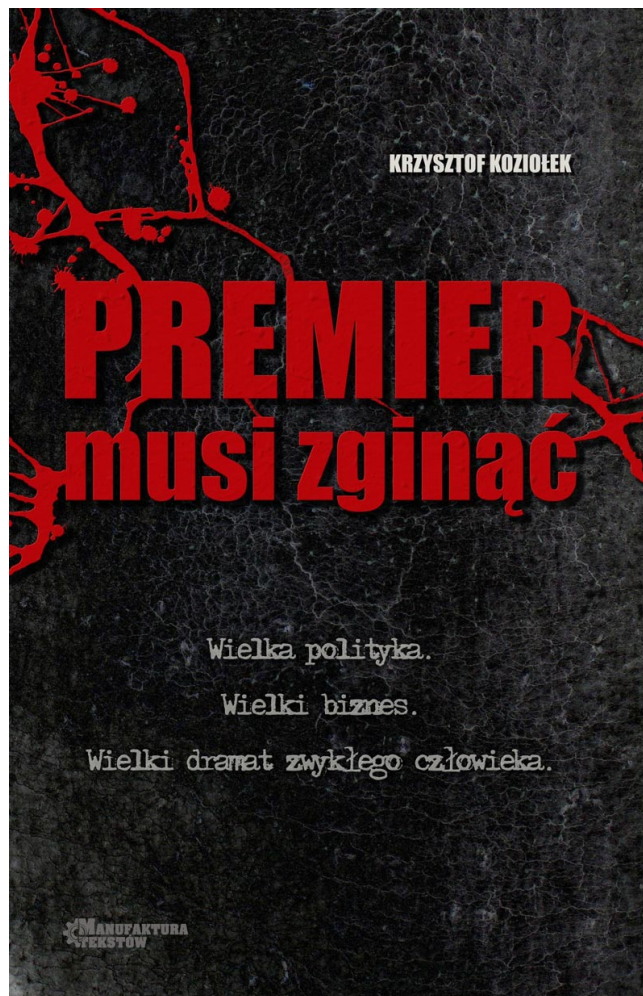
Krzysztof Koziółek
Miecz zdrady



Żużlowiec Falubazu Zielona Góra Marcin Malicki zostaje oskarżony o zamordowanie kolekcjonera antyków za pomocą średniowiecznego miecza. W sprawę zostaje wmieszany nowosolski dziennikarz Andrzej Sokół, który trafia na trop niewyobrażalnych skarbów gromadzonych 300 lat przez rodzinę von Schönaichów.

Ślady kosztowności prowadzą do Zielonej Góry, Kożuchowa, Bytomia Odrzańskiego, Siedliska, Otyńia i Zaboru. Przed laty szukały ich już: niemieckie gestapo, radziecki Główny Zarząd Zdobyczy i polski Urząd Bezpieczeństwa, a także tajemnicze Przedsiębiorstwo Poszukiwań Terenowych, ale bez rezultatu...

Krzysztof Koziołek
Premier musi zginąć



Ktoś zatruwa wodociągi w miastach zachodniej Polski. Następnego dnia przestaje działać sygnalizacja świetlna we Wrocławiu i Warszawie, oba miasta ogarnia komunikacyjny chaos. Nieznani sprawcy paraliżują ruch pociągów w całym kraju. Milkną sieci telefonii komórkowych, przestaje działać internet. Hakerzy niszczą systemy rozliczeń międzybankowych i terminali płatniczych. W obliczu braku papierowego pieniądza miliony Polaków z dnia na dzień zostają bez środków do życia. Kraj staje na skraju przepaści.

Do aktów terroru przyznaje się organizacja pod nazwą „Gniew Boży”. Kto za nią stoi? Komu zależy na tym, aby w Polsce wybuchła wojna domowa? I jaki związek

te wydarzenia mają z zamordowaniem żony i córki Tomasza Miki?

Mężczyzna, niezadowolony z tempa policyjnego dochodzenia, rozpoczyna własne śledztwo. To, czego się dowie, przyprawi go o szybkie bicie serca.

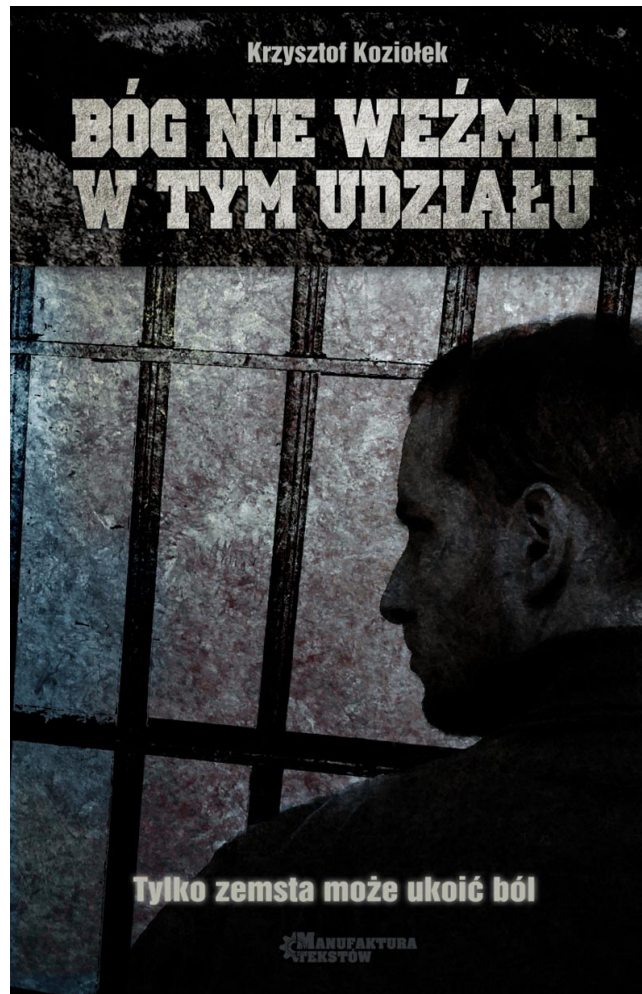
Krzysztof Koziołek
Trzy dni Sokoła



Trzy powieści w odcinkach z Andrzejem Sokołem publikowane w tygodnikach lokalnych oraz na stronie internetowej autora. „Trup w winnicy”: wiceprezydent Zielonej Góry zostaje znaleziony martwy, z kłosem winogron w ustach. Obok ciała policjanci znajdują liścik z żądaniem okupu: 1.111.111 zł i 11 groszy. A wszystko to w przeddzień prestiżowego Światowego Kongresu Winorośli i Wina, który ma się odbyć w grodzie Bachusa. „Ostateczna rozgrywka”: na dzikim wysypisku Andrzej Sokół znajduje pamiątkę Franciszki Maciejków, zastrzelonej przez Rosjan w lutym 1945 r. za kolaborację z okupantem. Wkrótce okazuje się, że była ona agentką polskiego wywiadu wojskowego, a jej losy mają wiele wspólnego

z zabytkową fabryką nici, którą za wszelką cenę chce przejąć pewien nowosolski szemrany przedsiębiorca. „Zemsta absolutna”: cztery zagadkowe morderstwa. Nieprawdopodobna zbieżność nazwisk ofiar. I pętla śmierci zaciskająca się coraz mocniej. To zemsta. Zemsta absolutna.

Krzysztof Koziołek
Bóg nie weźmie w tym udziału



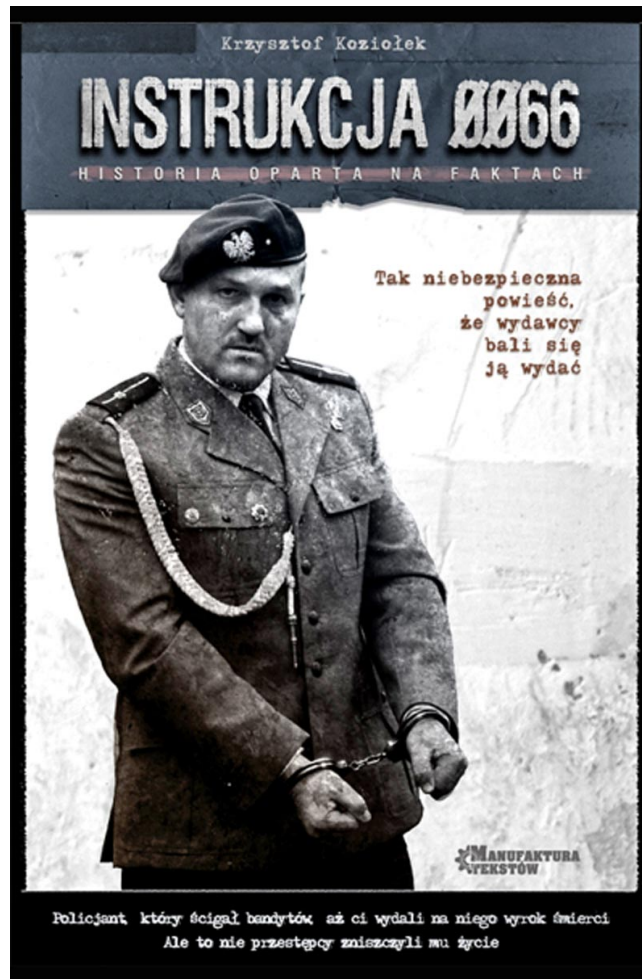
Wiesław Fidler, tajniak głęboko zakonspirowany w strukturach mafijnych, zostaje zdradzony. Mafia wydaje wyrok śmierci na niego i jego żonę. Cudem udaje mu się wyjść cało z zamachu, zostaje jednak ciężko ranny, a zabójcza kula dosięga jego ukochaną.

Ledwie Fidler rozpoczyna rehabilitację, gdy dostaje propozycję kolejnej tajnej akcji. Tym razem ma doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości morderców swojej żony. Aby tego dokonać, musi trafić do celi więzienia w Wołowie.

W tym czasie do tego samego więzienia trafia pewien pedofil, który rozpoczyna kampanię społeczną mającą przywrócić w Polsce karę śmierci za najcięższe zbrodnie.

Wkrótce tajniaka szukającego zemsty oraz pedofila-recydywistę połączy wspólny cel. Spróbują go osiągnąć, bez względu na cenę, jaką przyjdzie im za to zapłacić.

Krzysztof Koziołek
Instrukcja 0066

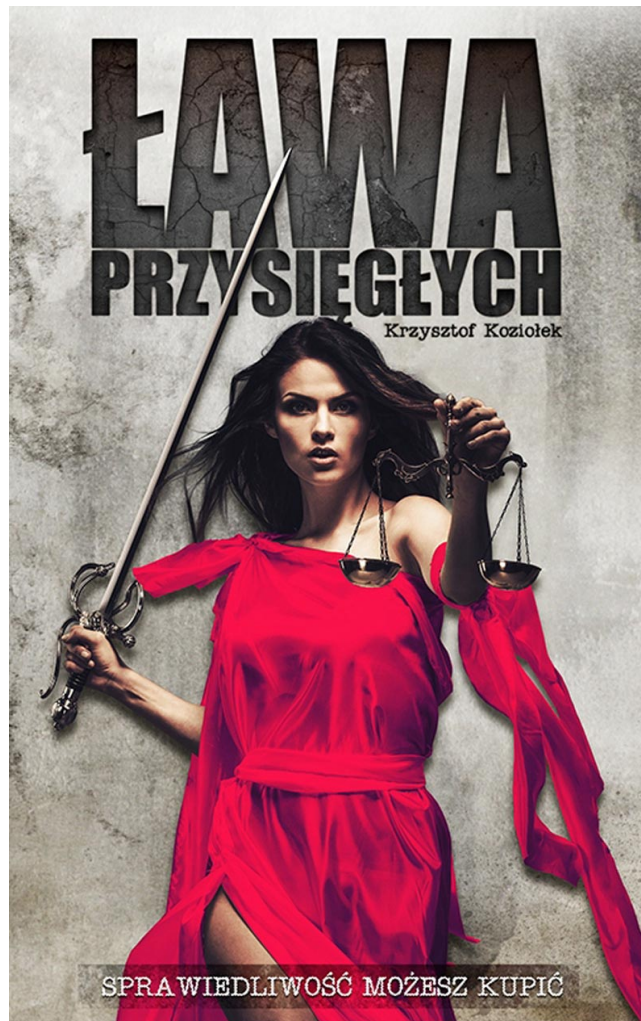


Stanisław Szafran służył w Poddziale Antyterrorystycznym przy Komendzie Wojewódzkiej Policji w Poznaniu oraz wydziale kryminalnym Komendy Powiatowej Policji w Słubicach w latach, kiedy na granicy polsko-niemieckiej trwała wojna o wpływy między grupami przestępczymi z całej Europy. Wielokrotnie nagradzany za sukcesy w pracy, otrzymał propozycję służby w CBS i ABW. Był tak skuteczny, że przestępcy próbowali go zdyskredytować, pomawiając o łapówkarstwo, wyznaczyli też 25 tysięcy złotych nagrody za jego zabójstwo.

W 2001 prokuratura oskarżyła go o przyjmowanie łapówek od rezydenta czeczeńskiej mafii, kradzież 50 sztuk papierosów i współpracę z przestępcami. Trzy miesiące spędził w areszcie, później uniewinniony przez sąd. Gdy prokuraturze nie udało się udowodnić winy, wytoczono mu kolejną sprawę, tym razem o ujawnienie tajemnicy państwowej i służbowej dziennikarzowi „Polityki”.

Kiedy i tym razem wszystko wskazywało na uniewinnienie, prokuratura w innej sprawie oskarżyła go o współpracę ze zorganizowaną grupą przestępczą. Ponownie aresztowany, załamał się, próbował popełnić samobójstwo. W końcu, po 15 wyrokach i prawie 10 latach walki o odzyskanie dobrego imienia, całkowicie oczyszczony z zarzutów. W międzyczasie został jednak zmuszony do odejścia z policji na emeryturę.

Krzysztof Koziołek
Ława przysięgłych



Damian Kanclerz razem z rodziną robią zakupy w osiedlowym markecie. Już na parkingu zostają brutalnie zaatakowani przez dwóch mężczyzn. Jeden z nich ciężko rani szwagra, wtedy Kanclerz, walcząc o życie swoje i rodziny, zabija obu napastników.

Mimo że następnego dnia media okrzykują go bohaterem, to jednak prokuratura stawia mu zarzut przekroczenia obrony koniecznej i nieumyślnego spowodowania śmierci.

Sprawą Kanclerza zaczyna się interesować minister sprawiedliwości, który postanawia wykorzystać ją w walce o schedę po ustępującym prezesie partii rządzącej. Receptą na sukces ma być poparcie opinii publicznej. Aby to osiągnąć, minister postanawia wprowadzić do polskiego prawodawstwa instytucję ławy przysięgłych. Pierwszym procesem będzie sprawa Kanclerza.

Gdy już ruszy rozprawa, nagle się okaże, że jest ktoś, komu bardzo zależy na tym, aby wielka ława przysięgłych wydała werdykt: winny...

Krzysztof Koziołek
Furia rodzi się w Sławie

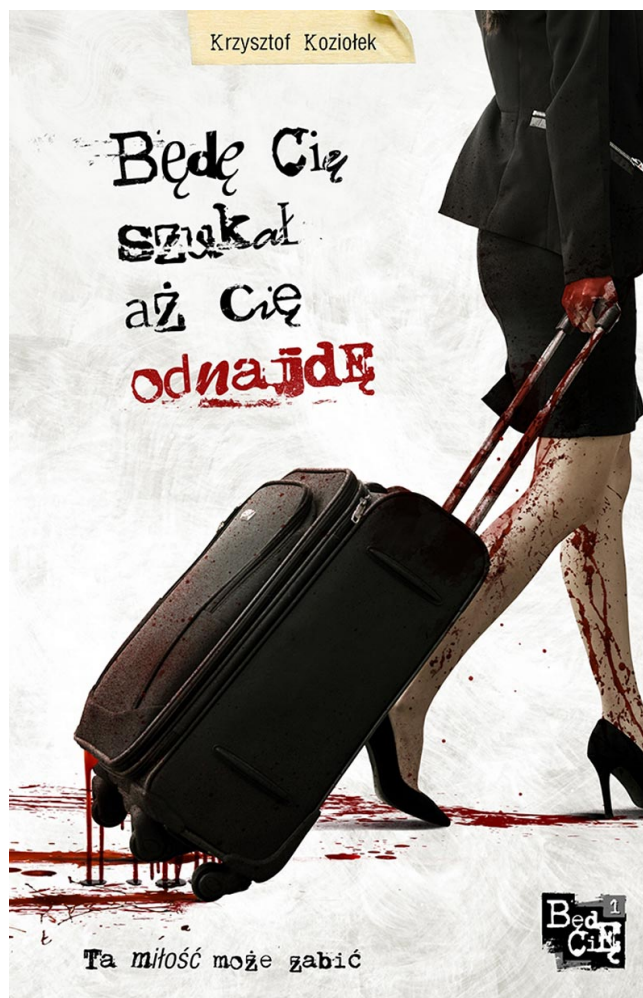


Sierpień 1944 roku, III Rzesza wyraźnie chyli się ku upadkowi. W Sławie, uzdrowisku położonym nad Śląskim Morzem, w ciszy i spokoju, z daleka od zmagania wojennych, kurują się niemieccy żołnierze ranni na różnych frontach.

Nagle miasteczkiem wstrząsa seria makabrycznych zbrodni. Śledztwo w tej sprawie prowadzi asystent kryminalny Anton Habicht, człowiek, który karierę w policji zawdzięcza członkostwu w NSDAP, i którego największym dotychczasowym sukcesem jest zlikwidowanie nielegalnej gorzelni. Początkowo wszystko wskazuje na to, że ofiary wybrano przypadkowo, wkrótce jednak pojawia się pewien łączący je trop.

Sytuacja komplikuje się, kiedy śledztwem zaczyna interesować się Sturmbannführer SS Carl Düchter, szef naukowców, którzy w sławskim pałacu – na rozkaz samego Heinricha Himmlera – prowadzą tajne badania nad procesami czarownic. Efekty tych prac mają odwrócić losy wojny.

Krzysztof Koziołek
Będę Cię szukał, aż Cię odnajdę



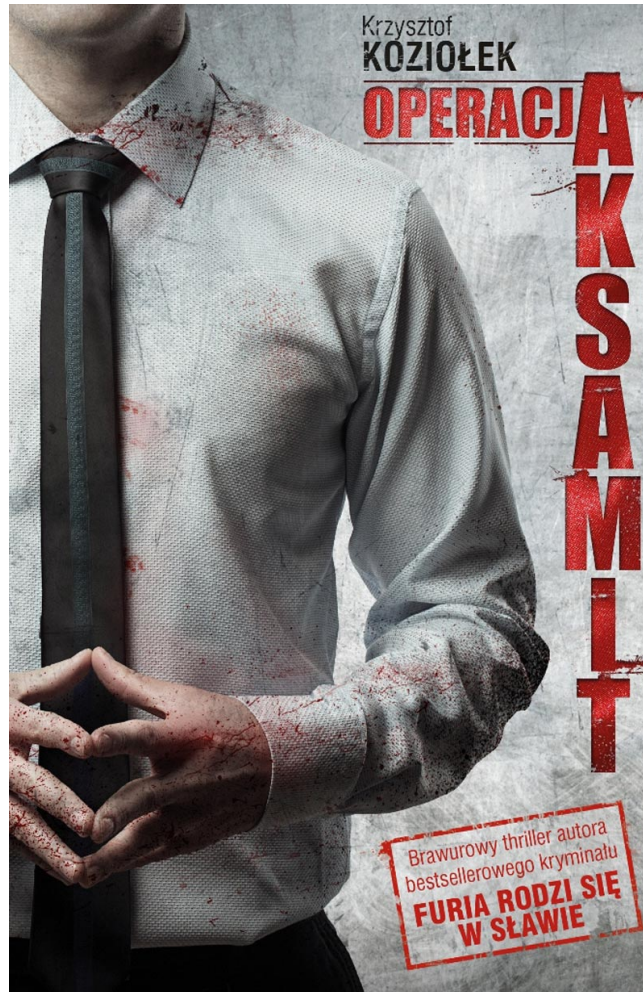
Wespazjan Cudny – dla przyjaciół Wally – wraca ze szkoły w dniu 18. urodzin. W domu, zamiast przyjęcia niespodzianki, czekają na niego ciała brutalnie zamordowanych rodziców oraz zabójcy, którzy próbują zgładzić także jego.

Chłopak jednego mordercę śmiertelnie rani, drugiemu ucieka na deskorolce. Niestety, wpada pod samochód i trafia do szpitala. Kiedy budzi się następnego dnia, nic nie pamięta. Nie ma też pojęcia, że w czasie, gdy zajmowali się nim lekarze, miejsce zbrodni zostało skrupulatnie spreparowane. Wally, oskarżony o podwójne morderstwo, zostaje tymczasowo aresztowany. Nie trafia jednak za kratki, ponieważ przejmują go tajemniczy mężczyźni.

W tym czasie bliscy chłopaka angażują do pomocy dziennikarza Andrzeja Sokoła oraz wysokiego oficera ABW, Sarę Bednarz. Para, szukając prawdziwych zabójców i ich zleceniodawców, dociera do dwóch dziewczyn, które urodziły się dokładnie tego samego dnia i w tym samym momencie, co Wally.

Okazuje się, że jedna z dziewczyn to Kesja, siostra chłopaka. Wally'ego łączy z nią znacznie więcej niż tylko braterska więź...

Krzysztof Koziółek
Operacja Aksamit



Na terenie opuszczonej fabryki w Nowej Soli policja znajduje ciało bezdomnego. Sekcja zwłok wykazuje, że mężczyzna zapił się na śmierć.

W tym czasie w warszawskiej restauracji minister spraw wewnętrznych spotyka się z prezesem Narodowego Banku Polskiego. Przy ośmiorniczkach popijanych wykwintnym koniakiem omawiają interes, który przyniesie im niewyobrażalne pieniądze.

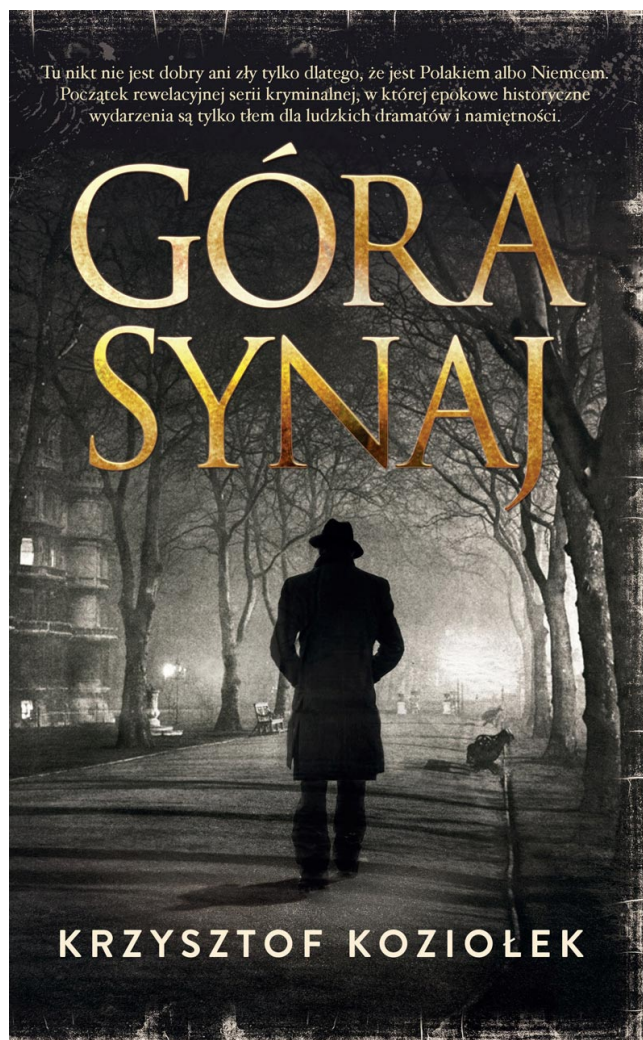
Śmiercią bezdomnego zaczyna interesować się dziennikarz Andrzej Sokół. Pomaga mu życiowa partnerka, Sara Bednarz, na co dzień funkcjonariuszka ABW.

Pozornie nieistotna sprawa szybko przeradza się w śledztwo zakrojone na niespotykaną dotąd skalę.

Sokół i Sara Bednarz stają się zagrożeniem dla grupy Aksamit – stworzonej przez kilku polityków partii rządzącej – która nie cofnie się przed niczym, aby przekręt stulecia doprowadzić do samego końca.

Krzysztof Koziółek

Góra Synaj



Pewnego jesienno wieczoru 1938 roku, w Glogau (Głogowie)...

Anton Habicht jest funkcjonariuszem policji porządkowej. Zarobki ma nędzne, pracę jeszcze gorszą. Kiedy śledczy Matzke z policji kryminalnej proponuje mu współpracę, Habicht nie może uwierzyć we własne szczęście. Pomaga Matzkemu przy śledztwie w sprawie śmierci chłopca, którego znaleziono w zoo, na wybiegu dla niedźwiedzi.

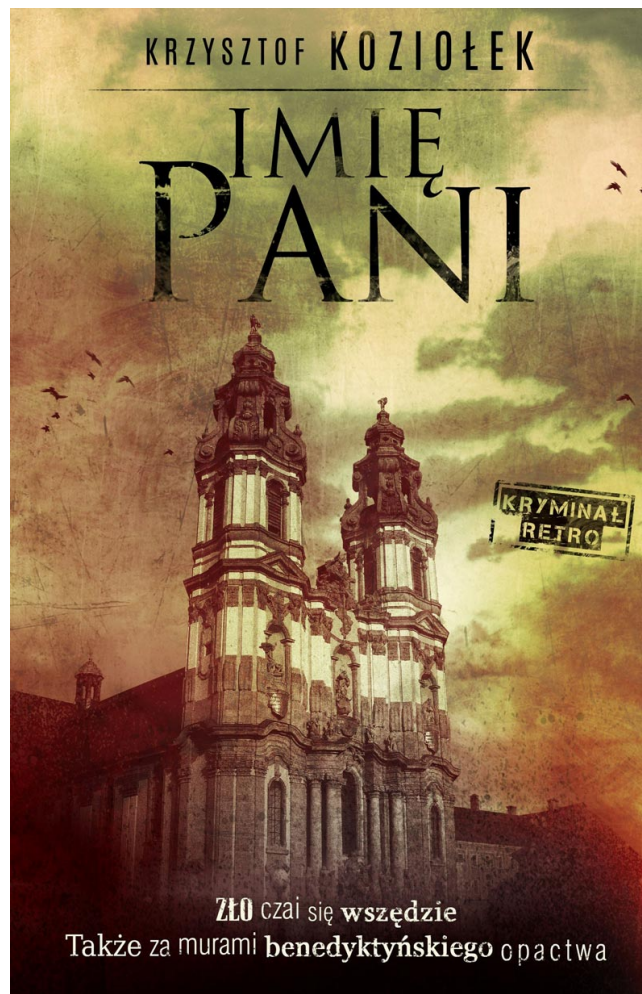
W tym samym czasie w oddalonym o 35 km Neusalz (Nowej Soli) ginie kolejne dziecko; zwłoki kilkuletniego chłopca wyłowiono ze stawu. Prywatne śledztwo

w tej sprawie, niezależne od policyjnego, prowadzi pewna hrabina. Czy te dwie zbrodnie są ze sobą powiązane, a jeśli tak, to kto za nimi stoi?

Dochodzenie w Glogau zatacza coraz szersze kręgi. Głównym podejrzanym okazuje się pewien Żyd, ale dla Habichta sprawa wcale nie jest oczywista. Z każdym mijającym dniem nabiera coraz silniejszego przeświadczenia, że jest tylko pionkiem w skomplikowanej grze, w którą wplątał go Matzke.

Krzysztof Koziółek

Imię Pani



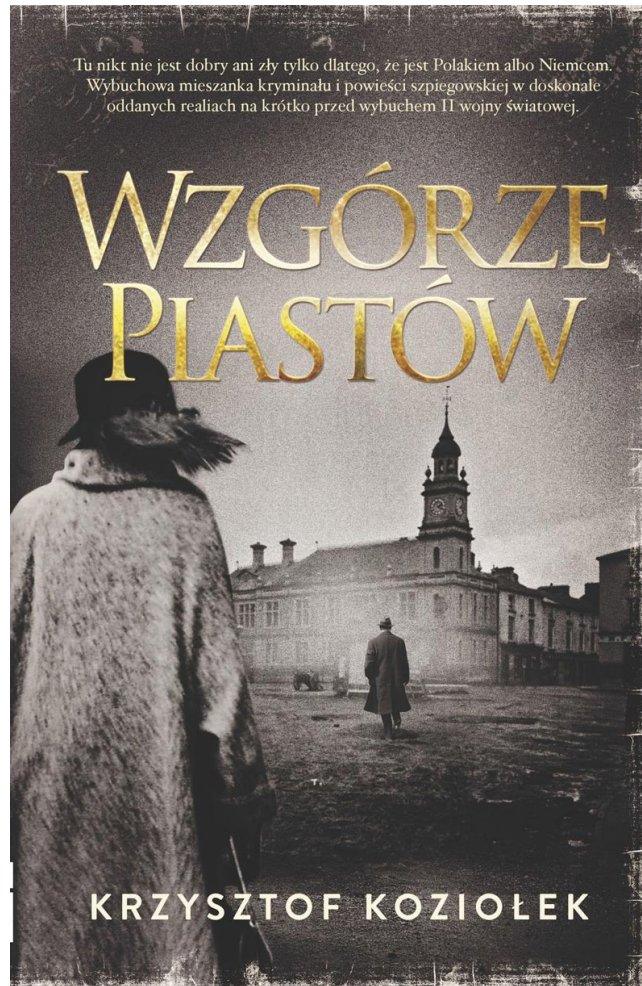
Jest 18 grudnia 1934 roku. Komisarz kryminalny Gustav Dewart wypoczywa w Grüssau (Krzeszowie), korzystając z gościny opata benedyktynów. Urlop ma mu pomóc w odzyskaniu sił nadwątlonych rodzinnym dramatem, ale pobyt wśród mnichów zaczyna go męczyć.

Żeby nie robić przykrości opatowi, policjant bierze udział w Dniu Światła, corocznej mszy odprawianej na pamiątkę odnalezienia cudownej ikony Matki Bożej Łaskawej ukrytej przed husytami i odzyskanej w nadprzyrodzonych okolicznościach po 196 latach. Niemal zaraz po nabożeństwie jeden z mnichów

zostaje znaleziony martwy w klasztornej toalecie. Kiedy opat prosi swego gościa o dyskretną pomoc, ten traktuje to jako uśmiech losu i odskocznię od monotonii.

Jednak wkrótce mury opactwa stają się świadkami kolejnych zagadkowych zgonów. Gdy miejscowa policja uznaje je za nieszczęśliwe wypadki, Dewart postanawia przeprowadzić własne śledztwo. Nie zdaje sobie przy tym sprawy, że wkrótce przyjdzie mu zmierzyć się nie tylko z tajemniczym sprawcą, ale i własnymi lękami, przed którymi stara się uciec.

Krzysztof Koziołek
Wzgórze Piastów

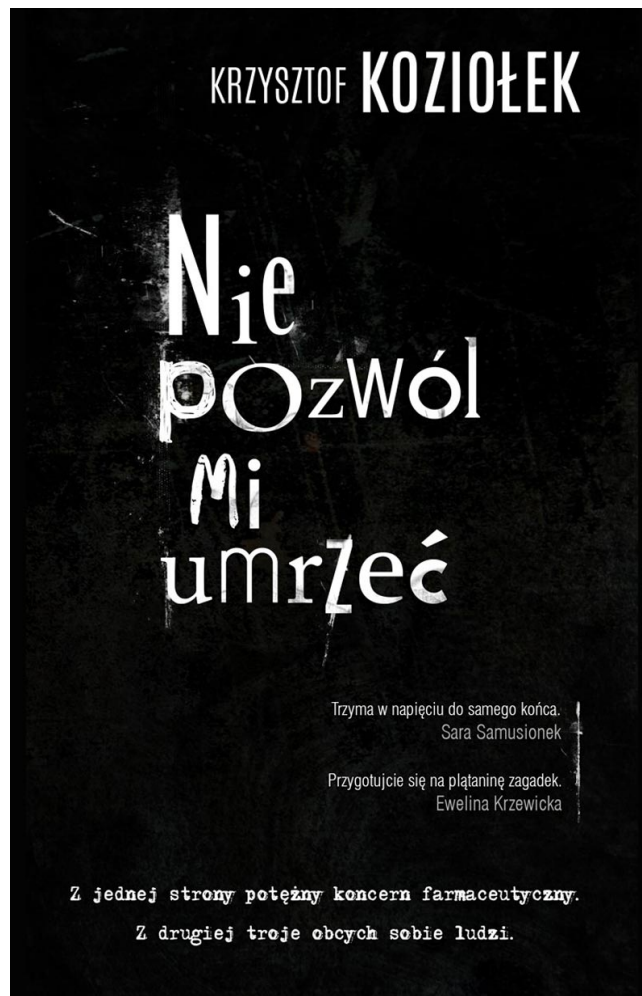


Wiosna roku 1939. III Rzesza szykuje się do wojny. Agentka polskiego wywiadu hrabina Franziska von Häften przyjeżdża do Grünbergu (czyli do Zielonej Góry), by donosić polskim władzom o postępach w budowie niemieckich umocnień nad Odrą. W tych pracach uczestniczy jej mąż, Aleksander; z jednej strony ułatwia to jej zadanie, z drugiej zaś mocno komplikuje. Kobieta musi wybierać między lojalnością wobec mocodawców, gasnącą miłością do męża i gwałtowną namiętnością łączącą ją z kochankiem – także polskim szpiegiem, dodatkowo pełniącym funkcję jej łącznika...

Kiedy dochodzi do zagadkowego zabójstwa i do akcji wkracza niemiecka policja kryminalna, Franziska szybko trafia na listę podejrzanych. Czy uda jej się zmylić tropy, wykonać szpiegowskie zadanie i znaleźć wyjście ze skomplikowanej sytuacji uczuciowej?

Czas goni, pętla śledztwa szybko się zaciska, napiętność ma swoje prawa...

Krzysztof Koziółek
Nie pozwól mi umrzeć



Z jednej strony potężny koncern farmaceutyczny. Z drugiej troje obcych sobie ludzi.

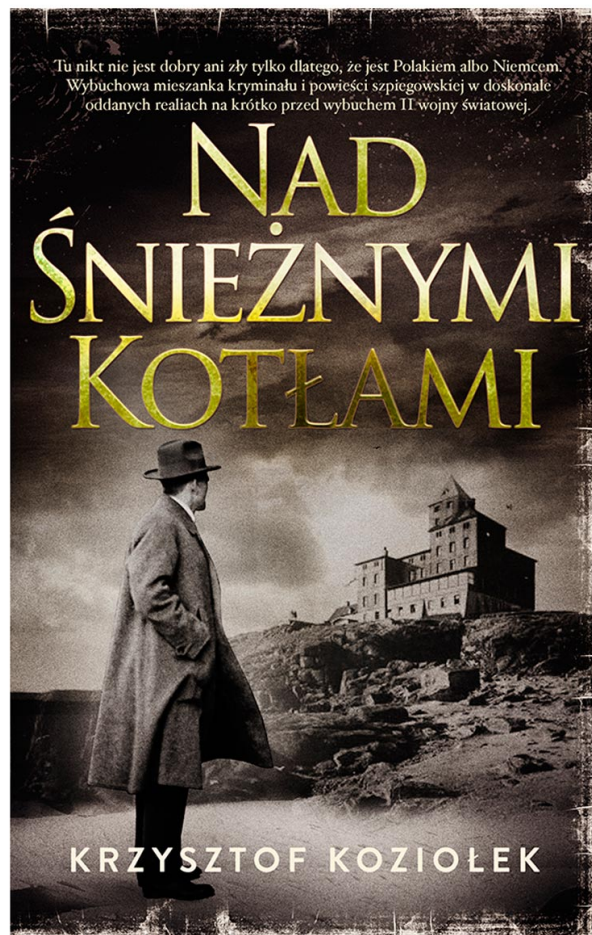
Damian Saran zgłasza na policji zaginięcie żony, która nie wróciła do domu z pracy w agencji reklamowej. Dalia Chyba przeżywa trudne chwile po rozwodzie będącym efektem rodzinnej tragedii. Komisarz Ryszard Grodzki sprawdza okoliczności śmiertelnego wypadku bliskiej osoby starego znajomego.

Pozornie niezwiązane ze sobą sprawy łączą się, kiedy wszyscy troje stają na drodze szczepionki, która lada chwila ma trafić na rynek. Na jednej szali znajdują

się tysiące ludzkich istnień, na drugiej miliardowe zyski.

To będzie walka na śmierć i życie.

Krzysztof Koziołek
Nad Śnieżnymi Kotłami



Sierpień 1939 roku. Asystent kryminalny Anton Habicht od kilku miesięcy przebywa w Schreiberhau (Szklarskiej Porębie), dokąd trafił, popadłszy w niełaskę przełożonych po poprzednim śledztwie. Polecenie rozwiązania zagadki kradzieży biżuterii w hotelu górskim Nad Śnieżnymi Kotłami odbiera jako szpilę wbitą przez szefa miejscowej żandarmerii.

Rutynową wizytę przerywa wypadnięcie z okna żony miejscowego urzędnika. Habicht nie wierzy, że to wypadek i rozpoczyna śledztwo wśród lokalnej śmietanki towarzyskiej.

Kiedy pojawia się następny trup – tym razem śmierć dosięga poszukiwacza cennych minerałów – asystent kryminalny intensyfikuje działania. Z każdym dniem odkrywa kolejne skrzętnie skrywane tajemnice establishmentu.

Wkrótce w mieście pojawiają się zagadkowi ludzie, sytuacja się komplikuje, a Habicht nabiera przekonania, że to, co do tej pory udało mu się odkryć, jest zaledwie wierzchołkiem góry lodowej.

Krzysztof Koziółek
Będę Cię szukał, aż Cię pokocham



Mijają dwa lata, odkąd Wally odszukał Kesję – miłość swego życia – i razem z Iną pokonał ludzi pracujących dla bezwzględnego koncernu Yeyland-Wutani. Teraz trójka dwudziestolatków obdarzonych niezwykłymi umiejętnościami pracuje dla Międzynarodowej Agencji do Spraw Nadprzyrodzonych, pod okiem Sary Bednarz i Andrzeja Sokoła. W fabryce położonej przy granicy z Niemcami finalizują prace nad niezwykle ważnym wynalazkiem.

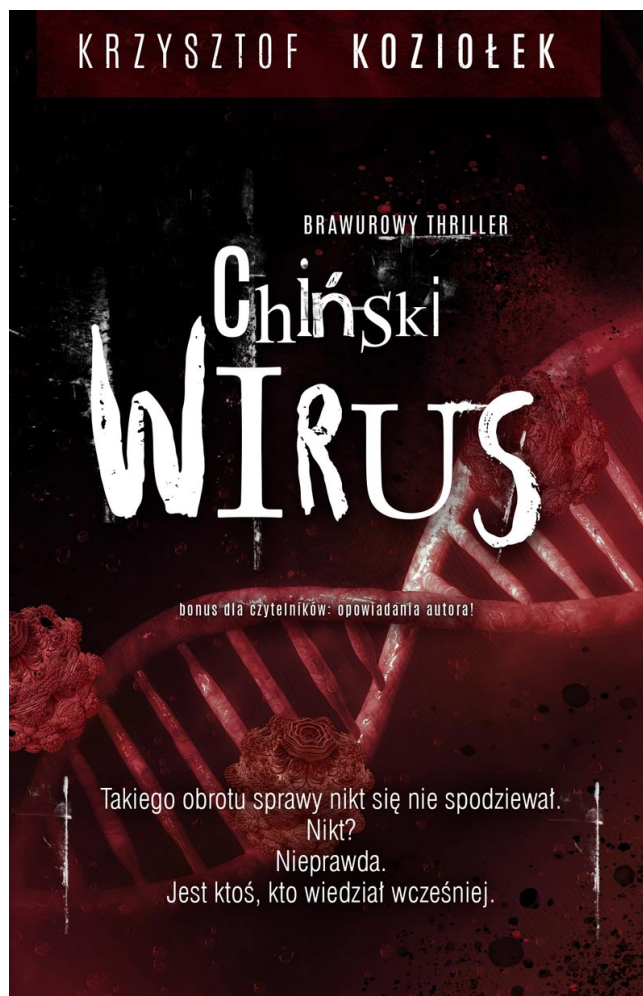
Niestety, związek Wally'ego i Kesji przechodzi kryzys. Na domiar złego chłopak zaczyna się interesować Iną, nie zdając sobie przy tym sprawy, że ta od dawna się

w nim podkochuje. Jakby tego było mało, fabryka zostaje zniszczona w wyniku katastrofy kolejowej.

Fiasko projektu sprawia, że Sara Bednarz musi walczyć o to, aby dowodzony przez nią europejski oddział Agencji nie przestał istnieć. Problemy dotyczą też Wally'ego, który wikła się w uczuciową rozgrywkę z Kesją i Iną. Sokół zaś – nie wierząc w przypadki – podejmuje własne śledztwo w sprawie wypadku kolejowego.

Wkrótce wszyscy stają na drodze spisku, który ma zmienić świat bezpowrotnie.

Krzysztof Koziółek
Chiński wirus

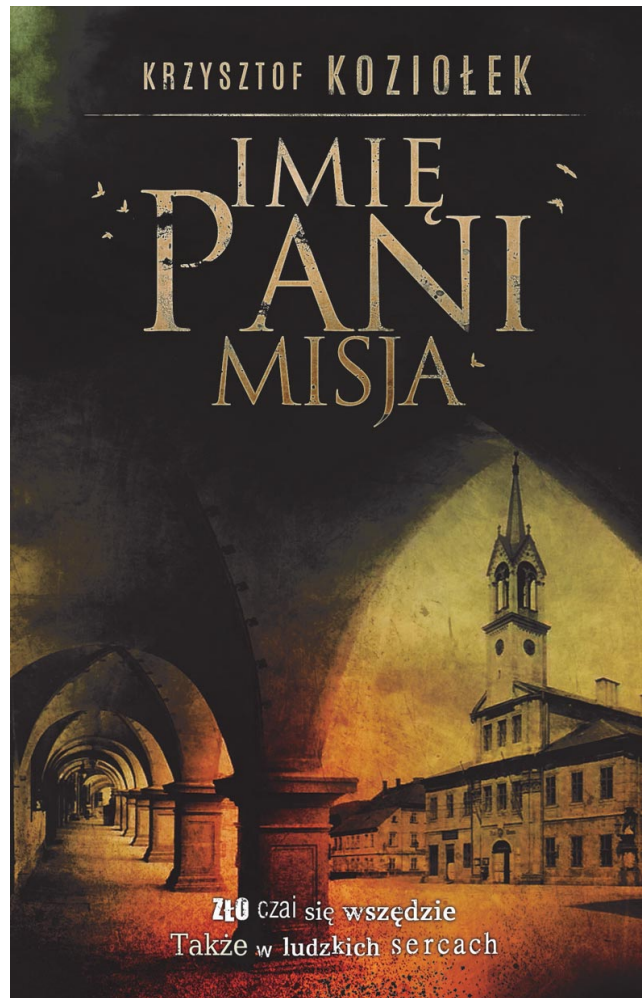


Ilario Incerto – światowej sławy piłkarz i zawodnik Juventus Turyn – z powodu koronawirusa traci najbliższą osobę. Nieoczekiwanie kontaktuje się z nim pracownik polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, któremu nowy patogen dopiero co zabił ojca. Nieznajomy twierdzi, że wie, kto ponosi winę za wybuch światowej pandemii.

Mężczyźni łączą siły i zaczynają zakrojone na międzynarodową skalę śledztwo. To, czego wkrótce się dowiedzą, ściągnie na nich śmiertelne niebezpieczeństwo.

Krzysztof Koziółek

Imię Pani. Misja



Lipiec 1936 roku. Na Górze Wisielców w Liebau in Schlesien (Lubawce) zostają znalezione zwłoki Alfonsa Dermutha, miejscowego przedsiębiorcy należącego do śmietanki towarzyskiej.

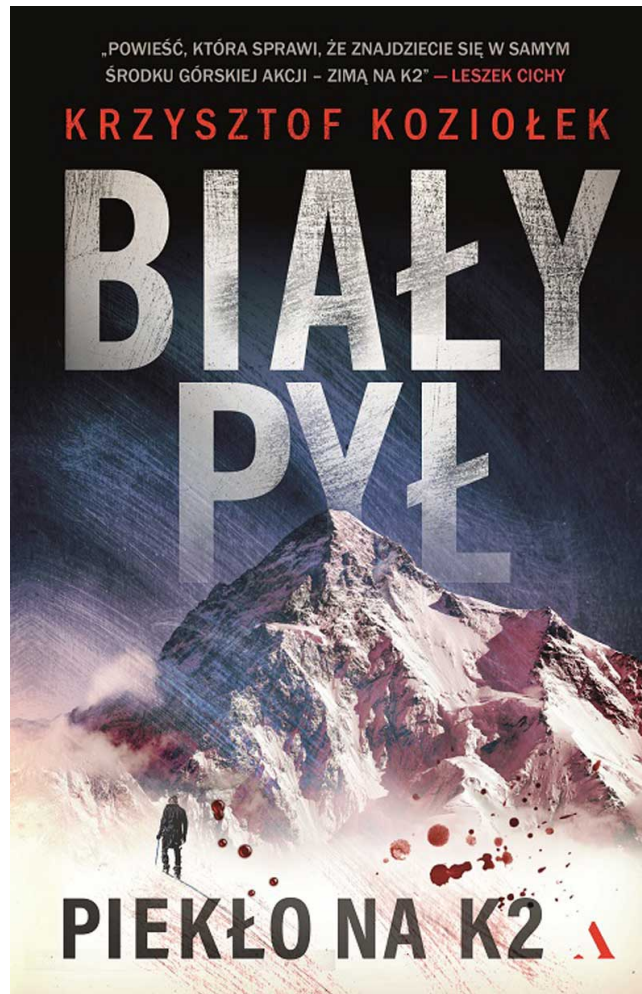
Szef powiatowej żandarmerii Felix Walsleben nie wierzy w oficjalną wersję o samobójstwie forsowaną przez policję kryminalną. Nie mogąc tego udowodnić, ściąga do pomocy komisarza kryminalnego Gustava Dewarta.

Dewart ma w pamięci niedawny pobyt w pobliskim opactwie w Grüssau (Krzeszowie), mimo to chętnie wraca w te strony. Zdaje sobie przy tym sprawę, że

zamiast tak potrzebnego odpoczynku, czeka go znów ciężka i niebezpieczna misja.

Zaraz na początku śledztwa okazuje się, że Dermuth nie zawsze miał szczęście do interesów, za to zdążył narobić sobie wrogów. Jednak ani Dewart, ani Walsleben nie przeczuwają wtedy jeszcze, jak potężną lawinę wydarzeń wywołają, gdy wkrótce potem wpadną na pewien trop.

Krzysztof Koziółek
Biały pył. Piekło na K2



Największa ambicja himalaisty? Zdobyć zimą najniebezpieczniejszy szczyt świata. Kiedy u podnóża K2 melduje się polska wyprawa, cel wydaje się osiągalny. Jednak w bazie zaczynają się wzajemne pretensje, konflikty środowiskowe, do głosu dochodzą sprzeczne ambicje i dążenia. Czy grupa wybitnych indywidualności w ogóle potrafi współpracować?

W gronie słynnych wspinaczy jest też dwójka outsiderów: Zuza Niska, doświadczona himalaistka, której do tej pory drogę do przełomowych sukcesów blokował zwykły pech, oraz Krzysiek Garda, amator wspinaczki i dziennikarz oddelegowany do relacjonowania zmagania z górą.

Kiedy głupi błąd prowadzi do poważnego wypadku, Garda staje przed dylematem: czy pozostać lojalnym wobec partnerki i żyć ze świadomością, że być może będzie to stanowić zagrożenie dla pozostałych uczestników wyprawy. Wkrótce śmierć jednego z nich wzbudzi szereg pytań: co naprawdę stało się na zboczu K2 i czy ktoś poza morderczą górą przyłożył rękę do tej tragedii...?

Krzysztof Koziółek
Imię Pani. Cisza



10 sierpnia 1936 roku. Komisarz kryminalny Gustav Dewart wysiada z pociągu na stacji kolejowej w Landeshut in Schlesien (Kamiennej Górze) z duszą na ramieniu. Zignorowanie rozkazu powrotu do macierzystej jednostki oznacza bowiem dla niego same kłopoty. Tym większe, że jego obecność w mieście jest nie na rękę kreisleiterowi Heinrichowi Kühnowi oraz komendantowi miejscowej policji Oswaldowi Beerowi. Zrobią oni wszystko, aby pozbyć się znienawidzonego komisarza.

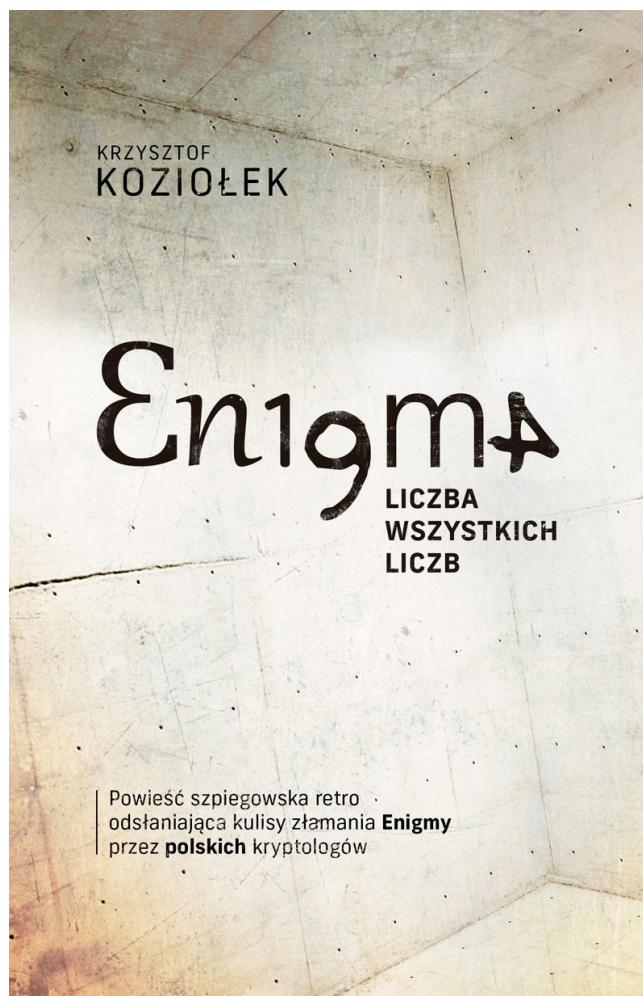
Dewart zdaje sobie sprawę, że wsadza głowę w paszczę lwa. Ale wie też, że nie ma innego wyjścia, jeśli chce pomóc dwóm przyjaciołom – starszemu asystentowi

kryminalnemu Robertowi Czekałe oraz komendantowi miejscowej żandarmerii Felixowi Walslebenowi – którzy za jego przyczyną wpadli w śmiertelne tarapaty.

Komisarz kryminalny szybko orientuje się, że zwycięstwo z dużo liczniejszym i potężniejszym przeciwnikiem jest możliwe tylko wówczas, jeśli gra się z nim jego kartami. Dociera też do niego, że aby uwolnić przyjaciół, będzie musiał dokonać największej wolty w historii Landeshut.

Krzysztof Koziołek

Enigma



Jest 15 lipca 1928 roku, gdy polskie stacje nasłuchowe odbierają niemiecką depeszę zaszyfrowaną w nowy sposób – za pomocą maszyny nazywanej Enigmą.

Od razu ruszają próby złamania tajemniczego szyfru, ale najlepsi kryptolodzy kruszą na nim zęby. Wkrótce potem wybitni warszawscy profesorowie matematyki uznają go za nierozwiązywalny, a Biuro Szyfrów polskiego wywiadu zwraca się nawet o pomoc do słynnego okultysty.

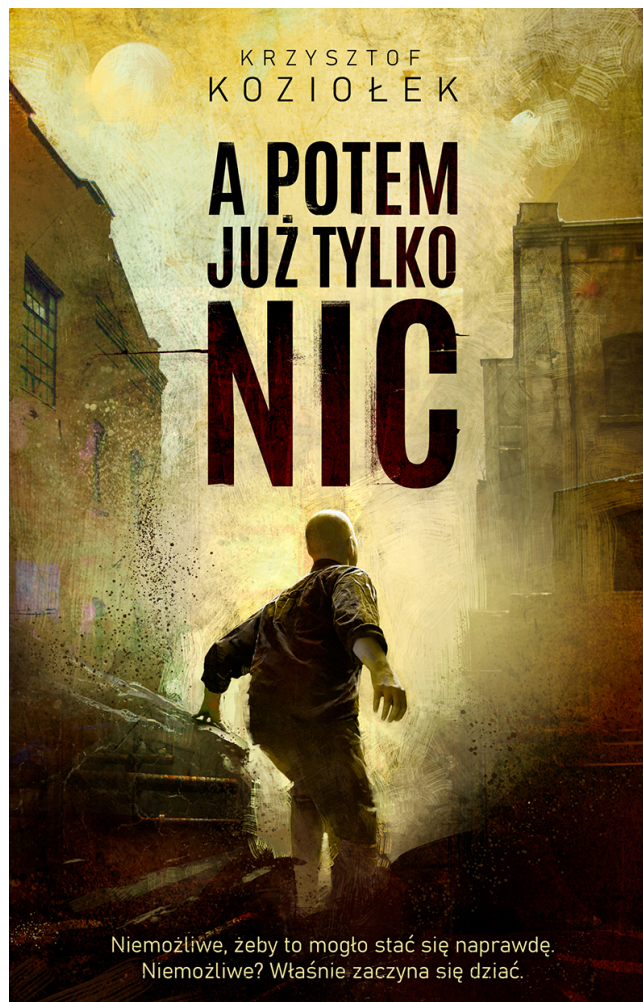
Kiedy kolejne próby kończą się fiaskiem, kierownictwo Biura Szyfrów postanawia zagrać *va banque*. Jako pierwsze na świecie do złamania szyfru –

którego podobno nie da się złamać – angażuje nie lingwistów, dziennikarzy czy szachistów, jak do tej pory, lecz studentów matematyki.

W tym celu 15 stycznia 1929 roku dwadzieścioro uczestników rozpoczyna kurs kryptologii na Uniwersytecie Poznańskim. Operacja prowadzona jest w całkowitej konspiracji, a od kursantów odbiera się nawet ślubowanie dochowania tajemnicy – po to, aby o planach polskiego wywiadu nie dowiedziała się niemiecka Abwehra.

Mimo tak daleko posuniętych środków ostrożności nie wszystko idzie zgodnie z planem...

Krzysztof Koziołek
A potem już tylko nic



Rok 2031. Polska jest jednym z największych przegranych światowej wojny o wodę wywołanej przez gwałtowne zmiany klimatyczne będące efektem problemów gospodarczych, jakie wstrząsnęły planetą za sprawą pandemii koronawirusa i wojny na Ukrainie. Od zakończenia konfliktu większością ziemskich zasobów zarządza kilka międzynarodowych korporacji.

Cały kraj podzielony jest na zamknięte strefy, jedną z nich jest Enklawa Zielona Góra. Lokalne samorządy to fikcja, regionami rządzą przedstawiciele koncernów dystrybuujących wodę i ustalający jej cenę.

W Polsce trwa permanentny stan wyjątkowy, działanie konstytucji i praw obywatelskich jest zawieszane. Kradzież wody jest surowo karana, włącznie z karą śmierci. Internet jest cenzurowany, a rozmowy telefoniczne podsłuchiwane. Działa tylko jedna – rządowa – stacja telewizyjna. Obowiązuje godzina policyjna, a przemieszczanie się ludzi jest ściśle kontrolowane. Obywatelom trzeciej i czwartej kategorii wypłacane pensje z trudem wystarczają na pokrycie kosztów jedzenia i wody.

Niespodziewanie codzienne limity wody dla najuboższych grup społecznych zostają jeszcze bardziej obniżone, a jej cena wywindowana do niebotycznego poziomu. W odpowiedzi na te wydarzenia kilku mieszkańców Enklawy Zielona Góra pod wodzą Jana Krzyka postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. W tajemnicy rozpoczynają drążenie tunelu do nieczynnej kopalni węgla brunatnego od wielu lat zalanej wodą.

W przygotowaniu

Krzysztof Koziołek

Osaczony